

ALEKSANDER BEK

NOMINACJA

Przełożył Andrzej Szymański

Podczas moich studiów nad żywotem Aleksandra Leontjewicza Onisimowa rozmawiałem z ludźmi, którzy byli mu bardziej lub mniej bliscy, i wówczas udało mi się ustalić, że pierwsza pogłoska o zdjęciu go ze stanowiska rozeszła się już latem 1956 roku.

Początkowo plotka nie znalazła potwierdzenia. Mijały dni, miesiące i Aleksander Leontjewicz pozostawał nadal na stanowisku szefa Komitetu. A przecież już we wrześniu jego sekretarze i referenci dowiedzieli się, że decyzja zapadła i że Aleksander Leontjewicz przechodzi do pracy dyplomatycznej, że niebawem wyjeżdża do jednego z krajów północnej Europy. Tak więc, używając określenia znamiennego dla owych czasów, stwierdzić należy, że decyzja zapadła. Teraz wiadomość tę usłyszeć można było od wielu osób.

Owszem, od wielu, ale nie od samego Onisimowa. Aleksander Leontjewicz nadal punkt dziewiąta wkraczał do swego gabinetu, znajdującego się na pierwszym piętrze gmachu Rady Ministrów przy ulicy Ochotnyj Riad. Na jego biurku czekały już jak zwykle dobowe raporty informujące o pracy zakładów metalurgii metali czarnych i kolorowych, o wydobywaniu ropy naftowej i węgla. Aleksander Leontjewicz zasiadał w dębowym fotelu z twardawym siedziskiem, krytym sztuczną skórą (współpracownicy Onisimowa od dawna znali gusty swego przełożonego, jego niechęć do kosztownych mebli) i zakładał okulary, bo od niejakiego czasu już ich potrzebował do czytania. Szklą i masywną oprawą ukrywały ciemne podkowy pod oczami — ślad wieloletniego niedosypiania. Jego wyrzeźbiona jak gdyby twarz — bo tak nienagannie regularne były jego rysy, może za

wyjątkiem górnej wargi, zapadniętej nieco i przykrótkiej — pochylała się nad słupkami liczb. Drobną, żółtawą, uzbrojoną w ołówek dłoń, podkreślała czasami tę lub inną liczbę. Szczupłe palce trzęsły się nieco, lecz przecież nie było to starcze drżenie. Onisimow skończył dopiero pięćdziesiąt cztery lata i pojedyncze siwe nitki niknęły w jego kasztanowych włosach, przeciętych zawsze nienagannie prostym, zrobionym jak gdyby pod linijkę przedziałkiem. Uparte drżenie palców prześladowuje Onisimowa już od kilku lat. Gdy jest spokojny, dygot ów trudno raczej zauważyć, ale wzmagą się on, kiedy Aleksander Leontjewicz jest zdenerwowany.

Medycyna nie potrafiła uleczyć tej dziwnej choroby. Zresztą Aleksander Leontjewicz gardził medycyną i zaleceniami lekarskimi. Drżą palce? A pał je diabli! Nie zwracać na nie uwagi! Tym bardziej że to drżenie nie zaważyło w najmniejszym stopniu na pięknym kaligraficznym charakterze pisma, jaki wyrobił sobie jeszcze w czasach szkolnych, kiedy poczynając od klasy piątej szkoły handlowej znalazł sobie groszowe zajęcie polegające na przepisywaniu dokumentów. Tak więc po dziś dzień wszystkie jego uwagi są absolutnie wyraźne, każda powstająca pod jego ołówkiem linijka jest twarda i stanowcza. Podwładni Onisimowa dobrze pamiętają jego ołówek — niezmiennie najwyższej twardości i zaostrzony jak włócznia.

Palce lewej ręki trafiały od czasu do czasu na pudełko leżących zawsze na biurku papierosów marki „Drug” z wytłoczonym na wieczku psim pyskiem. Nie odrywając wzroku od maszynopisu, Onisimow zapalał zapalną i zaciągał się z rozkoszą. Zaczął palić, kiedy nie był już młody — w 1938 roku. Decydował się wówczas jego los. Wtedy właśnie zapalił, a potem nie mógł się już od tego uwolnić.

Papieros dymi jeszcze w popielnicze, lecz Onisimow zapala już nowego. Wierny swemu stylowi — stylowi zarządzania wy-szlifowanemu przez dziesięciolecia — nie ogranicza się wcale do studiowania dokumentów. Zapoznając się z komunikatami, odwraca się co jakiś czas do stolika z telefonami i posługując się wiertuszką (tym słowem określa się telefony należące do specjalnej sieci rządowej), łączy się z ministrami, z szefami rządów głównych i żąda wyjaśnień: dlaczego spadł wytop w jakiejś hucie, dlaczego zamówienie numer taki a taki nie zostało

zrealizowane w terminie, z jakich to powodów nowy gatunek stali nie trafia do analizy? Nie poprzestając na wyjaśnieniach, jakie otrzymał z ministerialnych gabinetów, a wyznając zasadę, żeby niczego nie przyjmować na wiarę, naciska niecierpliwie guzik dzwonka i poleca sekretarzowi, który zjawia się natychmiast, połączyć jego, Onisimowa, z fabryką, wezwać do telefonu dyrektora lub kierownika wydziału, a czasami nawet majstra. U nich właśnie, u tych ludzi związanych z produkcją, sprawdza wyjaśnienia, jakie otrzymał przez wiertuszkę. Znać sprawę do ostatnich szczegółów, znać lepiej od wszystkich, nie wierzyć ani słowu, ani papierom — tak brzmiała jego dewiza. Swoją metodę działania określał słowami — trzymać aparat pod napięciem.

Z komunikatami dobowymi już koniec. Przejrzane zostały telegramy. W notesie dużego formatu z czarnym nadrukiem na każdej kartce: „Przewodniczący Państwowego Komitetu do Spraw Metalurgii i Paliw przy Radzie Ministrów ZSRR”¹ znalazło się już kilka notatek. Tymi sprawami Aleksander Leontjewicz zajmować się będzie jeszcze w ciągu dnia. Teraz wyjmuje z biurka teczkę zawierającą materiały dotyczące wprowadzenia automatyzacji w metalurgii. Niebawem — który to już raz! — pogrąży się w studiowaniu grafików dostaw maszyn, grafików montażu i uruchomienia urządzeń, wdrożeń, znów będzie dzwonić, wnikać w każdy szczegół, naciskać na Komitet Planowania, na ministerstwa budowy maszyn, będzie wzywać swoich zastępców, wydawać im polecenia.

Na okrągłym stole, który stoi pod ścianą obok szafy bibliotecznej, pełnej tomów Encyklopedii technicznej, grubych podręczników z zakresu metalurgii czarnej i kolorowej, paliw mineralnych, chemii, geologii, leży starannie ułożony stos gazet. „Prawdę” Onisimow czytał uważnie w domu, kiedy zapalał pierwszego papierosa; „Izwestija” i „Komsomolską Prawdę” przeglądał w samochodzie, w drodze do pracy. W gabinecie czekały nań już inne gazety moskiewskie. Na tym samym okrągłym stole piętrzył się stos prasy codziennej z rejonów przemysłowych — gazety z Donbasu, Dniepropietrowska i tamtejszego rejonu, Zakaukazia, z największych ośrodków przemysłowych

■Uralu i Dalekiego Wschodu. Cała prasa lokalna została już przygotowana dla Onisimowa przez sekretariat — kolorowy ołówek zakreślił wszystko, co mogłoby go zainteresować. Obok leżą periodyki Akademii Nauk i nadesłane przez Instytut Informacji tłumaczenia artykułów z zagranicznych pism technicznych (Onisimow włada tylko angielskim). Na tym samym stole odkładane są nowości „Mietalurgizdatu” i „Ugleizdatu”. Żadna z książek, żaden periodyk nie znikną tak długo z tego stołu, aż nie usunie ich sam Onisimow.

Onisimow wstaje z fotela i po nienagannie wywoskowanym, nie przykrytym dywanem parkiecie (Onisimow nie lubi dywanów, traktuje je jako przedmioty zbytku) idzie właśnie do tego stołu. Aleksander Leontjewicz ma piękną acz za dużą, nawet przy jego większym niż średni wzroście, głowę. A szyję ma za krótką. Dlatego też wygląda, że Aleksander Leontjewicz wiecznie się czegoś obawia i chowa głowę w ramionach. Czasami, gdy siedzi, można go wziąć za garbatego. A przecież kiedy idzie, wcale się nie garbi. Ktok ma energiczny, choć nieco ciężkawy. Nie dochodząc do stolika, nagle przystaje. Jego duża głowa nikiennie w ramionach. Zdarzało się już, że ten lub ów z sekretarzy otwierał z nagła drzwi i zastawał Aleksandra Leontjewicza w takiej właśnie pozycji — znieruchomiałego na środku gabinetu, nieobecnego myślą.

Z racji swego stanowiska Onisimow powinien zajmować się również perspektywami przemysłu, jego przyszłością, ale myśl unosi go w przeszłość. Coraz częściej napływają nieoczekiwane, niejasne obrazy z czasów minionych.

Teraz tak właśnie stoi — ubrany w garnitur z ciemnego materiału w paski, świeżą białą koszulę z twardym wykrochmalonym kołnierzykiem, a do tego skromny ciemny krawat. Jego syn Andriusza, który rozczytywał się w Dickensie, powiedział pewnego razu: „Ubierasz się, tato, jak angielski urzędnik.”

Smutne spojrzenie jego zielonkawych oczu kieruje się na okrągły stół. Po co mu teraz to wszystko? Takie książki jak Wiercenie szybów, Wzbogacanie magnetytowe, Ściany z rur spawany chi Albo ten nowy numer „Węgla”? Nie dzisiaj to jutro pożegna się z węglem, ze stalą, porzuci to stanowisko, ten gabinet.

Onisimow wysiłkiem woli otrząsa się z odrętwienia, siada, zakłada okulary, przysuwa gazety, zabiera się do pracy.

Jego współpracownicy są zdumieni. Aleksander Leontjewicz kieruje wszystkim z dawną energią, z dawną dokładnością. Jak niegdyś prowadzi konferencje, wnika w najdrobniejsze szczegóły, nadal jest wymagający, ostry, wcale nie traci operatywności (że znów sięgniemy do słownika tamtejszych czasów), zapoznaje się z literaturą specjalistyczną, przygotowuje szkice planu siedmioletniego, sprawdzając szczegółowo każdą cyfrę, jak gdyby jeszcze przez wiele lat miał stać na czele przemysłu metalurgicznego i paliwowego.

...Biegły dni i miesiące, a zawsze świeżo ogolony, zdyscyplinowany, surowy mężczyzna, przewodniczący Komitetu, nadal nie przestawał pracować, emanować wolę, energię, trzymać aparat pod napięciem.

Dopiero późną jesienią, niedługo przed trzydziestą dziewiątą rocznicą Rewolucji Październikowej, Onisimow otrzymał przesyłkę, której już dawno oczekiwał. Otworzył kopertę nożyczkami i przeczytał dokument. Tak jak przypuszczał, prośba, z którą on, inżynier-walcownik zwrócił się do Komitetu Centralnego, aby zezwolono mu na wykonywanie jakiegokolwiek pracy zgodnej z jego specjalnością, nie została uwzględniona. Od tej pory przechodził do dyspozycji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Teraz należało uporządkować wszystko w tym gabinecie, do którego już nie wróci; wykonać ostatnie obowiązki służbowe, ostatnią powinność. Zajmuje się więc jeszcze niektórymi najważniejszymi sprawami, znów telefonuje przez wiertuszkę, wypytuje, tłumaczy, ponagla, wydaje polecenia.

Potem przez chwilę pali w milczeniu papierosa, ale zaraz chwyta za słuchawkę telefonu. Musi zameldować władzom nadrzędnym, że zdaje pulpit sterowniczy.

Za pomocą linii specjalnej łączy się z wicepremierem Tewosjanem, do którego obowiązków należy między innymi kuratela nad kilkoma Komitetami Państwowymi.

— Otrzymałem decyzję, Iwanie Fiodorowiczu, i zamknąłem sprawy. Pozwól, że się odmelduję.

Dawni towarzysze są na „ty”.

— W porządku — odpowiada Tewosjan. — Kiedy zamierzasz pokazać się swoim nowym szefom?

— Jeszcze dzisiaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Dlaczego dzisiaj? Gdzie cię tak gna? Chociaż właściwie to słusznie robisz, że nie zamierzasz zwlekać.

■w tych spokojnie wypowiedzianych słowach Onisimow wyczuwa nie tylko radę przyjaznego mu starszego towarzysza, lecz także wytyczną. Teraz Tewosjan porusza sprawy fachowe, wysłuchuje odpowiedzi, a na zakończenie mówi:

— Pewnie się jeszcze spotkamy przed twoim wyjazdem. Dzwon, nie zapominaj o mnie.

Koniec rozmowy. Aleksander Leontjewicz raz jeszcze lustruje biurko i gabinet.

Tak, zdaje się można postawić na tym wszystkim kropkę. Wszystkie sprawy, które przejmuje w marszu jego zastępca — te bieżące i te planowane na przyszłość — są jasne. Jest jednak jeszcze coś, wcale nie najważniejsze i wcale nie odnotowane w dyrektywach rządowych — ale dla Onisimowa posiada szczególne znaczenie. I znów przypływa, mimo woli, obrazek z przeszłości. Aleksander Leontjewicz widzi teraz opaloną, garbatonosą twarz Piotra Gołowni, czyli Gołowni-juniora, bo tak też go nazywają. Zaciśnięte wargi, pod kośćmi policzkowymi poruszają się mięśnie żuchw — tak właśnie Gołownia-junior, dyrektor huty imienia Kurako, wyglądał tamtej pamiętnej lipcowej nocy 1952 roku, kiedy na konferencji odważył się wystąpić przeciwko Onisimowowi. To spowodowało, że Onisimow był zmuszony... No właśnie, zmuszony. Po co to zresztą wspominać? A przecież nieraz zdarzało się mu coś takiego: ni stąd, ni zowąd widzi podniesione brwi, odważnie uparte spojrzenie, z gruba ciosaną dolną szczękę Piotra Gołowni. I cóż począć, skoro ma swoje, ukryte przed wszystkimi zobowiązania wobec tego inżyniera hutnika, dyrektora zakładów. Są to, by tak rzec, sprawy honoru.

A przecież Onisimow nie ma już teraz, niestety, prawa do korzystania z władzy szefa Komitetu. Waha się przez chwilę. Potem znów podnosi słuchawkę, telefonuje do ministra maszyn ciężkich, by się dowiedzieć, jak przebiega przygotowanie potężnej dmuchawy dla huty imienia Kurako. Minister zna sprawę. Zna także Gołownię-juniora, który zamówił takie nieseryjne, niezwyklej mocy, a równocześnie małowymiarowe urządzenie, które zmieściłoby się w ciasnocie starej huty. Przewodniczący Komitetu otrzymuje natychmiast interesującą go informację: zamówienie wykonywane jest według grafiku, mniej więcej za miesiąc rozpocznie się montaż, a potem próby. — Zaopiekuj się osobiście tą sprawą — mówi do ministra

Onisimow. — Zakończ wszystko na czas i odeślij do zakładów. Wyślij też najlepszych monterów.

— Tak jest! Notuję. Możecie być spokojni, Aleksandrze Leontjewiczu.

— Tylko nie nawal. To jest dla mnie sprawa honoru. Niewykluczone, że niebawem będę musiał wyjechać...

Rozmówca przyjmuje tę informację bez zdziwienia, ograniczając się do krótkiego:

— Aha...

Wie już na pewno o jego wyjeździe do spokojnego, czyściutkiego kraju. j

Aleksander Leontjewicz mówi dalej:

— Postaraj się, aby wszystko było na medal pod względem jakości, terminów i tak dalej. Potraktuj to jako moją osobistą prośbę.

— Tak jest! Stawiam trzy wykrzykniki, Aleksandrze Leontjewiczu!

Jeśli nas pamięć nie zawodzi, była to ostatnia rozmowa telefoniczna, jaką Onisimow przeprowadził ze swego, a właściwie już nie swego gabinetu.

Potem nacisnął dzwonek. Jak zwykle wszedł bezszelestnie kierownik sekretariatu Sieriebriannikow. Szczupły, niskiego wzrostu, stanął przy biurku pochylając nieco ogoloną, wyłysiałą przedwcześnie głowę. Tego człowieka wiązała z Onisimowem niemal dwudziestoletnia funkcja sekretarza. Razem z Aleksandrem Leontjewiczem przeniósł się tutaj, do gmachu Rady Ministrów, dawno nauczył się łapać w lot, zgadywać, czego sobie życzy jego szef, potrafił dyskretnie podpowiedzieć takie lub inne rozwiązanie, bezbłędnie sporządzał najważniejsze dokumenty. Był niezastąpiony.

Onisimow wstał:

— Pozwól, że się przedstawię: ambasador Związku Radzieckiego w Tiszlandii.

Nawet w takiej chwili zdolny był do żartów i państwo, do którego miał jechać, nazwał Tiszlandią. Zaraz zresztą podał właściwą nazwę tego kraju. Autor pozwoli sobie jednak skorzystać z pomysłu Onisimowa i wymieniając to państwo, używać będzie jego umownej nazwy — Tiszlandia.

Właściwym sobie zwyczajem Onisimow przeszedł zaraz do rzeczy:

— Siadaj. Chciałbym, abyś mi pomógł w pierwszej fazie mego pobytu za granicą. Pojedziesz ze mną?

Sieriebriannikow nie zajął wskazanego miejsca. Jego błękitne, lekko wypukłe oczy były skromnie spuszczone, poza pełną szacunku.

Przenikliwość nie zawiodła Onisimowa — wszystko pojął w lot.

— Wolisz rozstać się ze mną we właściwym czasie?

— Sądzę, Aleksandrze Leontjewiczu, że...

—
Moskwie? f Że będziesz mi bardziej przydatny, jeśli pozostaniesz w

Tak, Sieriebriannikow zamierzał uchwycić się właśnie takiej myśli, taki przygotował sobie wybieg. Zresztą, czy to był wybieg? Szef sekretariatu z ogoloną głową rzeczywiście mniemał, że... no, jak by tu powiedzieć? Pewnie, nadszedł czas zmian. To jasne, kto tam jednak wie... Sytuacja może jeszcze ulec gwałtownej zmianie i zdymisjonowany raptownie Aleksander Leontjewicz może wrócić do przemysłu ciężkiego. A na razie... Na razie on, Michaił Borisowicz Sieriebriannikow, pozostanie tutaj jako człowiek oddany Onisimowowi i jeśli trzeba, słać mu będzie listy do tej, jak to on zażartował, Tiszlandii. Będzie także wykonywać na miejscu polecenia i prośby byłego szefa Komitetu. A jeśli sprawy ułożą się inaczej, jeśli Onisimowowi nie sądzona już praca w przemyśle — to cóż, Sieriebriannikow będzie miał czyste sumienie i wobec ludzi, i wobec was, Aleksandrze Leontjewiczu.

Domyślając się z kilku słów całej tej gładkiej, nie wygłoszonej mowy, Onisimow zachnął się. Jego górna warga uniosła się nieco, obnażając silne, białe zęby. Podwładni Onisimowa dobrze znali ten groźny grymas. W takich momentach szef chłostał na odlew bezlitosnymi słowy. Gwałtownym ruchem chwycił teraz papierosa, zapalił zapałkę. Zapałka tak dygotała w jego ręce, że nie mógł zapalić papierosa. Kiedy spaliła się do końca, odrzucił ją. I natychmiast się opanował.

— Możesz odejść. I każ mi przynieść dwa zwykłe zeszyty. Więcej nic już od ciebie nie potrzebuję.

Aleksander Leontjewicz je obiad.

Przytłumione światło moskiewskiej ulicy sączy się przez szerokie okna, obramowane podwójnymi zasłonami — ciężkimi czerwonymi, zwisającymi wzdłuż framug, i białymi jedwabnymi, podciągniętymi do futryn. Długi stół obiadowy, wokół którego zmieściło się dwanaście krzeseł w płóciennych pokrowcach, zasłany jest białośnieżnym obrusem. Blask parkietu, błysk szkła i forniru bufetu.

Wystrój jadalni pozbawiony jest jakiegokolwiek indywidualności. Onisimowowi obojętne są luksusy tego wielopokojowego mieszkania. Obojętność tę dzieli z nim jego małżonka Helena Antonowna, piastująca poważne stanowisko w Zarządzie Przynależności Rezerw Pracy ZSRR.

Onisimowowie nie urządzali swego mieszkania — po prostu razem z mieszkaniem otrzymali także meble, które ustawiły w pokojach cudze ręce. W salonie położonym obok jadalni nie bywa tygodniami nikt z rodziny. Króluje tam pianino w płóciennym pokrowcu i stoją fotele pod takimi samymi pokrowcami. Pięknych waz nie ożywiają kwiaty; od lat stoją puste. Dzieci, które wpadają czasami do syna Onisimowa, Andriusza, nie zbytku ją i jakoś cichną w tym mieszkaniu. Gości się tu nie zaprasza.

Owszem, w ostatnich latach było tutaj kilku dawnych towarzyszy Aleksandra Leontjewicza. W czasach minionych byli represjonowani, a obecnie, po śmierci Stalina (na ścianie wisi w złoczonej ramie jego olejny portret z gwiazdami generalissimusa na naramiennikach), opuszczali obozy ogrodzone drutem kolczastym, powracali z więzień i zesłania. Sam Aleksander Leontjewicz nie zakosztował tego. Fala represji, która, wydawało się, lada chwila mogła go dosięgnąć, przeszła bokiem.

Od czasu do czasu ten i ów zmartwychwstały towarzysz telefonował do Aleksandra Leontjewicza. Wymusztrowany sekretariat trzymał się surowo reguły, że jeśli ktoś, pragnący porozmawiać z szefem, przedstawi się jako „jego stary towarzysz”, lub powie, że telefonuje „w sprawie osobistej”, to należy go natychmiast meldować. Pewnego razu Sieriebriannikowowi nieźle dostało się za to, że w podobnej sytuacji wołał nie absorbować

Onisimowa, który prowadził u siebie konferencję, i dopiero później poinformował go o telefonie.

Inna sprawa, że takie telefony były rzadkością. Gdy się jednak zdarzały, Onisimow rzucał wszystko, podnosił słuchawkę, witał się radośnie, ciepłym tonem zadawał pytania, kartkując kalendarz znajdował wolny wieczór i zapraszał na spotkanie u siebie w domu. Najbardziej wrażliwy, wyostrzony przez cierpienie słuch nie zdołałby wychwycić w tonie, w sposobie bycia Onisimowa żadnej dygnitarskiej nuty. Przesiadywał ze swoim gościem długo w nocy, wspominali to, co wspólnie przeżyli, przypominali sobie żywych i martwych. Onisimow zawsze starał się uczynić coś dla człowieka, który powrócił stamtąd, pomagał mu się urządzić, czyli otrzymać przyzwoite mieszkanie, odpowiednią pracę albo emeryturę. Potem znów przez długie wieczory, przez długie dni, wielkie pokoje tego mieszkania świeciły pustką. Tuzin krzeseł ustawionych wokół stołu nie służył nigdy wesołej hałaśliwej kompanii. Nawet w dzień pięćdziesiątych urodzin Onisimowa nie został zaproszony ani jeden gość, nic nie zakłóciło ciszy tego domu. Kiedyś, cytując znów swego Dickensa, Andriusza powiedział — „zimny dom”. Na swój własny użytek nazywa ojca „wielkim milczkiem”. W niedzielę i święta rodzina zbiera się przy stole podczas śniadania i obiadu, ale nie dochodzi jakoś do wspólnej rozmowy. Bywa, że ojciec zażartuje. Rzadko, niebывale rzadko, staje się wylewny, o czymś opowie, coś sobie głośno przypomni.

Aleksander Leontjewicz jak zwykle je sam. Żona przyjeżdża na obiad później, ale on siada do stołu punkt wpół do drugiej. Minęły już czasy nocnej, wyczerpującej pracy, kiedy w ministerstwach i komitetach przesiadywano do czwartej-piątej nad ranem, bo tak pracował dręczony bezsennością Stalin, a do porządku jego dnia musiał się dostosować aparat rządowy. W tamtych czasach Onisimow jadał obiad wieczorem, czasami zaś (domownicy pamiętają ten jego żart) następnego dnia, jak król Fryderyk Wielki. Obecnie specjalne zarządzenie, opublikowane we wszystkich gazetach, zabrania pozostawania w pracy ponad osiem godzin. Podporządkowany jak zwykle dyscyplinie Onisimow wychodził jednak z Komitetu ostatni. Wolne wieczory były dlań nie do zniesienia, więc zabierał z pracy grubą teczkę pełną dokumentów i w domu pogrązał się w nich na całego. Dzisiaj nie przywiezie już tej teczki. Spędził w Komitecie

swój ostatni dzień, pożegnał się ze współpracownikami. Sprawy przejął jego zastępca, bo nie mianowano dotąd nowego szefa Komitetu. Wszystko przemawia za tym, że jest to bodaj jeszcze jedna oznaka nadciągających zmian. Oczekiwane zmiany w zarządzaniu przemysłem nazywa się już głośno „rewolucyjnym burzeniem starego”. Specjalna komisja zajmuje się przygotowaniem propozycji. Onisimow nie został jej członkiem. A teraz... Teraz ostatecznie usunięto go z przemysłu. Dlaczego? Dlaczego?

Przypomina sobie o stojącym przed nim talerzu zupy, która stygnie. W dłoni podporządkowanej drzeniu palców, tańczy łyżka, którą niesie do ust. Zawsze umiarkowany w jedzeniu, nie będąc nigdy smakoszem, łyka zupę, nie czując jej smaku.

Nieco z boku stoi i popatruje na pana domu służącą Waria w białym fartuszkach bez jednej plamki i w białej chusteczce na głowie. Waria przywykła już do tego, że w dni powszednie pan zawsze je na chybcika. Od rana słychać jego niecierpliwe: „Szybciej, szybciej, już późno.” Po obiedzie kładzie się jak zwykle na piętnaście minut. Za kwadrans, dokładnie co do minuty, Waria zapuka do drzwi. Wieczorami Aleksander Leontjewicz wpada czasami, żeby się przebrać, i jedzie na jakieś przyjęcie. I znów się spieszy. Jednak w tym pośpiechu nigdy nie pozwala sobie na to, żeby rzucić gdzieś w nieładzie zdjęty garnitur, i obowiązkowo sam wiesz go w szafie. Waria nie nazwałaby Onisimowa milczkiem. To właśnie on nauczył ją robić kawę, parzyć mocną herbatę. Kiedy wraca z pracy, zawsze mówi jej kilka uprzejmych słów.

Dzisiaj je obiad bez pośpiechu. Przełknie kilka łyżek zupy i popada w zadumę. Poinformował Warię, że nie musi już pilnować jego wypoczynku, pukać do drzwi gabinetu, i nawet zażartował:

Niebawem pojedę odpoczywać do pewnego państwa za górami, za lasami...

Tak, od dzisiejszego dnia już się nie zajmuje przemysłem. Nie jest już potrzebny, nie potrzebuje go jego ukochany przemysł ciężki. Od jutra przejdzie do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, będzie się szykował do wyjazdu, do swojej nowej misji. A teraz jest wolny, dziwnie wolny. Dlaczego? Jak to się mogło stać?

Owszem, nie krył tego, że w reorganizacji zarządzania prze-

(knysem należy koniecznie być ostrożnym, działać powoli, nie Juciekać się do gwałtownych ruchów. Tak, to prawda, bronił celowości istnienia swego Komitetu i podległych resortowi ministerstw, a na posiedzeniu komisji KC przedstawił szereg argumentów. Jego wystąpienie, w którym we właściwym sobie stylu ograniczył się tylko do spraw natury zawodowej, przyjęte Zostało milczeniem. A przecież na posiedzeniu zajmowano się jedynie wstępną oceną sytuacji. Każdą decyzję — któż w to może wątpić? — przyjąłby jak zdyscyplinowany, wierny członek partii. Dlaczego więc, dlaczego odwołano go z przemysłu?

Waria przynosi drugie danie i widzi, że Aleksander Leontjewicz jest bardzo błądy. Co prawda, nigdy nie miał rumieńców, jego twarz nie różowiła się nawet na mrozie, lecz teraz codzienną błądź z lekką domieszką brązu, zastąpił ziemisty odcień. Co się z nim dzieje? Onisimow odczuwa nieprzyjemną suchość w ustach. Jego duże, o ładnym kształcie oczy z żółtawymi białkami odnajdują na kredensie karafkę z wodą. Onisimow nie znosi pańskich manier. Nigdy w domu nie mówi „Proszę mi przynieść”, „Proszę podać”. Wstaje sam i bierze to, co mu potrzebne. Teraz też wstaje i robi kilka kroków w kierunku kredensu. Ciemnieje mu przed oczami, brak mu powietrza, ręką sięga kurczowo do kołnierzyka, próbuje utrzymać się na nogach, chwytą za krzesło, ale wypuszcza je z rąk i ciężko osuwa się na parkiet.

3

Pół godziny później w domowym gabinecie Onisimowa siedzi już Antonina Iwanowna Żyżniak — siwawa kobieta o donośnym głosie. Jest doświadczonym lekarzem. Kiedyś nosiła mundur, lata minionej wojny spędziła w szpitalach polowych i dopiero potem zaczęła pracować w lecznicy Rady Ministrów, nazywanej po prostu „Kremlówką”.

Od sześciu lub siedmiu lat Antonina Iwanowna dba o zdrowie Onisimowa. Jest to trudny pacjent. Wszystko, co dotyczy jego zdrowia, trzeba zeń wyciągać siłą. Kiedy lekarka pyta go: „Co was boli?”, odpowiada z uśmiechem: „Nic”. Wezwanie go do kliniki na badanie u profesora jest przedsięwzięciem absolutnie

beznadziejnym. Antonina Iwanowna sama przychodziła do Onisimowa, łapiąc go w porze obiadowej. Aleksander Leontjewicz witał ją jak dobrą znajomą, bez dygnitarskich manier, gdy tymczasem w innych mieszkaniach tego olbrzymiego domu nad brzegiem rzeki Moskwy, zamieszkanego przeważnie przez wyższych urzędników różnych instytucji centralnych, ją, starego lekarza, traktowano niekiedy z góry. Onisimow natomiast był mądrym, żywym rozmówcą, mógł dyskutować na różne tematy, byle nie o swoich dolegliwościach. W kołach metalurgów, którzy tak czy inaczej utrzymywali kontakty z Aleksandrem Leontjewiczem, od dawna już uważano, że ma żelazny organizm. Po dziś dzień Onisimow słynie z tego, że jest nie do zdarcia. Antonina Iwanowna wie jednak, że ta sława jest bardzo daleka od prawdy.

Pewnego razu mimo wszystko udało się jej pokazać Onisimowa znanemu profesorowi, założycielowi i szefowi Instytutu Terapii, Mikołajowi Nikołajewiczowi Sołowjowowi. Towarzyski, ruchliwy, z muszką pod brodą i wiankiem siwych kręconych włosów wokół błyszczącej łysiny, podobny raczej do artysty lub reżysera niż do lekarza, długo wypytywał i badał Aleksandra Leontjewicza, by wreszcie rzec: „A przede wszystkim proszę unikać snięć”. „Jakich snięć?” Wtedy profesor wyjaśnił, że termin ten wprowadzony został przez Iwana Pawłowa. Jak Onisimow zrozumiał, wielki fizjolog rosyjski przedstawił zjawisko, które nazwał zderzeniem dwóch sprzecznych impulsów — nakazów płynących z kory mózgowej. Bodziec wewnętrzny nakazuje postąpić tak, a człowiek zmusza siebie do uczynienia czegoś przeciwnego. W życiu codziennym zdarza się to każdemu, lecz czasami taki konflikt bywa niezwykle silny. Wtedy powstaje choroba, a nawet szereg chorób. Przy okazji Mikołaj Nikołajewicz opowiedział o pewnej cybernetycznej maszynie specjalnego typu. Po otrzymaniu dwóch sprzecznych ze sobą rozkazów maszyna zaczynała chorować i dygotała jak w febrze. „Być może drżenie waszych palców, Aleksandrze Leontjewiczu, ma taką właśnie genezę.”

Dziwiąc się w duchu przenikliwości profesora, Onisimow jednak nie zdecydował się na wynurzenia. Ten od najmłodszych lat zamknięty w sobie człowiek od dawna nie prowadził już szczerych rozmów. Potrafił ukrywać swoje przeżycia.

Spotkanie z profesorem nie wpłynęło na zmianę sposobu ży-

Ida Onisimowa. Antonina Iwanowna nalegała wielokrotni[^] żeby przestał palić, i Onisimow odpowiadał: „Tak, tak...” Jednak podczas kolejnych odwiedzin znowu widziała czerwone pudełko papierosów na jego biurku i niedopałki w popielniczce. Zresztą wizyta u Mikołaja Nikołajewicza nie minęła bez śladu: w domowym gabinecie Onisimowa na regale z książkami stała praca profesora Sołowjowa Leczenie ogólne i gruby Informator terapeutyczny. Antonina Iwanowna nie dałaby głowy, że Onisimow nie zaglądał do tych książek.

Czasami lekarka sprawdzała apteczkę domową Onisimowów i znajdowała tam nietknięte leki, które dawno już zaordynowała Aleksandrowi Leontjewiczowi. W odpowiedzi na pełne wyrzutu spojrzenie, Onisimow uśmiechał się z poczuciem winy. W tym uśmiechu było czasami coś miękkiego i rozbrajającego.

Teraz także siedzi przed lekarką na twardej, niewygodnej kanapie — siedzi w rozpiętej koszuli, z obnażoną białą, nieco otłuszczoną piersią i uśmiecha się spokojnie, uprzejmie, jak gdyby to nie on stracił przed chwilą przytomność.

— To nic strasznego, Antonino Iwanowno Ilj| mówi Onisimow. — Noga mi się podwinęła i fatalnie się uderzyłem.

Na potwierdzenie tych słów pociera siniak, na czole.

— Noga? — pyta nieufnie Antonina Iwanowna. — W takim razie obejrzymy wasze nogi.

Onisimow zdejmując nienagannie wyczyszczone buty na futrze (od niejakiego czasu źle znosi zimno), ściąga skarpetki, obnaża stopę i goleń. Jego stopy, podobnie jak i kiście rąk są także drobne, niemal kobiece. Od kilku lat Aleksander Leontjewicz odczuwa drętwienie dolnej części nóg, w arteriach brak pulsu. Taka choroba nazywa się chromaniem przestankowym, a jej pochodzenie nie zostało wyjaśnione przez medycynę, choć często wiąże się ją z nałogowym paleniem tytoniu. Onisimow z trudem chodzi, po dziesięciu minutach musi się zatrzymać, nie może długo stać. Antonina Iwanowna z nieustępliwym uporem dwukrotnie zmusiła Onisimowa, aby przeszedł kurację. Całymi miesiącami każdego ranka nakładano mu opatrunki ze specjalnych maści, z którymi jechał do pracy, gdzie jednak nikt nie podejrzewał, że ma zabandażowane nogi. Zaprzestał leczenia i zdjął bandaże, kiedy okazało się, że huta „Elektrometal” nie daje sobie rady z zadaniem, jakie postawił przed nią rząd. Cho-

dziło o wytop specjalnej żaroodpornej stali do silników odrzutowych. Onisimow porzucił inne sprawy i pojechał do huty. Tam, przestępując z nogi na nogę, starając się nie myśleć o bólu, on, przewodniczący Komitetu, inżynier-walcownik, wystawał godzinami na stanowisku roboczym przed piecem, obserwując od początku do końca proces kolejnego wytopu. Każdego wieczoru przeprowadzał operatywki, urządzał krzyżowe dochodzenia, dobierając się do sedna sprawy, do owej niewiadomej, która ciągle mu umykała. Po trzech tygodniach powrócił do Moskwy z raportem: powierzone przez górę zadanie zostało wykonane; z pieców płynie nowa, nie znana dotąd żaroodporna stal. A jednak wykreślił swoje nazwisko z listy przedstawionych przez ministerstwo do nagrody państwowej. Ucinał wszelkie próby podwładnych — od ministrów do dyrektorów — polegające na bezprawnym dopisywaniu sobie do odkryć, wynalazków, pomysłów racjonalizatorskich, które przedstawiano do nagród, nie chciał zostać laureatem, choć wszyscy uważali, że na to zasłużył. To do niego należała sentencja: „Jeśli jesteś urzędnikiem, to bądź urzędnikiem z klasą.” I niewątpliwie sam też starał się być takim.

Gdyby ktokolwiek ośmielił się prognozować, że jej podopieczny bez pulsu w nogach potrafi przestać przy piecu chociażby pół zmiany, Antonina Iwanowna nigdy nie dałaby mu wiary. Dzisiaj także nie pojmuje, jak mógł on tak stać całymi dniami. W stopie nadal brak pulsu. Stawy są zeszytywniałe. Antonina Iwanowna zgina je, ale Onisimow nie jęczy, nie marszczy się; wygląda na to, że wcale go nie boli. Nie, ten organizm nie jest wcale żelazny, ale jego właściciel jest bez wątpienia człowiekiem z żelaza.

Z dużego palca nogi wycięto mu kiedyś kawałek paznokcia. Antonina Iwanowna pamięta, jak Onisimow znosił tę bardzo bolesną operację. Zachowywał się pod nożem tak, jak gdyby był z kamienia. Noga została już opatrzona, ból się wzmagał, bo środek znieczulający stopniowo przestawał działać. Trzymając dłoń Aleksandra Leontjewicza odczuwała jego napięcie, drżenie ukrywanego bólu. „No i jak?” — zapytała. „Bolało” — odpowiedział. — „A teraz?” „Może być...” Prosto z zabiegu udał się do pracy.

Teraz też nie wydusi się z niego słowa skargi. W swym zacho

waniu podobna do mężczyzny, hałaśliwa zazwyczaj Antonina • Iwanowna potrafi dodać choremu ducha, choć nie wiadomo, ^ czy teraz jest to potrzebne.

— Musicie dobrze odpocząć, Aleksandrze Leontjewiczu.. Trzeba przyznać, że wcale nie jest pewna tego, co proponuje.

Chroniczny bronchit palacza, ciągłe chrypy, stały, czasami wyteżony kaszel — wszystkie te objawy podczas wypoczynku pod południowym słońcem, nad morzem, gdzie Onisimow lubił spędzać urlop, wzmagaly się lub kończyły wręcz anginą lub zapaleniem płuc. Wyglądało na to, że choroby, które nie ośmielały 1 się atakować Onisimowa i trzymały się na odległość, kiedy pracował, rzucały się na niego natychmiast, kiedy wypoczywał. >

— E tam... Jjj odpowiada Onisimow. ~ Odpocznę w mojej Tisz-landii.

Po raz pierwszy wyiywa mu się to „mojej”. Zaraz zresztą kaszle, aby skryć nutę goryczy. Zupełnie nieoczekiwanie kaszel przybiera na sile, męczy Onisimowa, jest suchy, wstrząsa obnażoną pierśią. Potem mija.

Ifjlj Musicie koniecznie rzucić palenie — powiada Antonina Iwanowna. Jej głos jest kategoryczny.

Onisimow uśmiecha się: ||S Któregoś dnia przyjadę do Moskwy i zamelduję: „Już nie palę, najdroższa Antonino Iwanowno!”

— Nie wypuszczę was w takim stanie, Aleksandrze Leontjewiczu. Trzeba się wreszcie dać zbadać.

— To nic. Pojadę.

— Nie mogę przyjąć na siebie odpowiedzialności. Zwołamy konsylium.

Ale Onisimow ucina:

— Żadnych badań, żadnych konsyliów!

— W takim razie napiszę, że ze względu na stan zdrowia nie wolno wam wyjeżdżać.

— Nie ważcie się! — krzyczy Onisimow. Zdarza mu się, że używa tego groźnego, rozkazującego tonu.

Jak wiadomo, Onisimow sam prosił na górze, aby przydzielono mu pracę zgodnie z jego specjalnością, lecz otrzymał odmowę. Oznacza to, że musi jechać. Nigdy jeszcze — od chwili, kiedy jako szesnastolatek został członkiem partii — nie próbował się uchylić, wykręcić od poleceń partyjnych i rządowych. Nie uczyni tego i teraz.

— Jeśli coś takiego napiszecie — mówi — oświadczę, że nie potwierdzam waszej diagnozy, a wtedy tłumaczcie się, jak chcecie. Sądzę więc, droga towarzyszko doktorze, że lepiej, jeśli nie będziemy się kłócić.

I znowu się uśmiecha z właściwym sobie sarkazmem. No i co z nim począć? Jak ma postąpić lekarz?

— Aleksandrze Leontjewiczu, poleżcie dzień-dwa, a ja was poobserwuję. Onisimow chętnie akceptuje takie wyjście.

— Dobrze, Dzisiaj poleżę.

Antonina Iwanowna znów odzyskuje swój rozkazujący hałaśliwy sposób bycia.

— W takim razie proszę położyć się w mojej obecności.

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to położę się tutaj.

No cóż, może tutaj będzie mu lepiej. Antonina Iwanowna z niechęcią wspomina sobie sypialnię Onisimowów. Pośrodku pokoju stoją dwa szerokie zestawione razem łóżka. Po bokach dwa stoliki nocne. Pod ścianami dwie szafy na garderobę. I to wszystko. Jak w hotelu.

Chyba jedynie w tym przesiąkniętym dymem gabinecie wyczuć można pewien akcent osobisty. Piętrzą się półki, na których równymi szeregami stoją książki specjalistyczne, bieżąca literatura polityczna, dzieła Lenina i nie dokończony wydanie dzieł zebranych Stalina, które śmierć przywódcy przerwała na tomie trzynastym. Na ścianie między oknami wisi skromnie oprawiona fotografia przedstawiająca Stalina i Sergo Ordżonikidze. Obydwaj są młodzi, obaj w szynelach, obaj mają czarne spiczaste wąsy. Onisimow osobiście oddał to zdjęcie do powiększenia i sam znalazł dla niego miejsce na ścianie.

Przy kanapie stoi okrągły stolik. Na nim obok pudełka papierosów i lampki nocnej czernieje telefon — rządówka, różniący się nieco opływowym kształtem od zwyczajnych aparatów. Leżą tam też dwie książki — nowości dotyczące historii przemysłu radzieckiego. Ostatnio Onisimow interesował się szczególnie tym tematem.

Lekarka zgadza się, żeby Onisimow położył się w gabinecie.

— Zaczniemy od tego, Aleksandrze Leontjewiczu, że dobrze przewietrzymy. Świeżego powietrza nie musicie się obawiać.

Antonina Iwanowna wstaje, aby otworzyć lufcik. Coś podobnego! Onisimow nie pozwoli, aby lekarka zajmowała się czymś

takim. Podrywa się żwawo i zmierza boso do okna. Nagle blednie, ciemność przesłania mu wzrok, nieruchomieje, wsparty ciężko na stole. Przez kilka chwil jest nieobecny, jego wzrok zmartwił. Następnie wysiłkiem woli wraca jednak do przytomności; zmętniałe oczy odzyskują blask. Lekarka obserwuje go z niepokojem.

—Przed chwilą byłam świadkiem, jak straciliście przytomność.

—Co też mówicie? Nic podobnego.

I znów się drwiąco uśmiecha, jak gdyby chciał powiedzieć: „No więc, co teraz ze mną zrobisz?” Właśnie, nic mu zrobić nie można.

Antonina Iwanowna przygląda się, jak Waria ściela kanapę, jak Onisimow układa się na tym niewygodnym twardym łożu. Leki zostały już przepisane. Z ciężkim sercem, z niespokojnym sumieniem Antonina Iwanowna żegna się do jutra.

Kroczy teraz powoli przez salon. Okna ukryły się już za ciężkimi zasłonami, w żyrandolu pali się tylko część żarówek, słabo oświetlając pokrowce na meblach i puste wazy. Wydaje się, że ten wielki pokój jest zakurzony, że nikt w nim nie mieszka. I zalatuje jakby stęchlizną.

W przedpokoju lekarka napotyka niespodziewanie Helenę Antonownę. Żona Onisimowa dopiero wróciła do domu — postawna, można nawet powiedzieć — dorodna, siwa, w skromnym szarym płaszczu, w czapeczce z szarych karakułów. Antonina Iwanowna rzadko się z nią spotyka, bo kiedy odwiedza Onisimowa, nie zastaje jej w domu. Czasami rozmawiają przez telefon. Na pytanie o zdrowie, o samopoczucie męża Helena Antonowna odpowiada zazwyczaj: „Zaraz się dowiem.” Dziwna to odpowiedź. Mieszkają pod jednym dachem, śpią w tej samej sypialni i... „zaraz się dowiem”.

Teraz Helena Antonowna jest zdenerwowana. Widać się spieszyła, bo szybko oddycha.

— Co mu się stało, Antonino Iwanowna?

Widać jej dobrze zachowane drobne zęby. Dziwne, że przy tak masywnej budowie ciała zęby mogą być takie drobne.

— System nerwowy Aleksandra Leontjewicza jest ostatecznie wyczerpany — odpowiada lekarka — a to odbija się na całej reszcie. Dzisiaj stracił przytomność.

I jak gdyby się z kimś spierała, jakby zamierzała kogoś przekonać, dodaje z uporem:

— Nawet dwukrotnie.

Szare oczy żony Onisimowa wyrażają niepokój. Jej obie dłonie ściskają rękę lekarki:

— Czyżby... Czy stan jest tak poważny?

— Nie wiem. Nie mam jeszcze jasnego stanowiska w tej sprawie. Moim zdaniem powinien pójść do szpitala na obserwację. Nie zgadza się na to. Powiedziałam mu, że napiszę iż jest chory, a on na to: „Ani się ważcie”.

— Słusznie, tak nie można.

Helena Antonowna zdejmuje w pośpiechu płaszcz, czapkę. Po prawej stronie na jej czole widać duże jak piąstka dziecka, błękitnoróżowe znamię. Małżonka Onisimowa mogłaby je ukryć pod odpowiednią fryzurą, ale nie robiła tego od czasów młodości. Co dziwniejsze, to znamię nie wygląda wcale odrażająco, harmonizuje nawet w jakiś sposób z niezmiennie poważnym wyrazem twarzy Heleny Antonowny, pozbawionym jakiegokolwiek kokieterii.

— Nie można — powtarza.

Po chwili wahania, konspiracyjnym szeptem dodaje:

— Istnieją szczególne okoliczności, Antonino Iwanowno. Potraktowano by to jako próbę uniknięcia wyjazdu.

Powód został sformułowany jasno, szczerze, brzmi przekonywająco, Antonina Iwanowna jest, teraz bezbronna. A przecież... Wolałaby usłyszeć słowa nie tak rzeczowe, lecz ciepłe, nawet pozbawione sensu. Zresztą, czy ktoś ma prawo żądać takiego uczucia? Przecież Helena Antonowna ma własne życie, swoją odpowiedzialną pracę. Dopiero wróciła, weszła pospiesznie do domu, wypytywała z niepokojem, niemal ze łzami. Antonina Iwanowna nie zamierza jej potępiać.

— Do widzenia. Niech leży. Zajrzę jutro.

4

Już następnego dnia, nie pozwalając sobie nawet na dzień wytchnienia, Onisimow przeniósł się do niewielkiego gabinetu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przejął nowe obowiązki. Wraz z nim przeniósł się też Makiejew, jeden z jego dawnych

zastępców, solidny, ubóstwiający Aleksandra Leontjewicza za jego ostry sposób bycia, dokładność, za ofiarne, ścisłe wypełnianie dyrektyw, za cały styl jego pracy, który, wydawać by się mogło, Aleksander Leontjewicz miał we krwi. Makiejewa cechowała pewna powolność, to zaś wywoływało czasami u Aleksandra Leontjewicza wybuchy rozdrażnienia, które ostatnimi laty były coraz częstsze. A jednak, gdy tylko Onisimow zaproponował mu, aby pojechał z nim razem, Makiejew rozpromienił się i wyraził zgodę. ■— Kiedy ruszamy, Aleksandrze Leontjewiczu?

— Poczekamy na rozkaz.

— A co mam teraz robić?

— Przede wszystkim obłóż się książkami i czytaj.

Tak samo postąpił zresztą Onisimow. Zamiast teczek wypchanych raportami, sprawozdaniami dotyczącymi węgla i gazu, wypalania koksu, zastosowania tlenu i gazu ziemnego w piecach hutniczych, priorytetowego rozwoju baz kopalniczych, doświadczeń ze stałym paliwem raketowym, na jego biurku spoczęły teraz przysłane z archiwum dokumenty o dyplomatycznych, ekonomicznych i innych kontaktach Bosji z krajami północnej Europy. Aleksander Leontjewicz nie zadowolił się materiałami dotyczącymi XX wieku. Specjalnie dla niego wyjęto z archiwów także zbiory dokumentów z ubiegłego stulecia.

Zamiast nowości wydawniczych poświęconych tym lub innym zagadnieniom rozwoju przemysłu, Onisimow miał teraz przed sobą książki traktujące o kraju, w którym miał pełnić swoją nową misję. Tysiące, dziesiątki tysięcy zadrukowanych kartek wypełniały jego ciasnawy gabinet służbowy. Prócz rosyjskiej i przełożonej na język rosyjski literatury fachowej, pożerał także książki w języku angielskim. Ponieważ spędził niegdyś dwa lata jako praktykant w fabrykach Glasgow i Birmingham, mówił i czytał biegle po angielsku.

Wydawało się czymś niebywałym, niemożliwym niemal, że w ciągu trzech-czterech tygodni, które pozostały do wyjazdu, człowiek może przetrwać, przyswoić sobie taką masę materiału. To nic, Onisimow da sobie z tym radę. Bywał już w podobnych sytuacjach. Wkrótce po śmierci Ordżonikidzego przerzucono go do produkcji czołgów, polecając stanąć na czele tej nowej dlań dziedziny, którą należało rozwinąć, zrekonstruować,

uczynić naprawdę silną. Tak samo jak teraz sięgnął po literaturę specjalistyczną, pograżył się w niej, naładował swój niezmordowany mózg, który potrafił z łatwością wyciągać właściwe wnioski, a jednocześnie rejestrować, jak na czarodziejskiej taśmie filmowej, niezliczoną masę szczegółów. Po upływie miesiąca rozmawiał już jak równy z równym ze specjalistami od broni pancernej. I wcale się nie wstydził braków w swoim bagażu — wypytywał, potrafił słuchać, a kierując Głównym Komitetem, uczył się bez ustanku.

A kiedy znów został wezwany na Kreml (nigdy chyba nie zapomni tego jesiennego wieczoru 1938 r., aresztowań, które pochłonęły kolejno niemal wszystkich współpracowników Sergo), kiedy więc znów wezwano go na Kreml, on, kierownik największego Komitetu, zastępca członka KC, wybrany na XVII Zjeździe, minąwszy sekretariat, w którym jak gdyby czekając już nań stali i siedzieli ludzie w mundurach, otworzył drzwi i ujrzał plecy Stalina, przechadzającego się w miękkich wysokich butach...

Po co to wszystko wspominać? Czyżby on, Onisimow, nie miał sobie poradzić? Czyżby nie potrafił zmusić swego doświadczonego, sprawdzonego mózgu, by służył mu jak niegdyś bez zarzutu? Hamulce wewnętrzne działają jeszcze świetnie. Mały wysiłek woli i wszystko, co odwraca jego uwagę, przestanie istnieć.

Onisimow pochłonięty jest bez reszty Tiszlandią i jej sąsiadami.

Rytm jego pracy codziennej nie uległ żadnej zmianie. Niechaj nikt nie waży się pomyśleć, że dzisiejszy Aleksander Leontjewicz nie jest już tym dawnym Onisimowem. Pracował tak samo precyzyjnie i wydajnie, jak przed dziesięciu, dwudziestu laty. Punkt dziewiąta rano gładko ogolony wkraczał do gabinetu, zasiadał w fotelu tak samo twardym jak ten, który opuścił, wyjmował papierosy „Drug”, zakładał okulary i czytał, czytał.

Notatki zajęły dwa zwykłe zeszyty. Drobnym kaligraficznym, godnym podziwu pismem, gdyż tak wyraźna i dopracowana była każda literka, wpisywał do jednego zeszytu historyczne dane i informacje o ugrupowaniach społecznych i politycznych w północnej Europie, o ich wybitnych przedstawicielach. Drugi zeszyt przeznaczony był na wiadomości dotyczące ekonomiki państw położonych w tym zakątku kontynentu.

Wierny zasadom, które od dawna stały się nieodłączną cechą charakterystyczną szkoły kierowników, do której należał, Aleksander Leontjewicz i tym razem nie porzesał jedynie na dokumentach, książkach czy artykułach. Do swej tymczasowej służbowej samotni, zagubionej w korytarzach MSZ-u, zapraszał uczonych, których specjalnością był kraj jego przyszłej akredytacji, a także, po prostu, spostrzegawczych, mądrych ludzi, którzy stamtąd niedawno powrócili. Wypytywał o wszystko, wnikał w przeróżne niuanse, wyciągał od nich wiadomości o ziemi, po której niebawem miał stąpać.

Bywały takie chwile, kiedy z ukrywanym zadowoleniem stwierdzał, że jego niezwykła pamięć, która ostatnimi laty zaczęła nieco szwankować, znowu służy mu bez zarzutu. Można go obudzić w nocy, zapytać o czyściutki, pracowity kraj, a natychmiast wymieni setki nazwisk, nazw, dokładne cyfry i daty.

Po skończonym dniu pracy Onisimow zabierał książki do domu. I znów pracował nie pozwalając sobie na poboczne, natrętne myśli. Kładł się późno, o czwartej nad ranem, nie starając się już walczyć z tym starym przyzwyczajeniem.

Kładł się, ale nie mógł zasnąć. Z ciemności wypęły myśli, które w dzień udawało mu się odpędzić.

5

Pewnego bezsennego ranka Aleksander Leontjewicz okropnie się przeraził.

A było to tak. Patrząc przez przymrużone powieki w mrok sypialni, leżał dręczony natrętными myślami, jak to się mogło zdarzyć, że porzucił tak bardzo ukochaną pracę. Chciał odpędzić od siebie te myśli. Dość już tej udreki. Na takie rozmyślenia — tu uśmiechnął się ironicznie w ciemnościach — będzie miał pewnie dosyć czasu w Tiszlandii. Zmusił się więc do myślenia o tym kraju, postanawiając odtworzyć w pamięci zdania, które ostatniego dnia zanotował w swoim zeszycie. I nagle zawiodła go pamięć; poczuł, że ma całkiem pustą głowę. Zniknęły gdzieś nie tylko wczorajsze lub przedwczorajsze notatki, lecz zapomniał, zapomniał absolutnie daty, nazwiska, wskaźniki ekonomiczne; zapomniał wszystko, czego dowiedział się o krajach, które studiował.

Ta okropna wyrwa wstrząsnęła Aleksandrem Leontjewiczem. Przeciągnął dłonią po twardych włosach, które nagle zrobiły się wilgotne. Trzeba się uspokoić, uczeplić się czegośkolwiek, jakiegokolwiek jednej nitki.

Po chwili udało mu się odtworzyć to, co było mu najbliższe: dane o wytopie stali w hutach Tiszlandii. A dalej? Oczekiwał, że wszystko, co zapomniał, przypomni mu się w jednej chwili, jak w świetle błyskawicy. Lecz nie — przypominał sobie wszystko powoli, bardzo powoli.

Nie wytrzymał i wyskoczył z łóżka. Z sąsiedniego posłania dobiegał równy oddech żony. Boso poszedł bezszelestnie do gabinetu, drżącymi palcami otworzył na chybił trafił jeden z zeszytów. Dopiero teraz się uspokoił. Objawiło się to, czego pragnął tak bardzo. Teraz nie musiał już sprawdzać notatek, stanęły mu wszystkie razem przed oczami, odcisnięte jak gdyby na cudownym filmie. Zapalił, i kartkując zeszyty, sprawdzał pamięć, egzaminował samego siebie. Potem znieruchomiał przy biurku.

I stał tak nieruchomo — boso, w białym nocnym stroju. Nie zapięty kołnierzyk koszuli odsłaniał pierś, zabarwioną ledwie zauważalną niezdrową żółcią. Wielka głowa była jak zawsze wtulona w ramiona.

Co się z nim stało? Czym wylumaczyć tę nagłą utratę pamięci? Czyżby nowa praca była mu tak bardzo obojętna? A może spełniając obowiązek, gwałci samego siebie? Gdzie się podział zapal, z jakim zawsze oddawał się sprawie?

Mianowany niegdyś szefem Komitetu Czołgowego, rzucony do przemysłu, o którym nie miał wcześniej pojęcia, potrafił się nim zainteresować, otrząsnąć się z przygnębienia. Nie, nie otrząsnąć, lecz je pokonać. To przygnębienie zagnieździło mu się w sercu, odradzając się z dnia na dzień wraz z każdą nową wiadomością o aresztowaniach, o dokonywanych niemal każdej nocy nalotach na mieszkania w tym olbrzymim wieloczęłowym budynku, nazywanym „Domem Rządowym”, gdzie mieszkał także on, gotów podzielić los towarzyszy. A jednak nikt go nie ruszał. Aresztowano już wszystkich jego zastępców w Głównym Zarządzie Walcownictwa, któremu szefował za życia Sergo, a on nadal jeździł wolny ulicami Moskwy do pracy i do domu.

Czy naprawdę był wolny? Elementarna logika podsuwała wniosek, że jeśli winni są jego najbliżsi współpracownicy, jeżeli

okazali się domniemanymi wrogami, to on także jest winien.

Wtedy właśnie rzucił wyzwanie losowi. Zwrócił się listownie do Stalina, napisał, że będąc zobowiązany, jak tego wymaga partia, wnikać w sprawy do ostatnich szczegółów, on, Onisimow, ponosi pełną odpowiedzialność za każdą decyzję swoich podwładnych i ręczy głową, a także legitymacją partyjną, że w Zarządzie nie było żadnego sabotażu. W związku z tym prosi, aby, według uznania Stalina, pozwolono mu dowieść tego przed partią lub przed sądem.

List trafił do rąk Stalina, co już samo w sobie było zadaniem I bardzo trudnym. Potem wzywano Onisimowa na przesłuchania, na konfrontacje. Rozpoczęły się nieznośne dni i noce oczekiwania. W tym czasie zaczął palić, owładnął nim nałóg. Lecz mimo wszystko nawet wówczas pracował z oddaniem, w uniesieniu, przewyciężając w ten sposób depresję i smutek. A potem...

6

Potem wezwano go na Kreml.

Teraz już na siedząco, rozcierając podeszwą nogi drugą zziębniętą kończynę, wspomina tamten wieczór.

...Gdy minął poczekalnię, w której jak gdyby oczekując go, stali i siedzieli ludzie w mundurach — dlaczego jest tu dzisiaj tylu z ochrony?— wszedł do niewielkiej salki i ujrzał plecy Stalina. Stalin właśnie przechadzał się i nie odwrócił się na dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Wtedy jeszcze ubierał się skromnie jak żołnierz frontowy — wojskowego kroju spodnie, wpuszczone w cholewy butów, zwisały fałdami — ale już sobie przyswoił specjalnie powolny krok.

Stalin nie był sam. Znajdował się tutaj jeszcze okazały mężczyzna z okrągłymi, bez oprawy okularami, z wypukłym czołem, z uczesaniem z przedziałkiem jasnymi włosami, zasłaniającymi przedwczesną, niewielką łysinę. To Beria. Ubrany w cywilny garnitur stał przy długim stole i popatrywał na Onisimowa z uśmiechem ukrytym w kącikach ust. Widząc ten uśmiech, Aleksander Leontjewicz poczuł dreszcz.

Wiele lat wcześniej człowiek ten, będący wówczas skromnym urzędnikiem w Baku, przeszedł u Onisimowa rozmowę partyjną, jak to się wówczas nazywało. Aleksander Leontjewicz, któ

ry pozostawał jeszcze pracownikiem politycznym 11 Armii, był jednocześnie członkiem jednej z komisji, zajmujących się przeglądem kadr partyjnych w Baku. Uprzedzając pytania Onisimowa, Beria poprosił o zgodę na przejście do innej, bardziej niebezpiecznej pracy do oddziału specjalnego armii lub do azerbejdżańskiej Czeka. Złapany na kilku sprzecznościach, na kłamstwie, wykręcał się, wywijał. Towarzysz Sasza, bo tak w tamtych czasach nazywano Onisimowa, doszedł do wniosku, że to jakiś podejrzany typ, prawdziwy awanturnik. I nie wydał mu nowej legitymacji partyjnej. Dopiero wyższa instancja pozwoliła Berii wrócić w szeregi partii.

Tak więc temu przebiegłemu obywatelowi Baku udało się tylko utrzymać na powierzchni. Spotkanie ze Stalinem na początku lat trzydziestych zadecydowało o jego fantastycznej karierze. Stalin znał się niewątpliwie na ludziach. Hołubiąc sobie tylko znane pomysły, Stalin dzięki wrażliwemu węchowi (słowo „intuicja” raczej nie będzie miało tutaj zastosowania) prawdopodobnie już podczas pierwszych spotkań doszedł do wniosku, że jest to człowiek, którego mu potrzeba.

Teraz ten Gruzin z Baku zarządzał olbrzymią machiną aresztowań, przesłuchań, rozstrzeliwań, więzień i obozów. Uśmiechnięty, ostro spoglądał przez okulary na Onisimowa.

A więc wszystko jasne. Odbędzie się teraz ostatnie przesłuchanie, które przeprowadzi sam Stalin, a Onisimow nie odjedzie stąd swoim samochodem ze swoim szoferem. Nie bez powodu przygotowując się nerwowo na spotkanie, sprawdził, czy ma przy sobie legitymację partyjną, przepustkę na Kreml, notes, potem zatelefonował do żony, a będąc pewny, że telefon podłączony jest do jakiejś tajnej sieci, rzekł lakonicznie: „Wzywają mnie. Jadę. Bądź gotowa na wszystko.”

Stalin odwrócił się wreszcie i tym samym powolnym krokiem ruszył z powrotem. Ciężkie, rzucone spode łba spojrzenie zmierzyło Onisimowa, prześliznęło się po jego wyczyszczonych butach, ciemnej marynarce w paski, po wykrochmalonym białym kołnierzyku, opinającym krótką szyję, która podtrzymywała wielką głowę, i wpiło się w zielonkawę oczy Aleksandra Leontjewicza.

Onisimow nie spuścił wzroku. Stalin nadal szedł wolno w jego kierunku. Nie widać było żadnych zmian na jego nieruchomej, jak gdyby sennej, znanej z mnóstwa obrazów i fotografii

twarży, na których nikt jednak nie odważył się oddać dużych dziobów po ospie, widocznych na policzkach i pod zwisającymi, wyglądającymi na ciężkie, czarno-rudawymi wąsami. Poszczególne siwe nitki w przerzedzonych wąsach i na głowie pozwalały stwierdzić, jak wyjątkowo grube — niemal końskie — były jego włosy. Przez jakiś czas nic nie zakłócało milczenia.

-r Witajcie — rzekł cicho Stalin. — Podejdźcie bliżej.

Nie poprosił jednak, żeby Onisimow usiadł.

Stalin przeszedł się jeszcze raz po pokoju, stanął przed Aleksandrem Leontjewiczem i zaczął zadawać pytania związane ze stanem i perspektywami przemysłu produkującego czołgi. Teraz jego twarz nie była już nieruchoma. Mętne jeszcze przed chwilą źrenice oczu ożywiły się.

Onisimow odpowiadał. Napięcie nerwowe wpłynęło na jego struny głosowe: głos miał zachrypnięty. A jednak to podniecenie sprawiło, że bardziej się skoncentrował, a jego umysł pracował precyzyjnie. Zachrypnięty szef Komitetu Czołgowego nie mylił się, nie jękał, udzielał dokładnych, stanowczych odpowiedzi. Nie musiał korzystać z notatek, aby przedstawić sytuację w tej lub innej fabryce, nawet na jakimś wydziale, przytoczyć wyniki doświadczeń w laboratoriach i na poligonach, wymienić cyfry. Ujawniał przed Stalinem trudności, meldował o pracy nad rozwiązaniami, z którymi nie mogli sobie poradzić konstruktorzy i technolodzy. A Stalin metodycznie wypytywał i wypytywał o te właśnie najbardziej czułe miejsca.

Umocowanie stopy gaśienicy! I te przeklęte dyferencjały olejowe! Jakże dały się one we znaki Onisimowowi, jakże męczono się z nimi w fabrykach! Męczyli się, lecz nie osiągnęli oczekiwanych efektów! Tę sprawę Stalin także wyciągnął... Wnikał w największe tajemnice produkcji. Onisimow referował dokładnie, nie próbował bronić samego siebie.

Tymczasem bocznymi drzwiami wszedł ludowy komisarz obrony, jakiś taki cichy i nie rzucający się w oczy, choć na jego bluzie pyszniły się ordery. Za nim weszli członkowie Biura Politycznego. Niektórzy z nich zachowywali się swobodnie, hałasowali odsuwanymi krzesłami. Siwiuteńki Kalinin oparł się o biały, kafłowy, najwidoczniej ciepły piec i grzał się, założywszy na plecy dłonie. Wszyscy słuchali w milczeniu śledztwa, które nadal prowadził Stalin. Po co, w jakim celu zebrali się ci wszyscy ludzie? Onisimow

znów mimo woli pomyślał o grożącym mu losie. Pewnie na początek Biuro Polityczne podejmie uchwałę w sprawie wykluczenia go z partii, a dopiero potem zostanie aresztowany. O, proszę, przy stole zajęła miejsce stenografistka, wyjęła ołówki, przygotowała zeszyt.

Stalin zaś demaskował, wywlekał, a właściwie zmuszał Onisimowa, by ten obnażał słabości i wpadki radzieckiego przemysłu czołgowego. Sprawa tłoczni. Skrzynia biegów. Wyżarzanie szarej surówki. Pancierz. Metody prób. Dlaczego wyniki nie są zadowalające? Jak wyglądają odpowiednie wskaźniki w fabrykach Niemiec i Ameryki?

Niewątpliwie ktoś dokładnie informował Stalina, ale kto? To najprawdopodobniej jeden z tajnych wydziałów resortu, oddany dawnemu obywatelowi Baku, jak wszechwidzące oko, przenikał wszędzie. No cóż, Onisimow musiał przyznać, że informacja była fachowa, Stalin zaś przestudiował ją bardzo, bardzo wnikliwie.

Prowadząc swoje przesłuchanie, Stalin nie napomknął nawet o sprawach łączących się z listem Onisimowa ani o jego poprzedniej pracy w Głównoprokucie. Onisimow szukał niespokojnie w myślach odpowiedzi: dlaczego? Zresztą — w porządku. Po co powracać do przeszłości? Sam przedstawił tutaj taki wachlarz braków, że wystarczyłoby ich aż nadto do oskarżenia go o sabotaż lub, jak to się mawiało, o wrogą działalność. Stalin nie pytał o sukcesy i osiągnięcia. Onisimow mógłby oznajmić, że sukcesy produkcyjne budowniczych czołgów były spore, ale dyscyplina, która stała się jego drugą naturą, kazała mu odpowiadać tylko na pytania.

Stalin wyjął fajkę z kieszeni spodni, podszedł do stołu, wytrząsnął popiół do marmurowej popielnicy (w ciszy stuk ten zabrzmiał głośno), nabijał ją tytoniem. Jego ruchy były znów powolne, a właściwie — godne i władcze. Tak mógł się zachowywać tylko ktoś, kto wiedział, że nikt go nie ponagli, nie przerwie jego milczenia.

Słynna fajka Stalina zaczęła dymić. Teraz zapalili także niektórzy z obecnych. Rozumie się, że Onisimow nie śmiał nawet pomyśleć o papierosie.

Stalin znów zaczął spacerować.

— Myślę, że sprawa jest jasna — odezwał się wreszcie. — No jak, towarzysze, podejmiemy decyzję?

I nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź mówił dalej:

— Mamy następującą propozycję...

Onisimow poczuł skurecz w klatce piersiowej, trudno mu było oddychać. Miał nieprzepartą chęć, aby rzucić okiem na Berię, lecz zdołał się opanować. A Stalin odczekał chwilę i powtórzył:

— Mamy następującą propozycję. Po pierwsze, przekształcić Zarząd Główny Przemysłu Czołgowego w Ludowy Komisariat Budowy Czołgów... Czy wszyscy obecni się zgadzają? I znów uczynił pauzę.

— Po drugie... mianować ludowym komisarzem budowy czołgów... Jakie towarzysze mają kandydatury? Myślę, że nie popełnimy omyłki, jeśli zatwierdzimy towarzysza Onisimowa. Czy są inne propozycje?

I zakończył:

— Ludowym komisarzem budowy czołgów mianować towarzysza Aleksandra Leontjewicza Onisimowa. Kto jest przeciw?

Onisimow na zawsze zapamiętał tę chwilę. Opanowanie nie splątało mu figła. Poczuł tylko chłód na policzkach. Pewnie trochę zbladł. Dopiero teraz Stalin zwrócił się do niego:

— Dlaczego stoicie, towarzyszu Onisimow? Siadajcie. Będziemy podejmować kolejne decyzje.

I znów nie czekając na czyjekolwiek słowa, mówił dalej:

— Po trzecie... Zobowiązać...

Aleksander Leontjewicz usiadł i wziął papierosa do ust. Nie mógł jeszcze uwierzyć, że to już się stało. Wszedł tutaj prawie jak więzień, a wyjdzie jako komisarz ludowy? Ale... Czyżby Stalin nie poinformował się wcześniej? Czyżby nie wiedział? Przysunąwszy do siebie jeden z bloków leżących na stole, Onisimow napisał swoim kaligraficznym pismem: „Towarzyszu Stalin! Mój brat został aresztowany jako...”

Pióro Aleksandra Leontjewicza znieruchomiało na chwilę. Nie chciał oczerniać własną ręką swego młodszego brata z drugiego małżeństwa matki, brata, którego dawno temu on j| młody Sasza, pociągnął za sobą do partii, a teraz, pół roku temu, zabranego do więzienia wprost z dworca, kiedy jako sekretarz obkomu przyjechał wezwany do Moskwy.

Zaraz jednak zdławił tę wątpliwość. Pióro znów ruszyło po papierze: wróg ludu.

Uważam za konieczne poinformować

Was o tym." Podpisał się, -wysuszył dokładnie świeży atrament, poczekał jeszcze chwilę.

Stalin nadal formułował wnioski:

— Po czwarte... Zaproponować towarzyszowi Onisimowowi w terminie dziesięciodniowym...

Onisimow wstał i podał Stalinowi kartkę. Ten zerknął niezadowolony, rozwinął ją i przeczytał.

7

...A teraz nie ubrany bosy Onisimow siedzi w nocy na twardej kanapie. Na stole spoczywa otwarty zeszyt z notatkami o północnej Europie. W pokoju jest ciepło, nie wieje od okna ukrytego za fałdami długich szczelnych zasłon. A jednak żółtawe, martwe niemal stopy zdrętwiały z zimna już od kilku lat musi je trzymać w ciepłe. Wyciąga więc rękę po ciężki włochaty pled, zwinięty obok wałka kanapy, i okrywa nim, owija chore stopy.

W dolnej szufladzie biurka spoczywa pewien drogi jego sercu dokument, Onisimow wysuwa tę szufladę, wyciąga tekę ze sztucznej skóry, być może po raz pierwszy zauważa, jak zblaknął atrament, choć każda literka tekstu napisana jego delikatnymi palcami jest wyraźna. „Towarzyszu Stalin. Mój brat Iwan Nazarów...” W poprzek kartki widnieje kilka wierszy napisanych zamaszystym pismem. Charakter tego pisma i podpis znane są z licznych faksymile. „Tow. Onisimow. Zawsze zaliczałem Was i nadal zaliczam do grona swoich przyjaciół. Wierzyłem Wam i nadal wierzę. A o Nazarowie już nie myślę. Bóg z nim. J. Stalin.”

Wania i tak zmarł w więzieniu. Wykończyła się, zmarła w obozie także jego żona Liza — zapalczywa, zniewalająca uroczą bezpośredniością. Pochodziła z południa. Obydwoje zostali pośmiertnie zrehabilitowani. Po dziś dzień nie wiadomo, gdzie znajdują się ich groby. Onisimow widzi teraz ciemne jak soczyste wiśnie oczy Lizy, które nagle stały się czujne, utraciły blask jak gdyby w przeczuciu bliskiego nieszczęścia: takie właśnie miała spojrzenie, kiedy pod koniec trzydziestego siódmego roku ona i Wania siedzieli u niego w tym samym zadymionym gabinecie. Nie, wtedy jeszcze Onisimow nie palił. Teraz trzeba bę

dzie wyjechać do obcego kraju, nie wiedząc nic o bracie, bez jego fotografii. Onisimow żałuje, że kiedyś zniszczył nawet fotografie z lat dziecińczych. Wpatrzony w obiektyw Wania miał nie więcej niż dziesięć lat.

..., „Wierzyłem wam i nadal wierzę.” Te słowa Stalina były tarczą, pancerzem, panaceum Onisimowa albo też talizmanem, jak pewnego razu bardziej serio niż żartem powiedziała jego żona. Przechowywana nabożnie kartka, której dotknęło twarde pióro Stalina, tak wiele znaczyła w życiu Onisimowa, że nawet Beria, którego uśmiech sprawiał, że człowiekowi robiło się zimno, nie miał już nad nim władzy.

Onisimow podnosi głowę i patrzy na wiszące między oknami duże zdjęcie w skromnej ramce, jedyne zdjęcie w jego gabinecie. Wargi pod twardymi wąsami Stalina są łagodnie przymknięte, a Sergo się uśmiecha, jest szczęśliwy, pełen życia, dołek na jego brodzie jest wyrazisty, ostre wąsy rozpostarły się zawadiacko. O tak, były takie czasy, kiedy widząc Stalina lub rozmawiając z nim przez telefon, Sergo jaśniał na twarzy, która rozpromieniała się miłosnym uśmiechem. Aleksander Leontjewicz sam mógłby to poświadczyć. Pod koniec życia Sergo utracił właściwą sobie otwartość, ale nie umiał przywdziać maski, nie potrafił udawać. Wielu spośród tych, którzy byli z nim w kontakcie, zauważyło, że teraz Sergo inaczej odnosił się do Stalina, telefonował do niego niechętnie i z ponurym wyrazem twarzy. Aleksander Leontjewicz nie podejrzewał nawet, że Sergo Ordżonikidze strzelił sobie w serce. Była to jedna z najbardziej ukrywanych tajemnic. Dopiero na XX Zjeździe...

Onisimow siedział wtedy w drugim rzędzie spośród innych delegatów; był nieprzenikniony, opanowany, taki, jakim zawsze go widziano. Niecodzienna wrażliwość łączyła się w nim z niezwykłą skrytością. A przecież, gdy usłyszał, że Sergo odebrał sobie życie, poczuł, jak gdyby ktoś połaskotał mu powieki, i zdał sobie sprawę, że po jego policzkach płyną łzy. Zaskoczony tym, bo przecież od lat dziecińczych nie zdarzyło mu się płakać, nie wyjął w porę chusteczki i kilka łez spłynęło po policzkach. Stary towarzysz, siedzący obok, spojrzał na Aleksandra Leontjewicza. Spojrzał i ledwie uwierzył: żelazny Onisimow, ten człowiek-maszyna, wie, co to łzy?

W samotności Onisimow ciągle jeszcze melancholijnie patrzy ze swej twardej kanapy na talizman, który już stracił moc.

Widział się i rozmawiał z Sergo półtora tygodnia przed jego śmiercią. Wtedy właśnie w domu Ordżonikidzego spotkał tego człowieka, który widnieje na starej fotografii pod szkłem, człowieka, który potem napisał wyraźnie te słowa: „Tow. Onisimow. Wierzyłem Wam i nadal wierzę.”

Dlaczego Stalin wyróżnił Aleksandra Leontjewicza? Czy dlatego, że Onisimow nie znał wahań w walce z opozycją wszelkiej maści? A może z powodu rzeczywiście nietuzinkowych jego zalet fachowych?

Nie, na szali legło coś jeszcze. Jedna chwila... Chwila, która być może zadecydowała o losie Onisimowa.

Tak, to było jego ostatnie spotkanie z Ordżonikidze. Wtedy, w lutym trzydziestego siódmego roku, Onisimow wrócił właśnie z wizytacji zakładów. Zameldował telefonicznie Sergo o swoim powrocie, ten zaś rzekł:

— Wpadnij do mnie wieczorem. Czy odpowiada ci godzina ósma?

Ordżonikidze zawsze wykazywał taką delikatność w stosunkach z podwładnymi.

Onisimow stawiał się jak zwykle punktualnie co do minuty. Sergo powitał go w korytarzu i mocno ścisnął jego drobną dłoń swoją pulchną prawicą. Zaraz potem przez zastawiony szafami bibliotecznymi, jakby nie zamieszkały gabinet (podarunki, z których Sergo był dumny, sztabki pierwszej surówki z Magnitki i Kuzniecka, pierwszej miedzi z Bałchaszu, płytki stali lotniczej i transformatorowej, albumy zdjęć nowo zbudowanych zakładów, zajmowały całą niemal powierzchnię wielkiego, pokrytego czarną politurą stołu) zaprowadził gościa do swego małego, lecz przytulnego gabineciku. Usiedli na kanapie.

— A więc, towarzyszu Sasza...

Nie wiadomo czemu Sergo nazwał go po imieniu, zupełnie tak samo, jak kiedyś w wojsku, kiedy szef wydziału politycznego dywizji, Onisimow, był młodym chłopcem, a i sam Ordżonikidze, członek Rewolucyjnej Rady Wojennej frontu kaukaskiego, nie znał jeszcze siwizny ani tuszy.

— Gdzie byliście, towarzyszu Sasza?

Onisimow zaczął opowiadać. Zinaida Gawriłowna, żona Sergo, przyniosła herbatę i ciasteczka. Nie wtrącała się do rozmowy, przywitała się tylko z gościem, lecz Onisimow dostrzegł jej zatroskanie, jakby niespokojne spojrzenie rzucone na męża.

Rzeczywiście, Sergo nie wyglądał najlepiej, był blady, szeroko rozstawione oczy miał podpuchnięte, być może po ataku serca, jaki przydarzył mu się niedawno w nocy w komisariacie ludowym (Onisimow już o tym słyszał), lecz same oczy nie straciły blasku, widać w nich było i zainteresowanie tym, o czym opowiadał gość, i wzruszającą serdeczność.

Sergo lubił wypytywać o ludzi. Także wówczas (pamięć odtwarzała nieubłaganie te ostatnie słowa, ostatnie pytania, które Onisimow usłyszał od niego), tak więc i wtedy zapytał z ożywieniem o pewnego inżyniera, rówieśnika i dawnego kolegę ze studiów Aleksandra Leontjewicza.

— Trzeba mu było popędzić kota — rzekł Onisimow. — Za samowolę. Naruszał przepisy. U Niemców za takie sprawy biją po kieszeni: trzeba płacić kary.

.||| Ach ty Niemiaszku, mój Niemiaszku...

Nagle poderwał głowę. Z dużego gabinetu dał się słyszeć przytłumiony głos Zinaidy Gawriłowny. I jeszcze czyjś głos...

Sergo wstał raptownie.

— Zechciej poczekać.

I wyszedł z pokoju. Przez kilka minut Onisimow siedział sam, nie zwracając uwagi na to, co działo się za drzwiami. Nagle rozległ się podniecony, ostry głos Sergo. Jego rozmówca odpowiadał spokojnie, a nawet chyba z umyślną powolnością. Czyżby to był Stalin? Rozmowa toczyła się po gruzińsku. Onisimow nie znał ani słowa w tym języku, więc, na szczęście, nie mógł wystąpić w roli podsłuchującego. Należało natychmiast wyjść, gdyż rozmowa za ścianą stawała się coraz bardziej ostra. Ale jak to zrobić? Jedyne wyjście prowadziło przez duży gabinet. Aleksander Leontjewicz wstał i otworzył drzwi.

Sergo nadal mówił gorączkowo, krzyczał niemal. Bładość twarzy zastąpiły teraz purpurowe wypieki z sinawym odcieniem. Wymachiwał rękami, o czymś Stalina przekonywał, coś mu wyrzucał. Ten stał z rękami splecionymi na brzuchu, w tym swoim nieodmiennym mundurze żołnierskim.

Onisimow zamierzał przejść w milczeniu, ale Stalin go zatrzymał:

— Witajcie, towarzyszu Onisimow. Zdaje się słyszeliście, jak my sobie rozmawiamy?
. ?ęd Wybaczcie, nie wiedziałem...

No cóż, zdarza się... Powiedzcie jednak, po czyjej stoicie stronie? Po stronie towarzysza Sergo, czy po mojej?

— Nie rozumiem ani słowa po gruzińsku, towarzyszu Stalin.

Stalin puścił tę uwagę mimo uszu, jak gdyby wcale nie została wypowiedziana. Patrząc ciężko spod niskiego czoła na Onisimowa, nie podnosząc głosu, powtórzył jeszcze dobitniej:

No więc, po czyjej jesteście stronie? Po jego?^ Tu Stalin zrobił pauzę. — Czy po mojej?

Na chwilę zaległa cisza. I właśnie ta chwila legła potem na szali. Aleksander Leontjewicz nie odważył się spojrzeć na Sergo. Jakaś instynktowna, działająca szybciej niż myśl siła zmusiła go powiedzieć bez wahania: „Po waszej stronie, Josifie Wis-sarionowiczu.”

Ach, po co się dręczyć? Po co te wszystkie rozmyślenia? Onisimow ma przed sobą jutrzejszy ranek, pracę. Patrzy teraz na te dwa zwykłe zeszyty. Zmusi siebie, żeby włożyć całe serce i pasję w tę nową pracę.

9

Wnikając prawem pisarza w świat wewnętrzny Onisimowa, dokąd Aleksander Leontjewicz niemal nikogo nie dopuszczał, autor zdaje się nie naruszyć analitycznego charakteru swej książki. Wyobrażenie, domysł także w tym wypadku opierają się na pewnych źródłach, czasami na czysto ludzkich dokumentach. O pochodzeniu, o charakterze jednego z takich dokumentów, które zostały mi powierzone, opowiem nieco później: zresztą sama narracja doprowadzi nas do tego.

A teraz trzeba wyczerpać temat „Onisimow na wyjeździe”. Przedstawię więc resztę związanych z tym szczegółów.

Pracowitą samotność Onisimowa w jego tymczasowym schronieniu na szóstym piętrze MSZ-u naruszały czasem telefony. Dzwonili dawni współpracownicy Aleksandra Leontjewicza: mało lotny Szechtel — szef Zarządu Wynalazczości i Racjonalizacji, minister stali, wiecznie rumiany Cichonia, szef Gławy rudy wysoki Striemiannikow, a także wielu innych. Ileż to

razy Onisimow musiał ich traktować ostro, besztać, poganiać, musiał to robić i w cztery oczy, i na konferencjach, a oni, no, proszę, nie żywili urazy, nie zapominali o swoim zdymisjonowanym surowym szefie, interesowali się nim, dzwoniли do niego.

Szykujący się do wyjazdu Onisimow odbywał chętnie te telefoniczne rozmowy. Kiedy usłyszał czyjś znajomy głos, zdejmował okulary, mościł się wygodniej w fotelu — kolejna stronica o ciągle tej samej północnej Europie robiła się mglista, ginęła mu z oczu — i przerzucał się natychmiast na swoją ulubioną, jakże inną sferę pracy sztabowej w przemyśle, znów był w swoim żywiole. Opowiadali mu nowości, radzili się go. On interesował się szczegółami, jak zawsze wnikał w technologię, w organizację produkcji, w fabryczne zwyczaje. Niemniej chętnie, skoro rozmowa szła w tym kierunku, wgłębiał się też w sprawy stosunków międzyresortowych, rzucał jak gdyby przypadkiem słówko podpowiadające właściwe wyjście, stosowny ruch, by prędzej otrzymać lub, jak to się mówi, przepchnąć odpowiednią decyzję. W takich wypadkach jego rady bywały szczególnie trafne.

Na podstawie tonu współmówców, a także na podstawie innych oznak, Onisimow odgadywał z zadowoleniem, że dla nich nadal jest na swoim miejscu, że myślą, iż wróci jeszcze do przemysłu. On sam też w to wierzył. Te rozmowy z kolegami były dla niego wodą życia, stawał się nieoczekiwanie chętny do rozmowy, żartował.

Czasami sam telefonował do swoich dawnych podwładnych. •\ — No, jak wam się żyje? Co robicie? Z czym macie dzisiaj najwięcej kłopotów? Jak sobie radzicie?

I znowu słuchał, doradzał, znów miał wrażenie, że oddycha powietrzem sztabów produkcyjnych, że wciąga w siebie siarkowy zapach pieców hutniczych.

Pewnego razu połączył się z ministrem budowy maszyn ciężkich i po chwili nic nie znaczącej rozmowy, zapytał:

— Jak się tam mają wasze trzy wykrzykniki?

— Wykrzykniki? -r- zdziwił się minister, bo pewnie niejedna sprawa na jego biurku opatrzona była takimi znakami. Zaraz jednak wszystko sobie przypomniał: — Dmuchawa dla Kurako- wki? Rozpoczęto już montaż kontrolny, Aleksandrze Leontjewi- czu. Ten wasz Piotr Gołownia zasypuje mnie telegramami, prosi o wysłanie swoich ludzi do montażu, aby się przyglądali i zapo

znawali z całym urządzeniem. Nie wiem, czy się zgodzić, bo pewnie na razie będą tylko przeszkadzać.

— A ty znowu swoje. Może się jednak zgodzisz, co?

— Tak jest, Aleksandrze Leontjewiczu. Już notuję.

— Obejdiesz się bez wykrzyknika?

— Zaraz podyktuję telegram. Właśnie wchodzi do mnie sekretarz.

— No proszę, co za operatywność.

Było się od kogo uczyć, Aleksandrze Leontjewiczu.

Podobne oświadczenia koily jego ból.

A przecież im bliższy był dzień wyjazdu, tym bardziej zamknięty, bardziej ponury robił się Onisimow. Czasami żartował, dowcipkował, ale jego oczy nie były radosne.

Kiedy po raz pierwszy otrzymał pensję w MSZ-cie, zdenerwował się, gdyż wypłacono mu dodatkową sumę za znajomość języka obcego. Od dawna już, będąc jeszcze szefem zjednoczenia, a potem ministrem, nie uznawał tego rodzaju dodatków, nie pozwalał ani sobie, ani swemu aparatowi na żadne dodatkowe wynagrodzenie. Także w nowej sytuacji pozostał wierny własnym zasadom: po prostu nie przyjął tych pieniędzy, które kasjer zamierzał mu wręczyć, z niezadowoleniem odrzucając wszelkie argumenty. Język angielski zna w stopniu ledwie zadowolającym, a raczej nawet słabo, i nie życzy sobie żadnych wątpliwych dodatków, gdyż jego uposażenie jest i tak wystarczająco wysokie.

Gotowy do natychmiastowego wylotu, gdy tylko otrzyma polecenie, postanowił pójść do dentysty. Mocne, niegdyś białe jak migdały zęby Onisimowa nabrały z powodu palenia kremowego koloru. Okazało się, że wymagają tylko kilku plomb, i szybko doprowadzone zostały do porządku.

Ale nie stawiał się jednak na badania lekarskie. Zlekceważył rentgen klatki piersiowej i żołądka, analizę krwi, elektrokar- diogram. Dziwna sprawa: żaden obywatel radziecki nie otrzymałby paszportu bez przedstawienia świadectwa zdrowia, ale nikt nie pytał o to radzieckiego ambasadora. Nominacja została dokonana i było to ważniejsze od jakichkolwiek zaświadczeń.

Mając niezwykle zamiłowanie do czystości, którą symbolizował zawsze biały, wykrochmalony kołnierzyk, wierny takim kołnierzykom nawet wówczas, gdy jeździł do pełnych kurzu i dymu fabryk i hut, zmieniający je tam dwa-trzy razy dziennie, Onisimow miał jeszcze jedną słabość: lubił być nienagannie ostrzyżony. Od czasu, gdy stanął na czele Komitetu Metalurgii, strzygł się niezmiennie w salonie fryzjerskim ulokowanym w gmachu Rady Ministrów i korzystał z usług zawsze tego samego statecznego, starszego fryzjera. Teraz, w przeddzień wyjazdu, należało powierzyć mu swoją fryzurę.

Siedząc w swoim gabinecie i oddając się lekturze kolejnej pracy o północnej Europie, przesunął dłonią po zarośniętej już szyi. Trzeba będzie koniecznie wpaść po drodze do fryzjera. Nie miał jednak ochoty wchodzić do gmachu, w którym mieściła się jego poprzednia rezydencja, nie chciało mu się wspinać po znanych dobrze granitowych schodach, kiedy nie jest już przewodniczącym Komitetu, lecz człowiekiem, który musiał odejść, zrezygnować z kierowania przemysłem. A może ostrzyć się gdzie indziej? Onisimow złapał się z przykrością na takich wahaniach, na karygodnej małoduszności.

Jego dewizą życiową zawsze była nieskazitelność. Postępował tak, aby nie musiał sobie nic wyrzucać. Każde najmniejsze, nawet najdelikatniejsze napomnienie z góry przeżywał bardzo boleśnie.

Pewnego razu meldował wicepremierowi Tewosjanowi o wykonaniu szeregu zadań państwowych. Co miesiąc w ustalonym dniu i godzinie wkraczał do gabinetu Tewosjana, mieszczącego się w gmachu rządu na Kremlu, w gmachu, nad którym zawsze powiewa czerwona flaga. Onisimow i Tewosjan byli starymi kolegami, obaj odebrali wykształcenie techniczne, zostali metalurgami — jeden wytapiaczem stali, drugi — walcownikiem, obaj należeli kiedyś do bliskich współpracowników Ordżonikidzego, podobnie jak Akopow, Lichaczow i jeszcze kilku wychowanków Sergo, pozostali nie tknięci w okresie czystki. Dawne koleżeństwo nie oznaczało jednak, że Onisimow mógł spodziewać się po Tewosjanie jakiegoś, najmniejszego nawet, pobłażania. Niewysokiego wzrostu, smagły, z połyskującymi jak tusz włosami i takim samym czarnym jak węgiel, niedużym, charak

terystycznym dla Ormian wąsikiem, wicepremier był równie surowy wobec Onisimowa, jak wobec każdego podwładnego. Przez całe życie przy własnym imieniu używał imienia ojca w brzmieniu armeńskim, co sprawiało, że zwracano się doń Iwanie Towadro- sowiczu. Jednakże kiedy Stalin podpisywał uchwałę o nadaniu Tewosjanowi tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej, poprawił imię ojca Tewosjana na rosyjskie „Fiodorowicz”. Tak więc Stalin, przekonany, że wszystko podlega jego władzy, zmienił nieżyjącego Towadrosa B rzemieślnika z Baku — na Fiodora.

Zwykle Aleksander Leontjewicz wychodził z honorem z comiesięcznego bezlitosnego sprawdzianu, nie otrzymywał uwag, pozostawał, jak zwykle, bez zarzutu.

Tak było i tym razem. Zakończywszy rozmowę na tematy fachowe, Tewosjan odchylił się w fotelu, uśmiechnął przyjaźnie i zapytał:

— Czytałeś powieść Daleko od Moskwy?

— Nie, nie było okazji, Iwanie Fiodorowiczu. r Nie było okazji? Szkoda. Niezła książka.

To wydawać by się mogło zupełnie bez znaczenia ulotne „szkoda”, mocno ubodło Onisimowa. Kiedy wrócił do siebie na Ochotnyj Riad, polecił natychmiast dostarczyć sobie tę książkę i wyłączony się z bieżących zajęć, przeczytał ją w dwie noce.

Skrupulatny i wymagający Aleksander Leontjewicz nie wybaczał sobie żadnej niedokładności. Przyznać trzeba, że jeszcze dziś, kiedy wspomina czasami inne nie tak dawne wydarzenie, niemal zgrzyta zębami.

Pewnego razu zatelefonował do niego Stalin.

— Chciałbym poznać, towarzyszu Onisimow, wasze zdanie na temat nowej bazy metalurgicznej we wschodniej Syberii.

—[^] Kiedy mam zameldować, towarzyszu Stalin?

— A macie już plan orientacyjny?

Onisimow wolał skromnie odpowiedzieć:

— To jeszcze nie plan. Mam dopiero szkice.

— No, jak szkice, to szkice. Czy będziecie gotowi, powiedzmy, za tydzień?

Z pasją, z niebywałym uporem (Aleksander Leontjewicz zawsze rozpałał się do białości, kiedy otrzymywał osobisty rozkaz Stalina), zebrałszy ludzi z centrów projektowych i instytucji naukowych, a także ze swego aparatu, Onisimow „dopinał” sprawy, jak to się mawiało w komitetach i ministerstwach. Pod

czas nocnych czuwań, a także w dzień podsumowywano różne, wymagające czasami lat pracy obliczenia, studia, projekty. Wprowadzając potrzebne informacje do swego notesu, zastanawiając się nieustannie, z czym przyjdzie do Stalina, i konstruując w myśli raport Onisimow nadał jasności i blasku (ten wyjątkowy blask jego fachowości) wszystkim danym wyjściowym dotyczącym przyszłości wschodniosyberyjskiej metalurgii.

Nastał wieczór wyznaczony przez Stalina. Aleksander Leontjewicz szykował się do wizyty skrupulatnie i nerwowo. Wiózł ze sobą pewne informacje i wnioski, przepisane na papierze najlepszego gatunku. W dokumentach przeznaczonych dla Rady Ministrów, a tym bardziej dla Stalina, Aleksander Leontjewicz nie dopuszczał ani jednej poprawki. Najmniejszy błąd maszynistki, najdrobniejsza omyłka, powodowała zwrot dokumentu do hali maszyn. Właśnie ubiegłej nocy odesłał preliminarz ogólny inwestycji, w którym kilka cyfr zostało poprawionych piórem kierownika wydziału finansowego. Już trzeba było wyjeżdżać, już przyszedł do Aleksandra Leontjewicza akademik Czełyszew, jeden z jego zastępców, niby wcale nie podenerwowany, lecz jakiś zaszepiony, także wezwany do Stalina, a preliminarz ogólny, najważniejszy przecież dokument, ciągle jeszcze nie był gotowy. W taki nerwowy dzień jak ten maszynistki też nie panowały nad nerwami i psuły literówkami stronę po stronie. Wreszcie przybiegł zasapany, z czerwoną łysiną naczelnik wydziału finansowego, niosąc świeżo przepisane, wprost spod wałka, stronicę.

— Proszę, Aleksandrze Leontjewiczu!

— Czy wszystko sprawdziliście? Osobiście?

— Każdą cyferkę, Aleksandrze Leontjewiczu.

Onisimow rzucił okiem na zegar ścienny: wychodziło na to, że nie ma już czasu, a jednak zawołał:

— Dajcie liczydła! Sprawdzę sam!

Usiadł przy stole w swojej ministerialnej poczekalni i zaglądając do preliminarza, zaczął liczyć. Gałki liczydeł trzaskały i biegały z zaskakującą szybkością. Po kilku minutach widząc, że suma się zgadza, rzekł z zadowoleniem:

— Teraz wszystko jest dobrze!

I złożył własny podpis.

Potem troskliwie dołączył dokument do materiałów, które zabierał ze sobą w nowiutkiej skórzanej tece. Siedząc już w sa

mochodzie, trzymając tekę na kolanach i przeżywając ostatnie chwile przygotowań, rzekł do siedzącego obok Czełyszewa:

— Znają moją zasadę: jak komuś zaufałeś, to już po tobie!

Spod nastroszonych brwi Czełyszewa błyszczały maleńkie oczka:

.— Ja tam ufam ludziom i, jak widzicie, jakoś się trzymam.

Pół godziny potem Onisimow stał już przed zwisającą z sufitu mapą i korzystając czasami ze wskaźnika, w sposób zwięzły, precyzyjnymi krótkimi zdaniami, przytaczając z pamięci odpowiednie dane, przedstawiał Stalinowi plan budowy kombinatów metalurgicznych na płaskowyżu wschodniosyberyjskim.

Stalin zachował swój dawny zwyczaj — słuchał przechadzając się po sali. Jego sztywne włosy były już siwe, siwe też były brwi i obwisłe wąsy. Na kiściach szczupłych rąk i na ospowatej twarzy widać było plamy wątrobowe. Jednakże jego ogólny widok (miał na sobie kurtkę mundurową z naramiennikami i spodnie z czerwonymi lampasami wpuszczone w wąskie buty) wcale nie, świadczył o złym stanie zdrowia. Wbrew niskiemu wzrostowi i niskiemu czółu zachowywał się majestatycznie. Stało się to już jego drugą naturą. Właściwy mu od pewnego czasu powolny sposób chodzenia i niechęć do gestykulacji pogłębiały się z upływem lat. Gdy mówił, nie zwracał już głowy w kierunku rozmówcy, nie zaszczycił tym nikogo. Miało się wrażenie, że za jego plecami szybują doniosłe dzieła epoki, którą już teraz nazywano epoką stalinowską. Obecnie, pod koniec życia, znowu stawiał przed ludźmi niesłychane zadania, znowu prowadził kraj forsownym marszem do nowego etapu. Dzika tundra i tajga surowej wschodniej Syberii, industrializacja tych olbrzymich, nie zamieszkanym niemal przestrzeni — tam właśnie zwracała się od dawna jego myśl. Niezwykle potężny kompleks energetyki, chemii, przetwórstwa drewna i metalurgii — taką widział pustą na razie wschodnią Syberię. Od wielu już lat pracowano nad głównymi wytycznymi projektowymi. Teraz Stalin żądał raportu. Nie porzucając innych planów, które na razie dojrzewały, przygotowywał ofensywę, bitwę na Wschodzie.

Obecnie, w odróżnieniu od lat przedwojennych, Stalin wysłuchiwał ministrów i innych potrzebnych mu ludzi oraz dyktował decyzje, już nie w sali w obecności członków Biura Politycznego, zarzucił bowiem nawet tę formalność. Będąc na starość odludkiem, Stalin, tak jak właśnie teraz, obok zaproszonych osobi

stości wpuszczał do swego gabinetu tylko kilku najbliższych współpracowników.

Razem ze Stalinem słuchał raportu Onisimowa siedzący w skórzanym fotelu Beria. Otyły, nieco obrzmiały, nadal ubierał się jak cywil, miał na sobie modną marynarkę w dobrym gatunku, choć posiadał już tytuł marszałka. Specjalnie zaczesane włosy zasłaniały przeświecającą łysinę. Niebieskie lodowate oczy patrzyły na Onisimowa przez okrągłe szkła bez oprawy.

Kierując nadal organami NKWD, które jeszcze w trzydziestym siódmym roku Stalin postawił jako swoje narzędzie nad najwyższymi organami państwa i partii, Beria zaczął stopniowo przejmować szereg funkcji w gospodarce narodowej, z roku na rok coraz więcej. Teraz bez jego uczestnictwa nie mogła się obejść żadna wielka budowa. Dysponując GUŁAG-iem, który koncentrował na szturmowych placach budowy niezliczone kolumny więźniów, dowodził budową nowych potężnych elektrowni, lub, jak to się wówczas określało — wielkimi budowami komunizmu. Nawiasem mówiąc, na tym właśnie polegał tragiczny paradoks owych czasów.

Zresztą Onisimow, jakim był on wówczas, kiedy referował Stalinowi zagadnienia wschodniosyberyjskiej metalurgii, nie wiedział nawet, co to są myśli o paradoksach i sprzecznościach epoki. Od pytań, które mogły zaniepokoić rozum i sumienie komunisty, Onisimow uciekał, wymykał się im, czyniąc to w sposób bardzo prosty: nie moja sprawa, mnie to nie dotyczy. Jego ukochany brat zginął w więzieniu, więc opłakał go w duchu, lecz nadal trwał uparcie przy swoim: „Nie dyskutować! | Określenie „żołnierz partii” nie było dlań pustym słowem. Później, kiedy weszła do obiegu nazwa „żołnierz Stalina”, z dumą, i niewątpliwie słusznie, uważał siebie za takiego właśnie żołnierza i każde spotkanie z wodzem przeżywał bardzo gorąco.

Berii wystrzegał się, jak tylko mógł. Jako członkowie KC byli ze sobą na ty, lecz epizod sprzed trzydziestu lat („nie mam do was zaufania, Beria”) nie został, naturalnie, zapomniany przez żadnego z nich. Onisimow dobrze wiedział, że Beria czeka tylko okazji, aby się z nim rozprawić. A jednak musiał mieć na to, chociażby milczące, przyzwolenie Stalina. Tak więc, Aleksander Leontjewicz żył w atmosferze nieustannego zagrożenia i przywykł już do tego, że dniem i nocą wisi nad nim ręka Berii.

Jednak Stalin nie rezygnował z Onisimowa. Kartka napisana jego ręką działała nadal i strzegła adresata.

Skoncentrowany wewnątrz Onisimow odpowiadał na pytania spacerującego generalissimusa i przejrzyście referował główne założenia projektu. Oto zakreślił kółko palczką wokół odkrytego niedawno w zakolu Angary złoża rudy żelaza. Wymieniając z pamięci zbadane i przewidywane zasoby tamtejszej rudy, wymagającej wzbogacenia, ujrzał nieoczekiwanie ledwie widoczny uśmieszek na wąskich ustach starego Czetylszewa. Co to ma znaczyć? Czyżby się sypnął?

Mimo woli znów zerknął na mapę. Tak, wskazał nie to zakole Angary. Wstrząśnięty tym odkryciem, chciał się już poprawić, ale usłyszał głos Stalina:

— Ile energii elektrycznej potrzebować będą wasze fabryki wzbogacania rudy?

Onisimow natychmiast wymienił interesującą Stalina wielkość.

— Wskaźniki te, towarzyszu Stalin, powstały na bazie doświadczeń naszych najlepszych urządzeń wzbogacających i aglomeracyjnych.

— Na bazie doświadczeń... — ni to pytająco, ni to z niezadowoleniem powiedział Stalin.

— Tak więc znowu będziecie spalać węgiel, aby wypiekać aglomerat?

— Metalurgia nie dysponuje na razie innymi sposobami. Mam nadzieję, że towarzyszu Czetylszew potwierdzi moje słowa.

Czetylszew ograniczył się do kiwnięcia głową.

— Tak więc przyjęte przez nas wskaźniki... — mówił dalej Onisimow.

Stalin jednak już tego nie słuchał.

— Jak to właściwie jest? — przerwał referentowi. — Otrzymamy olbrzymie ilości energii z Elektrowni Jenisiejskiej, z elektrowni na Angarze, a kto będzie jej odbiorcą? Metalurgia?

Mówiąc to nie podnosił głosu, lecz w jego tonie czuło się rozdrażnienie. Wytknął

Onisimowowi, że woli on marnować drogi węgiel, gdy tymczasem w procesach metalurgicznych należałoby szerzej korzystać z elektryczności. I jeszcze raz powtórzył niezadowolony:

— Na podstawie doświadczeń...

Pospacerował znowu i zaczął dobitnie:

— Doświadczenia to dobra rzecz, ale nigdy jeszcze nie było takich warunków, jakie będą mieli metalurdzy we wschodniej Syberii; nigdzie nie będą mieli do dyspozycji takiej ilości energii elektrycznej. A nowe warunki wymagają także nowej technologii, nowego doświadczenia. Czyż nie tak?

Zadowolony ze swej przemowy, z jej jasności i logiki, ostatnie słowa wyrzekł już spokojnie. Potem podszedł do stolika, na którym obok teki Onisimowa stała napoczęta butelka „Borżomi”,; nalał wody do szklanki i napił się.

— A więc, towarzysze, wasze zadanie brzmi: zwiększać energochłonność wszędzie, gdzie to jest możliwe. Dlaczego by, na przykład, nie przerobić na elektryczne pieców grzewczych i pieców węglnych?

Podobnie jak w innych przypadkach, Stalin znał się na szczegółach produkcji. Onisimow zdobył się tylko na krótkie:

— Tak jest!

— Także w hutnictwie wielkopieczowym trzeba szukać sposobów zastosowania elektryczności. Jak sądzicie, towarzyszu Czełyszew? Czy w jakimś stopniu możemy zastąpić koks elektrycznością?

Czełyszew na to:

— W naszych kołach, towarzyszu Stalin, funkcjonuje takie powiedzonko: szefem huty jest dobry koks.

— To powiedzonko słyszałem już wiele lat temu... A więc, waszym zdaniem, nie można wykorzystać elektryczności w piecach hutniczych?

— Można, ale tylko w małych piecach. ~ W dużych nie można?

W tym pytaniu pobrzmiewały wyraźnie kapryśne nuty. Stalin, przywykły do tego, że wszystko i wszyscy są przed nim ulegli, był teraz zły, że technologia nie chce mu się podporządkować. W obliczu niebezpieczeństwa, jakie nad nim zawisło, Czełyszew zachował jednak spokój i ironię.

— Można — powiedział. — Wszystko można, towarzyszu Stalin, jeżeli będzie taki rozkaz. Ale zostaniemy bez surówki.

Beria podniósł jasne brwi. Jego oczy zmierzyły Czełyszewa przez okrągłe szkła i przeniosły się na Stalina.

A przecież do burzy nie doszło. Stalin pospacerował i znów zwrócił się do Onisimowa, każąc sobie pokazać bilans energetyczny.

Oczywiście, zachowanie Stalina, jego pytania, świadczyły niewątpliwie, że zastosowanie elektryczności w metalurgii stanie się niebawem lub już się niestety stało nowym konikiem Gospodarza. Aleksander Leontjewicz zakarbował to sobie w pamięci. Jednakże nadal dręczył go błąd, który popełnił. Póki trwała rozmowa o założeniach projektowych dalekiej bazy metalurgicznej, nie wypuszczał z rąk cienkiego, długiego wskaźnika. Byłoby już jednak niezręcznie wracać do tamtego miejsca na mapie.

Potem, siedząc już obok Czełyszewa w samochodzie, który wiozł ich z Kremla, czynił sobie głośnie wyrzuty:

— Okropny błąd. Zupełnie nie wiem, skąd to się wzięło, jak do tego doszło.

— Dajcie spokój. To głupstwo.

Stary akademik był pogodnego usposobienia i błąd Onisimowa rzeczywiście niewiele dla niego znaczył. Aleksander Leontjewicz nie mógł jednak sobie tego wybaczyć i był absolutnie przybity. Jak mógł dopuścić do takiej gafy? On, który nie tolerował w niczym najmniejszych niedociągnięć! I to gdzie, wobec kogo?

— Zapomnijcie o tym — z tym samym dobrodusznym lekceważeniem powtórzył Czełyszew. — Przecież nikt nie wie, że wskazaliście nie tam, gdzie trzeba.

: Ale ja wiem i to mi wystarczy!

I długo jeszcze gryzł się tym, przeżywał.

Patrząc teraz z roztargnieniem przez okno swego nowego, ciągle jeszcze nie urządzonego gabinetu na ulice Moskwy przysypane już pierwszym listopadowym śniegiem, obserwując powolny lot śnieżynek, Onisimow zadał sobie pytanie: czy nastanie wreszcie taki czas, kiedy jego myśli koncentrować się będą tylko na powierzonej mu obecnie sprawie? Zmusza się, by usiąść przy niezwykle małym biurku, zawalonym książkami o jakimś północnym kraju, który wcale go nie interesuje. No cóż, trzeba pokonać tę tak nietypową dlań słabość.

No bo i faktycznie, ledwie sobie pomyśli, że warto wybrać się dzisiaj do fryzjera, a już przychodzi mu na myśl zdanie rzucone kiedyś przez Tewosjana, albo przypomina sobie wbite w mapę wschodniej Syberii, nieprzeniknione spojrzenie Stalina.

Trzeba być stale czujnym, nie pozwalać sobie na przywidzenia, które w każdej chwili gotowe są wypłynąć z pamięci. I do

roboty! A jeśli czas na strzyżenie, to więcej z tym nie należy zwlekać!

Pewnie, Onisimow mógłby zatelefonować do salonu fryzjerskiego Rady Ministrów i wezwać do domu znajomego fryzjera. Tak właśnie postępowali niegdyś jego koledzy, należący razem z nim do najwyższej kadry administracyjnej. Onisimow nigdy jednak nie korzystał z tej możliwości, brzydził się czymś takim.

A zresztą, dlaczego nie miałby pójść do fryzjera? I właśnie do Rady Ministrów! Właśnie tam! Bo gdzież w takim razie jest jego godność niczym nie splamionego członka partii?

Pół godziny później po wypolerowanym przez koła samochodów asfalcie, na którym nie było widać śniegu, bo zaraz go sprzątano, samochód Onisimowa podjechał do szarego, olbrzymiego budynku na Ochotnym Riadie. Onisimow w ciemnym miękkim kapeluszu, w zimowym płaszczu ze skromnym czarnym barankowym kołnierzem, wszedł szybko po znajomych schodach. Jego szczupła blada twarz wydawała się kamienna. Ktoś ze schodzących w dół uklonił mu się. A on uśmiechnął się, kiwnął uprzejmie głową. Jego wygląd mówił: owszem, byłem pracownikiem przemysłu, odpowiadałem przed partią i rządem za metal, za paliwo, a teraz otrzymałem nowe polecenie najwyższej rangi państwowej. Koniec. Kropka.

Odpowiadając na ukłony, przeszedł jasnym szerokim korytarzem do salonu fryzjerskiego. Rozebrał się, usiadł w fotelu swego fryzjera, wyjął papierosy, strzelił zapalką i ogieniek zadrżał, zaczął tańczyć w jego palcach — wyprawa do tego gmachu nie przyszła mu łatwo. Nagle wychynęła mu z pamięci przestroga: „unikajcie spięć”. Ech, kto ich tam uniknie?

W odróżnieniu od swoich kolegów po grzebieniu, niezbyt rozmowny, stateczny mistrz (te jego cechę Aleksander Leontjewicz szczególnie sobie cenił) zarzucił prześcieradło na ramiona Onisimowa, dotknął dłonią jego kasztanowych, a właściwie żółdziowych włosów, przyjrzał się im, a następnie zaczął wyrównywać nożyczkami tył głowy. W pewnej chwili, kiedy fryzjer delikatnymi dotknięciami brzytwy usuwał pojedyncze włoski wzdłuż prostej linii przedziałka po lewej stronie głowy, Onisimow powiedział: — No i co? Czy dalej nie siwieję?

— Ano nie. Siwizna prawie się was nie ima. Ale połysk już nie ten, Aleksandrze Leontjewiczu.

Jaki połysk?

t— Wybaczcie, ale brak już tłuszczu.

— Jakiego znów tłuszczu?

— No, połysk jest matowy. Włosy zrobiły się suche i kruche — już nie te, co przedtem. Jak gdyby sprawdzając samego siebie, fryzjer znów dotknął palcami włosów Onisimowa i po chwili zapytał:

— Czyście czasem nie podupadli na zdrowiu, Aleksandrze Leontjewiczu?
Potem Onisimow nieraz przypominał sobie to pytanie.

11

W połowie listopada rząd północnego państwa przysłał wreszcie zgodę na przyjęcie Onisimowa w charakterze przedstawiciela Związku Radzieckiego, czyli tak zwane agrśment. Od tej chwili interesujące nas wydarzenia potoczyły się znacznie szybciej. O ile piszącemu te słowa udało się ustalić, agre- ment nadeszło w piątek, już w sobotę gazety poranne podały w rubryce „Kronika”, że Onisimow mianowany został ambasadorem, w sobotę wręczono mu listy uwierzytelniające, a odlecieć miał we wtorek wczesnym rankiem.

Oczywiście okazało się, że w tych ostatnich dniach trzeba było pozatławiać całą masę różnych spraw. Lista spraw do załatwienia zajęła kilka stron, zapisanych wyraźnym pismem Aleksandra Leontjewicza. Korzystając z pomocy swego maleńkiego zespołu, który wraz z nim udawał się na placówkę, Onisimow z niewyczerpaną pomysłowością nadawał sprawom absolutną jasność, ażur (to słówko używane przez księgowych, podobnie jak „odpowiada analizie”, należało do jego ulubionych wyrażen), wykreślał punkt za punktem.

Oczywiście temu legionowi drobiazgow, który tajał powoli, tym ostatnim porządkom, poświęcona zostanie także niedziela. Onisimow sam spakuje dokładnie swoje walizki, bo zwalanie takiej roboty na kogoś nie należy do jego obyczajów. A przecież jedna godzina Aleksandra Leontjewicza, niedzielne śniadanie, według od dawien dawna wprowadzonego porządku (jeśli na

turalnie, nie znajdował się w podróży) należała do rodziny, a I właściwie do jego syna Andriusza. To również włączył do listy I spraw pisząc; „Posiedzieć z A.”

Zajrzyjmy do obszernego pokoju stołowego Onisimowów, aby I przypatrzeć się początkowi tego przedwyjazdowego wspólnego I śniadania. Przez dwa wielkie okna, wzdłuż których zwisają rozsunięte czerwone grube zasłony, wpada blade światło zimo- I wego już niemal miejskiego ranka. Z dwunastu krzeseł, otaczających stół zasłany jedwabnym wzorzystym obrusem, zajęte są tylko dwa. Trzecie krzesło jest odsunięte i czeka na panią domu.

Aleksander Leontjewicz siedzi na swoim zwykłym miejscu przy węższym brzegu stołu. Jego szczupłe, wręcz wpadnięte policzki są świeżo wygolone. Goli się sam każdego ranka i od tej reguły nie ma żadnych odstępstw. Wszyscy w domu przyzwyczaili się już do jego niezdrowej żółtawej cery. Ubrany jest w swój zwykły garnitur, w którym zwykle jeździ do pracy. Ten ortodoksa skromności || takie przezwisko dano towarzyszewi Saszy jeszcze w wojsku — od lat już nosi te wyświecone z tyłu spodnie w paski i równie wytartą marynarkę. Za to koszula jest świeżutka. Aleksander Leontjewicz przyszedł pierwszy do jadalni, niosąc ze sobą kilka gazet porannych, ale teraz odsunął je od siebie, położył przed sobą okulary i patrzy w milczeniu na syna, który usiadł przy przeciwległym końcu stołu.

Ani twarzą, ani wyglądem Andriusza nie przypomina ojca. Jasnobłond włosy kręcą się lekko, cienka skóra, pod którą płonie delikatny rumieniec, przypomina skórę dziewczęcą. W szarych oczach co chwila pojawiają się żywe ogniki. W spojrzeniu Andriusza czasami wyczytać można brak pewności siebie, jakieś nieśmiałe pytanie. Podbródek chłopiec ma miękko zarysowany. I jak gdyby dla kontrastu z tymi delikatnymi rysami — hardo zadarty nos. To wszystko nie jest ani ojcowskie, ani mat- , czyne.

Cóż jest więc z Onisimowów w tym cichym chłopcu? Wdał się w swego dziadka Leontija Onisimowa, rosyjskiego wędrownego cieślę, poszukiwacza ni to szczęścia, ni to prawdy, którego Bóg wie, jakie losy zanosły z lasów pod Wiatką do Charkowa, gdzie ożenił się z gorącą miłością z Ukrainką Anną albo Hanusią, jak nazywały ją przyjaciółki. Kiedy czarnobrewa Anna została matką, stała się podporą rodziny, znajdowała zarobek także dla nierozgarniętego, niepraktycznego męża, stale cho

dziła na posługi albo brała pranie do domu i w ten sposób wydobyli się z nędzy. Swoje dążenie do celu i energię przekazała Aleksandrowi wraz z regularnymi rysami twarzy. A potem także Wani. Jednakże maleńki Andriusza przejął z woli dziedziczości cechy dziadka.

W pozornie prostolinijnym charakterze Aleksandra Leontjewicza, podporządkowanym absolutnie jednej tylko namiętności — pracy, kryła się także pewna zaskakująca cecha: głębokie uczucia rodzinne. Nikt się nawet nie domyślał, jak bardzo rozpaczał po swym nieszczęsnym bracie, który zmarł w więzieniu. Ta rana nie zblizniła się po dziś dzień. Znając tę cechę swego charakteru, Aleksander Leontjewicz nie przypuszczał jednak, że narodziny dziecka — a był już w dość zaawansowanym wieku — tak go zdołają poruszyć. Przyjeżdżając z biura na obiad, brał na ręce, przytulał ciepłe maleńkie ciało, dotykał go wargami. A jeśli nie zastał malca w domu, szedł do jego pokoju i tam, przymknawszy drzwi, tulił do twarzy jego poduszeczkę, wdychał miłe zapachy. Później, kiedy chłopiec zaczął świadomie reagować na otaczający świat, ojciec nie objawiał już tak burzliwie swoich uczuć. Skryty charakter wziął górę.

I oto syn jest już w ostatniej klasie. Aleksander Leontjewicz patrzy na niego i myśli: już niedługo Andriusza będzie pełnoletni... A przecież bielutka, delikatnie zarumieniona twarz chłopca wyraża coś nieokreślonego, niekształtnego, dziecięcego. Trudno powiedzieć, dokąd dąży, jaki będzie, jak potoczy się jego życie. Czegóż to w nim nie ma? Czasami pochłania go technika, któregoś dnia zaczął robić jakieś modele, ale nie skończył, znudziło mu się. Kocha książki, czasami nie można go oderwać od czytania: czyta głównie literaturę piękną. Pod tym względem również nie jest podobny do ojca. Ani do matki.

Sam Aleksander Leontjewicz już w wieku lat trzynastu wpręgnał się do pracy zarobkowej, potrafił ukończyć szkołę handlową i pomagać rodzinie. Jako szesnastolatek wybrał już swoją drogę — został wiernym żołnierzem partii bolszewickiej; wybrał ją na zawsze.

Andriusza patrzy na zamyślnego ojca, ale nie wprost, lecz jakoś z ukosa. Machinalnie wodzi palcem po obrusie (takie samo przyzwyczajenie miał Wania), podnosi i opuszcza wzrok. W spojrzeniu tym, jak i w rysach twarzy, widać także niepewność, brak zdecydowania, niejaką sprzeczność. Chłopiec żywi

do ojca i miłość, i współczucie, lecz minął już okres bezmyślnego uwielbienia.

W oczekiwaniu śniadania Aleksander Leontjewicz obraca talerz, aby padało nań światło, zdmuchuje nieobecny pyłek, przeciera dokładnie talerz serwetką. Kiedyś to właściwe Onisimo- wowi maniackalne niemal umiłowanie czystości zachwycało jego syna. Wiecznie zapracowany, oddany bez reszty pracy, stale w dzień i w nocy zajęty, jak gdyby był nie do zdarcia. Ojciec był kiedyś dla Andriuszy nieosiągalnym przykładem, nieomylnym autorytetem. Potem to uwielbienie minęło. Zastąpiło je inne, bardziej złożone, lecz niezupełnie jeszcze sprecyzowane uczucie.

12

Kiedy zachwiało się owo synowskie uwielbienie? Jak do tego doszło?

Jakieś cztery, a może nawet pięć lat temu, uczeń trzeciej klasy Andriusza podczas niedzielnego śniadania napił się kawy i nagle powiedział głośno:

— Tato, wczoraj Gołowieszka o tobie nakłamał.

— Który? — zapytała nerwowo Helena Antonowna.

To właśnie dzięki niej miano „gołowieszek” nosili wszyscy członkowie rodziny Gołowniów, nawet najstarszy z braci, Alek- siej Afanasjewicz, pierwszy zastępca Onisimowa, człowiek o wiele bardziej do przyjęcia niż skłonny do impertynencji Piotr, dyrektor Kurakowki. „Nakłamał” na temat ojca Andriuszy „gołowieszka”, z którym chłopiec bawił się na podwórku gS Loń- ka Gołownia, syn Aleksie ja.

— I cóż on takiego powiedział? ijjg zapytał Onisimow, zachowując spokój.

Okazało się, że nic specjalnego. Chłopiec opowiedział po prostu epizod, który rzeczywiście miał niedawno miejsce.

A było to tak. W ubiegłym tygodniu Onisimow, minister wal- cownictwa i odlewnictwa, pojechał ze swoim pierwszym zastępcą Gołownią-seniorem na międzyresortową konferencję do ministra komunikacji, który był jednocześnie sekretarzem KC. Przypomnijmy, że w tamtych latach, kiedy starzejący się Stalin nie spał do samego świtu — dla przeważającej grupy wyższych 52

urzędników państwowych dzień i noc w niczym się nie różniły: mechanizm rządzenia nie zatrzymywał się do samego rana. Konferencje zwoływane o dwunastej lub pierwszej w nocy były czymś powszednim. Także po północy zaczynało się posiedzenie u ministra komunikacji. Było powszechnie wiadomo, że człowiek ten lubił dużo gadać i dlatego konferencje u niego wyjątkowo się przeciągały. Wiedząc już, że nie wydostaną się stamtąd do świtu, Onisimow i Gołownia, którzy przyjeżdżali swymi samochodami, zwykle jeden z nich odsyłał: niech kierowca trochę pośpi, z tym, że drugi kierowca czekał na nich i odwoził do domu, gdyż mieszkali obok siebie, w różnych częściach wielkiego domu nad rzeką Moskwą.

Przewidywania się spełniły. Gadatliwy minister dopiero o szóstej zamknął posiedzenie, potem opowiedział bez pośpiechu coś pouczającego ze swej praktyki i dopiero wtedy ich zwolnił.

Olbrzymi kwadratowy zegar na wieży ministerialnego gmachu obok Czerwonej Bramy wskazywał już po szóstej, kiedy na ulicę wyszli hurmem klienci kolei żelaznej, najwyżsi dowódcy sztabów gospodarczych. Poranne słońce lekko przygrzewało, moskiewska wiosna przybierała na sile, poranne powietrze było świeże, z pobliskiego skweru dobiegał zapach świeżo skopanej ziemi. Miastem zawładnął już poranny ruch. Inni uczestnicy konferencji szybko się rozjechali, a nasi dwaj metalurzy rozglądali się ze zdziwieniem, czekając na chodniku. Tak się zdarzyło, że tego ranka pozostali bez samochodu. Obaj kierowcy odjechali bez uzgodnienia, który z nich dzisiaj dyżuruje.

Nie kończący się łańcuch ludzi zmierzał do budynku stojącego po przeciwnej stronie placu, nad którym widniała wielka litera „M”. Budynek był półokrągły, podobny do muszli koncertowej. Przecież to metro! Nie zastanawiając się długo, Aleksiej Afanasjewicz, który mimo bezsennej nocy miał wesołe świetliste oczy, zaproponował:

— Jedziemy metrem. Dojedziemy do „Biblioteki Lenina”, a stamtąd już tylko parę kroków do domu.

Tak więc minister ze swoim pierwszym wiceministrem ruszyli do metra.

Czy znasz, mój czytelniku, tłok panujący w moskiewskim metrze o szóstej rano? O siódmej w wielu fabrykach zaczyna się dzień pracy, ludzie spieszą do wejść. Tłum porwał naszych bo

haterów, ale nie dochodząc do kas, przystanęli. Zaraz rozległy się okrzyki: — Czemu sterczycie w przejściu?

Bezceremonialnie popychani, ponaglani okrzykami niezadowolenia stanęli z boku. Teraz, popatrując na siebie nie bez rozbawienia, zaczęli szukać pieniędzy. Życie tych ludzi układało się tak, że mogli się obejść bez gotówki. Specjalny bufet w ministerstwie, nazywany właśnie specbufetem, obsługiwał bez żadnej opłaty najwyższych urzędników ministerstwa, o czym jeszcze opowiemy w odpowiednim miejscu. Onisimow nigdy nie nadużywał tego przywileju: brał szklankę mocnej jak dziegieć herbaty i kanapkę z serem. No, jeszcze kilka paczek papierosów. I to wszystko. Tak czy inaczej współpracownicy naśladowali tę jego skromność.

Pierwszy wiceminister znalazł wreszcie trzyrubłówkę, która zawieruszyła się w kieszeni. Stanęli w kolejce i tak podeszli do kasy.

IIII Ile kosztuje bilet do „Biblioteki Lenina”? — zapytał Onisimow.

Kasjerka zerknęła na przyzwoicie ubranego pasażera:

- Wszystkie bilety są w jednej cenie, obywatelu. A ci z tyłu już tracili nerwy, popędzali.
- Dobrze. Ile więc kosztuje bilet? Kasjerka nie uwierzyła, że to poważne pytanie.

j Żarty sobie stroicie? Pięćdziesiąt kopiejek. Bilety zostały jakoś kupione. Kiedy wciskali się do wagonu, ktoś przygniół boleśnie Onisimowowi zabandażowaną nogę. Zniósł to ze stoicyzmem. On, który znał warunki pracy przy gorących piecach i dołach rozlewniczych ma się zżymać na jakieś chwilowe niewygody? Tak więc wyszczerzył tylko zęby i uśmiechnął się do swego wciśniętego w kąć towarzysza podróży, który z komiczną skruchą kiwał głową. Na stacji „Biblioteka Lenina” wysiedli z wagonu. Na drugim brzegu Moskwy wznosi się ich ponurawy dom z mnóstwem okien; dom jest otynkowany na szaro, pozbawiony jakichkolwiek ozdób — ot, dziecię lat trzydziestych. Nasi bohaterowie idą chodnikiem wśród innych przechodniów: Onisimow jak zawsze w tej samej ciemnej marynarce w paski, w koszuli z białym, wcale nie wymiętym przez noc, twardym kołnierzykiem, w zwyczajnej czapce — wypisz wymaluj punktualny solid

ny fabryczny urzędnik, który wczesnym rankiem udaje się do pracy, i pochylony, o niedźwiedziej figurze Gołownia, uśmiechający się do czegoś, może do tego słonecznego dnia, do nieoczekiwanej przygody, jaką jest ten nieoczekiwany spacer. Gołownia ma na sobie półmundurowy, porządny garnitur w kolorze khaki. Popatrując na mur kremłowski, na ogrodzony balustradą, pusty o tej porze wjazd do Bramy Borowickiej, przecinali plac kierując się w stronę Kamienego Mostu. Nagle nie wiadomo dlaczego ze wszystkich stron rozległy się milicyjne gwizdki; nie wiadomo dlaczego do naszych przypadkowych spacerowiczów biegną milicjanci, jgggf Stać! Gdzie was niesie?

Minister i jego zastępca zatrzymali się zaskoczeni.

— Jak to? Czy tędy nie wolno przechodzić?

I tym razem, jak w kasie metro, nie chciano wierzyć w ich niewiedzę.

Wyszkoleni moskiewscy milicjanci przyglądali się podejrzliwie dziwnym gwałcicielom porządku: wwąchawali się nawet, czy nie zalatuje od nich alkoholem. Nie, trzeźwi.

— Kim jesteście? Mieszkacie w Moskwie?

— Tak.

— I nie wiecie, którądy się przechodzi? Czyście pierwszy raz w życiu wyszli na ulicę?

Odpowiedzią było pełne wstydu milczenie.

— Dokumenty...

Ale żaden z nich nie miał dowodu. Klnąc w duchu, lecz zachowując jak zwykle zimną krew, Aleksander Leontjewicz podał swoją legitymację członka rządu. Milicjanci pochyłili się na mgnienie oka nad tą otwartą, oprawioną w twardą okładkę książeczką, a potem stanęli na baczność, zaszalutowali, zatrzymali ruch samochodowy na placu i z szacunkiem odprowadzili do mostu zabłąkaną parę.

O tej właśnie przygodzie dowiedział się Andriusza na podwórku od Gołowni-syna i zapytał podczas rodzinnego śniadania:

Przecież to nieprawda, tatusiu?

Na to Onisimow odrzekł krótko:

— Owszem, było coś takiego.

W domu więcej się już o tym nie mówiło. A przecież postać ojca, którego Andriusza uwielbiał bezgranicznie, jakoś zszarza

ła. Prawdopodobnie chłopiec sam nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego właśnie wówczas do jego stosunku do ojca wkradła się jakaś krytyczna nuta. Niejasna jeszcze, niewyraźna...

Teraz nadal szanował ojca, kochał go, ale... Było mu nieprzyjemnie, że ojciec siedzi obok tego obrazu w złoczonej ramie, portretu, na którym w mundurze generalissimusa stoi Stalin z rękami złożonymi na brzuchu. Andriusza obserwuje, jak ojciec wyciera talerz, usuwając jakiś ledwie widoczny, a może wcale nie istniejący pyłek. Przykre to wszystko... Któż jednak wie, czy nie zrobiłoby mu się jeszcze bardziej przykro, gdyby ojciec kazał schować ten portret, jak to już uczyniono w niektórych sąsiednich mieszkaniach. Chłopiec zaczyna rozumieć duchowy dramat swego ojca. Jego chłopięce serce dławi współczucie dla tego wychudłego mężczyzny o szarawej twarzy.

13

Siedzą więc w milczeniu, aż do jadalni wchodzi energicznym krokiem Helena Antonowna.

Jak daleko sięga Andriusza pamięcią, zawsze widział matkę zapiętą na ostatni guzik. Teraz też tak wygląda: siwawe włosy ma gładko uczesane, kołnierzyk jasnej bluzki wyłożony na klapy szarego kostiumu. Wysoka, zawsze wyprostowana, nawet w domu nosiła surowy kostium, gdyż nie uznawała tak zwanych podomek. Z jej szczupłą twarzą kłóciły się jedynie obwisłe nieco policzki — było w nich coś babskiego, świadczącego jak gdyby o tym, że tej doświadczonej działaczce, która nie miała ani jednej nagany przez trzydzieści pięć lat stażu partyjnego, znane są także troski kobiety, niepokoje matki.

Aleksander Leontjewicz także na nią patrzy. Dokładnie takie samo uczesanie, które nie zasłaniało, błękitno-różowego znamienia na skraju czoła, Helena nosiła ćwierć wieku temu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy na jakiejś konferencji w rajkowie; obnosiła się z tą fryzurą tak, jak gdyby mówiła: „Nie mam niczego do ukrycia przed partią.” Spodobało mu się to, drgnęło mu serce. Pamięta, że wtedy pomyślał sobie: „To twardy towarzysz.” Spotykali się podczas pracy partyjnej, zbliżyła ich zażarta walka przeciwko opozycji, najpierw przeciwko trockistom, potem przeciwko zinowjewowcom i wreszcie przeciwko opozycji zjed- 56

noczonej, aż pewnego dnia objawili się światu jako mąż i żona. Niestety, nie było to małżeństwo z miłości. Skojarzyła jej raczej bliskość ideowa, podobieństwo duchowe. Onisimow nie zawiódł się na swej małżonce. Dzisiaj, po wielu, wielu latach, mógłby z pełnym przekonaniem powtórzyć dawne swoje określenie: „Twardy, pewny towarzysz.”

Także dzisiejszego ranka, wbrew mnóstwu kłopotów, spowodowanych zbliżającym się odjazdem męża, Helena Antonowna nie zrezygnowała z niezmiennych niedzielnych obowiązków macierzyńskich: zajrzała do pokoju syna, sprawdziła, czy ma on porządek w szafie z bielizną, na biurku i na półce z książkami. Idąc teraz do Andriuszy i męża, by zająć czekające na nią miejsce pani domu, trzyma w ręce tom dzieł Lenina w ciemnobrązowej oprawie. Siada, kładzie książkę na stole i mówi:

— To bardzo miło, Andriusza, że zacząłeś czytać Lenina.

Helena Antonowna powiedziała „miło”, ale w jej spojrzeniu posłanym ostrożnie mężowi można zauważyć niepokój. Onisimow rozumie ją bez słowa. Mało to teraz różnych młodych frondystów, którzy rozpuścili się, bo nie czują twardej ręki i w sposób tendencyjny dobierają cytaty z Lenina? Andriej nie zostaje poinformowany o rodzicielskich obawach. Matka zabiera ze stołu brązowy tom i czyni Andriuszy wyrzuty.

— To dobrze, że interesujesz się dziełami Lenina, ale trzeba szanować książki.

— Szanować? — reaguje nieśmiało syn.

Wchodzi Waria w białym fartuszkach i świeżej białej chusteczce. Zręcznie nakłada na talerze parówki i puree z ziemniaków, po czym nikiem bezszelestnie za drzwiami. Można kontynuować rozmowę. Głos Heleny Antonowny jest wyjątkowo dźwięczny jak na jej wiek. Nawet teraz, kiedy skończyła już pięćdziesiąt lat, bywa, że na zebraniach zaskakuje obecnych siłą i czystością głosu. W przestronnym, wysokim pokoju jadalnym każde jej słowo brzmi nader wyraziście:

Rzuciłeś tę książkę na stos innych książek i prawdopodobnie zapomniałeś, że w ogóle istnieje.

Ten wałkoń zamiast odkroić nożem kawałek parówki, bierze ją do ręki, nagryza. Ojciec powstrzymuje go spojrzeniem. Macierzyńska oracja trwa nadal:

— Skoro wzięłeś ten tom z biblioteki tatusia... Powtarzam, możemy się z tego tylko cieszyć. Skoro jednak książkę przeczy

tales, to racz ją zaraz odnieść na miejsce, bo może będzie potrzebna dorosłym. Czy rozumiałeś?

Chłopiec kiwa głową. Matka zabiera się do śniadania. Ale to jeszcze nie koniec reprimendy:

— Prócz tego, jeśli chcesz coś zapamiętać, to zaprowadź zeszyt i rób notatki. Nie wolno mazać po książkach.

— Co to za notatki?

Onisimow odkłada widelec i przysuwa do siebie tom ozdobiony złotymi tłoczeniami. Jeszcze tego brakowało, aby syn zaczął coś podkreślać u Lenina. Spokój, przede wszystkim spokój!

Ostatnie wspólne śniadanie nie może się zakończyć awanturą, żona już i tak przesadziła.

Aleksander Leontjewicz pyta syna spokojnie:

— Czy pozwolisz, że spojrzę?

Chłopiec ożywia się, w jego oczach błyska przebiegłość:

— Tato, ty już wysławiasz się jak dyplomata.

Głowa Andriusza pochylona jest na bok jak u ojca (oto dziedziczna cecha). Aleksander Leontjewicz wie, że syna trzymają się takie numery: cichy, spokojny, posłuszny i nagle jak coś powie, jak wypali, jak zaskoczy celnym słówkiem. Ale on też potrafi się znaleźć.

— Dopiero teraz to zauważyłeś?

— Szczerze mówiąc — nie.

— No cóż... Nie ty jeden odkryłeś we mnie talent dyplomatyczny.

Słowa te zostały wypowiedziane wesoło. Rodzice starają się ukryć przed synem, jak ciężkie, jak gorzkie jest dla ojca odejście z poprzedniej pracy. Wypowiedziane przed chwilą przez Aleksandra Leontjewicza żartobliwe słowa także służą tego rodzaju kamuflażowi. Żona wtóruje mu w podobnym tonie, ale jej akcenty są już bardziej konkretne.

— I talent, i erudycję! Tatuś otrzymał nominację. Ma teraz do wykonania bardzo ważne zadanie.

Wytresowany Andriusza nie oponuje, nie ujawnia wątpliwości, z przyzwyczajenia jedynie kieruje w bok spojrzenie dużych szarych oczu. Aleksander Leontjewicz przysuwa książkę bliżej, otwiera okładkę i zakłada okulary.

W tym momencie dobiega z przedpokoju przygłuszony odległością dzwonek do drzwi wejściowych. Słyszać, jak Waria idzie otworzyć. Któż to być może? Nie oczekują przecież nikogo

na śniadaniu. Poczte wrzuca listonosz w szczelinę w drzwiach. Telegram? Twarz Heleny Antonownej zrobiła się czujna. Widać, że ciągle ma na coś nadzieję, być może na jakąś nagłą zmianę w losie męża. Wchodzi Waria:

To do pana, Aleksandrze Leontjewiczu, krawiec z ministerstwa. Przyniósł garnitur.

— Niech zostawi.

— Musi pan przymierzyć.

— Ech, ten znowu swoje.

— Powiedziałam mu, żeby poczekał.

— Nie, nie, dlaczego ma czekać? Niech go Waria zaprowadzi do gabinetu.

Onisimow wstaje szybko, zdejmując okulary i wychodzi ze stołowego. Syn krzyczy za nim:

: Bez ciebie, tatusiu, nie będziemy pić kawy! Prawda, mamó?

— To zrozumiałe samo przez się. Mógłbyś nie krzyczeć. Chłopiec kuli się na moment, ale kiedy Waria zabiera ekspres

do kawy, aby podgrzać jego zawartość na kuchni, uśmiecha się do siebie tylko znanych myśli i mówi cicho:

— A Żurkiewicz fastrygował już fraki dla wyjeżdżających za granicę dyplomatów...

— Jaki Żurkiewicz? Co ty wygadujesz?

— Ten, którego brali za akademika. Główny krawiec Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych. Pamiętasz, jak to było u Ilfa i Piętrowa?

Szczerze mówiąc, Helena Antonowna jest obojętna wobec Ilfa i Piętrowa.. Oczywiście, nie neguje pewnego znaczenia wychowawczego tych autorów. Sama przeglądała kiedyś ich książki. A przecież w słowach zacytowanych przez syna natychmiast wyczuła brak szacunku dla Ludowego Komisariatu, dla naczelnego krawca, i, niestety, dla dyplomatów. Zresztą, nie jest tego tak pewna. Woli więc milczeć albo, jak to się mówi, powstrzymać się od komentarzy.

14

Matka i syn siedzą w milczeniu. Niebawem do jadalni wraca Aleksander Leontjewicz. Ma na sobie mundur dyplomaty naj-

59

wyższej rangi. Sukno mysiego koloru ozdobione złotymi haftami: palmowe gałązki na klapach i gwiazdki na naramiennikach wyszyte są złotą nicią. Takie mundury dla dyplomatów zostały wprowadzone przez Stalina, który u schyłku lat ubierał w mundury resort za resortem. Onisimow wiedział, że ten haftowany strój raczej nie będzie mu potrzebny. Dyplomaci radzieccy nie pokazywali się za granicą w mundurach, a i w kraju ten relikw minionych czasów nosiło się coraz rzadziej. Nie zniesiono ich jednak. Cóż, porządek musi być. Onisimow bez zastrzeżeń oddał się w ręce krawca.

Zresztą mundur leży jak ulał. Niech go sobie Andriusza obejrzy. W innych okolicznościach Aleksander Leontjewicz nie pozwoliłby sobie na domowy pokaz tego galowego, jak z igły, uniformu, lecz teraz kierowała nim tamta ukrywana myśl: nie chciał, bardzo nie chciał, aby syn domyślił się, jaki cios dosięgnął ojca. Nic się nie stało, nie było żadnego ciosu. Po prostu otrzymał nowe odpowiedzialne stanowisko. No i popatrz, jak został wyróżniony złotymi haftami.

Chłopiec patrzy na ojca, który znów zajął miejsce obok namalowanego olejnymi farbami posiwiąłego generalissimusa, i ponownie serce ścisną mu się od nagłego współczucia; mundur jeszcze mocniej podkreśla, jak bardzo ojciec schudł, jak pożółkła jego cera.

Zgodnie z niedzielnym zwyczajem Helena Antonowna sama nalewa kawę do filiżanek. Aleksander Leontjewicz wypija łyk, znowu wkłada okulary, otwiera tom Lenina. Na początku książki jest fotografia. Władimir Iljicz chyba kogoś słucha, bo z lekka pochyla głowę do rozmówcy i mruży jedno oko. Zdjęcie jest wyjątkowo udane, żywe. Obiektyw uchwycił chwilę, kiedy na ustach Lenina pojawia się uśmiech — marszczy już nieco górną wargę. Jeszcze chwila i Lenin wypowie swoje „hm... hm...”

Od chwili kiedy Onisimow po raz pierwszy przeczytał Lenina, minęło już czterdzieści lat. Była to zniszczona broszura *Co robić?* Ani przedtem, ani potem żadna książka nie podziałała tak mocno na Onisimowa. Jasność myśli Lenina, jego pewność siebie, umiejętność przekonywania, logika podbiły piętnastoletniego Saszę. *Co robić?* Zorganizować się w partię, w zdyscyplinowaną, monolityczną organizację proletariackich rewolucjonistów — tak brzmiała odpowiedź, jaką Onisimow zapamiętał na całe życie. Jego programem, jego wiarą, stały się słowa Leni-

na, że jeśli stworzymy organizację rewolucjonistów, zmienimy wówczas Rosję! No i co, czyśmy jej nie zmienili Włodzimierzu Iljiczu? Lekko zmarszczona twarz Lenina patrzy z książki na Onisimowa, na górującego nad nim jedynowładnego generalissimusa.

Odsunąwszy się od stołu, aby nie ubrudzić munduru, Aleksander Leontjewicz kartkuje szybko książkę, szukając uwag, jakie poczynił syn. O, jakieś zdanie podkreślone ołówkiem. Ach to o tym, że marksista nie może się odrywać od życia... I dalej jeszcze jedna kreska ołówkiem. Taak. O różnicy między marksizmem i anarchizmem. Już mu lżej na sercu. Szczerze mówiąc, Aleksander Leontjewicz obawiał się, że syn, ten mały mól książkowy, zacznie tendencyjnie dobierać cytaty z Lenina, jak to czynią niektórzy dzisiejsi, rozpuszczeni bez Stalina młodzi frondyści. Obawiał się tego, bo matka tylko przerzuciła książkę. Zresztą Onisimow także w domu wyznawał zasadę, która już dawno weszła mu w krew: „jeśli komuś zaufałeś, to już po tobie”. Teraz przekonuje się naocznie, że uwagi zrobione przez syna są całkiem niewinne. A przecież kartkuje nadal i znajduje jeszcze jedną linijkę. E-e, znów nic strasznego. A dalej nie ma już ani znaku ołówka. Jest to znany sposób postępowania Andrieja: przeczytał, przeczytał i miał dosyć... W porządku, na tym koniec. Jak to się mówi — mogło być gorzej.

Wychudłe palce Aleksandra Leontjewicza sięgają do pudełka z wytłoczonym psim pyskiem, chwytają papierosa. Zapala zapałkę, zaciąga się. W tym momencie drzenie palców jest ledwie widoczne.

Jeszcze raz — teraz już z lekkim sercem — kartkuje dziesięć, dwadzieścia stronic. Tom otwiera się na złożonej w czworo wklejce — faksymile Lenina. A co to takiego? Z wklejki wyziera rożek jakiejś innej kartki. Ho-ho, Onisimow nie bez kozery zasłużył sobie u metalurgów na miano sędziego śledczego! Patrzy teraz znacząco na żonę, jak gdyby chciał powiedzieć: „A więc to tak sprawdzałaś?! | — i wyjmuje papierek. A niech to — wierszyki! Nawet bez tytułu i nazwiska autora. No tak, ale pisane bez wątpienia ręką syna. Koślawe, zupełnie dziecinne litery. No tak, Andriusza nie odziedziczył ani po ojcu, ani po matce ich wyrobionego charakteru pisma.

— Jeśli to twoja tajemnica — powiada Aleksander Leontjewicz ~ to nie będę czytać.

Syn jak zwykle rumieni się i odpowiada zawstydzony:

— To żadna tajemnica... Po prostu przepisałem wiersze dziewczyn.

— Koleżanek? A których to?

— Nie wiem... Przepisałem od jednego chłopaka.

Szare oczy Andriuszy wytrzymują badawcze ojcowskie spojrzenie. Helena Antonowna jest oburzona. A co to za zaraza: ciągle krążą teraz między dziećmi jakieś wiersze, które nigdzie nie były publikowane.

— Poniechamy dyplomacji i przeczytamy. I czyta głośno:

Nie pomyśl tylko źle o mnie, Epoko okrutna ogromnie. Przyjmę od ciebie głód z odwagą,
Mogę przez ciebie chodzić nago...

Helena Antonowna nie wytrzymuje:

— Dlaczego nago? Jaki znów głód? Co to za brednie? Aleksander Leontjewicz powstrzymuje żonę gestem ręki i dalej czyta głośno:

Zaakceptuję wszystko chętnie, Zrozumiem lepiej niż ty sama, Lecz niech powróci do mnie skrzętnie Wiara po trzykroć mi zabrana. O tak niewiele proszę ciebie, Oddaję życie — chcę szczerości, Ale ty milczysz, patrząc w siebie, Wszystkowiedząca współczesności.

— Dość tego! — przerywa Helena Antonowna i zwraca się do Andriuszy: — Jaką to znowu wiarę zabrano tobie, czternastolatkowi? Czy możesz mi to wytłumaczyć?

— Przecież to nie on pisał te wiersze — wtrąca ojciec.

— To niech nie przepisuje od innych takich głupstw! Zapada milczenie. Aleksander Leontjewicz powtarza bezgłośnie:

Oddaję życie — chcę szczerości.

Nie, nie potrafi, nie może być szczerym. Oduczył się tego dawno, dawno temu. Być może należałoby teraz powiedzieć synowi 62

delikatnie i serdecznie: „Twój ojciec był i jest nadal żołnierzem swojej partii, a żołnierz myśli o walce, nie o przebiegu całej wojny. O wojnie myślą inni...”

Ale nie pozwala sobie na takie wyznanie. Podchodzi do syna, głaszcze jego miękkie jasne włosy (ta czułość też nie przychodzi mu łatwo) i mówi:

— Nie patrz na świat o tak... — Opuszcza wzrok w dół i przykładą do skroni dłoń, udając końskie okulary. — Trzeba patrzeć o tak...

Duża głowa ojca jest teraz uniesiona, dłonie osłaniają czoło, zielonkawe oczy lustrują horyzont. Bywało, że w fabrykach i podczas rozmów z kierownikami wydziałów, z dyrektorami, Onisimow tak samo pokazywał, jakie winno być spojrzenie każdego robotnika.

Udzielwszy synowi powyższej rady, Aleksander Leontjewicz wkłada do kieszeni haftowanego złotem munduru pudełko papierosów „Drug” i z tomem Lenina w ręku wychodzi z jadalni.

Między oknami wisi na ścianie skromnie oprawione zdjęcie Stalina i Ordżonikidzego. Onisimow nieruchomieje na chwilę przed fotografią.

Nieoczekiwanie przypominają mu się słowa:

Nie pomyśl tylko źle o mnie, Epoko okrutna ogromnie.

15

Samolot, na którego pokładzie Onisimow wraz z towarzyszącymi mu kilkoma współpracownikami miał się oderwać od moskiewskiej ziemi, odlatywał o szóstej rano. W owe listopadowe dni 1956 roku w Moskwie po pierwszym śniegu zapanowała jesienna ślota. Po czarnym, błyszczącym wśród pól asfalcie samochód Onisimowa, rozbryzgując kałuże, jechał na lotnisko.

Żona i syn siedzieli z tyłu. Niewyspany Andriusza, którego Waria obudziła nad ranem, wtulił się skulony w miękkie obicia. Helena Antonowna była rześka, jak zawsze. Martwiła ją trochę myśl o tym, jak odbędzie się pożegnanie. Będzie przykro, jeśli przyjdzie tylko niewiele ludzi. Jeszcze wczoraj przepowiadała, że Sieriebriannikow będzie ostrożny i nie pokaże się na lotnis

ku. Miałaby teraz ochotę podzielić się głośno kilkoma przypuszczeniami, ale w obecności kierowcy wołała milczeć.

Ukazał się już jasno oświetlony budynek lotniska. Samochód, dotarł tu dokładnie na pół godziny przed odlotem. Cała trójka — na przedzie Onisimow w ciemnym miękkim kapeluszu, w niezwykle modnej jesionce, a za nim postawna, skromnie ubrana Helena Antonowna w czapeczce z szarych karakułów i blady Andriusza, mrużący oczy przed światłem — ruszyła do szerokiego przedsionka. W tym momencie otoczyli ich odprowadzający, którzy nie wiadomo skąd się nagle wzięli. W sali odlotów czekało jeszcze kilku dawnych kolegów Onisimowa. Wszyscy razem poszli teraz do specjalnego salonu dla rządu i deputowanych do Rady Najwyższej ZSRR. I od razu zrobiło się tu tłoczno. Ponad pięćdziesiąt osób zebrało się o tak wczesnej, niewygodnej godzinie, aby pożegnać Onisimowa.

Wszyscy byli ubrani niemal jednakowo i niemal wszyscy nosili miękkie ciemne kapelusze jak Onisimow. Andriusza, który wreszcie pozbył się senności, rozglądał się dokoła z zaciekawieniem. Niektórych z obecnych znał osobiście, gdyż czasami spotykał ich w niedzielę w podmoskiewskim lotnisku, gdzie jedną z dacz zajmowali Onisimowowie. Oto sąsiad zza płotu, o siwych wąsach, z nadszarpniętym zdrowiem, o czym świadczyła skóra posiekana zmarszczkami, minister budowy silników Siemionow, który ramię w ramię z Onisimowem odwalił trzydzieści lat w przemyśle. A tam stoi zastępca Onisimowa, który przejął od niego komitet; ma grube wargi, ciężki, wygolony do połysku podbródek i posturę herosa.

Wszyscy obecni różnią się niby między sobą, a przecież łączy ich coś wspólnego. To podobieństwo nie sprowadza się, rzecz jasna, tylko do kapeluszy. Tak, zebrał się tutaj ludzie, którzy ciężko pracują, wręcz tyrają. I w minionych czasach, i teraz uginają się pod ciężarem, jaki im przypadł w udziale, z dumą niosą swój sztandar z napisem: kadry kierownictwa gospodarki. W gazetach nazywano ich także bojownikami o wykonanie dyrektyw. Onisimow nie używał zresztą takiego stylu, wołał lakoniczne określenie: „żołnierz partii”, o czym czytelnik zdążył się już dowiedzieć. Autor pragnie uniknąć banałów, wszelako musi powtórzyć tutaj obiegową prawdę, że takich ludzi historia jeszcze nie widziała. Epoka wpoila im pierwszy z obowiązków

żołnierza: wykonać! Ich dewizą, ich wiarą stała się zasada zawodowego żołnierza: rozkaz i żadnym dyskusji!

Słuchy o nadciągających zmianach, o zniesieniu dawnych zasad bezwzględnie scentralizowanego zarządzania, o likwidacji ministerstw, zarządzających różnorodnymi gałęziami gospodarki, o oddolnej inicjatywie terenowej, ludzie ci przyjmowali niechętnie i raczej z niedowierzaniem. Różne rzeczy już się widziało, może i to rozejdzie się po kościach. Owszem, dymisja Onisimowa była jawną oznaką, że nadciąga coś, z czym nie ma żartów, a jednak jego doświadczeni koledzy doszli do następującego wniosku: no, Aleksander Leontjewicz trafił pod młot, ale my przeczekamy, wszystko się ułoży.

Przyszli więc pożegnać Aleksandra Leontjewicza, bo czyż nie był on człowiekiem wzorowym, najlepszym spośród nich? Niemal wszyscy zebrani teraz w salonie recepcyjnym tak czy inaczej wyszli spod jego ręki. Co prawda, niektórzy z nich woleli się nie pokazywać. Przypuszczenia żony co do Sieriebriannikowa okazały się, jak widać, słuszne. Nie zamierzając udawać się za granicę ze swoim dawnym szefem, nie raczył się też pokazać na lotnisku.

Oto minister stali siłacz Cichonia. Też przyjechał, aby uścisnąć na pożegnanie dłoń Onisimowa. Rumieniec na policzkach i wydatna górna warga nadawały mu wygląd prostaka. Onisimow uśmiechnął się do niego:

— Witaj!

— Witajcie — odpowiedział rumiany minister.

Już od dawna zwracali się tak do siebie: jeden na ty, drugi na wy.

■r— Będę cię teraz obserwował z oddali. I nie myśl, że nie zadzwonię, jeśli się dowiem, że nie wykonujesz planu.

— Wolałbym, Aleksandrze Leontjewiczu, abyście zadzwonili, kiedy plan wykonam.

Cichonia nigdy chyba nie zapomniał pierwszej lekcji, jaką otrzymał niegdyś od Aleksandra Leontjewicza.

W 1940 roku Onisimow został ludowym komisarzem odlewnictwa i walcowania stali. Wzywał do siebie kolejno szefów zarządów głównych i przez długie wieczory i noce analizował z nimi drobiazgowo pracę różnych gałęzi przemysłu stalowego. Cichonia musiał poczekać na swoją kolej. W tym okresie kierował Główną Główną. Głupkowaty z wyglądu, niefrasobliwy, a

przecież pełen energii, spostrzegawczy, obdarzony dobrą pamięcią, sprytem, spokojnie czekał na wezwanie do nowego narkoma. Wszystkie fabryki zjednoczone w Główny Zarząd wykonywały plan. Za ostatni kwartał Komitet Główny wykonał 102% zadań. Kiedy narkom, który zasłynął już jako surowy szef, zaprosił wreszcie Cichonię, ten, pewny siebie, poszedł do niego całkiem spokojny. Przywitał się, skorzystał z krótkiego „siadajcie” i spokojnie jął kontemplować ładnego kształtu, jakby beznamietne oczy i klasyczny, prosty nos swego nowego szefa.

— Możecie zaczynać — powiedział narkom.

Raport Cichonia nie był długi, osiągnięcia komitetu nie wymagały obszernych komentarzy.

— W takim razie proszę o dane dotyczące zakładów. ,

Cichonia wymienił podległe mu fabryki, wymienił cyfry.

Wszędzie panował porządek.

— Dobrze. A jak się mają sprawy w wydziałach?

Okazało się, że niektóre wydziały zostają w tyle.

— Dlaczego? — zapytał Onisimow.

Cichonia był nieco stremowany. Niezbyt dokładnie znał sytuację w wydziałach. Niemniej jednak w ciągu jakichś półtorej— dwóch godzin sprawa wydziałów została mniej więcej wyjaśniona. Cichonia przypuszczał, że rozmowa się na tym zakończy. A jednak Onisimow rzekł nieubłaganie: '. A teraz sytuacja pieców.

Jgg Pieców?

Tak. A potem porozmawiamy o walcarkach.

— Ale... chodzi o to... Nie znam danych. Nie posiadam takich informacji.

— Nie znacie? To co wy tutaj robicie? Czemu ze mną siedzicie? Za co wam płacą?

Szef komitetu, który jeszcze przed chwilą był tak z siebie zadowolony, zbierał bezlitosnie ciężki. Jego okrągłe policzki nie były już rumiane, ale purpurowe. Onisimow kontynuował przesłuchanie — egzamin.

— Jak przebiega rekonstrukcja Zadnieprowskiej Wytwórni Rur? Mieściecie się w grafiku?

— Tak. Martwi mnie jednak fakt, że są opóźnienia w dostawach pewnych urządzeń.

— Jakich?

Cichonia udzielił precyzyjnej odpowiedzi.

— Pokażcie mi grafik dostaw urządzeń.

— Znam go na pamięć, towarzyszu komisarzu.

— Na pamięć?—powtórzył przeciągle Onisimow. — Jaki jest termin uruchomienia eksploatacji?

Cichonia wymienił termin.

— Gdzie ta data została zadekretowana?

— W dekreście Rady Komisarzy Ludowych z 12 maja 1938 roku.

— Nieprawda.

Cichonię oblał pot. Jak to nieprawda? Pamiętał dokładnie tę datę.

. gsp Nie myślę się, towarzyszu komisarzu ludowy: dekret z 12 maja.

— Nieprawda — powtórzył Onisimow.

Jego wygolona górna warga uniosła się. Bezlitosny uśmiech odsłonił mocne białe zęby.

— Nieprawda — powiedział po raz trzeci. — To nie był dekret, lecz rozporządzenie. Jak widzicie, pamięć was zawiodła.

Onisimow jeszcze nie raz musztrował i szkolił szefa Gławtru- bostali. Wojna ponownie przeegzaminowała Cichonię, jak każdego innego. Spod nosa Niemców wywieziona została unikatowa Zadnieprowska Fabryka Rur. Cichonia pozostał na miejscu ewakuacji tak długo, dopóki nie załadowano ostatniego składu wagonów, i odjechał razem z transportem. Lufy do granatników, rurki o minimalnych przekrojach dla lotnictwa, potężne przewody rurowe dla fabryk budowlanych na Wschodzie — wszystko to dostarczały bez przerwy fabryki Gławtrubostali, którymi nadal zarządzał Cichonia. Pod koniec wojny, tuż po Tewosjanie i Onisimowie, odznaczony został gwiazdą Bohatera. Kiedy Onisimow przechodził do Komitetu, przekazał Cichoni swój fotel ministra. Byli, co prawda, nie mniej godni tego kandydaci, a jednak Cichonia, który nadal we wszystkich krytycznych sytuacjach zachowywał się jak prostaczek, jak pocziwiec, był najpewniejszy, bo w każdej kwestii słuchał szefa Komitetu. A Onisimow nie znosił sprzeciwu i, zdaje się, była to jego słabość. A zresztą całkiem możliwe, że była to cecha tych czasów: sam nigdy nie sprzeciwiał się temu, kogo musiał słuchać, ale wybuchał, przerywał, jeśli ktoś z jego podwładnych próbował mieć swoje zdanie. W młodości — a przecież został szefem głównego Komitetu, gdy miał lat trzydzieści — Onisi-

mów jeszcze umiał słuchać i akceptować zdanie odrębne, potem jednak przestał tolerować ludzi, którzy się z nim nie zgadzali. „Rób, co ci każe, a nie to, o czym myślisz” — powtarzał często. Jedynym, kto miał prawo sprzeciwiać się Onisimowo-? wi, był niegdyś Aleksiej Gołownia — jego pierwszy zastępca. Mimo to, kiedy dziesięć lat temu Onisimow przeniósł się do nowej rezydencji — do gmachu Rady Ministrów Ijj pozostawił na swoim stanowisku Cichonię. Nadal jednak wniknął w szczegóły, w subtelności ciągłej produkcji metalurgicznej, równie operatywnie jak i przedtem zarządzał przemysłem stalowym. Była to jego pasja.

Jeszcze przez chwilę Cichonia i Onisimow patrzą na siebie wspominając dawne czasy. A jaka będzie przyszłość? Kto wie, może znów będą pracować razem?

16

Andriusza stoi obok ojca i koniuszkami palców przesuwając delikatnie po meszku jego płaszcz. Ten nieco dziki, nad wiek rozwinięty chłopiec przygląda się z boku zebranym dygnitarzom ministerialnym, szefom i pracownikom sztabów przemysłowych. O nie, on kimś takim nie zostanie, wcale go do tego nie ciągnie. Widzi jednak z synowską dumą, jak ci ludzie szanują zasługi jego ojca.

Do obszernego, ale wypełnionego już salonu, wchodzi ciągle ludzie, którzy przyjechali tutaj z odległej o czterdzieści kilometrów Moskwy, aby wymienić ukłon i uścisk dłoni z Aleksandrem Leontjewiczem, aby odprowadzić go do samolotu.

Chłopiec dostrzega zadowolenie na pełnej, zarumienionej twarzy matki. Helena Antonowna uprzejmie kiwa głową wchodzącym. Przyszło wielu przyjaciół, a jak nie przyjaciół, to towarzyszy męża, współbojowników z armii przemysłu, aby okazać mu swój szacunek.

Andriusza zwraca uwagę, że matka znów kiwa głową, odpowiadając uprzejmie na czyjś ukłon. Również Aleksander Leontjewicz zerknął w tamtą stronę. Jego twarz nie wyraża nic, choć przecież widzi, że przyszedł Sieriebriannikow, aby się z nim pożegnać. Zechciał się jednak pofatygować.

Sieriebriannikow, nie potrącając nikogo, przepycha się grze

cznie do Onisimowa, a w jego niebieskich, nieco wypukłych oczach widać szacunek.

Aleksander Leontjewicz natychmiast interpretuje przybycie Sieriebriannikowa: czy nie oznacza ono czasem, że niewidoczna strzałka niewidocznego barometru wskazuje na „zmianę”? I wita się sucho ze swoim byłym najbliższym współpracownikiem. Sieriebriannikow odchodzi z godnością i staje kilka kroków od rodziny Onisimowów. Każdy może zobaczyć, że spełnia swój obowiązek — żegna Aleksandra Leontjewicza.

Onisimow kładzie dłoń na ramieniu Andriuszy. Chłopiec jest wzruszony tym miłym, powściągliwym gestem i przytula na chwilę policzek do rękawa ojcowskiego płaszcza. Andriusza nawet nie podejrzewa, że trzynaście lat temu, gdy miał niespełna roczek, stał się pośrednim niejako uczestnikiem pewnego wydarzenia, po którym jego ojciec wywyższył, przybliżył do siebie Sieriebriannikowa.

Przypomnijmy tę historię, bo przecież tak czy inaczej musi się znaleźć dla niej miejsce w naszej powieści.

...Mamy więc rok 1943. Na pierwszym piętrze narkomatu, piętrze niedostępnym dla szeregowych pracowników ^ gdzie urzędował komisarz ludowy, jego zastępcy i członkowie kolegium, urządzono bezpłatny nocny bufet. Jak wiadomo, w owym surowym wojennym okresie żywność była tylko na kartki. Jednak pracownicy narkomatu, którzy siedzieli tu po nocach, mogli skorzystać z tego specjalnego bufetu, wypić szklankę herbaty lub kawy, zjeść parę kanapek. To dodatkowe wyżywienie nie było normowane, lecz Onisimow dawał przykład umiarkowania. Za każdym razem, kiedy dzięki staraniom szefa gospodarczego Filipowskiego, człowieka posiadającego różne znajomości, znającego, jak to się mówi, całą Moskwę, kiedy więc dzięki jego staraniom trafiały do bufetu jabłka lub kawior albo nawet wędzony jesiotr, Onisimow bez żadnej dyskusji kazał odsyłać te smakołyki do przedszkola. Sam ograniczał się zawsze do herbaty i jednej kanapki. Brał tylko trochę papierosów.

Pewnego razu, gdy tuż przed świtem szedł korytarzem do swego gabinetu, zwrócił uwagę na młodego referenta, solidnego Sieriebriannikowa, który wychodził akurat z drzwi bufetu. Onisimow miał wrażenie, że referent przestraszył się i stanął w progu, ustępując z szacunkiem miejsca komisarzowi. Wścibskie

oko Aleksandra Leontjewicza zarejestrowało, że referent chował rękę za siebie.

— Pokaż, co ty tam masz?

Sieriebriannikow wykonał polecenie. Na jego dłoni leżał spory sześcian zawinięty dokładnie w pergamin.

jtr-r Co to takiego?

— Masło.

W tych czasach Onisimow nie powstrzymywał już swojej wybuchowości i krzyknął z gniewem:

— Jak śmieliście?

W tym „wy” krył się jego wyrok. Wszystkim było wiadomo, że Onisimow gotów był wiele wybaczyć, ale nie tolerował nieuczciwości, podłości. Sieriebriannikow spuścił oczy, milczał.

— Proszę, na co was stać!

W bufecie zapanowała martwa cisza. Wszyscy obecni nastawili uszu. Referent nadal milczał.

— Chodźcie ze mną — rozkazał komisarz.

I nie oglądając się za siebie ruszył szybkim krokiem do gabinetu. Czekali tam już na niego Aleksiej Gołownia i dwóch dyrektorów fabryk. Zachowując pozorny spokój, do gabinetu wszedł także referent ze swoją nieszczęsną paczuszką.

— Połóżcie to na stole — powiedział Onisimow.

Sieriebriannikow wykonał polecenie. Onisimow zapalił papierosa. Dygotał z oburzenia.

— Jak wam nie wstyd wykorzystywać swoją pozycję gwoli tego kawałka masła!

Sieriebriannikow milczał. To uparte milczenie jeszcze bardziej rozjątrzyło Onisimowa.

— Co was skłoniło do takiej podłości?

— Mogę wam to wyznać jedynie w cztery oczy — odezwał się wreszcie Sieriebriannikow.

— Nie chcę mieć z wami żadnych tajemnic. Mówcie teraz!

Sieriebriannikow pokręcił tylko łysą głową.

— Precz! — wrzasnął Onisimow. — Jeszcze dzisiaj zostaniecie zwolnieni z pracy jako człowiek niktzemny.

Nie próbując się nawet bronić, referent opuścił gabinet, odprowadzany lodowatym wzrokiem komisarza.

Mniej więcej po godzinie Onisimow zakończył rozmowę z dyrektorami, zwolnił także Gołownię. Zaraz potem podniósł słu

chawkę telefonu wewnętrznego, aby wezwać do siebie naczelnika wydziału kadr. Należało natychmiast — a Onisimow nie rzucał słów na wiatr sformułować i podpisać zarządzenie o zwolnieniu Sieriebriannikowa z narkomatu, jako drobnego, be- zecnego kombinatora.

Przypomniawszy sobie jednak słowa referenta: „Mogę wam to wyznaczyć jedynie w cztery oczy.” A niech tam — pomyślał — wysłucham go, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Tak więc miękki referent stoi znów w gabinecie narkoma. Są sami. Nieco już rozmiękła kostka w pergaminowym żółtawym papierze leży nadal na stole.

— No, mogę was wysłuchać. Wątpię jednak, abyście znaleźli usprawiedliwienie dla swojej podłości.

Sieriebriannikow mówi cicho:

Dzwoniła do mnie wasza żona, prosiła, żebym wziął masło dla waszego syna. ;(

Teraz milknij Onisimow.

— Możesz odejść — mówi wreszcie. — I nigdy więcej tak nie rób.

Sieriebriannikow kłania się i odwraca, chcąc odejść, lecz narkom jeszcze go zatrzymuje.

Zabierz to mówi wskazując na paczuszkę i oddaj w bufecie.

Tak właśnie postąpił Onisimow. Bardzo kochał swego An- driuszę, kiedy wracał do domu, całował jego drobne ciało, tulił do twarzy poduszeczkę syna, jego koszulkę, lecz nigdy nie wziąłby dla niego z bufetu nawet kawałeczka masła.

W dwa miesiące później Onisimow mianował tego referenta kierownikiem swego sekretariatu. Oprócz innych zalet, Sieriebriannikow spełniał także wymóg, który Aleksander Leontjewicz nieraz z całą surowością podkreślał: pracownicy aparatu nie powinni być gadatliwi. Później narkom tak bardzo przywiązał się do Sieriebriannikowa, że pewnego razu pozwolił sobie w jego obecności na replikę pod adresem (czytelnik zechce mi wybaczyć ten kancelaryjny zwrot) |fj pod adresem swej żony Hele- , ny Antonowny.

Pewnego razu, jeszcze w tych czasach, kiedy dzień pracy Onisimowa kończył się dopiero o czwartej, piątej rano, Helena Antonowna zatelefonowała do niego po północy.

Ograniczywszy

się w rozmowie do kilku jednosylabowych odpowiedzi, Onisimow odłożył słuchawkę, spojrzął na stojącego z dokumentami solennego Sieriebriannikowa i rzekł:

— Dzielna niewiasta. Zasiadła się w pracy aż do tej pory.

Pozwolił sobie na taką właśnie ironię, ale tylko ten jeden jedyny raz. Nikt już więcej takich żartów nie usłyszał.

...Niemal w ostatniej chwili do salonu recepcyjnego wchodzi bystrooki, opalony, roześmiany Małyszew i czarnowłosa, szczerzący w uśmiechu zęby Tewosjan — dwaj wicepremierzy Rady Ministrów ZSRR. Zresztą, co się tyczy Tewosjana, to słyhać od pewnego czasu, że zmiany, jakie się rozpoczęły, dotkną także jego. Prawdopodobnie też zostanie wysłany za granicę. Wymieniano już nawet, jaka misja zostanie mu powierzona: będzie ambasadorem w Japonii. A przecież, chociaż jego pozycja była zdecydowanie niepewna, przyjechał pożegnać dawnego towarzysza. Ucisnął bez słów dłoń Onisimowa.

Poprzedzani przez stewardesę ubraną w elegancki, uszyty na miarę ciemnoniebieski uniform linii lotniczych, wszyscy — Onisimow, jego najbliżsi, kilku odlatujących z nim pracowników ambasady i tłum odprowadzających — przechodzą przez specjalne wejście i krocą w porannej mgle przez oświetlony reflektorami pas startowy do bielejącego nieopodal długiego, zgrabnego Tu-104, wspartego na rozstawionych cienkich nogach.

Drogę przecina ostrożnie jadąca cysterna, co zmusza ich do zatrzymania się na chwilę. Onisimow spogląda za siebie. Także w tamtą stronę, na łańcuch odprowadzających patrzy Helena Antonowna. Małżonkowie rozumieją się bez słów. To pożegnanie przybrało postać swego rodzaju małej demonstracji. Można ją nazwać (i na pewno tak zostanie nazwana!) demonstracją solidarności. Bojownicy o wykonywanie dyrektyw, wytrawni działacze państwowi postanowili pożegnać zdjętego, usuniętego Onisimowa i przejść razem z nim jeśli nie w kolumnie, to przynajmniej w grupie przez lotnisko. Oczywiście w najmniejszym stopniu nie zostały przekroczone granice tego, co dozwolone. A przecież... Drgają, wazą się jeszcze szale historii. Może burza przejdzie bokiem, wszystko wróci do normy, a Onisimow znów zostanie powołany do przemysłu.

Droga wolna — idą dalej. A oto schodki prowadzące do wnętrza samolotu. Tam odprowadzający nie zostaną już wpuszczeni

ni. Onisimow macha do wszystkich obiema rękami, a potem mówi do syna:

— No, Andriuszka, do zobaczenia.

— Będę ci przysyłać książki, tatusiu. Wszystkie najciekawsze nowości.

-w- Wszystkie nie są mi potrzebne, ale niektóre wysyłaj.

— Chcesz, to będę wybierał najlepsze prace z historii powszechnej? I przestudujesz tam sobie historię.

— W porządku. A o najnowszych wydarzeniach pisz mi w listach, dobrze?

Andriusza wspina się nagle na palce, zbliża usta do ucha ojca i z figlarnym uśmiechem mówi prawie szeptem:

— Historii najnowszej nie wyróżnęły się jeszcze ząbki.

Aleksander Leontjewicz nie pierwszy już raz patrzy ze zdziwieniem na swego chudziutkiego synka. Taki niby cichutki, ale czasami palnie coś takiego, że aż człowieka zatyka. Czyżby ten jasnowłosy chłopiec z zadartym nosem wszystko już rozumiał?

Ktoś z obsługi uprzejmie prosi Onisimowa, żeby zechciał zająć miejsce w samolocie. Cmoka więc żonę w policzek, całuje syna, znowu macha obiema rękami do wszystkich, którzy przyjechali tu dla niego, wchodzi po schodkach i odwróciwszy się raz jeszcze, znika w kabinie samolotu.

Kilka minut trwa przyjmowanie pasażerów, którzy wchodzi i wchodzi po schodkach.

Odsunięto schodki, zamknięto drzwi. Tu-104 rusza ciężko przed siebie, kołując na pas startowy. Niebawem na niebie ukazuje się ognisty ogon: dwie dysze zrobione ze specjalnej żaroodpornej stali wyrzucają strumienie rozpalonych gazów. To jest ta sama stal, dla której Onisimow, przewodniczący Komitetu do Spraw Paliw i Metalurgii, tkwił kiedyś całymi dniami na pomoście roboczym pieca w hucie „Elektro- mietał”. Ostatnie ogniste rozbłyski zniknęły na wysokościach. Samolot oddalał się wyznaczonym kursem.

17

A teraz kilka zaledwie słów o tym, jak wyglądało nowe życie i dzień pracy Onisimowa.

Obojętny na wygody, mieszkał sam w pustym trzypokojowym mieszkaniu, wyposażonym w eleganckie nowe meble. Niczego

nie kazał zmieniać, nie przestawił ani jednego mebla. Położone na pierwszym piętrze ambasady mieszkanie połączone było drzwiami z gabinetem, który w ten sposób tworzył jak gdyby czwarty pokój w mieszkaniu ambasadora, będąc jednocześnie pomieszczeniem służbowym. Olbrzymi portret olejny Stalina pysznił się nad biurkiem — lśniły gwiazdy na piersi i naramiennikach, lśniły buty, a złożone na brzuchu ręce podkreślały dostojeństwo sportretowanego. Upłynął już ponad rok od XX Zjazdu, na którym zdemaskowano nieboszczyka, lecz jego popiersie i portrety, umieszczane obowiązkowo w każdej radzieckiej wsi, w każdym biurze, były na razie nietykalne. Jak przypuszczał Onisimow, któremu nie były obce tajemnice partyjne i państwowe, na górze trwała walka ukrywana przed niewtajemniczonymi. I znów, jak podczas odlotu z Moskwy, Onisimow miał wrażenie, że szale historii zawahały się i zamarły w bezruchu. Zamarły, lecz nie na długo. Takie właśnie odczucia towarzyszyły mu podczas tamtych miesięcy.

Punkt dziewiąta, ale już nie według czasu moskiewskiego, lecz tamtejszego, środkowoeuropejskiego, wkraczał do gabinetu. Także tutaj, na placówce, Aleksander Leontjewicz nosił czarną marynarkę w dyskretne prążki, ale już nową, modnie skrojoną, białośnieżną koszulę i skromny szary krawat. Tylko na przyjęcia, gwoli etykietce, ubierał się w uszyty także w Moskwie smoking. Zachował też przywiązanie do papierosów „Drug”. W listach do domu nigdy o nic nie prosił, jedynie o to, by przysłano mu papierosy „Drug”. Zagłuszając dręczące uczucie (którego Onisimow nigdy nie nazywał nostalgią) wypalał dwie—trzy paczki dziennie. Były dni, kiedy z braku moskiewskich papierosów zmuszony był sięgać po amerykańskie „Camele” lub „Chesterfieldy”. Zdarzało się, że wtedy kaszel przybierał na sile, stawał się jakiś szczekający, wyteżony, a on tłumaczył to zmianą tytoniu.

Tak więc punkt dziewiąta wkraczał do gabinetu, zasiadał w fotelu i zakładał okulary. W tym momencie kierat roboczego dnia zaczynał się od razu mocno kręcić, nabierając pełnego biegu. Najpierw poczta. Potem prasa. Pomędzy pracowników ambasady — znawców północnej Europy — rozdzielone zostały wszystkie bardziej lub mniej ważne gazety, ukazujące się w Ti-szlandii i w krajach ościennych. Młodzi pomocnicy przedstawiali Onisimowowi kolejno treść dzienników, referowali prasę 74

bieżącą. Niektóre ważne artykuły tłumaczyli w całości na poczekaniu. Niecierpliwy jak zawsze, marszczył się nerwowo, jeśli pracownik jąkał się, przerywał szukając słów. Niestety, nerwowość Aleksandra Leontjewicza teraz nawet się wzmogła: jakiś wewnętrzny niepokój — umiejscowiony gdzieś w żyłach, we krwi — nie dawał mu spokoju, skłaniał do wybuchu, do krzyku. Powstrzymywał się i tylko drżenie jego drobnej dłoni stawało się wyraźniejsze.

Na prasę poświęcał dwie-trzy godziny, a potem brał się do przygotowań do kolejnego bankietu. Nikt z gości zaproszonych do ambasady radzieckiej nie powinien się nudzić, trzeba każdego poznać, okazać mu zainteresowanie, podtrzymać rozmowę. Na przykład ten ekonomista... Kto przeczytał jego prace? Dlaczego jeszcze tego nie zrobiono? Musimy znać prace, przemówienia, życiorysy tych wszystkich, którzy zostali zaproszeni na nasze przyjęcie. Swoim dwóm radcom Makiejewowi i Nowiko- wowi, inżynierom metalurgom, którzy przyjechali z nim z Moskwy, a przedtem ponad dziesięć lat przepracowali w jego sekretariacie i przywykli do jego wymagań, Aleksander Leontjewicz mawiał:

■— Bankiety to nasza praca.

Jednakże obowiązków, które sam sobie stwarzał i do których wykonywania przystępował z właściwym mu entuzjazmem, starczało tylko do obiadu. A co dalej? Czym wypełnić dzień? Zmuszał się do bywania na wystawach, w muzeach, do zwiedzania stołecznych osobliwości. A przecież pozostawał jeszcze wieczór. Jako radziecki ambasador był często zapraszany na przyjęcia. Zakładał więc smoking i jechał na wieczorną harówkę. Zresztą traktował to poważnie: podtrzymywał stare lub zawierał nowe znajomości, uśmiechał się uprzejmie, ukazując swe ładne zęby, umiał być miły, potrafił zażartować. Trzeba też było wychylić jeden-drugi kieliszek. Nie mógł się przecież wymawiać, kiedy wznoszono toast za zdrowie króla lub królowej.

Aleksander Leontjewicz wręcz nie znosił alkoholu. Po bankietach wstawał rano całkiem rozbity i był zmęczony w ciągu dnia, co mu się przedtem nie zdarzało.

Mimo to wiele wieczorów miał wolnych. W swoim mieszkaniu, nieprzytulnym jak hotelowy apartament, wyciągał przeczytane już moskiewskie gazety (dostawał je na trzeci dzień), szeleścił stronicami „Prawdy”, wczytywał się nawet w drobne

notatki, czegoś szukał między wierszami, uciekał myślą do Moskwy.

Czasami telefonował do Makiejewa:

— Wpadnij do mnie. Zagramy w szachy.

Do szachów poczuł skłonność jeszcze w latach chłopięcych; okazało się, że ma zdolności, a może nawet talent do tych potyczek na sześćdziesięciu czterech polach. Ale i wówczas nie miał zbyt wiele czasu na grę, a później tym bardziej. I tylko kiedy jechał z grupą współpracowników do fabryk na wschodzie lub na południu, mógł w wagonie się oddać ulubionej rozrywce i spędzał dwie lub trzy godziny przy szachownicy. Ostrożnie atakował, bronił się zawzięcie i był bardzo zdziwiony, jeśli zdarzyło mu się przegrać. W duchu złościł się na to i chociaż usiłował panować nad sobą, tracił humor; mógł nawet ni stąd, ni zowąd wybuchnąć. Makiejew był jego stałym partnerem.

W tchnącym powagą przestronnym salonie, pod żyrandolem, który dawał zimne jasne światło, rozstawiali figury na szachownicy. Zdarzało się, że zazwyczaj szybki, precyzyjnie myślący Onisimow zapadał podczas gry w zamyślenie. Makiejew zerkał dyskretnie na swego partnera i stwierdzał, że wcale nie zastanawia się on nad kolejnym ruchem, lecz patrzy gdzieś w dal. Po chwili Aleksander Leontjewicz przychodził do siebie i grał dalej, ale już bez zapału, bez właściwej mu agresywności. Zaniepokojony otepieniem Aleksandra Leontjewicza, oddany mu radca rozwijał ryzykowny atak, zagrażał przeciwnikowi, by skonstatować z ulgą, że Onisimow wraca do normy, broni się, zadaje odwetowe ciosy.

Ale potem znów nadchodziły momenty, kiedy Aleksander Leontjewicz przestawał być obecny. W Moskwie Makiejew nie widywał Onisimowa w takim stanie. A może szef jest chory?

Nie wypadało jednak pytać wprost, gdyż Onisimow nie lubił, gdy interesowano się jego zdrowiem. Czasami przy partii szachów zagadywał o sprawy moskiewskie, pytał o Komitet, ożywiał się, wspominał, jak to użerał się w Gosplanem o środki inwestycyjne na rozwój przemysłu wydobywczego. Zdarzało się też, że jak gdyby z kimś polemizował, dowodził celowości budowy kombinatu metalurgicznego nad Szeksną. Makiejew odnosił wrażenie, że były minister, były przewodniczący Komitetu, tutaj na obczyźnie odrzuca czyjeś oskarżenia, usiłuje wytłumaczyć się chociażby przed nim — partnerem do szachów, skrom

nym podwładnym. Bywało, że Aleksander Leontjewicz zaczynał głośno rozmyślać o przygotowywanej reformie zarządzania przemysłem i, jak gdyby znowu się przed kimś broniąc, udowadniał konieczność zachowania ostrożności. Szybko się jednak reflektował, uruchamiając wewnętrzne hamulce, zachowywał w tajemnicy własną opinię.

Przygaszony, zamknięty w sobie, znowu powracał do gry i doprowadzał partię do końca.

Szachy nie sprawiały mu takiego zadowolenia, jak kiedyś. Nie cieszył się, że zwycięża delikatnego Makiejewa.

— Jest wcześnie, Aleksandrze Leontjewiczu. Zagrajmy jeszcze jedną partię.

— Wystarczy. Dziękuję. Pójdę się położyć.

I Onisimow kładł się do pustego łóżka; kładł się niezwykle wcześnie, o dziesiątej— jedenastej, a ponieważ w Moskwie przywykł latami gasić światło dopiero nad ranem, nie mógł zasnąć. Nie chciał jednak korzystać z środków nasennych. Podczas tych bezsennych godzin znowu przetrząsał swoją pamięć, znów myślał i myślał, ale nie były to wcale rozmyślenia o północnej Europie.

18

W czerwcu tego 1957 roku w kraju, który Onisimow nazwał Tiszlandią, przygotowywano się do otwarcia międzynarodowej wystawy przemysłowej. W Moskwie skompletowano grupę inżynierów i uczonych, która miała się udać na tę wystawę. W tej niby-delegacji składającej się z szesnastu osób trzy miejsca przydzielono metalurgom. Pośród nich znalazł się także akademik Wasilij Daniłowicz Czetylszew, specjalista w dziedzinie wielkich pieców, o którym wspominaliśmy już w naszej kronice.

Zanim jednak przedstawię głębszą charakterystykę Czetylsze- wa, pozwolę sobie na niewielką dygresję. Tak się zdarzyło, że dobrze znałem akademika. Kiedy jeszcze w latach trzydziestych pisałem powieść o zuchwałym Kurako, nauczycielu Wasilija Daniłowicza, skorzystałem z jego ustnych relacji i rad. Zupełnie niedawno danym mi było znów się przekonać, że akademik Czetylszew darzy mnie nadal swoim zaufaniem, kiedy zapo-

znał mnie ze swymi, czasami nader szczegółowymi, dziennika- Imi. Za jego zgodą te właśnie dzienniki stanowią jedno z głów- Tnych źródeł poniższej kroniki.

Jak wynika z notatek w dzienniku, w przeddzień wyjazdu na międzynarodową wystawę Czetyrzew (przy okazji wymienimy jego ówczesne stanowisko: dyrektor Centrum Naukowo-Badawczego Czarnej Metalurgii i członek prezydium Akademii Nauk) złożył wizytę w Ministerstwie Stali. Spośród spraw, które go tam zawiodły, Wasilij Daniłowicz wspomina jedynie błagalną prośbę inżyniera Lesnycha. Kilka lat wcześniej z powodu tegoż Lesnycha, z powodu odmowy zastosowania w przemyśle (jego wynalazku, Wasilij Daniłowicz dorobił się nagany podpi- [sanej przez Stalina, a ponadto na rozkaz góry został wykopany, jak sam mawiał, ze stanowiska wiceministra. No a teraz, co za traf, tenże Lesnych, który, jak należało oczekiwać, poniósł druzgocącą klęskę, wyśmiany, napiętnowany, wypędzony z huty specjalnie zbudowanej, by wytapiać stal według jego sposobu, szuka obrony u tegoż Czetyrzewa, prosi, aby wziąć pod skrzydła nauki, aby uratować choć jeden z jego wygaszonych pieców. No cóż, tak czy owak trzeba będzie wstawić się za człowiekiem.

Nie ulega wątpliwości, że Czetyrzew miał do załatwienia w ministerstwie jeszcze inne sprawy, bo ciągle ich przybywało. Prócz tego zamierzał wysłuchać wskazówek i życzeń na drogę, a jednocześnie zapoznać się z najnowszymi plotkami, które chciwie łowiła urzędnicza Moskwa, gubiąca się w domysłach na temat likwidacji ministerstwa. Wasilij Daniłowicz wiedział, że w obcej stolicy będzie indagowany przez Onisimowa, chciał mu więc zawieźć najnowsze, gorące jeszcze wiadomości.

Jak zwykle, samochód Czetyrzewa nie podjechał przed główne wejście, opatrzone połączonym szyldem pod grubym szkłem, lecz do znajdującego się w bocznej uliczce, nie rzucającego się w oczy bocznego wejścia, przeznaczonego dla ministra i członków kolegium.

Trzymając w ręku niebieskawą teczkę na akta, bo ze skórzaną teką obnosić się nie lubił, Czetyrzew wysiada z samochodu — wysoki, kościsty, a przecież z niewielkim brzuszkiem, który się nieco uwypukla pod luźną ciemnoszarą marynarką. Miękki szary kapelusz zsunięty jest nieco z czoła do tyłu ukazując łysinę i wielkie, brzydkie, sterczące uszy. Ostry wykrój nozdrzy szczupłego nerwowego nosa świadczy o skrywanej zapalczywo-

ści. Malutkie, głęboko zapadnięte oczy przysłonięte są występami silnie rozwiniętych łuków brwiowych, porośniętych sterczącymi siwymi włosami. Kiedyś Czetyrzew wyglądał zawsze ponuro, lecz już dawno temu (być może opowiemy później, jak do tego doszło) podniósł głowę, ukazując żywe błyski w cieniu oczodołów.

Teraz też rozgląda się dokoła — sprawdza, czy w uliczce nie pokaże się ktoś ze znajomych. Zerka także na sąsiedni gmach o wielu oknach. Właśnie tam, jeszcze za Ordżonikidzego, on, zapalczywy inżynier, rozpoczął swój nowy żywot. Proponując Czetyrzewowi, który wówczas pracował w słynnych zakładach „Nowouralsk”, pracę w ludowym komisariacie, Sergo nie znalazł dla niego odpowiedniej funkcji i natychmiast utworzył wyjątkowy w swoim rodzaju etat głównego wytapiacza Narkom- tiazpromu. Bez względu na przeciwności losu, Czetyrzew nadal pełnił funkcję głównego wytapiacza metalurgii radzieckiej.

Wasilij Daniłowicz wchodzi do bramy. Strażnik, zobowiązany do sprawdzania przepustek, stoi przy stoliku. Czetyrzew sięga do bocznej kieszeni po stałą przepustkę, lecz strażnik się uśmiecha:

— Proszę przechodzić, Wasiliju Daniłowiczu. — Młody żołnierz zna głównego wytapiacza i obserwuje z uśmiechem, jak nad podziw lekko wbiega on na schody wyłożone czerwonym chodnikiem.

Czetyrzew ma jeszcze wiele siły. Podczas częstych lustracji we wschodnich i południowych rejonach metalurgicznych wchodzi w gardziele wielkich pieców, schodzi do jam skipowych, przemierza wiele kilometrów chodząc po terenach fabrycznych, po wydzielach, zagląda nawet na tyły zabudowań.

Wasilij Daniłowicz idzie teraz szerokim mrocznym korytarzem na pierwszym piętrze ministerstwa. Po obydwu stronach widnieją rzędy polerowanych drzwi. Mieszczą się tam gabinety wiceministrów. Dalej, na końcu korytarza, znajdują się sekretariat, poczekalnia i gabinet ministra, a także połączony z gabinetem pokój wypoczynkowy, w którym można się położyć albo coś zjeść. Nie opodal znajduje się bufet. Teraz drzwi do bufetu są otwarte; z wnętrza dobiega czyjś basowy śmiech.

Kiedyś, kiedy na czele ministerstwa stał Onisimow, już na korytarzu można było stwierdzić, czy minister jest u siebie. Panowała napięta cisza, czasami przechodził szybko jakiś poważny

urzędnik, a jeśli już się ktoś odezwał, to przyciszonym głosem. _J Oznacza to, że Aleksander Leontjewicz jest u siebie. Gdy tylko wyjeżdżał, zaraz następowały małe zmiany: po korytarzu ludzie chodzili spacerowym tokiem, głośno rozmawiali, nawet z bufetu dobiegały odgłosy życia. A jednak wszystko było przytłumione. Nawet pod swoją nieobecność Onisimow rządził tutaj rygorystycznie.

Teraz z otwartych drzwi bufetu ktoś głośno wita przechodzącego obok Czelyszewa. No i zgadnij, człowieku, czy obecny minister, pełen radości życia, rumiany Cichonia jest w swoim gabinecie.

Podwójne drzwi prowadzące z poczekalni do gabinetu ministra otwarte są na oścież — w ten sposób, w myśl niepisanej instrukcji informuje się postronnych, że gabinet jest pusty. Dyżurna sekretarka Waleria Michajłowna, którą Czelyszew pamięta z ministerstwa jeszcze z lat przedwojennych, wita go radośnie.

— Nareszcie w naszych progach! Właśnie przed chwilą dzwonił Paweł Georgijewicz i powiedział, że zaraz tu będzie. Proszę, Wasiliju Daniłowiczu, rozgośćcie się u niego.
y^M^Dziękuję, ale na razie sobie pospaceruję i pogadam z ludźmi.

— Może zaprosić kogoś tutaj?

— A po co? Sam ich znajdę.

Wchodzi jednak do gabinetu, idzie po szarozółtym dywanie. Za Onisimowa dywanów tutaj nie było, bo Aleksander Leontjewicz zaliczał je do przedmiotów zbytku, które nieubłaganie usuwał ze swego otoczenia. Żądał jednak, aby woskowano jasny parkiet, a potem pucowano go aż do lustrzanego połysku. Ale i tego było mu mało: na jego żądanie parkiet był każdego roku cyklinowany. Każdy zakątek podłogi błyszczał wówczas równie nienagannie jak cała reszta. Teraz pojawił się dywan. Parkiet jeszcze lśni jako tako, ale już bez tamtego zaskakującego zdumiewająco surowego połysku.

Wasilij Daniłowicz podchodzi do stołu i przystaje. Na ścianie wisi jeszcze mapa obecna tu od czasów wojny. Widać na niej ledwie zauważalne nakłucia. W tragiczne miesiące 1941 roku narkom Onisimow wbijał własnoręcznie szpilki z proporczykami, zaznaczając w ten sposób ruch transportów kolejowych, którymi ewakuowano na wschód fabryki z południa kraju. Ta upstrzona rządками chorągiewek mapa wisiała także tutaj

w ów pamiętny wieczór, kiedy nad Moskwą pokazały się po raz pierwszy hitlerowskie bombowce. Wasilij Daniłowicz też był wtedy w tym gabinecie, zaproszony przez Onisimowa na konferencję. Nagle zawyły syreny ogłaszając alarm przeciwlotniczy. Onisimow nawet nie zerknął na szczelnie zasłonięte okna i jak gdyby nigdy nic nadal prowadził posiedzenie. Zagrzmiały głucho zenitówki. Dały się słyszeć ciężkie wybuchy zrzuconych bomb. Bliski wybuch wstrząsnął budynkiem, zadzwoniły szyby.

Zgaśmy światło i popatrzmy, co się tam wyprawia.

Osobiście zgasił lampę na biurku, ktoś przekreślił wyłącznik żyrandola. W gabinecie zapadły ciemności. Onisimow otworzył okno. Po twarzach obecnych przesuwały się słabe rozbłyski. Po niebie szperały strumienie światła reflektorów, różnokolorowy szlak pocisków biegł w górę, gdzie bardzo wysoko rozkwitwały czerwone ognie wybuchów.

Aleksander Leontjewicz stał w milczeniu przed oknem i obserwował. Niektórzy z obecnych podeszli do niego, reszta trzymała się z dala.

Odważni jesteście, Aleksandrze Leontjewiczu — powiedział Czetylszew. — A ja, niestety, jestem tchórzem. Zejdę do schronu.

Wyszedł z gabinetu, ale nikt nie odważył się pójść za nim.

A później... Później zdarzały się jeszcze próby męstwa.

Stary akademik siada przy stole w jednym z wygodnych foteli (za Onisimowa fotele też były twarde), otwiera teczkę i przegląda dokumenty. Wpadają mu w oczy listy tego cholernego Lesnycha. Zażartowało sobie życie, ale żart ten do wesołych nie należał. Wasilij Daniłowicz dobrze pamięta, jak w tamtych odległych czasach dziwnie zadrżały nagle palce Onisimowa. Wtedy właśnie rozegrała się ta cała nieprawdopodobna historia gwałtownego wzlotu, a potem upadku inżyniera Lesnycha — jeden z dramatów minionego czasu, utrwalony w dziennikach Czetylszewa.

19

Miało to miejsce dokładnie pięć lat temu — latem 1952 roku. Wasilij Daniłowicz siedział na tym samym miejscu przy stole i trzymając przed sobą otworzoną teczkę, omawiał coś z Onisi-

mowem. Nagle rozległ się ten pamiętny dźwięk rządówki. Onisimow podniósł spokojnie słuchawkę i nagle na jego policzkach ukazały się czerwone plamy. Wstał raptownie i dalej prowadził rozmowę na stojąco. Wasilij Daniłowicz wiedział, że Onisimow stawał tak na baczność tylko przed jednym człowiekiem. Tak, do Aleksandra Leontjewicza telefonował Stalin.

Czetylszew nie słyszał, naturalnie, słów Stalina; dobiegały doń jedynie odpowiedzi Onisimowa.

BE Słucham, towarzyszu Stalin... Metoda Lesnycha? Owszem, znam sprawę.

Onisimow nacisnął kilkakrotnie nerwowym ruchem przycisk dzwonka do sekretariatu. Do gabinetu wbiegł natychmiast Sieriebriannikow, który jednak bez względu na pośpiech wcale nie wyglądał na zaaferowanego, nie stracił nic ze swej godnej postawy. Onisimow odpowiadał wyraźnie:

— Tak, towarzyszu Stalin. Zapoznałem się osobiście z tą sprawą.

Tu przykrył mikrofon dłonią i zasyczał:

— Dawaj mi wszystko, co dotyczy Lesnycha.

Sieriebriannikow chwycił w lot polecenie, nie pytał już o nic i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Onisimow powiedział do słuchawki:

— Mogę poinformować, że dwa lata temu inżynier Leśnych zwracał się do ministerstwa ze swymi propozycjami. Przeprowadziliśmy...

Ale widać Stalin mu przerwał, bo Onisimow nagle umilkł. Słuchał teraz nadal wyprostowany. Drobną dłoń trzymała mocno słuchawkę. Ze zdenerwowania nadal płonęły mu policzki, lecz odważne, skoncentrowane spojrzenie świadczyło o tym, że zachował przytomność umysłu.

TT— Owszem, sam rozpatrywałem jego skargę. Brała w tym także udział komisja złożona z wybitnych specjalistów. Prócz tego wydał na ten temat opinię Wasilij Daniłowicz Czetylszew.

Czetylszew dopiero w tym momencie uświadomił sobie ostatecznie, o co i o kogo pyta Stalin. Początkowo jakoś do niego nie docierało, że chodzi o tego pucołowatego, cierpiącego na zady- szkę mężczyznę, który... No, o Lesnycha, wykładowcę z Syberii. Leśnych zaproponował metodę wytopu stali bezpośrednio z rudy, z pominięciem procesu wielkopieczowego, głosząc, że koks nie jest już więcej potrzebny, że zamiast paliwa mineralnego

••

jego rolę spełni prąd elektryczny. Z niebywałym uporem, z maniakalną pewnością siebie bronił i przepychał swój pomysł. Dotarł z nim do Czetyłszewa. Opinia Wasilija Daniłowicza była nowym ciosem, nowym rozczarowaniem dla wynalazcy. Czetyłszew napisał w opinii, że sposób Lesnycha jest technicznie wykonalny, ale niecelowy ze względów ekonomicznych, z uwagi na ogromne koszty. To nie jest sprawa do realizacji w bieżącym dziesięcioleciu. Niechaj więc pochłonięty swoim pomysłem wynalazca chodzi koło sprawy, niech eksperymentuje, jakąś pomoc w rozsądnych granicach okazać mu należy, gdyż jego praca wyjaśni być może niektóre problemy teoretyczne metalurgii, nie należy jednak (przynajmniej w bliskiej perspektywie) liczyć na jakikolwiek efekt, na praktyczne zastosowanie metody Lesnycha w przemyśle.

Namolny wynalazca nie zawahał się nawet przed skargą do KC. Stamtąd skarga i wszystkie materiały trafiły do Onisimowa, który musiał rozpatrzyć wniosek Lesnycha, jego rysunki i obliczenia, a także liczne recenzje odrzucające wynalazek. Aleksander Leontjewicz uczynił to wszystko z właściwą sobie drobiazgowością. Wyliczył z ołówkiem w rękę, że chemizacja procesu według metody Lesnycha wymaga nieosiągalnych praktycznie temperatur. Jeśli jednak, wbrew oczekiwaniom, reakcja nastąpi, to żużel stanie się tak żrący, że nie wytrzyma tego żaden materiał ogniotrwały. Jak się Onisimow przekonał po przestudiowaniu rysunków, konstrukcją proponowanego pieca także nie wytrzymywała krytyki, bo nie zapobiegała, na przykład, sklejanemu się rudy, spadającej do kadzi. Wnioski Onisimowa były jeszcze bardziej kategoryczne niż opinia Czetyłszewa. Z tej okazji robił nawet wówczas Czetyłszewowi wyrzuty:

Mięczak z was, Wasiliju Daniłowiczu. — Zwrot „mięczak” użyty przez Aleksandra Leontjewicza nie wróżył nic dobrego. — Jedyne z dobroci serca mogliście napisać, że ta metoda jest technicznie wykonalna.

— Dlaczego? Teoretycznie sprawa jest możliwa.

— Jednak obaj nie mamy wątpliwości, że nic z tego nie wyjdzie. Tak właśnie należało napisać, by nie robić nikomu niepotrzebnych nadziei.

— A niech sobie próbuje.

— To nie nasza sprawa. On nie jest pracownikiem naszego

resortu, lecz Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Nie sędzę, aby ten resort potrzebował naszego wsparcia.

I oto w dwa lata później Stalin zapytał przez telefon o inżyniera Lesnychy. Jak to się mogło zdarzyć? W jaki sposób omijając wszelkie przeszkody propozycja Lesnychy mogła dotrzeć do Stalina? Przysłuchując się wyjaśnieniom Onisimowa, Cze- fyszew przypomniał sobie pewne niepokojące słuchy mówiące o tym, że resort obozów pracy, podporządkowany Berii, zajęty projektowaniem gigantycznych elektrowni wodnych we wschodniej Syberii, podrzucił Lesnychowi jakieś środki na próby.

Rozmowa trwała nadal. Z nieruchomości wyprostowanego korpusu Onisimowa, z napięcia rysów twarzy nadal można było odczytać bezgraniczny szacunek dla rozmówcy po tamtej stronie przewodu. Stojąc zupełnie jak na baczność, a przy tym nie podnosząc głowy, która sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wciśniętej w ramiona, Onisimow nie próbował się uchylać od jasnych odpowiedzi. Nie należy z tego wnosić, że obca mu była umiejętność robienia uników, choć ułatwiała się ona bez śladu, kiedy mówił do niego Stalin. Szczególna precyzja, akuratność były w tym wypadku dla Onisimowa nie tylko sprawą honoru, jego świętym obowiązkiem, lecz także tarczą ochronną, ratunkiem.

— Jako inżynier nie mogę popierać tej metody, Josifie Wissarionowiczu.

I przerwał, słuchając swego rozmówcy. Nieoczekiwanie znów zmienił się na twarzy, zbladł.

— Nie, nikt mnie o tym nie poinformował. Pierwszy raz o tym słyse.

Zaraz jednak opanował nerwy, odzyskał zimną krew.

— Przeprowadziliśmy gruntowną ekspertyzę, Josifie Wissarionowiczu. Ponoszę, oczywiście, pełną odpowiedzialność. Poza tym, jak już wam meldowałem, sprawą tą zajmował się także towarzysz Czetylszew. Jest właśnie u mnie.

Wasilij Daniłowicz zrozumiał, że Onisimow stara się zyskać choć kilka minut, aby oprzytomnieć, poradzić sobie z jakimś okropnym zaskoczeniem, a potem z godnością stawić mu czoło. Wybieg udał się. Aleksander Leontjewicz podał słuchawkę Cze- fyszewowi, mówiąc:

— Prosi was Josif Wissarionowicz.

Membrana mikrofonu przekazała powolną intonację głosu Stalina:

— Towarzysz Czełyszew? Witajcie. — Miało się wrażenie, że słuchawka telefonu wzmacnia dodatkowo właściwy Stalinowi ostry gruziński akcent. — Czy znacie wniosek inżyniera Lesnych dotyczący otrzymywania stali z pominięciem metody wielkopiecowej?

— Znam.

— I co powiecie na ten temat?

i5§|fi Ponieważ zapoznałem się z jego pomysłem, mogę więc...

iMN Zapoznaliście się osobiście?

— Tak.

— Rozumiem. Słucham.

' Moim zdaniem, Josifie Wissarionowiczu, ten wniosek nie ma wartości praktycznej i nie da się zastosować w przemyśle.

— A więc jest to rzecz pozbawiona perspektywy? Czy dobrze was zrozumiałem?

W spokojnym jeszcze niby głosie Stalina czuło się już jednak coś groźnego. Wasilij Daniłowicz odpowiedział: 'Wcale niewykluczone, że kiedyś rzeczywiście będziemy wytapiać stal tylko za pomocą elektryczności. Na razie jednak...

H- A zatem nie pomogliście wynalazcy?

Zapadło milczenie. Czełyszew nie chciał się zasłaniać treścią swej opinii, gdzie między innymi, napisał, że „jakaś pomoc należy mu okazać”, poza tym nie chciał podstawiać nogi Onisimowowi, powoływanie się na inne ministerstwo, któremu podlegał wykładowca Leśnych, wydawało mu się godne biurokraty, a więc wstrętne. Stalin nie pozwolił mu jednak wykręcić się od odpowiedzi:

— A więc nie pomogliście?

— Nie wiem — odburknął Czełyszew.

— A ja wiem. Nie pomogliście mu razem z towarzyszem Oni- simowem. Zamiast was uczynili to inni. I chociaż twierdzicie, że wynalazek nie posiada wartości praktycznej... — Stalin zrobił pauzę oczekując jak gdyby potwierdzenia od Czełyszewa. — Czy dobrze was zrozumiałem?

— Tak.

— Niemniej jednak, towarzyszu Czetylszew — tu głos Stalina zabrzmiał już bardziej twardo — na moim biurku leży metal, leżą próbki stali wytopione przy zastosowaniu tej właśnie metody. Przyślę je wam i towarzyszowi Onisimowowi.

Teraz Czetylszew już zrozumiał, czego dotyczył, z czym wiązał się okrzyk Onisimowa: „Pierwszy raz o tym słyszę.” On sam też dopiero teraz usłyszał tę nowinę.

— Wytopić stal można — rzekł. — Ile to jednak kosztowało?

— Prawie nic. Wytop przeprowadzono w laboratorium Syberyjskiego Instytutu Politechnicznego. Towarzyszowi Lesnycho- wi pomagało kilku studentów.

Do gabinetu wbiegł znowu bezszelestnie Sieriebriannikow, niosąc dwie teczki. Onisimow niemal mu je wyrwał i zaczął szybko przeglądać dokumenty, popatrując przy okazji na Czetylszewa, zgadując, jeśli już nie z wyrazu jego wzroku (malutkie oczy akademika znikły prawie zupełnie pod ponuro nawisłymi brwiami), to z ulotnych cieni na szczupłej twarzy, o czym mówi Stalin.

Sieriebriannikow stanął za plecami Onisimowa, pochylając się lekko ku niemu i jak zawsze czekając na dalsze polecenia.

— A jednak warto by policzyć — rzekł Czetylszew. — Na dodatek piec się zepsuł, wymurówka spłonęła.

— Kto was o tym poinformował?

Wasilij Daniłowicz pozwolił sobie na uśmiech.

— Nie jestem dzieckiem. Potrafię to sobie wyobrazić. To jeszcze, Josifie Wissarionowiczu, nie byłoby najgorsze, gdyby...

Stalin przerwał mu zniecierpliwiony.

— Po co zasłaniać drobiazgami główną sprawę, towarzyszu Czetylszew? Czy coś, co wielkie, nie rodzi się zawsze w męczarniach? — Tu zadowolony ze swego sformułowania Stalin zamilkł, a potem znów zaczął mówić, ale już cedząc słowa. — Najważniejsze, że stal wytopiona została według nowej metody, a reszta się ułoży, jeśli, towarzyszu Czetylszew, będziemy uparci. Czyż nie tak?

Wasilij Daniłowicz uchwycił widocznie w głosie Stalina jakieś rozdrażnienie, gdyż nie odważył się na protest, chociaż świerzbził go język. „Po co zasłaniać drobiazgami główną sprawę?” Hm, niby tak, ale kiedyś nie stroniliście od drobiazgów, towarzyszu Stalin. Ciekawi byliście drobiazgów, wyciskaliście je z ludzi. A przecież i u nas, i w metalurgii światowej propono

wano już wiele metod bezpośredniego otrzymywania stali z rudy. A każda metoda składa się z drobiazgów, subtelności, ze szczegółów. „Będziemy uparci.” O nie, w technice, w przemyśle nie wszystko da się osiągnąć samym uporem. Najpierw trzeba podjąć słuszną decyzję.

— Tak więc, pomyliliście się, towarzyszu Czełyszew. — Stalin przerwał, dając Czełyszewowi czas na uprzytomnienie sobie wagi tych słów. — Ale ten błąd jest do naprawienia. Zaczniemy go więc naprawiać. Ta stal jest nam potrzebna.

21

Prawdę mówiąc, Czełyszew się zawahał.

Kiedyś, w grudniu 1934 roku, będąc jeszcze wiecznie zasepionym głównym inżynierem „Nowouralski”, przemawiał na Kremlu. Witając wtedy Stalina w imieniu uczestników tego spotkania, a także w imieniu wszystkich metalurgów, którzy po raz pierwszy w historii Rosji wytopili w ciągu roku dziesięć milionów ton surówki.

O tym, że ma przemawiać, powiadomiono Czełyszewa dwa, a może trzy dni wcześniej. Słyszając to, burknął:

— W porządku...

Mówcą był mizernym. W przekazywanych z ust do ust opowieściach, które po dziś dzień zastępują nie napisaną jeszcze przez nikogo historię ojczystej metalurgii, wspomina się jego przemówienie na masówce pracowników „Nowouralski” z okazji uruchomienia pierwszego wielkiego pieca. Zgodnie z ówczesnymi obyczajami każdy z mówców kończył swoje przemówienie takim na przykład okrzykiem: „Niech żyje bohaterska klasa robotnicza!”, „Niech żyje wielki Stalin!”. Czełyszew natomiast po przedstawieniu, a raczej wymamrotaniu kilku cyfr, ilustrujących moc największego w Europie nowego pieca i jego wyposażenia w urządzenia, także na koniec wrzasnął: „Niech żyje!” Chciał jeszcze dodać: „piec numer jeden”, bo ten wielki piec był jego ukochanym dzieckiem, jego pasją, dziełem jego życia, ale zawstydzony nie dokończył okrzyku. Wydusił z siebie .."Niech żyje!" i na tym poprzestał.

Od czasu do czasu w prasie centralnej drukowano jego artykuły. Prawdę mówiąc, każdy z tych artykułów pisał na polecenie

nie redakcji któryś z dziennikarzy, przeprowadzając najpierw rozmowę z Wasilijem Daniłowiczem i notując jego wypowiedzi. Credo polityczne Wasilija Daniłowicza pozbawione było jakiegokolwiek dwuznaczności. Ożywiał swoje piece, rozpoznawał czasami (jak mu się zdawało) ich język, rozumiał ich żale, życzenia, czuł się jak ich przedstawiciel, ich deputowany, a jednocześnie był zwolennikiem władzy radzieckiej, zwolennikiem partii, która dokonywała niesłychanego uprzemysłowienia. Decydując się na to raz na zawsze, pozostawiał potem dziennikarzom wolną rękę w ubieraniu jego artykułów często pełnymi zadęcia albo pustki frazesami politycznymi. Te artykuły pisane przez innych podpisywał bez oporu, poprawiając jedynie niedokładności odnoszące się do techniki, do jego specjalności.

Takiemu właśnie mówcy powierzono wygłoszenie mowy powitalnej do Stalina.

Razem z innymi metalurgami Czelyszew kroczył po granitowych kostkach nawierzchni Placu Czerwonego, kierując się do kremłowskiej Bramy Spasskiej.

— No i jak, Wasiliju Daniłowiczu, czy przygotowaliście przemówienie? — zapytał któryś z towarzyszy.

— Jakie przemówienie? Mam przecież przemawiać w imieniu was wszystkich. Przeczytam to, co dostanę od was, i tyle...

Dopiero teraz zorientował się, że tekst przemówienia nie został przygotowany, że on, pięćdziesięcioletni inżynier, budowniczy „Nowouralski”, który zasłużył sobie, aby przemawiać w imieniu kolegów, musi własnymi słowami przedstawić swoje uczucia. Coś podobnego! Za dziesięć-piętnaście minut stanie przed Stalinem, a nie ma nawet planu przemówienia.

Wraz z innymi wchodzi po schodach Pałacu Kremłowskiego. Nikt nie mówi głośno, rozesłane na stopniach miękkie dywany tłumią dźwięk kroków. W tej uroczystej ciszy Czelyszew próbował się skoncentrować, próbował znaleźć coś najważniejszego w tym, co przeżył i przemyślał.

Na sali zajął miejsce w kąci, ale go odnaleziono i kazano usiąść na przedzie.

Pierwsze słowa do Stalina wygłosił z opuszczoną głową, jękał się. A jednak jego przemówienie zyskiwało na wyrazie dzięki zaskakującej szczerości. „Pod waszym kierownictwem, towarzyszu Stalin, stworzony został nowy przemysł. To wy dokonaliście rewolucji w technice, o której my, starzy inżynierowie,

możliśmy zaledwie marzyć, i to nie w całości, lecz tylko fragmentarycznie. Historia przemysłu nie zna podobnego przykładu ani w związku z tym, co się tyczy terminów wykonawczych, ani okoliczności, a przede wszystkim metod i rozwiązań. To wszystko jest od początku do końca rewolucyjne." Wtedy właśnie Czełyszew podniósł głowę i spojrzał wprost w matowe, pozbawione blasku oczy Stalina.

W głębi duszy Wasilij Daniłowicz uświadamiał sobie, że nieładnie, nieprzyzwoicie wychwalać kogoś w oczy, ale cóż począć, kiedy podporządkował się już obowiązującemu wówczas stylowi bycia, podporządkował, nie grzesząc jednak przeciwko swej inżynierskiej pasji, przeciw sumieniu inżyniera: on, który zbudował wreszcie hutę według planów Kurako, miał wiele powodów, żeby być wdzięcznym Stalinowi.

Wtedy, po tamtym przemówieniu, Stalin powiedział mu:

— Mylicie się, towarzyszu Czełyszew.

Spacerując i przyglądając się milczącej sali, Stalin przez moment nic nie mówił. Dla Czełyszewa była to chwila męczarni. Takie słowa w ustach Stalina to poważna sprawa. A Stalin przedłużał udrekę Wasilija Daniłowicza. Wreszcie powtórzył:

— Mylicie się. Sama partia nie potrafiłaby wykonać takiej pracy, o której wspomnieliście. A tym bardziej niesłuszne jest przypisywać taką pracę mnie, skromnemu uczniowi Lenina.

Tu odwrócił się do Czełyszewa i uśmiechając się dodał, akcentując słowa:

~ Razem z partią uczestniczyli w tej pracy także specjaliści bezpartyjni, tacy jak wy.

Tak więc Stalin odwzajemnił pochlebstwo, co zresztą czynił rzadko. W tym momencie Czełyszew uświadomił sobie niejasno całą swoją niezręczność. Miał wrażenie, że został wciągnięty w jakąś wcale mu niepotrzebną grę. Zresztą to wrażenie zaraz minęło: przecież uczciwie przedstawił nurtujące go uczucia.

22

Teraz też Stalin powiedział: „Pomyliliście się." Kto wie, a może geniusz tego człowieka uchwycił coś takiego, czego nie zobaczył, czego nie zrozumiał Czełyszew? Uchwycił i rozkazał: „Ta stal jest nam potrzebna. Taka metoda ma sens."

Tymczasem Onisimow otworzył teczkę z rysunkami technicznymi i wyjął, a potem rozwinął arkusz kalki, na którym przedstawiony był rzut ogólny pieca Lesnycha. Czełyszew i Onisimow spojrzeli razem na ten rysunek, a potem ich oczy się spotkały. W zielonkawych, poważnych oczach Aleksandra Leontjewicza ukazał się ból, a zaraz potem ostateczna koncentracja, napięcie myśli. Te chwile nie były dlań łatwe. Jego stanowisko, jego cała przyszłość stały pod znakiem zapytania. Wasilijowi Daniłowiczowi też to nie ujdzie płazem. Do diabła z wahaniem! On, akademik Czełyszew, obowiązany jest powiedzieć Stalinowi, że ten piec jest nieprzydatny dla przemysłu, do produkcji na wielką skalę. Róbcie sobie ze mną, co chcecie, towarzyszu Stalin, ale ponieważ nigdy nie wprowadzałem was w błąd, więc i teraz powiem, co o tym myślę.

Jednak Stalin znów się odezwał:

— Polecam wam, abyście się zajęli tą sprawą, towarzyszu Czełyszew. Należy opracować naukowo i doprowadzić do końca proces technologiczny, zaproponowany przez towarzysza Lesnycha. Potem zajmiecie się zaprojektowaniem huty produkującej stal jego metodą.

— Jeśli zaczniemy budować takie huty, to...

A przecież Wasilij Daniłowicz nie dokończył zdania, zaciął się, bo nawet przez telefon czuł, jak dławi go wola Stalina.

— Co chcieliście powiedzieć?

— Nie wezmę się za to, Josifie Wissarionowiczu. Nie wierzę w tę metodę.

— No, jak chcecie.

UBI Nie wierzę, więc nie mogę.

— Jak chcecie — powtórzył sucho Stalin. — Decyzja należy do was.

Czekał jeszcze na słowa Czełyszewa, ale się nie doczekał.

— Oddajcie słuchawkę towarzyszowi Onisimowowi.

Aleksander Leontjewicz ścisnął w drobnej dłoni czarną ebonitową słuchawkę i znowu stanął na baczność:

— Słucham was, towarzyszu Stalin.

W tym podjętym na nowo dialogu między generalissimusem i ministrem Czełyszew znów mógł obserwować tylko jedną ze stron.

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu Stalin. Propozycja towarzysza Lesnycha rozpatrywana była trzykrotnie. Komisja

pod przewodnictwem doktora nauk technicznych profesora Bogatkina...

Ale widocznie Stalin przerwał Aleksandrowi Leontjewiczowi, uciął jego tłumaczenie jakąś bezapelacyjną uwagą. Przez jakiś czas Onisimow pilnie słuchał, powtarzając:

— Rozumiem. Rozumiem.

Potem powiedział raz jeszcze:

— Rozumiem. — I dodał: — Polecenie zostanie wykonane. Tak, na moją osobistą odpowiedzialność.

Te słowa brzmiały zdecydowanie. Oczy Onisimowa nie zdradzały już udreki. Wasilij Daniłowicz zrozumiał, że Stalin złożył w jego ręce los wynalazku, który Onisimow poprzednio odrzucił, że powierzył osobiście jemu, ministrowi, nadzór nad dalszym opracowaniem metody i budowy huty z piecami Lesnycha. I Onisimow odpowiedział bez zająknięcia: „Polecenie zostanie wykonane!” Jego poprzednie odmienne zdanie w tej sprawie przestało istnieć: przyjmował rozkaz Stalina jako nie kwestionowane najwyższe prawo.

— Słucham. Notuję.

Stalin podyktował ze swego gabinetu terminy — dał osiemnaście miesięcy na wybudowanie nowej huty we wschodniej Syberii, która miała dać pierwszy wytop na skalę przemysłową według technologii Lesnycha. Następnie, jak domyślił się Czełyszew, Stalin powrócił do listy, której jeszcze kilka minut temu nie chciał wysłuchać. Już czytam.

Onisimow odszukał natychmiast w teczce odpowiedni dokument i przeczytał kolejno nazwiska członków komisji, którzy zgodnie wydali negatywną opinię na temat wynalazku Lesnycha.

— Włączyć wszystkich do nowej komisji? Tak jest. Kogo? Notuję. I przedstawiciela „Jenisiejelektro?” Mianuje go towarzysz Beria? Tak jest. Rozumiem.

Tak zakończyła się rozmowa. Złowieszcze nazwisko Berii wplotło się w początek olbrzymiego przedsięwzięcia, jakiego życzył sobie Gospodarz.

Słuchawka została odłożona. Onisimow opadł na fotel, spojrzał na Sieriebriannikowa, który ciągle stał za jego plecami i powiedział:

— A przecież on też tam siedział...

Kierownik sekretariatu przysłonił na moment rzesami wypukłe niebieskie oczy, dając w ten sposób znać, że wie, o kim mowa. Czefyszew także zrozumiał, kogo należało rozumieć pod tym „on”.

Posługując się dziennikiem Wasilija Daniłowicza, a także pewnymi innymi materiałami, możemy sobie z dużą dozą prawdopodobieństwa wyobrazić, jak doszło do interwencji Stalina. Tak, próbki metalu wytopionego w piecu laboratoryjnym przez upartego Lesnycha przyniósł Stalinowi Beria. Beria nie miał wcześniej pojęcia, że gdzieś na odległej Syberii pracownicy projektowanej potężnej elektrowni wodnej „Jenisiejelektro”, której budowę też realizował GUŁAG, podrzucili fanatycznemu wynalazcy niewielkie środki, jak to się mówi „na dobry początek”. Takie drobne wydatki nie interesowały Berii, wybiegały poza skalę jego planów. Zameldowano mu jednak o próbnym wytopie. Beria poszedł do Stalina z błyszczącymi cienkimi płatkami metalu otrzymanego wprost z rudy metodą wytopu elektrycznego o szczególnej technologii nie wymagającej koksu i całego procesu wielopieczowego. Wynalazca nazwał swe dziecię stałą pierwotną. Beria poszedł nie tylko z próbkami, ale z całą kolekcją dowodów świadczących o tym, że Onisimow rzucił wynalazcy kłody pod nogi. Nastąpiła wreszcie chwila, na którą Beria czekał latami i dziesięcioleciami: Onisimow podłożył się pod cios, pod bezlitosny cios Stalina.

Połykujące szlachetnym srebrnym błyskiem cienkie stalowe płytki spoczęły na biurku generalissimusa. Jak już wspomnieliśmy, Stalin przygotowywał jeszcze jedno wielkie dzieło swego życia, hołubiąc plan natarcia przemysłowego we wschodniej Syberii. Nowe, niesłychane inwestycje, zbudowanie nie mających precedensu pod względem mocy elektrowni wodnych, stanie się bohaterskim wyczynem pokolenia i pozwoli wykorzystać kipiący nadmiar buntowniczych sił młodzieży. Równocześnie znajdą tam zastosowanie niezliczone kolumny więźniów. Uczonych niepokoiło jednak, że energii elektrycznej okaże się za wiele. Gdzież więc znaleźć odbiorców? Jak zwiększyć zapotrzebowanie przemysłu ciężkiego na energię?

A tymczasem okazuje się, że istnieje piec elektryczny, który może wytapiać stal obywając się bez koksu, że jest już metal — o, leży na biurku! — otrzymany z tegoż pieca. Wysłuchawszy 92

Berii, poirytowany Stalin kazał się zaraz połączyć z Onisimowem.

Czytelnik zna już finał rozmowy. Wbrew oczekiwaniom Berii, Stalin nie rozprawił się z Aleksandrem Leontjewiczem, który natychmiast przestał myśleć jak inżynier i zajął postawę, która była dlań ratunkiem: „Tak jest! Polecenie zostanie wykonane!” Postąpił tak nie dlatego, że opuściła go odwaga, lecz popchnęło go do tego przekonanie, jakie żywił przez całe życie, działające niemal automatycznie, instynktownie: przede wszystkim dyscyplina, wierność Stalinowi, każdemu jego słowu, każdemu rozkazowi. Z kolei Stalin też nie wątpił, że jeśli nawet Onisimow nie akceptował wynalazku Lesnycha wówczas, kiedy autor przebijał się z nim w górę, to teraz lepiej i energiczniej niż ktokolwiek inny uczyni wszystko, co możliwe, a nawet więcej, aby wdrożyć do produkcji nową metodę. Nie tknął więc Onisimowa, nie zrezygnował z niego.

Z twarzy Aleksandra Leontjewicza ustępowała z wolna bladeść, a na jej miejsce powracała zwykła śniadość. Wiszące nad nim groźne niebezpieczeństwo nie zwilżyło potem jego czoła. Pod przyczesanymi jasnokasztanowymi włosami nie ukazała się nawet kropla potu.

Sieriebriannikow dyskretnie opuścił gabinet, pozostawiając swego szefa i Czeliyszewa sam na sam. Na biurku spoczywały w nieładzie wypatroszone teczki, zawierające dokumentację wynalazku Lesnycha, i leżący krzywo, pozaginany arkusz kalki technicznej z rzutem ogólnym pieca.

Rozdrażniony Czeliyszew pokręcił głową i powiedział to, czego nie odważył się przecież rzec Stalinowi:

— Jeśli zaczniemy budować takie huty, to będziemy chodzić bez portek.

Onisimow nie odpowiedział. Sięgnął z przyzwyczajenia do pudełka z papierosami, wsadził jednego do ust, zapalił zapalną i... ogienek zadygotał, zatańczył w jego drżących palcach. Zdziwiony tym nie zapalił papierosa, zgasił zapalną i wysiłkiem woli starał się opanować drżenie. Jednak następna zapalną także wibrowała w palcach. Jego wzrok był jasny, odważny, wargi mocno zaciśnięte, ale ręka drżała.

Tak właśnie objawiła się po raz pierwszy dziwna dolegliwość Onisimowa, to niewytłumaczalne drżenie palców, z którym medycyna nie mogła sobie później poradzić.

Od pamiętnego telefonu Stalina upłynęło kilka dni i stało się to, co stać się musiało. Onisimow zaprosił Wasilija Daniłowicza do swego gabinetu i podał mu rozporządzenie Rady Ministrów, podpisane przez Stalina.

Malutkie oczy akademika jeły przebiegać treść dokumentu. Czetylszew natychmiast ujrzał swoje nazwisko... Udzielić nagany Czetylszewowi i zdjąć go ze stanowiska. No cóż, tego się właśnie spodziewał. Teraz można już przeczytać całość dokumentu... Uznać wynalazek inżyniera Lesnycha za ważny dla państwa... Wytop elektryczny, wykluczający proces wielkopieczowy... Udzielić nagany ministrowi Onisimowowi... Udzielić nagany Czetylszewowi... E-e, to już czytał. Dalej cyfry i terminy, wymienione już przez Stalina: za osiemnaście miesięcy uruchomić hutę o docelowej produkcji pół miliona ton stali rocznie... Przystąpić do wyboru terenu pod plac budowy w okolicach przyszłej Elektrowni Jenisiejskiej. Jednocześnie dopracowywać technologię... Odpowiedzialność za wykonanie ponosi osobiście Onisimow. Odrębny punkt informował, że wynalazek zaliczony został do ściśle tajnych... Przedsięwziąć wszelkie kroki, aby informacje o metodzie Lesnycha nie przedostały się za granicę... Ściśle tajne było także samo rozporządzenie. Widząc podpis, Czetylszew mruknął coś i odłożył dokument.

— No i dostałem po nosie. Mogę się nawet podpisać, że przyjąłem do wiadomości, jeśli to potrzebne, a potem się pożegnamy.

Nie zamierzam żegnać się z wami. Chciałem was prosić, Wasiliju Daniłowiczu...

Jednak Czetylszew ciągle jeszcze myślał o dekreście. Nie dosłu- chawszy nawet do końca, zapytał:

— A co wy na to, Aleksandrze Leontjewiczu? Uważacie to za możliwe?

Onisimow, który zawsze wraz ze sztywnym kołnierzykiem nosił na sobie puklerz niejakej oficjalności, a może służbowej powagi, teraz też z niej nie zrezygnował:

— Wybaczcie, ale nie wolno mi rozmawiać na ten temat. Stary akademik ciągnął jednak dalej:

— Jeden z nas gładko się z tego wywinął. Czy wiecie kto? Ja. A wam się jeszcze dostanie.

Aleksander Leontjewicz nie odpowiedział. Czetyrzew przyjrzał mu się uważniej. Onisimow znowu wyglądał na zmęczonego. Jego oczy błyszczały żywo jak zawsze, ale białka powlekła żółć. Czetyrzew znowu coś mruknął, ale więcej już nie poruszał bolesnego tematu.

Zresztą, zaczęły się sprawy bieżące. Zaterkotał głucho telefon wewnętrzny ministerstwa. Okazało się, że dzwonił Aleksiej Gołownia, pierwszy zastępca Onisimowa, który dosłownie przed chwilą wrócił z Uralu, gdzie przebywał służbowo. Onisimow zaprosił go do siebie, mówiąc:

— Tak, tak, Aleksieju Afanasjewiczu, przychodźcie i to zaraz.

I znów zwrócił się do Czetyrzewa, opowiadając o centrum naukowo-badawczym metalurgii, a w końcu zaproponował Wasilijowi Daniłowiczowi kierownictwo tej placówki. Akademię słuchał tego z ponurą miną.

Wszedł zamaszystym krokiem Aleksiej Afanasjewicz w swoim ulubionym ubraniu półwojskowego kroju.

Ten tryskający niegdyś zdrowiem, posągowy wręcz mężczyzna, ten niezmordowany inżynier-hutnik, nie mógł się jednak równać z Onisimowem, jeśli chodzi o wytrzymałość. Dorobił się choroby serca — migotania przedsionków. Bywało, że wkładał do ust tabletkę, przygryzał zbielałą grubą dolną wargę i radził sobie jakoś z nagłym ostrym bólem, ale czasami powtórne ataki zwały go z nóg. Spędzał wtedy tydzień lub dwa w szpitalu i uciekał do domu, by znów się wprząc do tego samego kieratu. Jako pierwszy zastępca dublował całą pracę ministra, tak że Onisimow mógł wyjechać w dowolnej chwili. W razie potrzeby Aleksiej Afanasjewicz przejmował jego sprawy, a prócz tego nadzorował zakłady metalurgiczne na Wschodzie.

Wiele przemysłowych sukcesów, o których nie zapomni nie napisana jeszcze historia radzieckiej metalurgii, zawdzięczano właśnie jemu. W krytycznych momentach rzucono Aleksieja Afanasjewicza do akcji. Brał się do tej roboty jak koń, ciągnął uparcie i mądrze, aż wyprowadzał wszystko na spokojne wody. Ratował czasem sprawy wydawałoby się skazane z góry na przegraną.

Niewykluczone, że skąpe barwy, jakimi naszkicowaliśmy portret tego człowieka, mogą sprawić wrażenie, iż był to dobry tatuńcio, poczciwiec z kośćcami. O nie, Aleksiej Gołownia bywał

też twardym, pamiętliwym człowiekiem. Jego ulubione słówko „partacz” spadało na winnego jak cios. Czasami nawet sam uprzedzał: „Weźcie pod uwagę, że mam ciężką rękę.” Był twardy i bezlitosny, gdy szło o wykonanie zadań, a jednocześnie miał w sobie jakąś miękkość, był ludzki. Wszystko to razem wzięte budziło nie tylko szacunek, lecz także cieplejsze uczucia. A przecież, zgodnie z opinią współpracowników, ustępował Onisimowowi pod względem operatywności. Inna rzecz, że Aleksiej Gołownia miał prawdziwą żyłkę inżynierską i doskonałe przygotowanie teoretyczne. Znał się na procesach metalurgicznych i wszelkich niuansach praktyki produkcyjnej. W tych kwestiach uważał się za mocniejszego od Onisimowa i miał do tego prawo. Aleksiej Afanasjewicz wychował się w hucie, gdyż był najstarszym synem mistrza wielkopieczowego. A jednak, co się tyczy dokładności i gorliwego wykonywania specyficznego rodzaju pracy ministerialnej, nie mógł się, oczywiście, równać z Onisimowem. Po przejściu w związku z decyzją KC, a raczej na rozkaz Stalina, z huty do ministerstwa, Gołownia tęsknił do zapachu huty i przez wiele lat nie umiał sobie poradzić z tą tęsknotą. Chętnie wyjeżdżał na delegacje, starał się przedłużyć pobyt w zakładach i chociaż był dobrym ojcem rodziny, cierpliwie znosił rozłąkę z domem. Kiedy powracał, miało się wrażenie, że napił się wody życia — zrzucił z siebie niepotrzebny tłuszcz, robił się młodszy.

Teraz też wszedł odmłodzony, opalony, z jego wielkiego jak kartofel nosa schodziła skóra. Szczególnie odmładzał Gołownię zniewalający otwarty uśmiech, który znów do niego powrócił. Zdarzało się, że ministerialne obowiązki lub choroba ścierały na długo ten uśmiech z jego twarzy, powodowały, że widać było na niej zmęczenie. Przywitał się i zaczął mówić z ożywieniem:

— Wpadłem także, Wasiliju Daniłowiczu do „Nowouralska- li”, do waszej drugiej ojczyzny. Uważają was tam nadal za swego.

Akademik nie odpowiedział. Za to Onisimow rzekł sucho:

— Siadaj, Aleksieju Afanasjewiczu, i przeczytaj to sobie. Bez żadnych wyjaśnień podał mu tekst rozporządzenia. Gołownia usiadł w twardym fotelu, wyjął okulary, bez których nie mógł się już obyć, i uważnie, zdanie po zdaniu, przeczytał dokument podpisany przez Stalina. Teraz przesunął dużą dłoń

po kręcących się jeszcze ciemnoblond włosach. Jego słynny uśmiech gdzieś zginął, oczy przestały wesoło błyszczeć, uwidoczniły się głębokie fałdy idące od zwalistego nosa do kącików ust. Nie pozwolił sobie na żadne głośnie reakcje — westchnął tylko. Taki miał teraz zwyczaj, spowodowany prawdopodobnie niedomogą serca: gdy pracował, wzdychał ciężko od czasu do czasu.

— Co to za piec? — zapytał. — Jak on działa?

Onisimow bez słowa wyjął z biurka rysunek pieca, rozwinął go i przysunął w stronę Gołowni. Ten przyjrzał się wnikliwie inżynierskim okiem, jeszcze raz spojrzął na Onisimowa, na ponurego Czetylszewa, znów obejrzał przekrój pieca.

— To rudę ma się tędy wsypywać?

— Masz przecież rysunek. Sam zobacz gg odpowiedział krótko Onisimow.

Wziął automatycznie papierosa, zapalił zapałkę. Czetylszew zauważył, że teraz ogienek nie drżał już w palcach ministra, drobna dłoń była pewna siebie. Gołownia pochylił się ponownie nad rysunkiem. Jego wargi ułożyły się tak, jak gdyby zamierzał gwizdnąć, ale jednak tego nie zrobił. Odsunął rysunek i milczał. Doświadczenie, instynkt inżyniera-metalurga nie pozwalały mu wątpić, że ta nowa metoda wymaga w najlepszym razie całych lat doświadczeń, cierpliwego dopracowania całości. W najlepszym razie... Wcale też niewykluczone, że będzie trzeba z tej metody zrezygnować, gdyż dopiero w praktyce okaże się, jaką wartość ma wynalazek. Przeniesienie jednym ruchem tej metody do przemysłu, nadanie jej wymiarów produkcyjnych, uruchomienie za osiemnaście miesięcy huty wyposażonej w piec Lesnycha, to... Tu Gołownia znów westchnął.

Onisimow nie kontynuował już rozmowy o wynalazku.

— Chciałeś, zdaje się, opowiedzieć o „Nowouralski”?—powiedział.

Ale Aleksiej Afanasjewicz nie mógł już teraz opowiadać. Zdenerwowała go, zasmuciła krzywda, jaką wyrządzono Czetylszewowi. Będąc jeszcze wyrostkiem, podczas pierwszej praktyki przy piecach Aleksiej poznał już osobiście zawsze zasepionego głównego inżyniera Wasilija Daniłowicza. Od tamtej pory w życiu, a także w sercu Gołowni Czetylszew zawsze zajmował szczególne miejsce. Jak głosiły hutnicze legendy, pierwszy na Rusi zawzięty i zuchwały wielkopieczownik Kurako miał kiedyś powiedzieć: Czetylszew to prawdziwy inżynier.

Gołownia, mając otwartą naturę, nie potrafił teraz jak Onisimow rozmawiać na inne tematy.

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu, opowiem później.

— Zgoda, jeszcze zdążymy... A więc, zaproponowałem Wasilijowi Daniłowiczowi nasz ośrodek naukowy. Tym bardziej że jest to jego ukryta miłość. Co o tym myślisz, Aleksieju Afanasje- wiczu?

— O ile wiem, to ta miłość nie jest wcale ukryta. Chyba nie odmówicie, Wasiliju Daniłowiczu?

— Poszedłbym na to... Ale tam znów mi to zwałą na głowę. — Czetyrdeszew wskazał ruchem głowy na rysunek i rozporządzenie, które białą na wielkim pustym stole.

— O nie — rzekł Onisimow — jeśli pozwolicie, to tę część waszych obowiązków wezmę na siebie ja.

— Skoro tak...

— No to świetnie! Dobiliśmy targu! — zawołał zadowolony Onisimow.

W popielniczce dymił jeszcze papieros, ale on wziął już następnego. Znów zapala zapałkę i Hśa niech to diabli! — płomyczek dygoce szybko, zdradzając zaczynające się znowu drżenie palców. Tak właśnie, z wolna, raz ustępując, to znów się pojawiając, skradała się do niego ta dziwna choroba.

Onisimow nie zdawał sobie sprawy, skąd się bierze ta dolegliwość, my jednak wiemy. Nigdy jeszcze nie przeżywał tak silnego napięcia wynikającego ze zderzenia nakazu z wewnętrznym przekonaniem. Do tej pory zawsze akceptował w myśli, był przekonany o słuszności tego, co wykonywał. Teraz po raz pierwszy nie wierzył — nie wierzył, ale przystąpił do realizacji.

24

Epizod, który teraz zamierzamy odtworzyć, został utrwalony dzięki szczegółowemu zapisowi w dzienniku Czetyrdeszewa, zajmującemu niemal trzy strony zeszytu.

Miejszem akcji był tenże gabinet, gdzie jak dawniej błyszczał nienagannie jasny parkiet, a także pusty, nawykły do surowej ciszy korytarz.

Wasilij Daniłowicz, który trzy miesiące temu został dyrektorem ośrodka naukowo-badawczego metalurgii, przyjechał tego

zimnego listopadowego dnia do ministerstwa, aby uzgodnić plan prac, a jednocześnie zakończyć niektóre inne sprawy. Poszedł wprost do sekretariatu ministra, kiwnięciem głowy odpowiedział na ukłon dyżurnego sekretarza, który wstał z krzesła, i burknął:

— Można?

— Oczywiście, bardzo proszę, Wasiliju Daniłowiczu.

Kiedy Czelyszew otworzył pokryte politurą drzwi, zorientował się, że trafił na konferencję. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co jest tematem obrad i jakich gości zebrał u siebie Onisimow, który ze swego fotela uśmiechał się uprzejmie do akademika. Wpadnięta górna warga, która uniosła się w uśmiechu, ukazała rząd białych zębów. Ukazały się też ostre kły. To słynne Onisimowowskie szczyrzenie zębów było, o czym Czelyszew wiedział, sygnałem tajonego rozdrażnienia. Wasilij Daniłowicz zauważył też kogoś obcego, kto nie wiadomo dlaczego przyciągnął jego uwagę. Czy jednak naprawdę ten człowiek był mu nie znany? Czelyszew widział już gdzieś tę wbrew siwiźnie wcale nie starą jeszcze, czerwonałą twarz, wychłostaną jak gdyby wiatrem i mrozem. Przymrużone z lekka, otoczone siateczką zmarszczek oczy wpatrywały się z ciekawością w głównego wielkopieczownika Kraju Rad. No tak, to przecież ten pisarz! Deputowani do Rady Najwyższej, w skład której wchodził także Wasilij Daniłowicz, swego kolegę deputowanego Pyżewa nazywali po prostu pisarzem. Pyżow był autorem kilku głośnych i niewątpliwie nietuzinkowych powieści. Nie przygotowany na to, że spotka dalekiego przecież od spraw produkcyjnych pisarza na konferencji u ministra walcownictwa i wytopu stali, Czelyszew nie rozpoznał go od razu. Czego może szukać tutaj pisarz? Zresztą, chyba gdzieś czytał notatkę, że Pyżow pracując nad nowym utworem spędził kilka tygodni w rodzinie wytapiacza na Uralu. Tak, to właśnie przypomniał sobie Czelyszew.

A reszta obecnych? Paru członków kolegium, kilku moskiewskich profesorów-metalurgów, stenografistka przy oddzielnym stoliku i... Kim jest ten tęgi mężczyzna o chorobliwym wyglądzie, z nabrzmiałą, pozbawioną rumieńca twarzą, który siedzi w fotelu naprzeciwko ministra? Swobodnie rozpięta marynarka w dobrym gatunku, pod nią gruby zielony sweter... Ten człowiek nie spojrzał nawet na wchodzącego Czelyszewa. Mówi teraz kwaśno do Onisimowa:

— | ipi Róbcie,

co chcecie, ale potrzebne mi jest przedstawicielstwo wo w Moskwie.

No, no, minister zaraz mu pewnie przyłoży za taki ton. Nikomu nie wolno sobie tutaj pozwalać na taki ton. A jednak Onisimow odpowiada mu cierpliwie, z tym swoim uśmiezkiem ukazującym zęby.

— Ja jestem waszym przedstawicielem w Moskwie. Możecie mi rozkazywać.

— Nie mogę wam jednak zawracać głowy byle głupstwem. To krępujące.

— Ależ dlaczego? Każde wasze życzenie zostanie spełnione. Otrzymacie nawet samolot do dyspozycji, jeśli go zażądacie. A jeśli będą wam potrzebne, powiedzmy, małe gwoźdźniki, też to zlecąjcie mnie. Załatwienie ich dla was sprawi mi tyle przyjemności. Powtarzam, ja jestem waszym zaopatrzeniowcem, waszym przedstawicielem.

Mężczyzna w rozpiętej marynarce zastanawiając się spoglądał po sali. Oczy mu płonęły. To niezwykle płomienne spojrzenie było najbardziej charakterystyczną cechą tego człowieka.

Oczywiście, to przecież Leśnych! Ten sam Leśnych, któremu poświęcony został tajny dekret podpisany przez Stalina. Wasilij Daniłowicz widział tego człowieka tylko raz, kilka lat temu, kiedy był on jeszcze nie uznawanym, hardym wynalazcą. Leśnych przyszedł wtedy do niego ze skargą i miał na sobie wytarty, wyświecony garnitur. I nie rozwał się, oczywiście, tak swobodnie w fotelu, nie używał takiego rozkazującego tonu, choć jego oczy płonęły takim samym maniakałnym blaskiem.

To dziwne, ale Wasilij Daniłowicz mógłby wiele wybaczyć temu inżynierowi, który stał się zarozumiały, odgrywał ważniaka, a to tylko dlatego, że zachował takie spojrzenie.

Kiedyś także Czetyrzew uważany był za ważniaka, kiedy bez żadnych oporów starał się wybudować pozostawiony mu w testamencie przez Kurako, nie spotykany jeszcze w Rosji olbrzymi wielki piec posłuszny woli człowieka. Od tamtych czasów upłynęło wiele lat, Czetyrzewowi dane było zaspokoić w pełni jego inżynierski apetyt, sam stał się innym człowiekiem, ale ów rzadki blask w spojrzeniu nakierowany do wnętrza, skoncentrowany w jednym punkcie, właśnie ten blask usposabiał go teraz nieco pozytywniej do Lesnycha.

Stary akademik spogląda jeszcze przez chwilę spod nastro-

szonych brwi na inżyniera, któremu groźny minister gotów był służyć w charakterze posłańca do specjalnych poruczeń, i chmurzy się jeszcze bardziej. W hucie doświadczalnej ośrodka naukowo-badawczego metalurgii pod Moskwą, a tym zakładom Czełyszew poświęcał sporo czasu i bywał tam co tydzień, wydzielono miejsce dla Lesnycha, dla jego pieca przytransportowanego samolotem z Nowosybirsk. Czełyszew ani razu nie zajrzał do tej części hali ukrytej za przepierzeniem z blachy; zawsze przechodził tamtędy bez zatrzymywania się. Onisimow bywał za to w hucie wielokrotnie, spędzał wiele godzin przy piecu Lesnycha, osobiście, nie wciągając w to Wasilija Daniłowicza, wydawał polecenia dyrektorowi zakładów, dawał wszystko, o co prosił wynalazca. Odwiedzali także Lesnycha profesori-metalurzy z Moskwy. O, właśnie tu siedzą: szczupły, sprężysty Bogatkin, spoglądający wieloznacznie przez swoje okulary, i łysy, należący do plemienia kochających życie grubasów, ale teraz jakiś ponury Izaczyk. Ci dwaj wybitni specjaliści w dziedzinie elektrometalurgii byli niegdyś członkami komisji, która kategorycznie i jednogłośnie odrzuciła wynalazek Lesnycha. Okrutny rozkaz Stalina sprawił, że obaj muszą teraz sprzyjać wynalazkowi, dopracowywać technologię, zapinać na ostatni guzik metodę, której zaakceptować nie chcieli.

Chwalić Boga on, Czełyszew, nie dał się w to wciągnąć i nie chce nic o tym wiedzieć. Nie wchodzi więc do gabinetu ministra: tkwi chwilę na progu, potem odwraca się gwałtownie i wychodzi.

25

Zaraz potem drzwi gabinetu znów się otwierają i wychodzi stamtąd Pyzow.

— Wasiliju Daniłowiczu! — woła już w korytarzu na Czełyszewa.

Czełyszew przystaje i odwraca się. Pisarz idzie ku niemu szybkim krokiem, niosąc jak zwykle wysoko, z godnością siwą głowę. Krok ma sprężysty, męski, elegancki. Zresztą cała jego postawa jest wyjątkowo sympatyczna: plecy zaskakująco proste, ramiona szerokie. Szary wełniany garnitur w drobną kratę- czkę leży na nim nienagannie, chociaż kanty spodni i klapy

marynarki aż się proszą o żelazko. Jednak ta ledwie zauważalna niedbałość w ubiorze też jest sympatyczna. Na pięknej twarzy, czerwonej jak twarze szyprów w starych powieściach, na twarzy, z powodu której jeden z przyjaciół pisarza ochrzcił go przezwiskiem „Malinowy Kot”, widać nieśmiały uśmiech. Aż dziw, jak u tak znanego, nawet sławnego pisarza, a przy tym politycznego zawiadaka, zahartowanego we wstrząsach epoki, obdarzonego zaufaniem Stalina — zaufaniem i, naturalnie, podejrzliwością — mógł się ostać taki niepewny, proszący o wybaczenie uśmiech.

— Pozwólcie, że się przedstawię, Wasiliju Daniłowiczu. Jesteśmy, że tak powiem...

— Owszem... Znam was, towarzyszu Pyżow. I czytałem wasze książki. A cóż to was sprowadza do naszej parafii?

— Postanowiłem napisać powieść o metalurgach.

— Jakżeście doszli...

— Do czegoś takiego? — podchwytuje pisarz.

I śmieje się zaraźliwie na wysokich nutach, niemal chichoce. W pełnej powagi ciszy korytarza dźwięki te są czymś dziwnym, niebywałym. Otwierają się jakieś drzwi, ktoś wygląda ze zdziwieniem i drzwi się zamykają.

Ci, którym zdarza się bywać w towarzystwie pisarza, znają ten jego serdeczny śmiech, jaki pozostał mu jeszcze z czasów młodości. A przecież niebieskie, zadziwiająco czyste, płomienne, z latami zmętniałe nieco oczy Pyżowa wcale się nie śmieją. Tak to już z nim bywa, że śmieje się także wówczas, kiedy wcale nie jest mu do śmiechu. Czasami za pomocą takiego oto śmiechu, który trudno niemal odróżnić od prawdziwego, ukrywa swoje wnętrze, galimatias, jaki w nim panuje.

Pisarz przerywa gwałtownie swój chichot, robi się natychmiast poważny i mówi:

— Przecież jako młody chłopak studiowałem w Instytucie Stali. Miałem poważne zamiary, chciałem zostać inżynierem. Odszedłem jednak z drugiego roku, wybrałem, że tak powiem, inny zawód na towarzysza życia. (Dość często, szczególnie kiedy był zmieszany, Pyżow używał tego „że tak powiem”.) Onisimowa znam jeszcze z tamtych czasów. Już wtedy koledzy mawiali do mnie: napisz coś o nas... No i dopiero teraz naszła mnie ochota, aby napisać o nich — dzisiejszych metalurgach. Widzicie więc, że jestem z tym jakoś związany. Chcę odczuć, że tak

powiem, na własnym grzbiecie, co to jest powieść produkcyjna.

Pyżow mówi, ale jego niebieskie oczy rejestrują wygląd Czetyłyszewa — jego wpadnięte usta, ostry wykrój nozdrzy, wyraziste łuki brwiowe — rejestrują to wszystko wzrokiem artysty, który zdecydował się już, że namaluje tę twarz, tę postać z właściwymi jej cechami.

Pyżow mówiąc o sobie niewątpliwie powiedział prawdę, ale była to prawa powierzchowna. A zresztą, czy sam pisarz znał, czy uświadamiał sobie głębszą prawdę o sobie? Czy przewidywał niedaleką już — ot, w zasięgu ręki — ostatnią tragiczną stronicę swego życia? Nie wybiegajmy jednak do przodu. Być może w następnej opowieści, jeśli autorowi dane będzie ją napisać, spotkamy się jeszcze z Pyżowem, jednym z najbardziej interesujących ludzi tamtych czasów. Na razie zasady kompozycji i proporcji głównych zrębów powieści pozwalają na udzielenie mu tylko odrobiny miejsca.

Pisarz nie ukrywał przed samym sobą, a czasami informował też o tym swych dawnych kolegów po piórze, że zaplanował nową rzecz (znany już był jej tchnący wyzwaniem tytuł *Odewanie stali*), a czynił to także w tym celu, aby zachęcić całą piszącą brać do wytyczenia nowej drogi dla literatury.

Zresztą nie tylko dla literatury. Nieposkromiona żądza zaszczytów właściwa Pyżowowi (w chwilach refleksji, a może rozpaczy, sam przeklinał tę fatalną słabość) ogarniała cały front sztuki, że posłużymy się znowu terminologią tamtego okresu. Pisarz chciał stać na czele, poprowadzić za sobą wszystkie talenty artystyczne Kraju Rad. Poprowadzić za sobą... Określenie to znaczyło dla Pyżowa, że z wojowniczą pewnością siebie ma bronić, wyjaśniać punkt widzenia partii albo, co uważane było za to samo, zdanie Stalina. Jeszcze w latach dwudziestych, w czasie namiętnych partyjnych dyskusji raz na zawsze uwierzył w Stalina. Również później, tłamsząc w sobie strach, co uprzytamniał sobie czasami z dręczącym wstydem, on, komunista Pyżow, nawet wtedy, kiedy się zapijał, kiedy, jak to sam barwnie określał, szedł w tango (a zdarzało mu się to coraz częściej), kiedy balował, szukając pociechy w rozdzierająco smutnych pieśniach ludowych i piosenkach więziennych, nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie zdradził Stalina. Gwoli tego musiał iść czasami na układy z własnym sumieniem, bowiem groźny Gospodarz nie wyróżniał się jak wiadomo wykwiutnym smakiem

artystycznym i popierając czasami dzieła naprawdę dobre, windował także nieszczęsną pompatyczność i zwykłe lizusostwo. A przecież sumienie pisarza było żywe...

Zdaje się, że w tym miejscu dotykamy także tragedii tego człowieka.

Swój nowy pomysł ujawnił Pyżow na wielkim wieczorze literackim, urządzonym z okazji jego pięćdziesiątych urodzin. Przyglądając obiema dłońmi piękne siwe włosy (Pyżow-mówca posługiwał się takim właśnie gestem), patrząc z uwagą w przestrzeń, jak gdyby wyszukiwał najczystszych, najszczerzych, najcelniejszych słów, przysiągł wierność Stalinowi. Jego niezbyt dźwięczny na co dzień głos stał się nagle niebywale donośny: „Przysięgam, że do ostatniego tchu wierny będę jego sprawie, jego sztandarowi, jego imieniu.” Czuło się, że ta przysięga to nie puste słowa, które także padały w tamtych czasach. Podniecenie, jakie ogarnęło Pyżowa, wcale nie ukrywany dreszcz wewnętrzny, przekazywały im swoją siłę. Sala, która niejedno już widziała, ucichła.

Po pewnym czasie zaprosił pisarza jeden z sekretarzy Komitetu Centralnego. Pyżow często wpadał do KC. Trzy miesiące wcześniej tak samo został wezwany do sekretarza. Zastanawiano się nad utworzeniem czegoś w rodzaju zjednoczenia lub federacji mistrzów literatury i innych sztuk. Sekretarz zapytał wtedy: „Mam nadzieję, że nie odmówisz i przyjmiesz godność przewodniczącego?” Pyżow zgodził się bez krygowania, a nawet z radością. Sekretarz uśmiechnął się: „Lubisz władzę, co?” „Grzesznik ze mnie, ojczulku” — odpowiedział Pyżow i zaczął chichotać na wysokich aż do falsetu nutach.

Utworzenie federacji literatury i sztuki nie doszło do skutku. Prawdopodobnie Stalin stracił serce do tego pomysłu. Teraz sekretarz zaczął o czymś innym:

— Pisziesz o metalurgii?

— Na razie dopiero się przymierzam. Szukam materiałów.

— Ty szukasz, a tymczasem samo życie postanowiło ci coś podpowiedzieć. Josif Wissarionowicz polecił zapoznać cię z tym dokumentem.

Po takim krótkim, lecz wystarczająco wymownym wstępie przekazano pisarzowi podpisaną przez Stalina decyzję Rady Ministrów dotyczącą nowej metody elektrometalurgicznej, wynalazku inżyniera Lesnycha.

— Zastanów się bez pośpiechu — dodał sekretarz. — A potem zadzwoń, daj znać, czy ta sprawa przyda ci się do twojej powieści, bo Josif Wissarionowicz może o to zniecka zapytać.

Pisarz natychmiast właściwie ocenił dokument, który z woli Stalina znalazł się w jego rękach, i zapalił się do tego pomysłu. Miał już nieco wrażeń z kilku wyjazdów do hut, miał już typy hutników — wytapiaczy stali, naszkicował sobie pewne konflikty dramatyczne, ale wszystko to było jeszcze niejasne, niezgrabne, pozbawione jakiegoś głównego węzła lub głównej intrygi, ku której zmierzałyby cała akcja powieści.

Wreszcie ją dostał — i to jeszcze od kogo! — ma ten główny wątek, którego tak bardzo potrzebował. Natychmiast też ujrzał cały temat w nowym układzie lub, jak to się mówi, w nowym szyku; ujrzał jego dramaturgię, filozofię. Tego samego dnia zanotował: „Jądnem powieści jest przewrót w metalurgii. Niesłychana, rewolucyjna metoda otrzymywania stali. Akademię Cz., uczeń słynnego Kurako, bohater pierwszych pięćdziesiąt lat — nie rozumiał. Minister O., członek KC, inżynier-metalurg — nie pojął się, nie pojął. Sprawa doszła do S. On rozumiał i otworzył drogę dla rewolucji w technice.”

Zachwycony podpowiedzianym mu w złą godzinę pomysłem, pomysłem w istocie zdumiewająco efektywnym, zawierającym w sobie rzadkie możliwości rozległej panoramy powieściowej, pełnej napięcia, działania, walki, pisarz z wydanym już nań wcześniej wyrokiem podszedł do akademika na korytarzu ministerstwa. Jako się rzekło, Pyżow miał jeszcze żywe sumienie. Objawiło się ono w zawstydzonym, przepraszającym uśmiechu, który dodawał temu sławnemu pisarzowi i dojrzałemu działaczowi młodzieńczego czaru.

Niektórzy wielbiciel, a zwłaszcza wielbicielki, pisarza uważali, że jedynym brzydkim szczegółem w jego wyglądzie zewnętrznym były za duże, odstające, zawsze czerwone uszy. A przecież te uszy jak kalafiory, uszy rozstawione jak anteny, łapiące oznaki życia, jego szepty i szumy, spodobaly się czemuś Czełyszewowi.

Ukrywając oczy pod nawisłymi brwiami, Czełyszew słuchał bez najmniejszego uprzedzenia tego, co mówił pisarz, nawet czuł do niego sympatię. Mimo to jednak burknął ponuro:

— Czego potrzebujecie ode mnie? Jeśli chodzi wam o te spr

wy... — Tu spojrział w stronę gabinetu, gdzie Onisimow prowadził posiedzenie.

— Tak, tak, tak -5-zatrąkotal pisarz, nie kryjąc ciekawości. To podobne do serii karabinu maszynowego „tak-tak-tak” stało się z latami czymś machinalnym lub, że użyjemy celniejszego określenia, stereotypowym.

— Czy rozmawialiście już o tym z Onisimowem? — zapytał z kolei Wasilij Daniłowicz.

Rozumie się. Jasne.

— No i co on na to? Podzielił się z wami swoją opinią?

— On ma taką zasadę: moja opinia to moja praca. Proszę, siadaj, patrz i sam wyciągaj wnioski.

Czelyszew chrząknął. Czy to możliwe, żeby Onisimow nawet swemu koledze ze studiów, pisarzowi, nie dał do zrozumienia, nie napomknął mu, że ta cała urojona budowa huty z piecami Lesnycha musi się skończyć wielką klapą? Ale widać nie był szczery wobec przyjaciela z lat młodości.

— Hm... Jeśli postanowiliście pisać o tej całej sprawie...

— Tak, tak, tak...

To ja wam się do niczego nie przydam. Uważam ten — tu Wasilij Daniłowicz zaciął się, ale przecież pozwolił sobie na brzydkie słowo -^ uważam ten cały gips za niepoważny i wybaczenie, ale nie chcę o tym rozmawiać.

Z bezwzględnością właściwą polityce, pisarz natychmiast skonstatował, a potem napisał: Czelyszew wyżej już nie podskoczy, gdyż pozostał na jakimś przystanku pędzącej przed siebie rewolucyjnej epoki. Odezwał się jednak w te słowa:

— Po co mamy o tym rozmawiać? Chciałem uzyskać od was informacje o Kurako. I o czasach, kiedy budowano „Nowoural- stal”, o Sergo...

— Jeśli o to chodzi, to wpadnijcie. Bardzo proszę. A rozmawialiście już z którymś ze starych metalurgów?

— Owszem, miałem szczęście. Tak się stało, że trafiłem do szpitala. —■ Tu na niby wychłostanej wiatrem twarzy pisarza pojawia się nieśmiały dziecięco-przepraszający uśmiech: wiadomo przecież, dlaczego on — stary opój, który nie zna miary, trzymany jest czasami przez całe tygodnie w szpitalu. — Tak się szczęśliwie złożyło, że leżał tam Aleksiej Afanasjewicz Gołownia. Każdego dnia zaprzagałem go, że tak powiem, do roboty,

a on opowiadał mi historię naszej metalurgii rozpisaną na role.

Pyżow znowu chichocze na cały korytarz, lecz niebieskie, niegdyś błyszczące, a teraz tknięte martwą białością oczy nie są wcale radosne. Uzgadnia z akademikiem dzień, godzinę spotkania i powraca na posiedzenie.

26

Czełyszew nadal siedzi w znanym sobie gabinecie, w tym przestronnym pomieszczeniu wyłożonym szarozółtym dywanem, i przegląda przyniesione z sobą papiery.

Przez tamte wszystkie lata nie chciał się włączać w sprawę Lesnycha, a jednak wytyczył swemu ośrodkowi naukowo-bada- wczemu zadanie polegające na poszukiwaniu właściwego sposobu, właściwej metody otrzymywania stali z rudy, czyli drogi do metalurgii bezpiecznej. Jeden z najzdolniejszych uczniów Wasilija Daniłowicza postanowił, przy jego poparciu, zająć się tą sprawą i organizował po cichu mocny zespół.

A jednak, co oczywiste, wiadomości o budowie, a potem uruchomieniu przedsiębiorstwa „skrytka pocztowa 332” (taki kryptonim otrzymała wielka huta wartości 150 milionów rubli, zbudowana we wschodniej Syberii w celu wytopu stali metodą Lesnycha) dochodziły do Wasilija Daniłowicza. Wiedział o nieustannych awariach, o przepalaniu garu, o różnych przeróbkach, rekonstrukcjach zbudowanych pieców, o przyjazdach na żądanie Lesnycha niezliczonych autorytatywnych technologów i ludzi nauki, wśród nich owych nieszczęsnych profesorów Iza- czyka i Bogatkina, o przybyciu do zakładów Onisimowa wraz z grupą specjalistów.

Od czasu do czasu pojawiały się w prasie informacje, że pisarz pracuje nad nową powieścią.

Był rok 1953. Pewnego marcowego dnia zakończyła się jedna epoka historyczna i zaświtała kolejna: umarł Stalin. Śmierć przerwała ostatni okres jego władzy — okres starości.

Któregoś letniego dnia tegoż roku Czełyszew został zaproszony na posiedzenie Prezydium Rady Ministrów. Między innymi porządek dzienny zawierał referat Onisimowa na temat wstępnych wyników wytwarzania żaroodpornych stali do silników

rakietowych. Posiedzenie prowadził Beria, który zmienił się jakoś po śmierci Gospodarza. Utył jeszcze bardziej, białe ręce miał wypielęgnowane jak dawniej, ale nienagannie wygolone, niegdyś lśniące gładkie policzki zmatowiały, leżał na nich jakiś cień zatroskania. A jednak Beria był pewny siebie. Popatrywał niebieskimi, zamglonymi oczami przez szkła bez oprawy, czasami przerywał władczo kóremuś z przemawiających, zadawał pytania lub wypowiadał swoje uwagi i chyba nie przeczuwał, nie śniło mu się nawet, że za kilka dni zostanie zdemaskowany.

Nadeszła kolej Onisimowa. Jak zawsze krótko, precyzyjnie i fachowo zameldował o przebiegu wytopów doświadczalnych, o pierwszych niezbyt jeszcze wyraźnych sukcesach, które trzeba było dopiero utrwalić; utrwalić i zmierzać ku jeszcze odporniejszym gatunkom stali.

Onisimow zakończył referat i stał nadal oczekując na pytania. Ktoś siedzący nie opodal Berii zainteresował się perspektywami otrzymywania stali metodą inżyniera Lesnycha.

— Jeśli chodzi o tę stal, nie mogę się do niczego zobowiązać — odpowiedział Aleksander Leontjewicz.

— Nie rozumiem. Istnieje przecież dekret.

— Zalecenia dekretu zostały wykonane. Hutę zbudowano. Obiekt został przyjęty przez komisję rządową i uruchomiony. Akt odbioru podpisany został także przez wynalazcę. Wszelkie jego pretensje i życzenia zostały zaspokojone. Co się zaś tyczy technologii, to zgodnie z dekretem ja nie mam tam nic do powiedzenia.

Wtrącił się Beria.

— Ponieważ już o tym mowa — powiedział znacząco i bez pośpiechu — to muszę stwierdzić, że w danym przypadku towarzysz Onisimow nie stanął na wysokości zadania. Najpierw odrzucił wniosek Lesnycha, a następnie, kiedy okazało się, że ta nowa metoda posiada niewątpliwe zalety, nie znane technice światowej, zajął pozycję krytyczną, myśląc jedynie o tym, żeby dowieść, że metoda Lesnycha nie ma szans na realizację. Takie postępowanie było antypartyjne. (Beria nadal bez najmniejszej żenady uczył partyjności.) Antypartyjne i antypaństwowe. W rezultacie tego nowa metoda Lesnycha znalazła się na skraju przepaści.

Onisimow wysłuchał milcząco tej lekcji. Od dawna potrafił 108

nie wkraczać do walki, uchylać się od niej, jeśli doradzał mu to jego instynkt. Inaczej mówiąc, władał sztuką uników. Zdarzało się jednak, że był odważny. Teraz, po raz pierwszy od wielu lat, przyjął wyzwanie swego wroga.

— Odpowiem na wasze zarzuty — rzekł zachrypniętym głosem.

Kartka papieru, którą trzymał w ręce, drżała. Zdawał sobie, naturalnie, sprawę, jak mocny był jeszcze Beria, wspierający się na podlegających mu wojskach NKWD, który, jak się zdawało, poszedł jeszcze wyżej po zejściu Stalina ze sceny. Jednakże przenikliwa inteligencja, wrażliwy instynkt podpowiedziały Onisimowowi, że bez Gospodarza Beria nie był już taki wszechmocny. Ten wypiełgnowany mężczyzna, który nadal, chociaż przekroczył już pięćdziesiątkę, zasłaniał przeświecającą łysinę specjalnie wyhodowanym długim pasmem włosów, właśnie Stalinowi zawdzięczał swoją nieograniczoną niemal, przerażającą władzę.

Oddajmy jednak Onisimowowi, co mu się należy: tego dnia potrzebna była jeszcze odwaga, męstwo, żeby jawnie przeciwstawić się Berii. Onisimow zdecydował się na taki krok. Jego gładko uczesana głowa, zawsze wciśnięta w ramiona, wydawała się teraz podniesiona w górę. Beria wyciągnął w jego kierunku białą dłoń, jak gdyby chciał powiedzieć — siadajcie, i dodał: Nie dyskutujemy teraz nad sprawą stali Lesnycha. A co się tyczy moich uwag, to możecie odpowiedzieć na nie, towarzyszu Onisimow, w słowie końcowym.

Jednak Onisimow powiedział zdecydowanie:

— Nie, moim obowiązkiem jest odpowiedzieć teraz. Nie pozwolę sobie znieważać. Jako członek KC, jako członek rządu, wymagam zaufania. Owszem, twierdziłem, że pomysł Lesnycha jest z gruntu chybiony i nie może mieć praktycznego zastosowania. Moja opinia ma potwierdzenie w dokumentach. Otrzymałem jednak polecenie zbudowania huty, która miała wytapiać stal według metody wynalazcy. I nigdy nie przybierałem kryty- kanckiej pozy. To oszczerstwo. Stworzyłem inżynierowi Lesny- chowi maksymalnie dobre, najlepsze warunki. Co się zaś tyczy mego prawdziwego stosunku do tego pomysłu, to nigdzie się już więcej na ten temat nie wypowiadałem. Byłem, jestem i będę zdyscyplinowanym pracownikiem myślącym w kategoriach państwowych. Zrobiłem dla Lesnycha wszystko, spełniałem

jego każdą zachciankę, chociaż byłem przekonany, że sprawa skazana jest na niepowodzenie.
^—Trzeba było nie tylko stworzyć mu warunki, lecz razem z nim dopracować technologię
— rzucił Beria.

— W tym celu zaangażowane zostały najlepsze siły naukowe. Cóż jednak można dopracować, jeśli technologia z gruntu jest zła i teoretycznie naiwna?

— Czy to znaczy, że ten Leśnych to awanturnik? — padło czyjeś pytanie.

Według mego odczucia jest to człowiek z żyłką awanturника. Huta do wytapiania stali jego metodą jest niewątpliwie techniczną awanturą. Siedzący pod ścianą Czetyrzew wtrącił:

— Raczej pechowiec niż awanturnik.

Beria ponownie przypomniał, że ta sprawa nie jest tematem dzisiejszego posiedzenia. Jednak wcale go nie słuchano.

— Jakie są koszty tego eksperymentu?

Onisimow wymienił sumę z dokładnością do tysiąca rubli. Ktoś chrząknął. Zabrzmiał jeszcze jeden głos:

— Podobno pisze o tym Pyżow?

Prawdopodobnie tylko wysoka pozycja partyjna i zawodowa Pyżowa, który już publicznie oznajmił o swoim nowym pomysle, pozwalała na zadanie takiego pytania w tym gronie.

— Niewykluczone. Wydaje mi się jednak, że nie ma to nic wspólnego z tą sprawą — odpowiedział powściągliwie Onisimow.

— Czy podzieliliście się z nim własną opinią?

— Nie sądziłem, abym miał do tego prawo. Powtarzam: otrzymałem rozkaz i z nikim nie dzieliłem się swymi opiniami.

Przez chwilę panowało milczenie. Czetyrzew zdał sobie sprawę, że współczuje

Onisimowowi, który pod przenikliwymi spojrzeniami obecnych zachował panowanie nad sobą, jakby był zakuty w jakiś pancerz. Stary akademik wiedział, jak ten odważny, nie tracący rozsądku i zimnej krwi w chwili niebezpieczeństwa, oddany sprawie człowiek musiał się dręczyć swoją wymuszoną dwulicowością.

Onisimow usiadł i wyjął automatycznie z kieszeni pudełko papierosów „Drug”, obrócił je w palcach i położył przed sobą — w tej sali palenie było wzbronione. Czetyrzew spod krzaczastych brwi spojrział na rysunek psa obronnego z wyszczerzonymi

zębami, widniejący na pokrywce pudełka, przeniósł wzrok na Aleksandra Leontjewicza i... uśmiechnął się niespodziewanie.

Wieczorem, kiedy zapisywał w swoim zeszycie wrażenia minionego dnia, poświęcił dwa zdania wypisanemu złotem na czerwonym tle krótkiemu słowu „Drug”.

Minęło kilka tygodni. Pewnego, zaiste wiekopomnego, dnia Beria został obalony. Historycy, a może i pisarze kiedyś odtworzą pewnie w szczegółach ten niezwykle epizod, my natomiast pozostaniemy przy swoim temacie.

Do huty, gdzie główny technolog i pełniący jednocześnie funkcję głównego konstruktora Lesnych bez skutku próbował poprawić wytop w swoich piecach, udała się komisja Ministerstwa Walcownictwa i Odlewu Stali (do jej składu znów powołano znanych nam już Izaczyka i Bogatkina, którzy do gruntu znieawidzili wynalazcę), a potem jeszcze jedna komisja wyznaczona przez Radę Ministrów ZSRR.

Wnioski jednej i drugiej komisji były miażdżące. Lesnycha nie nazywano już inaczej jak błagierem, niemal oszustem, który wprowadził w błąd, wyprowadził w pole państwo. Ogłoszono, że jego metoda jest pozbawiona wszelkiej fachowości i nie wróży nic na przyszłość, prócz nowych niepotrzebnych wydatków. Komisja Rady Ministrów przesłuchiwała kilkakrotnie również Onisimowa. Patrząc niebezpieczeństwu prosto w oczy, Aleksander Leontjewicz sam zażądał zbadania i oceny własnej roli w tej ponurej sprawie. Wyszedł z tego obronną ręką.

Rada Ministrów unieważniła własny dekret podpisany niegdyś przez Stalina i poleciła ministerstwu przerwać doświadczenia z wytopem stali według metody Lesnycha.

A co stało się z Lesnychem? Z woli Stalina (co prawda na razie pod nagłówkiem „ściśle tajne”) ogłoszony wielkim technikiem, autorem rewelacyjnego przewrotu w metalurgii, człowiek ten był tak ogłuszony własnym upadkiem, że, przepędzony z huty, zhańbiony, dostał zawału. Potem nastąpił drugi zawał, a wreszcie wylew krwi do mózgu.

Właśnie teraz, kiedy Onisimow musiał pożegnać się z przemysłem i wyjechać do Tiszlandii, nieszczęsny wynalazca, który z małymi przerwami spędził niemal dwa lata w szpitalach, zwrócił się listownie do akademika Czelyszewa, prosząc, aby pozostawić choć jeden piec jego konstrukcji i przytulić go w Ośrodku Naukowo-Badawczym Metalurgii.

W tej to właśnie sprawie, a także w innych, lecz nie wymienionych w dzienniku, przyjechał Czetyluszew do ministra.

27

Tak więc Czetyluszew siedział teraz w pustym gabinecie ministra. Może wcale nie wspominał tego, o czym przed chwilą opowiedzieliśmy? Po prostu raz jeszcze przeglądał dokumenty ze swej teczki, przygotowując się do czekającej go rozmowy.

Sekretarka pozostawiła drzwi półotwarte, a nie otwarte na oścież (tego rodzaju połowiczność też należała do niepisanej etykiety ministerialnej, była znakiem, że chociaż minister nie jest obecny, to jednak w jego gabinecie przebywa jakiś szacowny gość) i z sekretariatu dobiegały głosy niewyraźnej rozmowy.

Czyżby przyjechał minister? Czy to nie jego grzmiący bas? Wasilij Daniłowicz wstaje i podchodzi do drzwi.

Rzeczywiście, w sekretariacie stoi zwalisty rumiany Cichonia. Kilka osób czeka na audiencję. Wszyscy stoją tak samo jak minister, który nie zauważył jeszcze akademika i rozmawia z kimś kwaśno. Aha, stoi przed nim Gołownia-junior, dyrektor huty imienia Kurako, czyli po prostu Kurakowki. Gołownia słucha ministra z uśmiechem, który trudno nazwać pełnym szacunku. Z takim samym uśmiechem, który może wyprowadzić z równowagi każdego, Piotr Gołownia sprzeczał się, bywało, z Czetyluszewem. Piotr, bo pozwolimy sobie nazwać młodszego z braci po imieniu — wyelegantował się wyraźnie na wyjazd do Moskwy. Jasnobrazowy garnitur w czerwony rzucik wygląda dość szykownie. Jednakże włosy z rudawym odcieniem, uczesane z rana, zdążyły się już trochę zmierzwić. Z pozoru Piotr wygląda na zwinnego, ale jednocześnie jest także bryłowaty: silna dolna szczęka, mocna szyja, a także cała figura, zwłaszcza z tyłu, od strony pochylonych pleców, wydaje się tak samo niedź-wiedziowata jak postać jego brata. Cichonia robi Piotrowi wyrzuty:

— Dlaczego, Piotrze Afanasjewiczu, zgłaszasz się zaraz do KC? Nie mogłeś to przyjść do mnie? Albo napisać do nas, do ministerstwa?

Ten wyrzut brzmi dobrotliwie. Nie słychać w nim ostrości, 112

uporu, ciętości — tego Onisimow nie przekazał swemu uległemu zastępcy.

Piotr na to:

— Jako członek partii korzystam z należnych mi praw. A jeśli jestem przekonany, że mam rację, będę walczył aż do zwycięstwa.

— Boże drogi, przecież sami zorganizowaliśmy ci wszystko.

■— Znam ja już waszą organizację, towarzyszu ministrze.

— A więc twoim zdaniem jest do niczego?

Piotr nie zdążył odpowiedzieć. Ktoś z obecnych ujrzał już Czetylszewa w otwartych drzwiach i uklonił mu się. Cichonia odwraca się:

— Witam, Wasiliju Daniłowiczu. Wybaczcie mi spóźnienie. — I znów mówi do Piotra: — Ale ty jesteś... Dobra, poczekaj. Najpierw załatwię sprawę z Wasilijem Daniłowiczem, a potem porozmawiamy z tobą...

W gabinecie minister sadza akademika w fotelu, sam zaś zajmuje miejsce nie za biurkiem, lecz obok gościa.

Wasilij Daniłowicz bez zbędnych słów otwiera teczkę, którą przywiózł ze sobą, i mówi:

— Otrzymałem list od tego biedaka... Od Lesnycha.

— A-a... I co się z nim teraz dzieje?

— Prawie dwa lata tułał się po szpitalach. Teraz zdaje się, nieco wyzdrowiał. Prosi, abym zabrał do siebie chociaż jeden z jego pieców. No cóż, trzeba będzie wziąć...

— Zdaje mi się, że zreflektowaliście się za późno. O ile wiem, z jego pieców nic już nie zostało.

gj Jak to? Nie zachował się ani jeden? Gdzie się podziały?

— Wiadomo — na złom.

— Taak... A ten mały eksperymentalny, który zmagistrował w Nowosybirsku? Przecież zabrał go do huty.

— Zaraz to dokładnie wyjaśnimy, Wasiliju Daniłowiczu.

Cichonia podchodzi do stolika z telefonami i wykręca jakiś numer.

S Iwan Aleksandrowicz? Czołem! Mam pytanie w sprawie Zakładów Jenisiejskich. Tak, tak, wiem, że tam byłeś. Czy zostało coś jeszcze z pieców Lesnycha? Tak, tak... Nawet byłeś przy tym? A ten mały, który on ze sobą przywiózł? Też? Rozumiem. No to cześć...

Cichonia odkłada słuchawkę i mówi:

— Pocięli palnikiem na kawałki i oddali do przetopu.

— Ten mały też?

Wszystko. Iwan Aleksandrowicz sam był przy tym obecny; także Bogatkin, Izaczyk. Bardzo byli źli na tego Lesnycha.

— — Cholera, ale dzicz. Prawdziwa Azja. Postępujemy jak...

Wasilij Daniłowicz nie znajduje właściwego słowa i klnie raz jeszcze.

— No to macie teraz materiał do swoich dzienników — żartuje Cichonia.

— Wielkie dzięki.

Akademik ogranicza się do tej repliki — bo cóż można jeszcze powiedzieć? — i przechodzi do następnej sprawy. Przez pewien czas minister i Czetyrzew zajęci są różnymi zagadnieniami dotyczącymi ośrodka naukowo-badawczego. Drzwi otwierają się bezszelestnie i do biurka podchodzi Waleria Michajłowna.

— Proszę was do telefonu, Wasiliju Daniłowiczu. Czy będzie pan rozmawiać?

Czetyrzew kręci się niespokojnie, spogląda na zegarek. Hm, już w pół do trzeciej. ^ir-śj Czy to ona? — wrywa mu się z ust. ' Waleria Michajłowna wie, że „ona” to żona Czetyrzewa, Anna Stanisławowna. Starzy metalurzy wiedzą, że jeszcze w czasach Nowouralskoju punktualnie o drugiej po południu dzwoniła codziennie do męża albo poszukiwała go telefonicznie na wydziałach i kazała przychodzić na obiad. Główny inżynier rozkładał tylko ręce i ogłaszał przerwę w prowadzonych rozmowach, gdyż nie śmiał nie posłuchać Anny Stanisławowny. Teraz postąpił podobnie.

— Powiedzcie jej... Powiedzcie, że już wyjechałem. Bardzo was proszę, Walerio Michajłowno.

Doświadczona sekretarka uśmiecha się i wychodzi. Bo też jest się z czego śmiać. Dziwny człowiek z tego Czetyrzewa. Nie bał się awarii, wycieków surówki, wybuchu pieców, nie zląkł się zirytowanego Stalina, a żony się boi.

Wasilij Daniłowicz kończy szybko swoje sprawy. Żegna się z ministrem. Cichonia odprowadza do sekretariatu szacownego gościa. Widząc ministra, wszyscy obecni znów wstają. Tej su- bordynacji podporządkowuje się także dyrektor Kurakowki.

Czetyrzew ściska wielką dłoń Cichoni. Aha, trzeba się jeszcze dowiedzieć nowinek na temat likwidacji ministerstwa. Czy ta

burza, na którą się zbiera, wybuchnie? Pyta więc bez skrępowania:

— I co ja powiem Aleksandrowi Leontjewiczowi? Wyjeżdżam z ministerstwa, a co zastanę po powrocie?

— Zastaniecie ministerstwo. Nas to nie dotyczy — odpowiada niefrasobliwie minister. I dodaje: — Przekażcie mu moje serdeczne pozdrowienia.

Wszyscy obecni w sekretariacie przyłączają się do życzeń.

— Ode mnie też mu przekażcie.

— I ode mnie...

Czy naprawdę wszyscy? Nie. Piotr Gołownia milczy.

Uśmiech i pozdrowienia przekazuje Onisimowowi także Waleria Michajłowna:

— Powiedzcie Aleksandrowi Leontjewiczowi, że wszyscy oczekujemy go znowu w Moskwie.

— Tak, tak — potwierdza Cichonia. — I tylko patrzeć, jak się go doczekamy.

Piotr Gołownia dalej milczy. Zaciśnął usta. Szare oczy koloru stali patrzą nieprzejednanie.

Wasilij Daniłowicz zerka na niego mimo woli. Tak, ten obrał prosty kurs i nie bawi się w żadne kluczenie. Nie zapomniał widać niczego, nie przebaczył.

Czetyrdeset raz jeszcze kiwa wszystkim głową i opuszcza gabinet.

28

Szesnastoosobowa delegacja radziecka na międzynarodową wystawę przemysłową przyleciała wieczorem do stolicy Tiszlandii i z lotniska udała się taksówkami do hotelu.

Opis północnego miasta z jego przytulnymi willami, budzącymi respekt biurkami, wznoszącymi się w niebo protestanckimi świątyniami, opis wieczornych świateł tego miasta, jego sklepów i sklepików, restauracji i ulicznych ruchomych barków niechaj pozostanie poza ramami naszej opowieści.

Następnego dnia rano pojechali do ambasady radzieckiej i nie musieli czekać ani chwili w sekretariacie. Ledwie się tam znaleźli, drzwi gabinetu ambasadora otwierają się i na progu staje uśmiechnięty Onisimow. Jego ożywione oczy patrzą z radością na rodaków ubranych w moskiewskie, niemodne marynarki i szerokie spodnie w starym stylu.

Proszę do mnie, towarzysze. Proszę...

W gabinecie znalazło się kilku pracowników ambasady. Już dawno nie widzieli Aleksandra Leontjewicza tak ożywionego. Nawet wpadnięte policzki, które ostatnio zrobiły się bledsze, nabrały świeżej barwy. Miało się wrażenie, że przyjezdnych gości wita tamten dawny, tryskający energią Onisimow.

Goście nie musieli się tłoczyć, gdyż gabinet ambasadora był obszerny. Przedstawiali się kolejni, witali z Aleksandrem Leontjewiczem. Onisimow znał już niektórych, bo tak czy inaczej spotykali się w pracy, która teraz wydawała się jakże odległą, jak gdyby należała do jakiegoś innego, zakończonego już życia. Ściskając dłonie, znajdując dla każdego kilka serdecznych słów, zerkał cały czas na Czetylszewa, który nie kwapił się z podejściem do niego. Wysoki, z brzuszkiem niezbyt widocznym pod lekką, jasną, dobrze skrojoną marynarką, błyskający co chwila skrzącymi się źrenicami, osadzonymi głęboko pod wydatnymi łukami brwiowymi, Czetylszew pośród tych szesnastu był dla Onisimowa najdroższym gościem. Dokładnie trzydzieści dwa lata temu, latem 1925 roku, młody Onisimow, wówczas student-praktykant, ujrzał po raz pierwszy ponurego, zamkniętego w sobie Wasilija Daniłowicza, głównego inżyniera w ledwie dyszących, zburzonych zakładach, i od tej pory... Ileż to już razy łączyła ich wspólna sprawa — metalurgia, której obaj oddali się bez reszty.

Wreszcie także Wasilij Daniłowicz uściśnął mocno dłoń Onisimowa.

. s — Przywieźliście świeże gazety? — zapytał Aleksander Leontjewicz.

Nie, Czetylszew nie zabrał świeżych moskiewskich gazet. I nikt z grupy nie wpadł na ten pomysł.

Wasilij Daniłowicz, który już od pierwszego spojrzenia zauważył, jak zmienił się, jak schudł Onisimow, teraz znów pomyślał: „Już nie ten sam człowiek. Przedtem zawsze na pierwszym miejscu stawiał pracę, tylko pracę, a teraz gazety...” Zaraz jednak przemknęła mu inna myśl: „Dla niego gazety są chyba także pracą.”

Chwilę potem nikt już nie miał wątpliwości, jak bardzo Onisimow jest oddany swoim obowiązkom. Zaczął mówić o sprawach służbowych i zapytał, jak Tiszlandczycy powitali delegację, czy dostali dobry hotel, wskazał, dokąd należy pojechać,

podsunął pomysł kilku interesujących wycieczek, podał trasę, udzielił rad. Prosił, aby o nim nie zapomniano, by towarzysze zwracali się doń w każdej sprawie, by zdali mu relację z wyjazdów, by przekazali wszystkie swoje wrażenia. Widać było, że rad by zatrzymać swoich gości, którzy jeszcze wczoraj chodzili po ulicach Moskwy, lecz niestety czas płynął.

— Każda godzina jest dla was droga, towarzysze. Nie mam prawa was zatrzymywać.

Odprowadzając gości do drzwi, Onisimow dotknął rękawą Czetyłszewa:

Zaglątajcie do mnie, Wasiliju Daniłowiczu. Zaglątajcie jak najczęściej.

Czetyłszew zobaczył proszące spojrzenie, którego nigdy przedtem nie widział.

— Naturalnie, że wpadnę, Aleksandrze Leontjewiczu.

W dzień otwarcia wystawy Towarzystwo Przemysłu i Handlu urządziło przyjęcie na cześć delegacji radzieckiej. Ubrany w surdut, bładawy, z wyraźną linią przedziałka na masywnej głowie, Onisimow przechadzał się po salach, które wypełniał tłum zaproszonych. Podchodzili doń przedstawiciele miejscowej elity, a także dyplomaci z różnych państw. Był dla każdego miły, każdemu użyczał uwagi, uprzejmy uśmiech odsłaniał co jakiś czas jego zęby. Jak zwykle skłaniał ku sobie ludzi brakiem jakiegokolwiek afektacji, pychy, zniewalał ich prostotą, która jednocześnie zdradzała światowca. W tym olśniewającym, hałaśliwym tłumie nie mógł znaleźć chwili, aby zająć się rodakami. Spoglądał tylko na nich z rzadka ze skrywanym smutkiem. Nie był teraz panem samego siebie. Najważniejsze były obowiązki. Ta myśl, która przebiegła mu przez głowę, sprawiła mu przykrość. Przecież kiedyś, w minionych dziesięcioleciach, w przeszłym życiu, nie pomyślałby, nie powiedziałby tak. Obowiązki oznaczały część jego samego. Kiedyś jedno i drugie było nierozłączne.

Zatrzymując się i przechadzając w tłumie, odpowiadał na ukłony, uśmiechał się, nawiązywał krótsze lub dłuższe rozmowy. Odnalazł wreszcie Czetyłszewa i znów go poprosił:

— Wpadnijcie do mnie, Wasiliju Daniłowiczu.

Wkrótce Czetyrzew zdołał znaleźć wolny wieczór, aby odwiedzić Onisimowa.

Aleksander Leontjewicz po raz pierwszy przyjmował tutaj w domu, czyli w swoim pustym mieszkaniu, bliskiego znajomego z ojczyzny. Z przedpokoju zaprowadził gościa do salonu. Żyrandol, wykonany pomysłowo z nie ozdobionego niczym, jak wymagał tego najnowszy konstruktywizm, pasa metalu, wygiętego odważnie w ostry zygzak, oświetlał niskie fotele i owalny, niski, nie pokryty niczym stół na wysoki połysk. Obok kanapy, której kształt był znowu połączeniem prostoty i dziwactwa, stał stolik do szachów i dwa zwykłe, nie pasujące do reszty, krzesła. Teraz na tym stoliku stał aparat telefoniczny. Na ścianach oklejonych liliowymi gładkimi tapetami nie było nic. Zakładano widać, że ten, dla kogo wyremontowano i przygotowano to pomieszczenie, dobierze sobie kilka obrazów według własnego gustu. Jednak obojętny także tutaj na wystrój mieszkania Onisimow pozostawił nietknięte, nagie ściany salonu.

Czetyrzew rzucił wokół spojrzeniem spod nawisłych brwi i z właściwą sobie bezlitosną szczerością powiedział:

—t Nie czuć tu Rosji, Aleksandrze Leontjewiczu. W gabinecie, gdzie przyjęliście nas pierwszego dnia, czułem się swobodniej. Pachnie tam, co prawda, kancelarią, ale naszą.

— Patrzcie go, ja też wolę mój gabinet. Teraz daliście mi prawo, aby was tam zaciągnąć.

Gość podszedł do nie zasłoniętego jeszcze okna. Gdzieś w oddali migotały zmieniające się szybko, obce litery neonu z reklamą, a wyżej widoczne były zamglone gwiazdy.

— Ładnie — burknął Czetyrzew.

Onisimow pomyślał sobie, że Wasilij Daniłowicz miałby ochotę wyjść na dwór, posiedzieć, pospacerować we dwójkę po rozległym ogrodzie ambasady, który majaczył za szybami. Jednakże Aleksander Leontjewicz, który nawet przedtem nie uznawał spacerów, tutaj tym bardziej unikał wychodzenia wieczorem na świeże powietrze. Zwrócił bowiem uwagę na to, że na dworze po zachodzie słońca dostawał czemuś dreszczy, a potem w nocy zaczynał się pocić i to do tego stopnia, że koszula robiła się mokra. Wcześniej nic podobnego mu się nie zdarzało. Całe szczęście, że to niezrozumiałe pocenie się nawiedzało go bardzo

rzadko i to tylko wtedy (tak mu się przynajmniej wydawało), jeśli przebywał wieczorem na świeżym powietrzu. Aleksander Leontjewicz nie przydawał znaczenia tym niemiłym objawom, nie on jeden źle znosił tutejsze bardzo chłodne lato. Wolał więc spędzać wolne wieczory w czterech ścianach. Zresztą pod dachem nie męczył go tak bardzo kaszel.

— Wilgotno — mówi, patrząc w okno.

To była odpowiedź na niewyartykułowaną propozycję Wasilija Daniłowicza. ■ rrr A może nie warto się tym przejmować?

Onisimow pochyla na bok wielką, ciężką głowę i patrzy na czerwonawą, ogorzałą od wiatru twarz Czetylszewa. Ile lat ma ten żyłasty hutnik-akademik? Zdaje się, siedemdziesiąt trzy. A Onisimow ma dopiero pięćdziesiąt cztery. Korci go, aby powiedzieć otwarcie: „A dla mnie za wilgotno”, ale nie pozwala sobie na nutę skargi.

^B- Znajdujecie się tutaj pod moją opieką, zechciejcie więc mnie słuchać.

Prowadzi gościa do gabinetu. Wpada tutaj przez okno słaby blask nieba. Smętnie połyskuje wywoskowany parkiet. Czuć zapach dymu tytoniowego. To pomieszczenie jest rzeczywiście ulubionym schronieniem Onisimowa. Od pewnego czasu zaczął sobie nawet słać tutaj na noc i pałac papierosa za papierosem, pokonywał jakoś bezsenność, zapadając nad ranem w krótki, płytki sen.

Drobna dłoń Onisimowa dotyka kontaktu. Gwiazdozbiór żarówek wybuchając pod sufitem opróżnienia ciężkie, nie mające nic wspólnego z modą biurko, okrągły stolik pod telefony, ogromną szafę pancerną, jeszcze jeden okrągły stół, który służy za podstawę olbrzymiego globusa, dwa fotele obite czarnozieloną sztuczną skórą, kanapę o takim samym pokryciu, kilka krzeseł, szafę biblioteczną, przez której oszklone drzwi widać złożone grzbiety tomów Wielkiej encyklopedii radzieckiej i różnych leksykonów. Na ścianie naprzeciw kanapy jaśnieje w świetle elektrycznym portret olejny w złoczonej ramie. Wyprostowany, z rękami na brzuchu patrzy przed siebie Stalin w mundurze generalissimusa. Ileż to razy w godzinach bezsenności Onisimow, rozpamiętując przeszłość, łączył się z nim wzrokiem.

Na biurku leży zapomniane pudełko papierosów „Drug”. Czetylszew lokuje się w fotelu i wyciąga wygodnie długie nogi.

Onisimow siada obok na krześle, zaciąga się papierosem. Najpierw rozmawiają o sprawach bieżących. Dobrze wychowani Tiszlandczycy pod różnymi pretekstami nie wpuszczają radzieckich inżynierów do swoich zakładów metalurgicznych, nie chcą im też pokazać stoczni. Onisimow próbował pomóc, ale on także natknął się na uprzejmą odmowę. Na razie nie da się obejrzeć tutejszej metalurgii. Jeśli jednak dyplomata radziecki nie będzie próżnować, to...

— Przyjedziecie znowu za rok czy dwa, Wasiliju Daniłowiczu. Możliwe, że wtedy otworzą się przed nami niektóre drzwi.

Czełyszew wstaje, podchodzi wielkimi krokami do globusa, obraca powoli olbrzymią kulę zagranicznej produkcji, po której rozplynął się błękit oceanów, i nie posługując się okularami, odczytuje drobniutkie napisy. Nie, mało prawdopodobne, aby miał się tu wybrać powtórnie. Trzeba znać umiar, inni też chcieliby pooglądać świat, a on, Czełyszew, już się najeździł i może teraz posiedzieć w domu.

Onisimow słucha tego z uśmiechem. Pewnie, na górze tak właśnie zareagują, jeśli Czełyszew nagle wyrazi życzenie, by znów odwiedzić ten kraj. Aleksandrowi Leontjewiczowi podoba się ta szczerść gościa, jego pozbawiony dyplomatycznych ogródek sposób mówienia. Wasilij Daniłowicz również w dawnych czasach był z nim zawsze szczery. Można by pomyśleć, że on, Onisimow, rozmawia z Wasilijem Daniłowiczem w dalekiej Moskwie, w swoim gabinecie na Ochotnym Riadzie. Tylko że nie było tam globusa. Znowu ssie go nostalgia, ale opanowuje się i słucha dalej.

Czełyszew mówi teraz o mającym się odbyć światowym kongresie metalurgów w Luksemburgu. Planowane są obrady w sześciu sekcjach, program zawiera niemal dwieście referatów. Radzieccy metalurdzy szykują trzydzieści wystąpień. Czełyszew wymienia najważniejsze tematy. Komitet organizacyjny skorygował nieco nasz wniosek, nie tknął jednak wielkopieco-wników. To zrozumiałe. Wszystkich ciekawi, w jaki sposób Rosjanie zakasowali Amerykanów na tych swoich piecach. Przegląd techniki wielkopiecowej w ZSRR zgłoszony został na posiedzenie plenarne kongresu. Przedstawi go Piotr Gołownia.

Po raz pierwszy tego wieczoru padło nazwisko Piotra Gołowni. Wymieniając je, Czełyszew przypomina sobie, jak Piotr Gołownia mocno zacisnął wargi, nic nie powiedział, kiedy pracow

nicy ministerstwa prosili Czelyszewa, żeby przekazał pozdrowienia Aleksandrowi Leontjewiczowi. A co na to Onisimow? Żadnej reakcji, najmniejszy cień nie przebiega po jego twarzy, na ostro wyciętych wargach nadal widać lekki uśmiech. Całkiem możliwe, że dla niego to dawne starcie, a raczej — potyczka z Piotrem Gołownią pogrzebana została w popielisku czasu i nie wywołuje już zdenerwowania. No cóż, Czelyszew nie zamierza teraz odświeżać tej sprawy. Znow brzmi jego matowy, starczy głos:

— O mnie też nie zapomnieli. Mam być współprzewodniczącym kongresu. Może się zdarzyć, że trzeba będzie powiedzieć kilka miłych słów wielkiej księżnej Luksemburga. Boję się tego, bo jeszcze powiem coś nie tak.

I znow Onisimow patrzy na niego przyjaźnie, z pochyloną nieco na bok głową. Akademik kręci kulę globusa, odnajduje maleńkie państwo Luksemburg. Można się spodziewać, że uczestnicy kongresu pojeżdżą sobie po sąsiednich krajach. No i on wtedy się trochę rozerwie. Można liczyć na wycieczkę do Belgii, Francji, do Republiki Federalnej Niemiec. Ci panowie może i będą kłąć w duchu, ale przecież wpuszczą nas do tej lub innej huty. No, a później...

Czelyszew znow kręci globusem. Później ma wielką ochotę obejrzeć Amerykę Łacińską. Przede wszystkim Kube, potem Brazylię, Urugwaj... No i, oczywiście, czekają Stany Zjednoczone — raz na dziesięć lat trzeba tam wpaść, pokręcić się po warsztatach, przy piecach, porozmawiać z hutniczą bracią.

I znow obrót globusa. Ileż to podróży czeka Czelyszewa po ojczystym kraju. Jesienią wyprawi się zapewne w piaski Kazachstanu, by ujrzeć na własne oczy te nowo odkryte pokłady rud rzadkich metali. A wschodnia Syberia? Kraina, gdzie ulokuje się nasza trzecia baza metalurgiczna... Trzeba się tam będzie solidnie pokręcić... Aha, jeszcze o wschodniej Syberii. Koledzy zniszczyli Lesnycha. Wypędzili go z huty na łeb, na szyję. Zresztą, to się chyba stało jeszcze pod waszą obecność, Aleksandrze Leontjewiczu. A potem pocięli jego piece na kawałki i wywieźli do przetopienia. Dostałem od niego list, chciałem mu pomóc, ale cóż teraz można zrobić? Niepotrzebnie pozbawili człowieka rąk i nóg. Jeden piec należało mu zostawić, niechby się z nim męczył. Nikt by na tym nie stracił.

Onisimow słucha bez żadnej reakcji, nie odpowiada. Czely-

szew zachowuje się nagle jak mały chłopiec: zmusza globus do szybkich obrotów i obserwuje jego wirowanie. Oznacza to, że nie oczekujcie tutaj waszego pokornego sługi, Aleksandrze Leontjewiczu. W każdym razie w najbliższej siedmiolatce.

— Ale z was młodziak! — mówi Aleksander Leontjewicz.

I znów w tych słowach słyhać jakiegoś innego Onisimowa. Kiedyś nie wszczywał rozmów na temat młodości, zdrowia, starzenia się. A teraz... Teraz Onisimow nie może się powstrzymać od pytania:

— Zdaje się, że macie siedemdziesiąt trzy lata, Wasiliju Daniłowiczu?

— E tam, stuknęło mi już siedemdziesiąt cztery...

— Coś niebywałego! Chyba znaleźliście wodę życia? Czetylszew odpowiada najspokojniej z właściwą sobie okrutną szczerością:

— Staralem się na wszelkie sposoby trzymać jak najdalej od takich miejsc, gdzie trzeba mówić: „Co pan rozkaże?” Dlatego też uciekłem od was, Aleksandrze Leontjewiczu.

Przedtem Aleksander Leontjewicz nie darowałby pewnie interlokutorowi takiej repliki. Potrafił natychmiast okiełznać nawet tego szanowanego specjalistę, jeśli ów pozwalał sobie za wiele. Teraz jednak wcale mu do tego niepilno.

Ambasador milczy, kaszle i choć próbuje się opanować, kaszel nie ustępuje — jest suchy, szczekliwy, głośny. Wasilijowi Daniłowiczowi żal Onisimowa, zasepia się więc, aby ukryć współczucie. A może niepotrzebnie palnął to, co myślał? A zresztą, niby dlaczego, do diabła, ma dobierać ostrożniutkie słowa? Przecież nie rozmawia z chorym...

Z chorym? Hm... Czetylszew zerka spod oka na Onisimowa, który już opanował atak. Oj, nie najlepiej, źle wygląda Aleksander Leontjewicz. Przegub ręki wyglądający spod mankietu koszuli jest bardzo cienki, wręcz chudy, a do żółtej cery wychudłej twarzy doszła barwa popiołu. A może to tylko to światło? Choć kto wie, może jakaś choroba toczy Onisimowa?

Wasilij Daniłowicz przekazuje Onisimowowi furę pozdrowień, wymieniając kolejno tych wszystkich, od których przywiózł je do Tiszlandii dla Aleksandra Leontjewicza. Zmieniają temat rozmowy. Onisimow interesuje się, co mówią tam na temat przyszłych zmian w zarządzaniu przemysłem. I czy te zmia

ny nastąpią? Czelyszew powtarza mu opinię rumianego ministra: „Nas to nie dotyczy.”

Teraz Onisimow ożywia się. Jeśli informacji o technice, o referatach naukowych, które miano wygłosić na kongresie, słuchał obojętnie, to teraz nabiera zainteresowania, dokładnie wypytuje o wszystko. Bez pośpiechu przebiera w ludziach, którzy kiedyś byli jego podwładnymi, razem z którym kierował przemysłem stalowym. Minister, wiceministrowie, członkowie kolegium ministerstwa, przewodniczący głównych komitetów, dyrektorzy departamentów, dyrektorzy zakładów — cały ten krąg ludzi przyciągał jego uwagę. Chce znać stanowisko, punkt widzenia każdego z nich w sprawie przyszłych reform. Widać wyraźnie, jak Aleksander Leontjewicz przywiązany jest do dawnej pracy, jak myśli o niej unoszą go z poważnej stolicy Tiszlandii do Moskwy, do ministerstwa, do Komitetu. Czelyszewa natomiast niezbyt interesują sprawy zarządzania przemysłem i te wszystkie problemy organizacyjne. Nie jest w tym mocny, może coś napłatać i przyznaje się do tego bez żadnego skrępowania. Chętnie jednak o tych współpracownikach Onisimowa pogada.

Tak więc siedzą pochłonięci rozmową — Onisimow słucha chętnie opinii starego akademika. Kiedyś spędzili razem wiele wieczorów — już to na posiedzeniach u Onisimowa, już to dyskutując we dwójkę jakieś zadanie projektowe albo zagadnienie polityki technicznej — po raz pierwszy jednak rozmawiają bez konkretnej potrzeby, bez tego roboczego napięcia, bez tej energii, którą przedtem promieniował nieustannie Onisimow. Wasilij Daniłowicz widzi, że były przewodniczący Komitetu rwie się całym sercem na tę arenę działania, którą musiał porzucić, i mimo woli interesuje się wszystkim jak gdyby z ubocza. Tak, Onisimow nie ma już siły, aby cokolwiek przedsięwziąć, zmienić, dokonać, a tutaj zbyt często nie ma co robić w długie wieczory, żyje jak na emeryturze. Podczas tego spotkania telefon na stoliku nie zadzwonił ani razu.

Już po północy Onisimow odprowadza gościa na parter do masywnych drzwi wejściowych; potem wchodzi ciężko na schody i trzymając się lakierowanej poręczy, powraca do swego gabinetu.

Dokładnie po upływie doby, około pierwszej w nocy w pokoju Czetylszewa zabrzmiał dzwonek telefonu. Wasilij Daniłowicz, który przebrał się już w piżamę, podniósł słuchawkę.

— Słucham.

— Nie śpicie jeszcze?

Zdziwiony akademik rozpoznał głos Onisimowa.

— Nie.

— Wybaczcie mi, sam wiem, że już późno.

Pauza. Czetylszew milczy, oczekując dalszych słów Aleksandra Leontjewicza:

— Wasiliju Daniłowiczu, czy możecie zaraz do mnie przyjechać?

— Czy coś się stało?

— Tak... Stało się.

— Hm... Już jadę.

— Posyłam po was samochód, Wasiliju Daniłowiczu. Kierowca będzie czekał przy wejściu do hotelu.

Czetylszew ubiera się szybko, usiłując jednocześnie zgadnąć, co ma oznaczać to niezwykle, nocne zaproszenie, owe słowa: „stało się”. Co się właściwie stało?

Onisimow powitał swego gościa na słabo oświetlonych schodach. Czetylszew spojrzał na niego pytająco. Niestety, z wyglądu ambasadora nie da się nic wywnioskować. Wychudłą krótką szyję ściska jak zwykle biały sztywny kołnierzyk. I ciemny krawat jak zwykle zawiązany jest dokładnie. Twarz o regularnych rysach, posłuszna woli właściciela i przywykła do maski obojętności, teraz także nie zdradza tego, co dzieje się w duszy Onisimowa... Tylko wystudiowany, uprzejmy uśmiech, który machinalnie wystąpił na twarz Aleksandra Leontjewicza, choć wcale nie jest teraz na miejscu, świadczy w sposób szczególny o wzburzeniu. Malutkie oczy Czetylszewa rejestrują jeszcze jedną oznakę zdenerwowania: lewa ręka Onisimowa ściska prawą dłoń, aby, jak domyśla się akademik, powściągnąć jej drżenie.

Aleksander Leontjewicz prowadzi gościa do gabinetu. Zamyka dokładnie drzwi. Prosi Czetylszewa, by usiadł. Podchodzi teraz do szafy ogniotrwałej, otwiera ją dwoma obrotami klucza, z ciemnego wnętrza wyjmuje teczkę, która drży w jego dłoni.

Czełyszew czeka. No, co się takiego stało? Z teczki Onisimow wyjmuję kartkę papieru.

— Tę szyfrówkę otrzymałem przed chwilą z Moskwy. Możecie przeczytać. Stało się. Ministerstwa zostały zlikwidowane.

Czełyszew bierze kartkę i czyta informację o likwidacji szeregu ministerstw (ich nazwy zostały wymienione), które do tej pory kierowały przemysłem. Od tej pory zastąpią je organizowane w terenie Rady Gospodarki Ludowej. No i co z tego? Co w tym niebywałego? Czełyszew przypomina sobie rok 1923, kiedy otrzymał decyzję o likwidacji fabryki, w której był głównym inżynierem, fabryki, która działała nawet w czasach wojny domowej, w czasach ogólnego upadku. Przywłókł się do domu i wściekły kopnął nogą krzesło, wołając: „Fabryka zamknięta!” Czy Onisimow czuje teraz taki sam ból?

— Jak zlikwidowali, to zlikwidowali — mówi Czełyszew. — A cóż w tym nowego?

r— Obawiam się, że dyscyplina technologiczna ulegnie destrukcji. I stracimy kadry.

— Pewnych strat nie da się uniknąć — zgadza się Czełyszew. — Gdzie drwa rąbią, tam...

Patrzy na połykający werniksem, wiszący nad biurkiem portret Stalina. I dodaje:

— Jego epoka odchodzi. I wy, i ja pamiętamy jej narodziny. Sami byliśmy nie najgorszymi jej działaczami. Popracowaliśmy nie oszczędzając siebie. Teraz przychodzi nowa zmiana.

Nastroszone siwe brwi nie ukrywają już małych, mądrych oczu.

Onisimow zgniata w popielniczce nie dopalonego papierosa. I znów sięga do czerwonego pudełka. Nie dotknąwszy go jednak, zwraca głowę tam, gdzie wisi portret. Nagle jak gdyby coś w nim pękło:

|— Nie mogę tak rozumować! Dla was jest to epoka minioną. A dla mnie... On mnie uratował. Dosłownie!

„Hm, Stalin go uratował, ciekawe przed kim? — ironizuje w myśli Czełyszew. — Czyżby przed Stalinem?”

— Ale czy to ważne, że mnie uratował? — mówi dalej Onisimow z nieoczekiwanym zaangażowaniem.

Nerwowym szybkim krokiem znów podchodzi do otwartego sejfu, wyjmując stamtąd jeszcze jedną teczkę z brunatnej, wy-

blakłej sztucznej skóry i otwiera ją. Ukazuje się kartka wydarta z notesu — kartka strzeżona przez długie lata, zabrana teraz do obcego kraju. Onisimow podaje ją akademikowi razem z teczką. Każda literka jest wyraźnie wykaligrafowana przez Aleksandra Leontjewicza. W poprzek kartki widnieją słowa napisane już inną ręką. Podpis, świadczący jak gdyby o prostolinijności i żołnierskiej prostocie, pozbawiony jest zawijasów: „J. Stalin.” Czetyrzew czyta z łatwością: „Tow. Onisimow. Zawsze zaliczałem Was i nadal zaliczam do grona swoich przyjaciół. Wierzyłem Wam i nadal wierzę...” — To mój talizman — mówi Aleksander Leontjewicz. Gość dziwi się w myśli. Do diabła, jakże Onisimow ceni ten papier. Nie chciał się z nim rozstać, zabrał go nawet tutaj. Pewnie, dzisiaj też żyje tylko przeszłością. I całkiem możliwe, że nerwami. Tak bardzo zrósł się z dawnymi czasy, które przez wieki nosić będą miano czasów stalinowskich, że nie ma już siły, żeby się dostosować do nowego, żeby znieść zmianę porządków.

A jednak Wasilij Daniłowicz nie zadaje pytań. Bez względu na dawną i, co tu mówić, dość bliską znajomość z byłym ministrem, byłym przewodniczącym Komitetu, wbrew prawu do takich informacji, doświadcza jednak pewnego, właściwego ludziom bezpartyjnym skrepowania, uważając, że nie powinien znać partyjnych tajemnic.

Ale w Onisimowie coś pękło. Ukryta tama, która przez wiele lat, przez całe dziesięciolecie zamykała jego świat wewnętrzny — teraz runęła. I popłynęła spowiedź. Ambasador powierza bezpartyjnemu Czetyrzewowi to, o czym nie mówił żadnemu z przyjaciół (zresztą w jego życiu już dawno nie ma miejsca na przyjaźń), żadnemu z towarzyszy. Nawet wobec żony był skryty, nie umiał się przed nią otworzyć.

A teraz hamulce puściły. Beria! To jego ręka porośnięta rudawymi włoskami unosiła się zawsze nad Onisimowem niezależnie od tego, gdzie się znajdował. I Beria, i Onisimow — członkowie KC, byli ze sobą na „ty”. Bywało, że Onisimow napotykał jego tajemniczy uśmiech i wówczas nie miał żadnych wątpliwości, że pod tym uśmiechem kryje się nienawiść.

Wyznania płyną nieprzerwanie. Wyrrywają się słowa o niezrozumiałych, okropnych aresztowaniach z trzydziestego siódmego i trzydziestego ósmego roku. Wasilij Daniłowicz milczy i pa

trzy w podłogę. Mimowolne ruchy nozdrzy gruzlastego nosa świadczą, jak bardzo pochłonięty i zdenerwowany jest akademik tą szczerością Onisimowa.

Onisimow dalej pozwala płynąć swoim myślom, wnikając w różne szczegóły, i sam się dziwi, że ozywają one w jego pamięci. Inwigilacja jego samochodu. Dręczące myśli, oczekiwanie na uwięzienie. I decyzja: napisać do Stalina. Gdy opuszczał Moskwę, kopię tego listu także zabrał ze sobą. Wyjmuje teraz z szafy kilka stron maszynopisu:

—Przeczytajcie, Wasiliju Daniłowiczu.

Gość zagłębia się w lekturze. Owszem, mocno napisane. Z poczuciem godności. „Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za całą działalność służbową moich podwładnych...”
„Wśród aparatu, którym kierowałem na polecenie Komitetu Centralnego, żadne wrogie akty nie miały miejsca...” I prośba o przeprowadzenie dochodzenia.

— Nawet teraz nie mógłbym nic do tego dodać. Nie zmieniałbym ani jednego słowa — mówi z przekonaniem Onisimow.

—E-e, teraz można by mocniej przyłożyć.

Onisimow nie reaguje na tę replikę. Oczyma duszy widzi przeszłość...

...List przekazany został do rąk własnych Gospodarza. Uczynił to Ufimcew, znany stary bolszewik, bezlitosny wobec wszystkich, którzy się choć raz zawahali, choć nieco zwątpili w Stalina. Znał Onisimowa z wojska i z Moskwy. Zresztą nie tylko znał — już dawno temu stali się nawet krewnymi. Ufimcew był stryjem żony Onisimowa, Heleny Antonowny. Ale człowiek ten potrafił nie zważać na żadne więzy rodzinne. Nie stanął w obronie swego ukochanego wychowanka, który w latach dwudziestych, jako student, głosował na opozycję. Ufimcew uwierzył jednak Onisimowowi, był przekonany, że ten zawsze i w każdych warunkach gotów jest spełnić wolę Komitetu Centralnego, wolę Stalina. Dlatego też ryzykując, że wywoła niezadowolenie Stalina, że go zdenerwuje, narażając się na poważne niebezpieczeństwo, położył przed nim list Onisimowa. Stalin opatrzył list poleceniem: „Powołać komisję.”

Onisimow pali nerwowo, zaciągając się dymem papierosa, chwilami wstrząsa nim silny długotrwały kaszel, ale kontynuuje swoją opowieść. Przesłuchania, wezwania na Kreml; przechadzający się miarowym krokiem Stalin; nie wróżący nic do

brego uśmiech Berii. Aleksander Leontjewicz odtwarza z najdrobniejszymi szczegółami tamtą groźną, pełną nieludzkiego wręcz napięcia chwilę. I oto ocalały wychowanek Sergo wyszedł od Stalina obdarzony nowym zaufaniem i nowym tytułem ludowego komisarza budowy czołgów. Wtedy właśnie przekroczył pewien próg, wszedł w inne czasy.

Wzburzone myśli niosą Onisimowa ku wspomnieniom o Ordżonikidze. I znów zaczyna się zwierzać.

Za oknem ranek. Między nieszczelnie zasuniętymi storami widać pasemko światła. Zaabsorbowany swoją spowiedzią, Onisimow nie rozsuwa ich. Nadal mówi, nie wpuszczając światła poranka, jak gdyby przebywał ciągle w dniu wczorajszym. Chorobliwie blada twarz zrobiła się szara. Oddech też się zmienił — zrobił się częstszy, słyszalny.

— Nie dręczcie się — mruczy akademik. — Uciekajcie z tamtych czasów. Po co wam to wszystko? Macie przed sobą przyszłość.

Jednak myśli Onisimowa znów wracają do przeszłości.

31

Mówi, mówi bez ustanku, dając folgę udręczonemu sercu. Pewnie, pracowaliśmy z honorem. Czy pamiętacie, Wasiliju Daniłowiczu, magnitogorski okres naszego życia? Po co zresztą pytać? Czegoś takiego się nie zapomina!

...Zima czterdziestego pierwszego. Bitwa o Moskwę. W uszance, w półkożuszku, w ciemnych filcowych butach stoi pośród dymiącego zamiecia stepu. Odwalił gazikiem dobrą setkę kilometrów z Magnitki. Obok, przez zwały śniegu zasypujące drogę, przez zamieć przebijają się ciężarówki wiozące do Magnitki ostro zakończone przyzmy ciężkiej, niebieskoczarnej rudy. To mangan — niezastąpiony dodatek, lub, jak mówią wytapia- cze, domieszka, bez której nie wyprodukuje się stopu żelaza przeznaczonego do produkcji pocisków i czołgowych płyt pancernych.

Rudy manganowej ciągle brakuje. Zagospodarowane już dawno i najbogatsze Zagłębie Nikolskie na Ukrainie utracone zostało na początku wojny. Pozostały tylko gruzińskie kopalnie w Cziaturi. Dowóz stamtąd jest słaby, trasy wylotowe z Kaukazu

są pod kontrolą niemieckiego lotnictwa. Samoloty wroga bombardują je, odcinając od reszty kraju bakińską ropę, pogłębiając deficyt rudy manganowej w wielkich zakładach na Wschodzie.

Jeszcze latem w pustynnej okolicy zwiad geologiczny z Magnitki natrafił na kilka skąpych gniazd manganu. Przerzucono tam szybko brygady górnicze z Magnitogorska, składane baraki z nie malowanych desek, brezentowe namioty. I popłynęła do pieców niebieskoczarna ruda wydobyta na Przyuralu. Jednakże wczesna tegoroczna zima, która nadeszła gwałtownie wraz z zimnem i zamieciami, zasypała, zaniosiła śniegiem drogę wijącą się przez niziny i wzgórza.

Wiele kosztowała Onisimowa chwila, kiedy przebywając w Świerdłowsku, gdzie ulokował ewakuowany sztab przemysłu stalowego, postanowił odwołać się do Państwowego Komitetu Obrony. Trzymał słuchawkę telefoniczną, wsłuchiwał się w niezrozumiałe świsty i szumy, jak gdyby przewody przekazywały wycie zamieci, czekał na połączenie stojąc, bo na siedząco chyba by tego nie wytrzymał. Gdy je otrzymał, zameldował odważnie: nie dajemy sobie rady, wyczerpaliśmy własne możliwości, droga prowadząca do kopalni manganu została zasypana śniegiem, jest nie do przebycia.

Dwa bataliony samochodowe, przygotowane do wysłania na front pod Moskwę, zostały przekazane do dyspozycji Ludowego Komisariatu Stali. Żołnierze przebili się do odciętych przez śnieg górników i uruchomili transport manganu do bunkrów potężnych zakładów, dniem i nocą puszczających z wiatrem rude, zielonkawe, białe i gęste czarne kłęby dymów.

Onisimow pojechał na tę drogę życia, był w kopalniach manganu, potrafił jeszcze zwiększyć wydobywanie. Potem wrócił do siebie do Świerdłowska. Zajrzał do gabinetu Czeliyszewa. Malutkie oczy akademika kryły się pod strzechą siwych brwi, w kącikach cienkich ust pojawiał się, znikał, znów się pojawiał niezrozumiały uśmiech: ni to zawstydzony, ni to diabli wiedzą jaki. Widząc to, Onisimow zapytał wprost:

- Dlaczego się śmiejecie, Wasiliju Daniłowiczu?
- Bo widzicie, mam trochę pietra. Wziąłem na własną odpowiedzialność...
- Co?

— Ci dzielni chłopcy wyrzucili z wytopu rudę manganowy Zmienili cały proces technologiczny.

Tym razem z ust Onisimowa nie padło charakterystyczne dla niego gniewne „kto zezwolił?”, którego oczekiwał akademik. Rzucił tylko krótko:

— Kto? Gdzie? Kiedy?

— Wydarzyło się to w dwóch hutach jednocześnie, Aleksandrze Leontjewiczu.

Czełyszew przedstawił szczegóły sprawy. Wytop bez dodatku manganu dał taki gatunek stali, który wytrzymał próby i odpowiadał dokładnie normom państwowym. Powstrzymując uczucia, jakie go opanowały, Onisimow czepiając się wszystkiego przejrzał uważnie dokumentację, sprawdził z ołówkiem w ręku zasady wytopu. A przecież wyrwało mu się:

— Dlaczego nie poprosili o zgodę?

Czełyszew podrapał się za olbrzymim kłapciastym uchem.

— Małe przegięcie! — powiedział wesoło. — Ich stać na takie numery, że gdzie tam...

Gdzie nam do nich...

...Tak, tak Wasiliju Daniłowiczu. Może byliśmy dobrzy, może źli, ale do ostatnich zaliczyć nas nie można.

Z pudełka, które leży na poważnym ambasadorskim biurku, Onisimow wyjmując jeszcze jednego papierosa i znów kopci. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, pada nazwisko człowieka, o którym do tej pory nie chciał mówić (tak się przynajmniej Czełyszewowi wydawało).

— Czuję, że Piotr Gołownia mną gardzi...

32

Były przewodniczący Komitetu kontynuuje pełną wzburzenia rozmowę, pilno mu powiedzieć jak najwięcej, bo wiele jeszcze ma do powiedzenia. Chwilami gubi wątek, płacze się, oczywiście niczego nie stara się ubarwiać. A jednak w jego pamięci, we wzburzonych myślach przesuwają się jasno obraz za obrazem. Spróbujemy teraz opisać jeden z nich.

...Upalny lipcowy dzień 1952 roku.

Nie minął jeszcze chyba tydzień od chwili, kiedy w pustym gabinecie ministerialnym Onisimow czytał po wielokroć otrzymane dopiero co rozporządzenie Rady Ministrów ZSRR w spra

wie wynalazku Lesnycha. Pierwsze akapity tego dokumentu podpisanego przez Stalina zawierały sformułowaną ostro naganą: „Unieruchomienie wartościowego wniosku nowatorskiego." A przecież mimo urażonej miłości własnej, mimo przykrości, jaką była nagana, Onisimow mógł odetchnąć z ulgą. Uniknął zguby, która była już tak blisko. W tym przypadku Aleksander Leontjewicz raczej nie przesadzał. Gdyby zirytowany Gospodarz usunął go ze stanowiska, Beria znalazłby już sposób, aby pokonać swego wroga. A tak wykpił się dwoma zdaniem zawierającymi naganę i dostał nowe polecenie: zbudować, uruchomić wielką hutę z piecami według metody Lesnycha.

Wycieńczony napięciem nerwowym tamtych dni, którego nawet dla niego, zahartowanego w licznych niebezpieczeństwach było już nadto, obserwował ze zdziwieniem, jak ni z tego, ni z owego zaczynają mu się trząść palce. Pod koniec tygodnia pozwolił sobie na odpoczynek: sobotni wieczór i niedzielę spędził na daczce.

Dacza, którą dysponował z racji stanowiska, znajdowała się w sosnowym lesie, w pobliżu rzeki Moskwy. Onisimow rzadko przyjeżdżał do tego podmiejskiego domku, gdyż także w niedziele zasiadał do pracy w gabinecie. Tym razem przenocował na daczce, którą podobnie jak mieszkanie w Moskwie cudze ręce urządziły na sposób hotelowy. W niedzielne upalne popołudnie wybrał się na samotny spacer w stronę rzeki.

Twardy biały kołnierzyk pozostawiony został w sypialni, krochmaloną koszulę zastąpiła lekka niebieska koszulka. Onisimow nie zapiął górnych guziczków, wystawiając na wiatr krótką nagą szyję. Uczesane jak zwykle z dokładnym przedziałkiem włosy kryły się pod białym kapeluszem o szerokim rondzie. Tak samo się ubierał, kiedy jechał na urlop na południe.

Przez jakiś czas szedł wolno przez jakieś polany, to znów przez las, którego duszne powietrze nasycone było zapachem żywicy.

W pewnej chwili ze wzgóрка wznoszącego się stromo nad piaszczystym brzegiem rzeki dostrzegł połyskującą gładź wody i rozległe łąki na niskim drugim brzegu. Po ledwie widocznej nitce szosy, przecinającej zielone, żółknące już nieco trawy, poruszały się małe samochody, wybuchając co chwila błyskami odbitego w ich szybach słońca. Samochody jechały, ginęły z oczu i na ich miejsce pojawiały się nowe.

A na wzgórk, który także leżał na terenach ośrodka, usytuowanego z dala od szos, nawet w tę parną niedzielę było cicho i raczej pusto. Tylko w wodzie i na plaży widać było kilka kąpiących się osób.

Idąc przez nie koszoną, przejrzałą już, twardą, sprężynującą pod nogami trawę, Onisimow usłyszał niespodziewanie: gjs Czy to ty, Aleksandrze Leontjewiczu? Odwrócił się.

Wystawiając na słońce czarną aż do połysku czuprynę, choć w pobliżu rosła cienista sśmotna sosna, Tewosjan, który od dzieciństwa przywykł był do upałów Zakaukazia, pólżąc na trawie patrzył na Onisimowa z delikatnym uśmieclem; obok spoczywała jego marynarka i szary pilśniowy kapelusz. Wicepremier Rady Ministrów ZSRR podobnie jak Onisimow zrezygnował z twardego kołnierzyka: w dekolcie jasnej koszuli czerniały kędzierzawe włosy.

— Siadaj — zaproponował przyjaźnie Tewosjan.

— E, ja się tutaj upiekę — zażartował Aleksander Leontjewicz.

Tewosjan zwinnie się zerwał, żeby przejść w cień. Jego brązowe, niemal czarne oczy odnalazły kogoś w wodach rzeki. — Spójr — powiedział. — Moja córka, Czerwony Kapturek. I pomachał nad głową ręką o smagłej skórze. Wówczas Czerwony Kapturek — córka Tewosjana, która podpływała do brzegu, też podniosła rękę i pomachała ojcu.

— Gdzieś tutaj jest także mój Wołodia — mówił dalej Tewosjan. — Zaraz go zmobilizujemy. Mam nadzieję, że nie odmówisz partyjki, Aleksandrze Leontjewiczu. Wyślemy Wołodię po szachownicę. Aha, to on... Zdaje się, że mnie zobaczył.

Gestem ręki przywołał syna, którego Onisimow jeszcze nie zauważył. Opalony na czekoladowy kolor młodzieniec w spodenkach kąpielowych podniósł się z piasku i podbiegł na nieme wezwanie.

W chwilę potem Tewosjan-junior, który stanowił zaskakująco dokładną replikę ojca, aż po rysujące się wyraźnie wąsiki, uprzejmie uklonił się Onisimowowi i zawołał: — Potrzebny ci jestem, tato?

— Mam do ciebie prośbę... Bądź taki miły i przynieś nam szachy, dobrze? Mam nadzieję, że nie sprawi ci to kłopotu?

— Już lecę. Nie ma o czym mówić!

Onisimow uchwycił spojrzenie, jakim syn obdarzył ojca — było w nim uwielbienie. Aleksandrowi Leontjewiczowi zrobiło się przykro. Jasnowłosa Andriuszka, późny owoc małżeńskiego związku, jedyne dziecko Onisimowów, nie patrzył już tak na niego. Także dzisiaj, choć ojciec rzadko bywał na dacz, Andriuszka gdzieś się ulotnił.

Oczekując na szachy, dawni koledzy usiedli pod sosną. Zapalili.

Wiesz — powiedział Aleksander Leontjewicz kiedyś nasza znakomitość medyczna, profesor Sołowjow, udzielił mi takiej oto rady: jeżeli już palicie, to miejcie z tego przyjemność. Ulokujcie się wygodnie i palcie ze smakiem. Praca może poczekać te parę minut.

Uśmiechnęli się. Jakże wykroić taką chwilę z wypełnionych intensywną pracą dni i nocy?

Tutaj, mając dzień wolny, nie rozmawiali o sprawach zawodowych. Była to niepisana zasada — podczas odpoczynku nie tykać tego, co mieści się w pojęciu „praca”. Wicepremier wiedział oczywiście, że kilka dni wcześniej Stalin udzielił Onisimowowi nagany. Znał wszystkie decyzje związane z metodą Lesnycha, ale nie uczynił nawet aluzji do tej całej sprawy.

Rozmawiali o tym i owym, chwilami milczeli. Tewosjan położył się na wznak i założył ręce pod głowę. Nagle wśród nic nie znaczących słów rzekł jakby mimochodem:

— Zdaje się, że przedwczoraj przesłano ci oświadczenie Piotra Gołowni? Dostałeś je?

— Dostałem.

Owszem, Onisimow zapoznał się już z pismem dyrektora Ku- rakowki, przesłanym na adres KC i do Rady Ministrów. Pismo nie było przyjemne. Gołownia-junior zarzucał Onisimowowi, że w ciągu wielu lat nie nadawał on biegu jego wynalazkowi, który obecnie spotkał się z uznaniem. W dalszym ciągu pisma Gołownia żądał... A zresztą, Onisimow nie miał teraz ochoty myśleć o tym. Z jakiego jednak powodu Iwan Fiodorowicz zapytał o Gołownię?

Nadal leżąc i nie odwracając głowy, Tewosjan dodał:

— Dzwonili do mnie wczoraj w tej sprawie na polecenie Ła- wrentija Pawłowicza.

Onisimow nie odpowiedział, lecz mimo upału poczuł w plecach zimny, lodowaty dreszcz. Na polecenie Ławrientija Pawłowicza! A więc Beria już się wywiedział. Jeśli udało się Onisimowowi wybronić w sprawie Lesnycha, to... Onisimow znów chwycił pudełko z papierosami. Jego palce drżały. Siłą woli chciał powstrzymać to drżenie, ale mu się nie udało. Wsadził pudełko do kieszeni i nie zapalił.

A Tewosjan zaczął już mówić o czymś innym o swoim Wołodi, o instytucie, do którego zamierzał dostać się syn.

Potem były szachy. Zdenerwowanie nie pozwoliło Onisimowowi na koncentrację. Pierwszą partię przegrał gładko. Uruchomił jednak wewnętrzne hamulce i znów był skupiony jak zawsze. Pałac papierosa — a trzeba powiedzieć, że drżenie palców ustąpiło — Onisimow, pozornie niewzruszony, atakował przeciwnika, który był niezłym szachistą, i w drugiej partii odniósł nad nim zwycięstwo.

33

W tę noc szczerości, otwierając się przed starym akademikiem, Aleksander Leontjewicz z rzadka tylko siedział, gdyż niepokój wewnętrzny ciągle go podrywał na nogi. Teraz także chodzi po gabinecie, zbliża się do globusa, patrzy na wielką kulę z błękitnymi plamami.

— Żaden człowiek na świecie nie gardzi mną tak, jak Piotr Gołownia... A przecież... Przecież on patrzy, o, tak...

Tu podnosi do skroni wyprostowane dłonie, które pełnią rolę końskich okularów — iw ten sposób ogranicza pole widzenia.

— Niech spróbuje patrzeć tak — Aleksander Leontjewicz opuszcza ręce, ogląda sufit i podłogę, przebiega spojrzeniem gabinet. — Wtedy zobaczy wszystko.

jjf A jak patrzycie wy sami? Nie chcecie widzieć przyszłości?

Onisimow nadal jest szczery:

jjj Nie wiem. Ta przyszłość zapewne nie jest dla mnie. Do dzisiaj wierzyłem, że powrócę do przemysłu. A teraz... Niestety, nie jestem już tam potrzebny.

Czelyszew wstaje. Ma przed sobą dzień pełen zajęć, trzeba się zdrzemnąć samemu i pozwolić odpocząć zmęczonemu, jeśli nie choremu Onisimowowi, który dzisiaj nagadał się tak, jak mu się

134

to chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło. Tak, wypada powiedzieć coś na pocieszenie:

— To nic, pomęczcie się trochę. Nim się obejrzymy, powstanie jakiś Centrosownarchoz albo Gławindustrija. U nas lubią, żeby pod ręką był człowiek, którego można wszystkim obciążyć albo zdrzeć z niego trzy skóry. Wtedy właśnie powiedzą: „Dawać tutaj towarzysza Onisimowa, to miejsce akurat dla niego.” Przepowiadam to wam, Aleksandrze Leontjewiczu.

Onisimow znowu odprowadza gościa na dół do drzwi.

Rozmyślając o tej niezwykłej nocy, Czetyrzew dotarł o rannym chłodzie pieszo do hotelu. Wbrew mądrymu postanowieniu nie położył się spać. Usiadł przy stole, otworzył gruby brulion towarzyszący mu także w Tiszlandii i póki pamiętał, jał zapisywać w dzienniku historię Onisimowa. I chociaż tego dnia czekały go interesujące wycieczki, odpowiadał na telefony, że czuje się marnie i chce poleżeć. Pisał niemal do wieczora, spełniając we własnym mniemaniu obowiązek wobec potomnych. Ten uczony specjalista od wielkich pieców już od niemal trzydziestu lat prowadzi takie notatki powodowany żywym przekonaniem, że zdarzyło mu się żyć w doniosłych czasach.

W tym miejscu autor pragnie stwierdzić raz jeszcze, że ta po- wieść-relacja nie tylko nie zrodziła się w jego wyobraźni, ale też nie mogłaby zostać napisana, gdyby nie dysponował takim dokumentem, jak dziennik akademika Czetyrzewa.

...W przeddzień odlotu delegacji do ojczyzny Onisimow zebrał wieczorem u siebie jej członków. Będąc abstynentem i przez całe życie nie uznając alkoholu, Aleksander Leontjewicz teraz także nie odstąpił od swoich zasad: do kolacji nie podano ani wódki, ani wina, ani nawet piwa.

Po kolacji goście słuchali płyt. Jedna po drugiej brzmiały słynne rosyjskie pieśni w znakomitym wykonaniu — Stieńka Raziń| Jest urwisko nad Wołgą, Dąb i jarzębina, Podmoskiewskie wieczory. Pośród gości, jak to zawsze bywa, kiedy zbierze się kilku Rosjan, znalazł się śpiewak obdarzony silnym głosem, a był nim młody inżynier budowy okrętów. Skrępowanie, jakie panowało dotąd wśród zaproszonych, ulotniło się natychmiast. Onisimow w czarnym, wieczorowym garniturze przysiadł na stopniu niewielkiego podwyższenia, pełniące tutaj rolę czegoś w rodzaju estrady, słuchał w milczeniu i przypatrywał się rodakom. Wysoki, jasnowłosy śpiewak o dużym nosie zdjął ma

rynarke pozostając w kremowej koszuli i dyrygował sugestywnie obiema rękami, ciągnąc pełną smutku kołysankę:

A jak kiedyś urośniesz, Pójdiesz za mąż o wiosnie, Oj, do obcej wioski, Oj, do dużej wioski!

Poruszały się rozpostarte ręce dyrygenta, rozbrzmiewał przy- śpiew:

A tam w poniedziałek pada

Deszcz, deszcz.

A-a, a-a-a,

Baju-baj,

Deszcz, deszcz...

Kiedyś w Zajeździe Świętego Pantielejmona (tak właśnie w myśl tradycji nazywał się dom odebrany zakonnikom, który stał się domem akademickim Instytutu Stali) z tak samo rozpostartymi rękami śpiewał i dyrygował zgrabny niebieskooki Wołodia Pyżow,

przezwiselem Pyżyk. Dzisiaj Pyżyk już nie żyje, ale Onisimow nie chce o tym myśleć.

Student Pyżyk mógł prześpie- wać cacy wieczór, także zdejmował marynarkę, także górował nad resztą obecnych, ale nie nosił jasnej koszuli, tylko kosowo- rotkę z satyny, którą wypuszczał na wierzch i przepasywał cienkim paskiem. Czasami Pyżyk śpiewał tę samą tęskliwą kołysankę, którą przywiózł ze sobą z ojczystej Syberii:

A chłopaki tam się biją, Siekierami wymachują, A w środę tam pada Deszcz, deszcz...

Teraz deszcz także stuka monotennie w okna ambasady.

Baju-baj, Deszcz, deszcz...

Ale jasnowłosy inżynier, który rozśpiewał się na całego, zaczyna już inną pieśń:

Moja radość mieszka sobie W pałacu wysokim...

Pyżow też śpiewał tę pieśń w czasach studenckich. Zwykle nie pozwalał Onismowowi, aby mu wtórował, gdyż Aleksander Leontjewicz niemal całkiem był pozbawiony słuchu, ale gdy zaczynał „Moją radość...”, za każdym razem mówił: „Sasza, teraz możesz śpiewać.”

Aleksander Leontjewicz także teraz postanawia przyłączyć się do śpiewających. Lepsze to niż natrętne myśli.

Goście pożegnali się z ambasadorem dobrze po północy. Onisimow mocno uściskał rękę każdego z nich, a do Czetyrshewa powiedział:

— Przekażcie wszystkim pozdrowienia.

Tu przerwał i po chwili powtórzył:

— Wszystkim.

Czetyrshew zerknął na Aleksandra Leontjewicza spod oka i zrozumiał, że mówiąc „wszystkim”, Onisimow miał także na myśli Gołownię-juniora.

— Przekażę — odpowiedział.

34

W naszej opowieści pojawił się już światowej sławy lekarz moskiewski, autor monografii Leczenie ogólne, profesor Mikołaj Nikołajewicz Sołowjow, który badał niegdyś Onisimowa, udzielając mu wtedy rady: „Proszę unikać stresów.”

W sierpniu 1957 roku profesor otrzymał telefon z Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

— Mikołaju Nikołajewiczu, czy zgodzicie się polecieć do Tisz-landii? Nasz ambasador, towarzysz Onisimow, choruje.

— Co mu jest?

— Miał zapalenie płuc. Ostry okres choroby już minął, ale towarzysz Onisimow nie powrócił do zdrowia. Prosimy was, Mikołaju Nikołajewiczu, o postawienie diagnozy.

Trzymając się młodo, w wianuszku siwych, kręconych włosów wokół lśniącej różowej łysiny, o czym już wspomnieliśmy w odpowiednim miejscu, wyglądający bardziej na artystę malarza lub reżysera niż na lekarza, Sołowjow, który bywał już w wielu

krajach, lecz nie widział jeszcze państw północnej Europy, chętnie przyjął propozycję.

W pogodny wrześniey dzień Mikołaj Nikołaj ewicz wyleciał o świcie z lotniska Wnukowo. Razem z nim udała się do męża zaniepokojona, lecz pozornie opanowana i zachowująca spokój ducha, ubrana i uczesana z surową skromnością żona Onisimowa.

W oczekiwaniu na przesiadkę w zbudowanej chyba z samego szkła przestronnej hali tranzytowej lotniska, Mikołaj Nikołajewicz zapytał Helenę Antonownę:

— Czy mąż pisał coś paniko swej chorobie?

— Prawie nic. On w ogóle nie lubi pisać. Najwyżej to, co dotyczy jego zajęć zawodowych. Czasami rozmawiamy przez telefon. Wiem tylko, że nie może przywyknąć do tamtejszego klimatu i ciągle się przeziębiał. Ale w listach nie skarżył się na nic.

— A jaki jest jego stan psychiczny? Helena Antonowna odpowiedziała zwięźle: — Miał nieprzyjemności. Przez pewien czas także na nowym stanowisku czuł się, niestety, przygnębiony. Później, jak mi się zdaje, pochłoneły go nowe obowiązki.

Sołowjow, świeży i rumiany, jak gdyby nie musiał dziś wstać o trzeciej rano, słuchał z zainteresowaniem. Pomimo łysiny i siwizny nie wyzbył się młodzieńczej ciekawości, z jaką traktował każdego chorego i jego osobowość. Niewykluczone, że taka właśnie cecha, pokrewna, jak się zdaje, z zawodem pisarza, wpłynęła na wybór specjalności uprawianej przez Sołowjowa. Była nią interna.

— Proszę mi wybaczyć brak delikatności — mówił Sołowjow. — Ale czy nie mogła pani pojechać tam razem z mężem?

Onisimowa nie dała poznać po sobie, że te słowa ją dotknęły. Odpowiedziała zachowując panowanie nad sobą:

— Przecież ja też pracuję! Muszę też wychowywać syna, który jest w wieku przejściowym, sam pan rozumie...

Na znak, że jego ciekawość została zaspokojona, że oczywiście wszystko rozumie, Mikołaj Nikołajewicz pochylił głowę. Ta krótka rozmowa, a także kilka godzin spędzonych razem w samolocie pozwoliły mu stwierdzić, że jego towarzyszka podróży to typowa kobieta na kierowniczym stanowisku, osoba rozsądna i bardzo opanowana. No cóż, w razie czego przynajmniej nie

narobi głupstw, nie straci panowania nad sobą, nie zacznie ryczeć; będzie z niej dobry doradca i czynny pomocnik.

Pod wieczór samolot wylądował w stolicy Tiszlandii. Z lotniska samochód zawiózł Sołowjowa i Helenę Antonownę do ambasady.

Na pierwszy rzut oka ambasador robił wrażenie ciężko chorego. Wyszedł na powitanie przybyłych w szlafroku, był wychudzony, ruchy miał apatyczne, jego oczy nie ożywiły się, gdy zobaczył żonę. Pocałował ją obojętnie, a właściwie dotknął zaledwie jej policzka bezkrwistymi wargami. Żółtawa, pobladła twarz była pokryta szarym nalotem, jak gdyby do żółci domieszano popiołu. Już sam ten specyficzny popielaty odcień świadczył o chorobie.

Po raz pierwszy od kilku lat zrezygnował z nawyku codziennego golenia. Zarost wysypał mu się na podbródku, wspiął się w górę ku kościom policzkowym, które uwydatniły się na wychudzonej twarzy. Cienki zwykle nos wydawał się być powiększony, zbyt duży.

Pozostawiwszy małżonków, aby mogli porozmawiać bez świadków, Mikołaj Nikołajewicz dopiero po jakimś czasie zajął do chorego. Aleksander Leontjewicz przyjął profesora w sypialni. Pomieszczenie zostało gruntownie sprzątnięte, być może nawet przez samą Helenę Antonownę. Tak samo jak w Moskwie stały tutaj dwa szerokie łoża — jedno zasłane bez zmarszczki, drugie też uporządkowane, lecz z odwiniętym rogiem pledu, oczekujące jak gdyby chorego, szafa z lustrem, stoliki nocne, stolik z karafką pełną wody i pustym wazonem na kwiaty. Mając na nosie okulary w ciemnej, masywnej oprawie (wychudła twarz wydawała się teraz jeszcze mniejsza), Onisimow przeglądał gazety moskiewskie, które przywiozła żona.

Teraz Helena Antonowna zostawiła lekarza sam na sam z chorym. Aleksander Leontjewicz zdjął okulary i zaczął mówić pierwszy. Nie skarżył się na samopoczucie i, jak się profesorowi zdawało, był nawet skłonny pomniejszać chorobę.

— Mogę pracować i chcę pracować. Pomóżcie mi rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości, Mikołaju Nikołajewiczu.

— Jakież to wątpliwości?

Aleksander Leontjewicz zaczął opowiadać. Prawdopodobnie przeziębził się. Stało się to jakiś miesiąc temu i temperatura skoczyła natychmiast do 40°. Wezwano lekarza, który, jak się

okazało, był z pochodzenia Rosjaninem, obywatelem amerykańskim i Tiszlandczykiem, jeśli chodzi o miejsce zamieszkania.

- Obywatel świata. Ciekawy człowiek. Ma tutaj własną klinikę i obsługuje niemal wszystkie ambasady. Czy wiecie, jak on się o nas wyraził? „Wasi ludzie są zamknięci w sobie.” Całkiem nieglupi. I chyba zna się na tym, co robi.

Onisimow mówił bez pośpiechu. Mikołajowi Nikołajewiczowi Ipodobła się ta maniera — żadnej pychy ani udawania, żadnych [tonów właściwych wysokim urzędnikom. Rozmowa była męska i bezpośrednia. Aleksander Leontjewicz poinformował lekarza, że ów pół-Rosjanin—pół-Amerykanin skonstatował zapalenie płuc, zaordynował antybiotyki, co spowodowało spadek temperatury. Potem przetransportował chorego do swej kliniki, prześwietlił płuca i zrobił zdjęcia rentgenowskie. Doszedł wszakże do wniosku, że nieodzowne jest konsylium. Niebawem przyjechał do Onisimowa z dwoma miejscowymi profesorami. Lekarze oświadczyli bez ogródek: „Istnieją podstawy, by podejrzewać raka płuc.”

Gdy później autor wyjaśniał wszystkie sprawy dotyczące historii żywota i historii choroby Onisimowa, okazało się, że Aleksander Leontjewicz niezbyt precyzyjnie zrelacjonował So-łowjowowi swoją rozmowę z lekarzami tiszlandzkimi. Tak się złożyło, że później spotkałem ich obu w Moskwie podczas Międzynarodowego Kongresu Walki z Rakiem. Obaj — starszy, mocno zbudowany, i drugi, młodszy, o wielkich oczach człowiek —I nie zapomnieli radzieckiego ambasadora. Z ich opowieści wynikało, że sprawa miała się nieco inaczej. Nie zamierzali wcale informować Onisimowa o swojej diagnozie. Gdy jednak przedstawiając mu się wymienili swoje nazwiska, już tym samym zdradzili tajemnicę. Korzystając z chwili, kiedy lekarze wyszli do sąsiedniego pokoju, aby się naradzić, zajrzał do informatora zawierającego nazwiska wszystkich mniej lub bardziej znanych Tiszlandczyków i stwierdził, że badają go onkolodzy, z których jeden jest nawet dyrektorem Instytutu Onkologicznego. Gdy profesorowie wrócili, przyparł ich do muru. Dlaczego przybyli z niego właśnie oni — onkolodzy? Czy to oznacza, że istnieją jakieś szczególne powody? Sformułowane ostro pytanie Onisimowa (tak samo ostro odsłaniał prawdę jako szef naczelnego zarządu, minister, jako przewodniczący Komitetu) zmusiły tego

o wielkich oczach do przyznania się, że owszem, istnieją podstawy, by podejrzewać raka płuc.

Całkiem możliwe, że Aleksander Leontjewicz próbował także wydobyć prawdę od Sołowjowa. Tak czy owak powiedział:

— Tutejsi lekarze stwierdzają raka.

Tak to właśnie nazwał: „rak”, nie uciekając się do łagodniejszego słowa „nowotwór”. Wyglądało na to, iż żelazny Onisimow zachował spokój. Na stoliku nie opodal leżało pudełko papierosów „Drug”. Onisimow sięgnął po pudełko i obrócił je kilkakrotnie w wychudłych, trzęsących się palcach. Drżenie to zdradzało, jak bardzo napięte są jego nerwy. Widząc jednak spojrzenie Sołowjowa, odsunął pudełko.

— Jest puste. Rzuciłem palenie — powiedział.

Powiedziawszy to złożył ręce i zamilkł.

— Tutejsi lekarze tak twierdzą? — zaczął Sołowjow. — A jakie mają ku temu podstawy?

Spojrzenie Onisimowa stało się ostre, przenikliwe; zupełnie jak w dawnych czasach. Jego głos nabrał niespodzianie energii:

— Nie pochwalacie ich szczerości? Są jednak chorzy i chorzy. Jednym nie wolno odbierać złudzeń, innym zaś należy mówić prawdę. Zwłaszcza mnie. Jeżeli mam raka (znów wymówił to słowo bez zająknięcia), powiedzcie mi o tym wprost, ja zaś będę postępować zgodnie z waszymi zaleceniami. Istnieją sprawy, które być może powinienem zacząć zamykać. Są to sprawy poważne. Dlatego chciałbym mieć jasność.

Mikołaj Nikołajewicz wziął zdjęcia rentgenowskie. Płuca były zajęte. Cień nie był charakterystyczny dla zapalenia płuc i mogło to świadczyć o obecności guza. Sołowjow poprosił Aleksandra Leontjewicza, żeby się rozebrał. Osluchał go. Z tyłu krótkiej szyi Onisimowa na samym brzegu twardych włosów wybrzuszał się lekko brodawczak — guzek podobny do pieprzyka. Był stosunkowo duży — wielkości paznokcia kciuka.

— Co to takiego? Skąd to pan ma?

— Sam dopiero niedawno zauważyłem.

Sołowjow raz jeszcze obejrzał brodawczaka. W swoim podręczniku interny zwracał uwagę, że pojawienie się takich guzków bywa często zapowiedzią nowotworu złośliwego, a także mu towarzyszy. Nie można było jednak traktować tego jako pewny symptom. A może na skórze znajdują się jeszcze inne narośla?

Słynny internista obejrzał raz jeszcze dokładnie całe ciało chorego, namacał pod pachą stwardniały węzeł limfatyczny, co też było złym objawem, spojrzął na dołki pod kolanami, ale tam skóra była czysta.

Na koniec różowawe wrażliwe palce lekarza zagłębiły się we włosach Onisimowa, by i tam zbadać skórę. Co prawda w przypadku raka płuc skóra głowy i twarzy niemal nigdy nie bywa zaatakowana, ale Sołowjow przebiegł wielokrotnie wrażliwymi opuszkami palców przez gęstwę kasztanowych włosów. A co to takiego? Ledwie wyczuwalny twarde węzełek wielkości ziarnka prosa. A oto następny... O, tutaj wypukłość jeszcze większa — wielkości ziarnka soczewicy. Niestety, wstępnie można stwierdzić, że sprawa jest zaniedbana, beznadziejna.

— A te wybrzuszenia na głowie? Jak dawno je pan ma?

— Gdzie? — Onisimow namacał pokryte włosami zgrubienia. O tych nie wiedziałem. Pierwszy raz je wyczuwam.

— Proszę się ubrać.

Nakładając koszulę na blade chude ciało, Onisimow jeszcze raz zapytał:

— Oczekuję od was szczerości. Jesl mi niezbędna. Wtedy będę wiedział, jak mam postąpić.

Powiedział to z takim przekonaniem, z takim naciskiem, że doświadczony lekarz zawahał się. A może wyznać prawdę? Być może Onisimow rzeczywiście należy do tych ludzi, których trzeba traktować inaczej? Umiał postawić sprawę uczciwie, rozsądnie...

Wzięła jednak górę tradycyjna lekarska ostrożność.

— Stwierdzam proces zapalny w płucach — oznajmił Sołowjow.

Dalej zaś powiedział coś nieprawdopodobnego:

— Nie ulega kwestii, że w płucach znajdują się ogniska zapalne. Niewykluczone, że jest to trwające nadal zapalenie płuc. Antybiotyki zagłuszyły sam proces chorobowy, ale choroba zagnieździła się, trwa, co powoduje te wszystkie objawy.

Już z przyzwyczajenia przedstawiał żywo pewną hipotezę. Swój wywód zakończył tak:

— Ogólnie rzecz biorąc, nieodzowne jest badanie w szpitalu kremłowskim. Dopiero wówczas będziemy wiedzieć, co i jak.

Po badaniu Mikołaj Nikołaj ewicz odbył rozmowę z Heleną Antonowną. Poinformował ją, że jego zdaniem, podejrzenia tutejszych lekarzy nie są bezpodstawne.

Siedzieli na ławce w ogrodzie ambasady. Delikatnie przygrzewało zachodzące słońce. Małżonka Onisimowa spokojnie przyjęła przygnębiającą diagnozę. Zaczęła jednak wypytywać lekarza:

— Dlaczego tak uważacie? Jakie stwierdziliście objawy?

Profesor wymienił symptomy, które razem wzięte dają konkretny obraz.

— Czy można coś zrobić? Czy istnieją jakieś lekarstwa?

— Niestety, nie mogę pani robić nadziei, Heleno Antonowno. Operacja jest raczej wykluczona. Zaś inne środki... Nie posiadamy na razie skutecznego leku.

Helena Antonowna odwróciła się. Sołowjow widział teraz tylko skraj jej czoła i skroń ze znamieniem. Pogrubiona, pokryta jak gdyby blizną czerwonawa, z niebieskawym odcieniem skóra ciemniała także pod przeredzonymi nieco włosami. W języku lekarzy, którzy, dodajmy od siebie, używają czasami godnych pozazdroszczenia celnych określeń, takie znamię nazywa się winnym. Sołowjow stwierdził w myśli: można by zrobić operację plastyczną... Zresztą w tym konkretnym przypadku ślad na czole pozostawiło raczej różowe niż czerwone wino. To znamię nie szpeci tej kobiety, a nawet chyba pasuje do jej charakteru.

Odwróciła się więc, ale nie pozwoliła sobie na łzy. Tylko raz i drugi podniosła chusteczkę do oczu. Potem znowu spojrzała na lekarza. Tak jak poprzednio panowała nad głosem; poczerwieniały jej tylko powieki i nos. Mikołaj Nikołajewicz zrelacjonował rozmowę, jaką odbył z Onisimowem, jego prośbę, aby powiedzieć mu otwarcie, czy słuszne są podejrzenia tutejszych lekarzy.

— Mąż pani upiera się przy tym. Mówi, że pozostawił niedokończone ważne sprawy i że będzie postępował zgodnie z zaleceniami.

Po chwili zastanowienia Helena Antonowna odpowiedziała:

— Nie, to nie jest wskazane. On jest człowiekiem odważnym, gotowym spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, lecz... jeśli nie bę

dzie już żadnej nadziei, to naszym obowiązkiem — tu znowu (otarła łzy — będzie ułatwienie mu przeżycia dni, jakie mu po- [zostały.

Także w tym wypadku Sołowjow pochylił na znak zgody swoją łysą czaszkę, otoczoną nimbem siwych włosów: to stwierdzenie było słuszne, rozsądne.

I, Nie trzeba mówić — powtórzyła Helena Antonowna — bó będzie to zbyt przeżywał. Nikomu o tym nie powie, będzie się dręczył sam. I to właśnie będzie dla niego najboleśniej — przeżywać w milczeniu, nie dzielić się z nikim.

Będąc żoną i działaczem państwowym musiała dobrze rozumieć swego męża. Helena Antonowna zastanowiła się znowu i zapytała:

— Czy to nie ta właśnie cecha stała się powodem... Nie dokończyła jednak myśli.

Moskiewski lekarz jeszcze raz oddał w duchu co należne rozsądkowi żony Onisimowa. Wy tłumaczył, że nauka nie zna po dziś dzień genezy tej choroby i z tym właśnie związana jest jej bezradność w leczeniu raka. A jednak z wystarczającą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że w organizmie istnieją siły obronne, opierające się chorobie, walczące z nią. Jeśli te siły są nadwątlone, podkopane różnymi wstrząsami, rozstrojami nerwowymi, stresami, nieustannym przygnębieniem, to choroba zaczyna atakować ze zdwojoną siłą.

— My, lekarze, rozumiemy to tak, Heleno Antonowno: przygnębienie nie wywołuje guza złośliwego, lecz sprzyja jego rozwojowi. Ten nowotwór mógł się już pojawić dawno temu. Właśnie, czy przed wyjazdem prześwietlano mu w Moskwie płuca?

— Nie, nie przechodził żadnych badań.

— Jak to? Dlaczego?

— Widzicie, to wszystko nie było takie proste. Został zwolniony ze stanowiska... Jeśli się nie mylę, nie należycie do partii?

§=j| To prawda.

Helena Antonowna zamilkła, wytarła nos i po chwili wahania zmusiła się do szczerości wobec lekarza:

— Mój mąż popełnił błąd, zajął niewłaściwe stanowisko. Tylko bardzo proszę, Mikołaju Nikołajewiczu, żeby to pozostało między nami. Ale też i kara była bardzo surowa. Został całkowicie usunięty z przemysłu. Dostał nominację na ambasadora właśnie w Tiszlandii. Zawsze był wzorem dyscypliny. A gdyby

poszedł się zbadać, a lekarze zabronili mu wyjeżdżać, to... Zdajecie sobie zapewne sprawę, że fakt ten mógłby zostać błędnie zrozumiany. A ja nawet nie podejrzewałam tej okropnej choroby.

No i proszę, ta kobieta, której nazwisko wymieniano czasem w gazetowych sprawozdaniach, nie zapanowała nad sobą, wtuliła twarz w rękaw ciemnofioletowego zakietu i rozplakała się, obarczając siebie winą. Jednakże pozwoliła sobie na tę kobiecą słabość tylko przez chwilę. Otarła oczy, wyprostowała się, odzyskała jasny umysł, gotowość do spełniania swych obowiązków. Teraz stały się wyraźnie widoczne jej obwisłe policzki pokryte czerwonymi plamami. O tak, ta członkini partii od dwudziestego roku, która nie dostała nigdy najmniejszej nagany ani upomnienia, ta działaczka państwowa i społeczna pozostała przecież kobietą i żoną. Potrafiła się teraz zmobilizować, siedziała zdyscyplinowana jak w pracy. Po raz pierwszy w obecności Mikołaja Nikołajewicza, nie krępując się go, wyjęła z wielkiej brązowej ni to teczki, ni to torby metalową puderniczkę bez ozdób, przejrzała się w lusterku, upudrowała policzki i nos.

Patrząc na nią, Sołowjow przypomniał sobie zasłyszane gdzieś porzekadło: „I śmierć, i żona przez Boga sądzona”. Człowiek, z powodu którego przebywa teraz tutaj, całe życie spędził obok tej kobiety uformowanej pod ten sam co on szablon. A gdyby jego żoną była inna? Czcze pytanie... Wybrał ją sobie kiedyś i ten wybór też jest częścią jego osobowości. Pewnie Onisimow nie byłby sobą, gdyby ożenił się z inną kobietą. Zresztą, bywają przecież decydujące chwile, rozdroża. Być może kiedyś ciągnęło go do innej, widział oczyma duszy inną towarzyszkę życia. Przenikliwy lekarz bierze pod uwagę takie ulotne myśli. Nie bez powodu mówi porzekadło: „przez Boga sądzona”.

Profesor Sołowjow i Helena Antonowna podejmują decyzję: jeszcze dzisiaj Mikołaj Nikołajewicz wyśle depezę do Moskwy. Obydwoje szkicują w notesie tekst do szyfranta: „Koniecznien trzeba stąd zabrać Onisimowa. Podejrzewam nowotwór płuc. Sołowjow.” p s(§| Szczerze mówiąc, nie jestem mu już teraz potrzebny — mówi profesor.

— Nie, nie, zaglądnijcie do niego, badajcie go. Albo chociaż udawajcie, że go badacie. I coś mu przepiszcie.

Mikołaj Nikołaj ewicz odwiedzał Onisimowa dwa razy dziennie, osłuchiwał go i opukiwał starannie, ordynował jakieś środki wzmacniające, preparaty bromowe. Wcale się też nie zdziwił, że chory zaczął się czuć lepiej. Takie stadium pozornego polepszenia zdarza się w trakcie rozwoju choroby nowotworowej, a wpływają na to różne czynniki, a w tym także, oczywiście, czynnik psychologiczny. Utrzymywał się stan podgorączkowy, I Onisimow szybko się męczył, był słaby. A jednak przez kilka P godzin dziennie, zwłaszcza rano, nie był już tak apatyczny, na pół dnia zamieniał szlafrok na marynarkę i spodnie, zaczął się znowu golić każdego ranka. Sołowjowowi, który z ciekawością poznawał stolicę Tiszlandii, a także żonie, która często była obecna podczas wizyt lekarza, Aleksander Leontjewicz opowiadał chętnie o tym kraju, który pochłonął go już naprawdę.

-Т— Mamy tu do czynienia ze skomplikowaną sytuacją — mówił.^— Duch tutejszego nacjonalizmu przeszkadza ekspansji amerykańskiej. Rozumiecie, o co chodzi? Przeważające warstwy inteligencji, nawet burżuazyjnej, są przeciwko Ameryce. I chociaż się wahają, choć wyczyniają różne figle-migle, to przecież garną się do nas. My stanowimy siłę. Tutaj, w oddaleniu od naszej ziemi, czuje się to szczególnie wyraźnie.

Onisimow z godnością i zadowoleniem wymówił to „my stanowimy siłę”. Helena Antonowna słuchała męża uważnie, nie wtrącała się, czasami kiwała potakująco głową. Onisimow wprowadzał chętnie lekarza w zagadnienia ekonomiczne. Tiszlandia szybko staje się państwem przemysłowym. W sensie wojskowym sprawia wrażenie słabej, lecz należy się liczyć z jej ukrytym potencjałem.

— Jako metalurg widzę to szczególnie jasno^ - dodał z uśmiechem.

Wypytywał chętnie o Moskwę. Kiedy dowiedział się, że w oparciu o decyzję Rady Ministrów budynek, w którym mieścił się niegdyś Główny Prokurator, przekazany został instytutowi, na czele którego stoi Sołowjow, ożywił się, rozjaśnił.

— Budowałem te pałace jeszcze za Sergo. Czy go pamiętacie? Nie, Sołowjow nie znał Sergo.

— Szkoda, szkoda... Te lata, kiedy pracowałem pod zwierzchnictwem Sergo, były chyba najlepsze w moim życiu.

Helena Antonowna lekkim skinieniem głowy potwierdza słowa męża. Ona wie, że po śmierci Sergo cała egzystencja Onisi-

mowów zawisła na włosku przez Berię, który tylko czekał okazji, żeby się policzyć z Aleksandrem Leontjewiczem. Nie, ani o Berii, ani tym bardziej o Gospodarzu (na ścianie widnieje jego nieduża fotografia, jedyna ozdoba nagich ścian sypialni) Onisimow nie zamierza rozmawiać z tym miłym i, zdaje się, niegłupim moskiewskim lekarzem.

—[^] Oznacza to, że zajmiecie mój gabinet — ciągnął dalej Onisimow.

I przyjął to za dobry omen. On, który wcześniej nie brał niczego na wiarę, który ostro demaskował najmniejsze kłamstwo, teraz skłonny był wierzyć, że naprawdę choruje na jakąś odmianę przewlekłego zapalenia płuc, uwierzył, że wyzdrowieje. Ileż to już razy Sołowjow oglądał to zjawisko przedstawione też w jego książce, tę euforię — szczególnie rodzaj upojenia, stan pobudzenia, któremu towarzyszyła wiara w oszustwo, podatność na sugestię.

Niebawem nadeszła z Moskwy depecha powiadająca Onisimowa o konieczności wyjazdu na leczenie. Sołowjow zajął do Onisimowa o zwykłej porze. Był jak zawsze elegancki, w muszce, ruchliwy, zachwycony spotkaniem z piękną stolicą północnego państwa. Po przeczytaniu telegramu, zawołał: |9g- Miałbym ochotę powałkonić się tu jeszcze. Wzywa mnie jednak obowiązek. No cóż, będziemy się zbierać, Aleksandrze Leontjewiczu.

Helena Antonowna, która także była tu obecna, zapytała:

— Jak sądzicie, Mikołaju Nikołajewiczu, czy pakować wszystkie rzeczy?

— A po co? Przecież Aleksander Leontjewicz niedługo wróci.

Poważna działaczka partyjna z Moskwy i wybitny rosyjski lekarz, który pozwolił sobie na obczyźnie udawać filuta, już się świetnie rozumieli, pomysłowo i z wycuciem sytuacji grali swoje role.

Na lotnisku żegnali Aleksandra Leontjewicza nie tylko obywatele radzieccy, lecz także wysocy urzędnicy Tiszlandii i szefowie misji dyplomatycznych, akredytowani przy rządzie królewskim tego kraju. Każdy z nich uściskał na pożegnanie prawicę tego skromnego, mądrego, umiającego sobie zasłużyć na przychylność przedstawiciela wielkiego, ciągle jeszcze tajemniczego, socjalistycznego państwa, które rozpostarło się od Europy do Azji. I swoi, i cudzoziemcy życzyli mu szybkiego powrotu do

zdrowia i powrotu do swoich obowiązków. Ambasador Kanady zaprosił go na wspólne polowanie podczas Bożego Narodzenia. Przygotowania do wyjazdu, bliski odlot, zainteresowanie okazane mu przez korpus dyplomatyczny, które w jakimś stopniu odnosiło się do niego samego, były też owocem jego tutejszej pracy. Wszystko to poruszyło Onisimowa, dodało mu energii. Już dawno nie odczuwał takiego ożywienia, takiej chęci życia. Był dopiero wrzesień, który tego roku wypadł w Tiszlandii nieoczekiwanie ciepły i słoneczny. Onisimow w miękkim ciemnym kapeluszu, w rozpiętej jesionce, otoczony przez żegnających go, stał uśmiechnięty pod jasnoblękitnym niebem przed samolotem gotowym do drogi. Korzystając z nadarzającej się okazji, radca ambasady, a jednocześnie sekretarz tamtejszej organizacji partyjnej Michiejew, stały szachowy partner Onisimowa, zadał mu pytanie:

— Aleksandrze Leontjewiczu, komu mam powierzyć wygłoszenie referatu z okazji czterdziestolecia Rewolucji Październikowej?

A niech cię, do rocznicy mamy jeszcze ponad miesiąc. Nie powierzaj nikomu. Zdążę wrócić i sam to zrobię.

Sołowjow, który trzymał się blisko chorego, potwierdził niefrasobliwie:

— Słusznie. Nie powierzajcie tego nikomu.

Wiedział jednak, że Onisimow nigdy już tu nie wróci.

W Kopenhadze czekała podróżnych przesiadka do radzieckiego samolotu. Lekarz i Helena Antonowna pozostawili Onisimowa w wygodnym fotelu przy szklanej ścianie olbrzymiej sali dla pasażerów tranzytowych, sami zaś przechadzali się teraz po chodnikach lotniska.

— Jeśli przypuszczenia potwierdzą się, to jak długo mąż będzie żył?

— Któż to może wiedzieć, Heleno Antonowno? Nie wiadomo, jak jego organizm będzie walczył z chorobą. Może kilka miesięcy. Może pół roku...

Wieczorem samolot wylądował na lotnisku Wnukowo. Osiem miesięcy temu żegnali tutaj Onisimowa współpracownicy i koledzy, odprowadzali go zwartą kolumną po wybetonowanym pasie startowym. Teraz nie witał go nikt.

Do schodków, po których schodził wolno, podjechała karetka. Pojawiły się nosze. Zatrzaszczył się o to wszystko departa

ment zdrowia Rady Ministrów, bo widać przypuszczano tam, że Onisimow nie może się już poruszać o własnych siłach. Odsunął z uśmiechem sanitariuszy, lecz nie był to przecież dobry omen. Onisimowa nawiedziło znów znane mu już niejasne przecucie. Podbiegł do niego syn, znieruchomiał na moment, zajrzał pytająco w ojcowskie oczy, w jego żółtawą twarz o szarym odcieniu. Andriusza był zaskoczony, jak drobniutka, wyschnięta zrobiła się ta ukochana twarz. A nos jest zupełnie kościsty, woskowy... Nie przyglądając się już więcej, chłopiec przytulił się do piersi ojca. Wzruszony Onisimow przeciągnął dłonią po czole syna, po miękkich włosach Andriuszy, przylgnął do nich wargami.

Wyprostował się i ujrzał wysoką, o męskim wyglądzie Antoninę Iwanownę, swego dawnego lekarza. Witaa go z obowiązku. Onisimow uściskał jej rękę, chciał nawet zażartować na temat karetki i noszy, ale że nie miał akurat żadnego pomysłu, więc tylko powiedział z uśmiechem:

No i już nie palę, Antonino Iwanowno...

36

Następnego dnia Onisimow został umieszczony w szpitalu, do którego przypisano go dawno temu, gdy był jeszcze ministrem.

Otrzymał do własnej dyspozycji pomieszczenie nazwane dość dziwnie |g§ półapartamentem. Taki półapartament składał się z gabinetu i sypialni, balkonu, łazienki, przedpokoju z wyjściem na schody wyłożone chodnikiem. W tym jasnym przestronnym schronieniu sporo rzeczy nie przypadło Onisimowowi do gustu — tapicerskie krzesła, dywany, kosztowne figurki, ciężkie pozłacane ramy rozwieszonych na ścianach obrazów. Jakiś mądrała wpadł na pomysł, żeby wstawić szafę z lustrem... Jeszcze tego tylko brakowało chorym, aby musieli się zachwycać własnym wyglądem.

Zresztą to lustro było na razie przydatne: w jego odbijającej wszystko powierzchni Onisimow mógł widzieć, jak z dnia na dzień wygląda coraz lepiej. Ów fakt potwierdzał uspokajającą diagnozę, jaką postawiono w szpitalu: atoniczne przewlekłe zapalenie płuc, czyli mówiąc językiem medycyny — pneumonia chronica.

Tak czy owak w tym za dużym przecież szpitalnym półapar-

I tamencie Onisimow wyraźnie przytył, do czego, jak się zdaje, przyczyniło się także to, że rzucił palenie. Zapadnięte policzki przestały już budzić niepokój. Dość często rano czuł się rześko. Bóle w kręgosłupie, które i wcześniej nie były zbyt dokuczliwe, teraz dawały o sobie znać coraz rzadziej.

Syn naznosił mu książek. Potem, za zgodą lekarza, Onisimow poprosił o przesłanie mu z MSZ-u różnych prac mających zwią- Izek z jego służbą dyplomatyczną. Zjadał śniadanie, wkładał marynarkę, wieszał w szafie szpitalny strój, siadał przy biurku, z którego uprzątnął figurki oraz inne ozdoby, brał okulary, ulubiony twardy, ostro zatemperowany ołówek i z przyjemnością spędzał kilka godzin nad przysłanymi mu materiałami.

Umacniał się teraz coraz bardziej w przekonaniu, że może naprawdę nie ma raka, że to rzeczywiście jakaś postać zapalenia płuc — chroniczny, wymagający długiego leczenia proces zapalny. A jednak trzeźwy głos wewnętrzny, przytłumiony, ale nie zagłuszony całkiem przez chorobę, ów głos mówiący zawsze Onisimowowi „nie ufaj”, teraz także przestrzegał go przed łatwowiernością.

Któregoś wieczoru przyjechał Andriuszka — pozwalano mu odwiedzać ojca dwa razy w tygodniu, bo taką częstotliwość ustaliła matka. Nie informowano oczywiście Andriuszy, na co ojciec choruje, lecz z różnych objawów, jak chociażby że pewnego razu na szpitalnym korytarzu Helena Antonowna, widząc zmierzającego ku niej syna, przerwała rozmowę z lekarzem i oschle kazała Andriuszy poczekać na kanapie, ten cichy, szczupłutki chłopiec wyciągnął słuszne wnioski. Od dawna już nie dążąc do sławy prymusa, zadawałając się łatwo czwórkami, a czasem nawet trójkami, teraz dla chorego ojca, któremu nie były obojętne jego stopnie, Andriuszka uczył się pilnie i w każdą niedzielę przynosił mu dzienniczek do podpisu. Jasnowłosy wyrostek, który nadal wyróżniał się pytającym spojrzeniem, i jego powściągliwy ojciec, który nie tracił panowania nad sobą, zbliżyli się nieco do siebie. Zbliżeniu temu sprzyjał też katalog nowości książkowych, który przysłano Onisimowowi. Syn i ojciec wybierali wspólnie tytuły godne nabycia. Aleksander Leontjewicz jak i dawniej gardził beletrystyką, ustępując jednak zainteresowaniom Andriuszki, zgadzał się na nabycie i prze- kartkowanie tego lub owego tomu prozy, a nawet poezji. Na tym przeważnie kończyły się kontakty przyzwyczajonego do

zamykania się w sobie Andriuszy i, jak go kiedyś chłopak nazwał w myślach, wielkiego milczka — ojca.

Zdarzało się, że upływały minuty, a ojciec i syn nie odzywali się do siebie. Aleksander Leontjewicz zabierał się do gazet i swoich teczek, Andriusza długo wpatrywał się w okno. Pewnego razu chłopca natchnęła myśl, którą podpowiedziało mu serce. Zaczął odwiedzać ojca z tomem Lenina i zeszytem. Siadał przy okrągłym stoliku i otwierał Co robić? — jedną z głównych prac Lenina, którą postanowił zgłębić: przecież ojciec przeczytał ją, kiedy miał lat piętnaście.

Andriuszka ma kłopoty ze zrozumieniem tego, co czyta, chce jednak udowodnić ojcu i sobie, że dzisiejsi piętnastolatki też są coś warte.

Ubrany według szpitalnych wymogów w biały fartuch, chłopiec siedzi przy stojącej na stoliku lampie z zielonym abażurem: nad książką pochyla się cienka, dziewczęca niemal szyja i ostronosy profil. Andriusza przysuwa zeszyt, coś w nim notuje.

Aleksander Leontjewicz, który usiadł na kanapie ze świeżą „Wieczerką”, wstaje i odkłada gazetę. Przechodząc zagląda do zeszytu syna. Andriusza nie podnosi wzroku i robi swoje — zapisuje cytaty z Lenina: „...gdyby ci autorzy zdolni byli zastanowić się nad tym, co mówią, czyniąc to z maksymalną odwagą i konsekwencją, jak powinien zastanawiać się nad swymi myślami każdy, kto wkracza na arenę działalności literackiej i społecznej...” Proszę, syn nie stawia już koślawych bazgrołów, charakter jego pisma stał się zdecydowany. Ojciec ma ochotę dotknąć jasnowłosej głowy syna, poczuć pod palcami miękkie włosy. Jednakże oduczył się już czułości, nie jest już do niej zdolny.

I dalej milczą. Źrenice Aleksandra Leontjewicza znów kierują się na zdania zapisane ręką syna: „Z... odwagą i konsekwencją-”

Czy on — ojciec, zawsze analizował tak swoje myśli?

Syn pisze dalej. Ojciec postanowił położyć się na kanapie. Po chwili pyta cichym głosem:

— Andriuszka, czy umiesz zachować tajemnicę?

Chłopiec drgnął. Nadeszła, zdaje się, chwila, kiedy jest ojcu naprawdę potrzebny.

— Umiem.

— Posłuchaj więc. Przynieś mi Informator terapeutyczny. Jest u mnie w gabinecie, wiesz?

— Pewnie, że wiem.

— Tylko zrób to dyskretnie. I nie mów o tym nikomu. Rozumiesz?

Andriusza nie odpowiedział; pokiwał tylko głową. Znowu poczuł współczucie, które nie pozwalało mu patrzeć w żółtawą twarz, współczucie i miłość do załamane go, chorego być może już nieuleczalnie ojca. Już od dawna (a mieliśmy o tym okazję wspomnieć na poprzednich kartach tej książki) Andriusza przestał widzieć w ojcu swój ideał, a przecież równocześnie żałował go niezmiennie. Teraz chłopiec powstrzymuje się, żeby ani spojrzeniem, ani łzami nie zdradzić współczucia, jakie odczuwa. Andriusza pragnie nie tylko przynieść ojcu w tajemnicy książkę, ale gotów jest spełnić każdą jego prośbę, zrobić dla niego wszystko.

Podczas wizyty w dzień wolny od zajęć szkolnych, wraz z innymi książkami przyniósł niepostrzeżenie gruby Informator terapeutyczny. Przy okazji, z własnej już inicjatywy, zabrał stojące obok na półce Leczenie ogólne Sołowjowa. Tę ostatnią Aleksander Leontjewicz jawnie umieścił na biurku, ale informator zamknął w szufladzie. Kiedy był sam, wgryzał się w jego treść, porównywał.

Ogniskowe zapalenie płuc... Objawy odpowiadały mniej więcej jego stanowi: temperatura, kaszel, duszności. Hasło zawierało informację, że u starszych ludzi choroba przebiega często bardzo wolno. W przypadku takiego zapalenia płuc stosowane są środki wywołujące generalne przestrojenie organizmu: w szczególności kroplówki glukozy z kwasem askorbinowym. On takiego leczenia nie otrzymuje. Prawdopodobnie jego choroba jest jakaś inna.

Wielokrotnie powracał do hasła mówiącego o innej chorobie, znów zastanawiał się, obliczał... Zadawalające samopoczucie zachowuje się przez długi okres. Rozpoznanie ułatwia obecność powiększonych węzłów limfatycznych. Charakterystyczne są tępe bóle zamostkowe. Wszelkie kuracje cieplne (termofory, poduszki elektryczne itd.) należy kategorycznie wykluczyć. Rent- genoterapia w wysokich dawkach. Jednakże takie leczenie (metoda Dillona) po dziś dzień jest mało skuteczne. Tak, jego też nie leczą rentgenoterapią. A może cierpi wcale nie na tę cho

robę? W przypadkach świeżych leczenie operacyjne. Przy zaniedbanym nowotworze rokowanie jest beznadziejne.

Owszem, wiele podobnych symptomów. Ale leczenie inne. Szprycują go tylko penicyliną i faszują jakimiś pigułkami. Trzeba jednak być przygotowanym na najgorsze, czyli brać pod uwagę bliski koniec i godnie go spotkać. Uporządkować wszystkie sprawy. Odejść jako człowiek nieposzlakowany. Zakończyć życie tak, jak wymaga tego honor wiernego syna swego państwa, swojej partii. Ma na to czas, może nawet za wiele czasu.

A może niepotrzebnie szykuje się na najgorsze? Wcale niewykluczone, że naprawdę choruje tylko na zapalenie płuc. Przecież informator poucza, że ta choroba ma wiele odmian. Aleksander Leontjewicz otwiera znowu gruby tom, kartkuje go, wczytuje się w tekst, rozważa każde słowo. Dalej jednak nękały go wątpliwości: na co on właściwie choruje? I czy nie próbują go oszukać?

A jeśli to prawda, to czyżby nie umiał sobie z tym poradzić?

37

Czyż miałoby mu zabraknąć rozumu do rozplątania tej sprawy, jak to mawiał w ministerstwie i w Komitecie?

Z biegiem lat wysubtelniły się jego zdolności śledcze i dzięki nim potrafi zaskoczyć i złapać podejrzanego. Zresztą Onisimow podejrzewał już niemal wszystkich, zadając sobie ciągle pytanie: „A może on kłamie?”

Zresztą, czy ktoś potrafiłby go oszukać w podległej mu branży węgla i stali? Najwrażliwszy, górny węch pozwalał mu rozpoznać, wywąchać każdą próbę mydlenia oczu, przedstawiania sytuacji w różowych barwach. Zrosło się więc z nim powiedzonko popularne w jego hutach: „Taki to się nawet do gaci dobierze.” Wiedział o tej famie, był z niej dumny.

Zdarzało się, że przed jego przybyciem do tych lub innych zakładów bielono hale wapnem, zamiatano przejścia między halami i posypywano je piaskiem. Onisimow szedł na tyły zakładów, wlażył do dołów odlewniczych, wciskał się pod stanowiska robocze, znajdował tam błoto, śmieci, nieporządek. Czynił tak samo, jak postępował niegdyś Sergo, który pod wieloma wzglę

dami był dla niego wzorem. I szczyrzył białe zęby, ale to już była jego własna maniera. Sergo, który dawał się czasami ponieść wybuchom gniewu, nie miał takiego okrutnego grymasu. Zirytowany Onisimow wtykał niemal nosem kierowników wydziałów i dyrekcję w ten bałagan, w błoto.

Był też bezlitosny wobec tych, którzy niedokładnie znali swoją specjalność, swój fach, i potrafił ich wyłowić z tłumu.

Przychodził na przykład do wydziału martenów lub wielkich pieców, zasiadał przy stole, na którym leżały dzienniki wytopów, przeglądał je, studiował i nadziewając jakąś cyfrę na swój ostro zatemperowany ołówek, żądał wyjaśnień od kierownika wydziału: dlaczego tego a tego dnia przekroczony został rozchód manganu, pogwałcony reżim temperatury lub grafik wytopu? Skrywana niepewność czy też zbytnia pewność siebie odpowiadającego w równym stopniu budziły jego czujność. Zresztą nawet zrównoważone zachowanie się nie pozbawiało go podejrzliwości. W pewnym momencie, patrząc w dziennik, pytał charakterystycznym surowym tonem:

— Dlaczego wczoraj drugi piec szedł przez pół godziny na wolnym biegu?

Tu następowała jakaś bliska prawdy odpowiedź. Na przykład taka:

— Czerpaki się spóźniły i trzeba było...

— Czerpaki? Z jakiego powodu? Czy wyjaśniliście tę sprawę? yjjg Bocznica nie przyjmowała. U nas, Aleksandrze Leontjewiczu...

Onisimow nie słuchał nawet i mówił do delikwenta, jak gdyby ciął go batem:

— Kłamiecie! Pojęcia nie macie o tym, co do was należy. Przecież wczoraj nie przełączaliście żadnego pieca na wolny bieg.

Takim to chwytem ścinał z nóg podwładnego, który próbował uciekać się do kłamstwa.

Potem Onisimow wyciągał już z niego z łatwością prawdę, zmuszał do ujawnienia prawdziwych grzechów produkcji.

Taka pułapka nie zawsze jednak działała jak trzeba. Pewnego razu Gołownia-junior, stojący przed Onisimowem w budce pirometrycznej wydziału wielkich pieców Kurakowki... Tak, to było ich pierwsze spotkanie. Ale nie, Onisimow poznał Gołownię wcześniej. Nie był jeszcze wtedy narkomem odlewu i walco

wania stali. Miało to chyba miejsce w trzydziestym dziewiątym roku. Tak, w trzydziestym dziewiątym. Piotr Gołownia od razu mu się nie spodobał i Onisimow potraktował go jak mędrka, fanfarona, narwańca.

Tamten dawny epizod stanął teraz żywo w jego pamięci bez żadnego logicznego związku. Ciepła sierpniowa noc. Ucichły ulice Moskwy. Ostatnie tramwaje i autobusy odjechały na nocleg do zajezdni. Światła na skrzyżowaniach zgasły; odpoczywają. Moskwanie śpią. W oknach Kremla widać jednak światło. W tym właśnie momencie przejeżdżał ulicami samochód Onisimowa. Trwa dzień pracy albo lepiej — noc pracy narkomów, ich zastępców, dyrektorów departamentów i centralnych zarządów, sekretarzy.

Onisimow jest narkomem budowy czołgów i jedzie na plac Nogina do narkoma metalu, aby przedstawić mu swoje poważne zastrzeżenia co do jakości stali dostarczanej przemysłowi czołgowemu. Narkom metalu jest co prawda w delegacji, ale na gospodarstwie (takiego właśnie wyrażenia używa się w kołach urzędniczych) pozostał pierwszy zastępca Aleksiej Gołownia, świetny pracownik, metalurg znający się na swej specjalności, człowiek, który, jak wiadomo Onisimowowi, nie rzuca słów na wiatr.

Nieco już otyły — daje znać o sobie siedzący tyb życia — Aleksiej Gołownia w zielonkawej kowerkotowej kurtce przechadzał się właśnie po gabinecie i zaraz podszedł do gościa, kiedy ten przekroczył próg. Kiedyś byli w instytucie na jednym roku, lecz potem przestali jakoś mówić sobie „ty”. Może przejściu na „wy” sprzyjało właściwe Onisimowowi piętno albo nalot oficjalności, nie pozwalający na żadne rozmowy, które nie mają związku ze sprawą; nalot ten był równie charakterystyczny dla Onisimowa, jak jego biały nakrochmalony kołnierzyk.

Po wejściu do gabinetu Onisimow spostrzegł, że z boku na kanapie siedzi jakiś opalony, szczupły młodzian, który nie uważał za konieczne powstać na widok narkoma. Uściskawszy mocno drobną, kobiecą niemal dłoń Onisimowa, Aleksiej Afanas- jewicz wskazał głową na siedzącego:

— To mój brat Piętro. Dyrektor Kurakowki.

Młodzian dopiero wówczas raczył wstać. Stał i patrzył z u- śmiechem na akuratnie uczesanego, zielonookiego narkoma z głową wciśniętą w ramiona. Ten uśmiech, który miał oznaczać

nie wiadomo co, wydal się Onisimowowi nie na miejscu. Gówniarz! Co on mógł przeżyć w tych minionych okropnych latach — w trzydziestym siódmym i trzydziestym ósmym? Akurat wtedy wiele pisano w gazetach o starym hutniku Gołowni, o jego synach — inżynierach, którzy także wybrali specjalność hutniczą. No, a teraz... Pewnie, stary rudy Gołownia i jego najstarszy syn zapracowali sobie na popularność. Ale młodszy syn, który niczym się jeszcze nie wyróżnił, też należy do dynastii. I proszę, już dyrektor!

Onisimow wbił raz jeszcze ostre spojrzenie w Gołownię-ju-niora. Na opalonym czole bieleje bliznaigi- pewnie ślad po jakiejś awanturze. W odróżnieniu od brata jego nos nie przypomina kartofla, jest cienki, z garbkiem, jak u ojca. Jednakże oczy braci są podobnej barwy, którą często nazywa się błękitem, ale nie są lazurowe, jasnoniebieskie, lecz prędzej już popielate, błę- kitnoszare. Kołnierzyk lekkiej jasnej koszuli młodszego Gołowni jest rozpięty, barwa szyi i twarzy czerwonawobrazowa. To nie tylko ślad południowego, upalnego słońca, lecz także ślad mikroskopijnych cząsteczek rudy, które wydostają się ze starych pieców, dożywających już swoich dni; tego pyłu nie sposób z siebie zmyć. Tak, możliwe, że to pracowity chłopak. Ale zachowuje się zbyt swobodnie. Jasne włosy z rudawym odcieniem są nieporządnie utrzymane. Mógłby chociaż te włosy doprowadzić do porządku. I zapiąć kołnierzyk koszuli. I nie uśmiechać się z taką pewnością siebie.

Onisimow odwrócił się i ruszył w kierunku stołu. Aleksiej Afanasjewicz powiedział z pewnym wahaniem:

— Mój brat chyba niech się teraz przejdzie...

— Dlaczego? Wcale mi nie przeszkadza. Nie zamierzam omawiać jakichś specjalnych tajemnic.

Onisimow usiadł, otworzył teczkę i bez ogródek przeszedł do sprawy. Precyzyjny jak zawsze, przedłożył Aleksiejowi Afanas- jewiczowi zestawioną drobiazgowo dokumentację: analizy laboratoryjne, wyniki badań, zdjęcia fotograficzne szlifów zakwestionowanej stali i furę protokołów świadczących o tym, że całe partie blachy, odkuwek i innych profilów nie nadają się, nie odpowiadają wysokim wymaganiom przemysłu czołgowego.

Aleksiej Afanasjewicz czytał dokument za dokumentem, ciężko wzdychał i nie usiłował nawet dyskutować. Dobrze wiedział, jak została zdezorganizowana praca metalurgii, kiedy niemal

wszyscy dyrektorzy wraz z najbliższymi współpracownikami zaginęli bez wieści, skoszeni przez aresztowania. Teraz trzeba było olbrzymich wysiłków, aby znowu wprowadzić do produkcji dokładność i rytm, aby udoskonalić i poprawić wyrób dobrej stali.

W trakcie dalszej rozmowy Onisimow zaczął złośliwie wyszydzać przyspieszone wytopy tak zwanych hutników-rekordzistów.

— Ci wasi bohaterowie dają nie stal, ale jakąś kaszę. Jakiś ersatz. Przeładowują zbiorniki. I mają za nic całą technologię. Owszem, wczorajsi wyścigowcy będąc ciemniakami w dziedzinie techniki mogli sobie na coś takiego pozwalać, ale my, chwalić Boga, uczyliśmy się tego i owego.

„Wczorajsi wyścigowcy” — Onisimow używał takiego określenia wobec wspaniałej konstelacji dyrektorów, którzy wybili się na początku lat trzydziestych, a całkiem niedawno zostali niemal w całości wykończeni przez stalinowski terror. O mały włos sam byłby podzielił los tych ludzi. A przecież nie doszło do tego. W swoich ówczesnych rozważaniach o tym, co się stało, Onisimow skłaniał się ku wnioskowi, że jego ocalenie wynikało z samej natury rzeczy. Na czym polegała jego zdaniem owa prawidłowość? Pewnie odegrało w tym niemałą rolę zakorzenione w nim oddanie Gospodarzowi, które stało się jego drugą naturą, ślepa gotowość do spełnienia każdego słowa Stalina. W tej dyspozycyjności Onisimow znajdował wielkie zadowolenie, rozkosz, choć, prawdopodobnie, nie mogłaby go uratować... Wielokrotnie przychodziło mu na myśl, że na szczęście zdążył w porę otrzymać wykształcenie techniczne i zostać walcownikiem. Przecież topór represji powalił działaczy gospodarczych, którzy, prawdę mówiąc, nie mieli żadnego pojęcia o technice, nie posiadali żadnej specjalizacji prócz politycznej. Onisimow z właściwą sobie kategorycznością tak to właśnie sformułował. Jak wielokrotnie miał się okazję przekonać, ci organizatorzy produkcji nader powierzchownie, mętnie znali sprawy fabryczne, produkcję, którą kierowali. Z biegiem czasu stali się ludźmi niepotrzebnymi. I pewnie niebezpiecznymi, bo zbyt dobrze zgłębili niuansy gry politycznej. Na ich miejsce przyszli ludzie zupełnie inni, w większości młodzi technicy, wraz z którymi on, inżynier Onisimow, przekroczył próg owych nieszczęsnych czasów. Inna rzecz, że wiele faktów nie mieściło się w tym schemata

cie. Jednakże wtedy Onisimow zadowolili się takim rozumowaniem. Nie zwierzał się nikomu z tej swojej domorosłej teoryjki, a potem w ogóle przestał myśleć o takich sprawach. Nie nadawał się na filozofa. Jego powołaniem była praca, dokładne, bezwzględne wykonywanie poleceń partii, rozkazów Stalina, uzbrajanie kraju w silne czołgi, w setki, tysiące czołgów, które swoim pancernem i zdolnością manewrową przewyższą najlepsze w Europie czołgi niemieckie, nie zawiodą w zbliżającej się i prawdopodobnie nieuniknionej wojnie. Teraz przedkładał ostro swe żądania komisarzowi metali.

r— Macie przecież, Aleksieju Afanasjewiczu, niezawodną, sprawdzoną technologię wytopu. Należałoby więc surowo zabronić jakichkolwiek odstępstw od tej zasady. Szczególnie trzeba zabronić tym waszym wyścigowcom. I kontrolować ich bezwzględnie.

— To nie jest tak — zabrzmiał nieoczekiwane głos z głębi gabinetu.

Gołownia-junior powiedział to z uśmiechem i gotów do dyskusji przesiadł się na brzeżek kanapy.

— Widzę, towarzyszu Onisimow — mówił dalej — że mętnie wyobrażacie sobie szybkie wytopy.

Onisimow zerknął na niego przez ramię i nie zaszczycił go ani słowem, odwrócił się. Ale bezczelny! Jemu, Onisimowowi, który z wyróżnieniem obronił pracę dyplomową inżyniera- -metalurga, który potem przez dwa lata pracował jako zwykły walcownik w hutach angielskich, ten uśmiechnięty parweniusz ośmiela się rzucić takie samo określenie, jakie Onisimow adresował w myślach do wymordowanych pracowników przemysłu. Wierny swoim zasadom, zgasił natychmiast Gołownię-juniora.

— Macie właśnie okazję przekonać się — rzekł kwaśno zwracając się do starszego brata — że w waszym resorcie rozluźnienie dyscypliny ma miejsce nie tylko w hutach. Nawet tutaj, w waszym gabinecie, młody i niestety niezbyt skromny towarzysz wtrąca się bez zezwolenia do naszej rozmowy.

Nie poświęcił już więcej żadnej uwagi tej młodszej latorośli słynnego rodu. Wygłosiwszy swoją nauczkę (tak właśnie o nim mawiano: „Nie uczy, ale daje nauczkę”, o czym wiedział), ledwie kiwnął głową Piotrowi, kiedy opuszczał gabinet.

Po upływie kilku miesięcy Onisimow został mianowany narkomem odlewu i walcowni stali, czyli jak się mówiło potocznie narkomem stali.

W tych czasach odbywała się reorganizacja zarządzania przemysłem: zaczął funkcjonować samodzielnie narkomat czarnej metalurgii, zarządzający także całym olbrzymim gospodarstwem zagłębi rudy żelaznej, wydobywaniem topików, wypalaniem koksu, a także narkomat nieco mniejszy, realizujący zadania specjalne, powierzony Onisimowowi.

Jesienią 1940 roku już w nowej roli udał się Onisimow na długotrwałą wizytację zakładów.

Dokładnie rok wcześniej tuż pod boki Związku Radzieckiego wybuchła II wojna światowa. Dywizje Hitlera niemal jednym skokiem pokonały Polskę, a po pewnym czasie kolumny niemieckich czołgów wdarły się do Francji, zmuszając ją do kapitulacji. I znowu wojna przycichła na jakiś czas. Czy na długo? A może rychło wybije nasza godzina?

Do planu wizytacji narkoma została także włączona Kurakowka. Tam właśnie spotkał znowu Gołownię-juniora.

Był ciepły dzień babiego lata. Szli we dwóch przez ciasny dziedziniec starej Kurakowki, tak przecież niepodobny do przestronnych, z rozgałęzionymi drogami dojazdowymi fabrycznych terenów nowo wybudowanych kombinatów metalurgicznych. Jeden wysoki, choć z głową wciśniętą w ramiona, nie rozstający się z kapeluszem i ciemną znoszoną marynarką — niezmiennym strojem dickensowskiego urzędnika najniższej rangi, i krocący obok niego noga w nogę, ubrany w lekką, wypłowiałą niebieską kurtkę roboczą, w czapce zrudziałej od czerwonego pyłu rudy, barwiącego tutejszą ziemię i blachę dachów, drobnokościsty, lecz z ciężką dolną szczęką trzydziestoletni dyrektor huty.

Niezbyt szeroka asfaltowa dróżka, którą szli, prowadziła do wydziału wielkich pieców. Nieco z boku wciśnięty między szyny kolejowe widniał przysadzisty budynek z cegły. Czerniały nad nim dwa żelazne kominy.

— A co to jest?

To jest najstarszy budynek, towarzyszu narkomie. Dwa malutkie piece martenowskie.

- Co tam teraz produkujesz?
- Stał stopową dla łodzi podwodnych.
- Numer zamówienia?

Gołownia był zaambarasowany:

- Nie pamiętam, towarzyszu narkomie.
- Zajrzyj do notesu.
- Nie zanotowałem tego. Jeśli pozwolicie, zatelefonuję i dowiem się w wydziale planowania.

Mogę ci to sam powiedzieć — powiedział szorstko Onisimow.

Tu wymienił z pamięci numer zamówienia. Nie wyjaśnił już, rzecz jasna, że dopiero wczoraj, szykując się do wizytacji wydziałów, przestudiował nomenklaturę zamówień zleconych Kurakowce. Zresztą wszystkie dane dotyczące stali dla łodzi podwodnych, produkowanej według specjalnej instrukcji rządowej, a ściślej mówiąc rozporządzenia rządowego, Onisimow mógłby przytoczyć z pamięci o każdej porze dnia i nocy.

I ciągnął dalej swój niemiłosierny egzamin: ' JH Tonaż zadania? Termin wysyłki?

Młody dyrektor uśmiechnął się i bez zająknięcia odpowiedział na te pytania. Uśmiech, odebrany jako oznaka pewności siebie, uznany został za impertynencki. Onisimow opanował nerwy. Jeszcze dzisiaj popędzi kota temu gagatkowi, który należy do znanej rodziny, czy też do dynastii wielkopieczowników, jak od pewnego czasu zaczęto ich nazywać. Prawdziwa awantura czeka Gołownię dopiero w wydziale wielkich pieców. A na razie...

- Zajrzyjmy tam — rzucił krótko narkom.

Szyny, na które weszli, zaprowadziły ich przez rozwartą na oścież żelazną bramę na stanowisko robocze dwóch małogabarytowych pieców do wytapiania stali.

Odbывał się spust stali. Cuchnęło gazem, w powietrzu unosiła się zasłona dymu, było parno. Płynący z czerpaka metal rzucał purpurowe błyski na czarne, pokryte sadzą belki i krokwie niskiego dachu, na równie zakopcone ceglane ściany. Starszy wiekiem mistrz w czapce wciśniętej na głowę i w brezentowym ubraniu ochronnym przysłonił twarz ręką, obserwując, jak gorący strumień wlewa się do form. Onisimow podszedł do niego:

- Jak ty patrzysz?
- A co? Zwyczajnie.

— Zwyczajnie — powtórzył Onisimow złośliwie. — Dlaczego stoisz tak daleko? Gdzie masz niebieskie szkło? Dlaczego nie pilnujesz „skórki”?

— Pilnuję.

— Co ty możesz zobaczyć bez szkła? Gdzie je masz?

Mistrz wyjął z kieszeni niebieskie szkło w drewnianej, amatorsko wykonanej ramce. Po szkle wiło się pęknięcie.

— Jak ty dbasz o swoje narzędzie pracy?

Wyrwał majstrowi szkło i odrzucił je. Potem wyjął własne, oprawione w aluminium, i podał mu. Mistrz podniósł je do oczu i zaczął patrzeć.

— Nie tak!

Onisimow chwycił go za brezentowy kołnierz i popchnął w stronę palącej zarem formy, a sam w kapeluszu i wykrochmalonym kołnierzyku stanął obok. Włoski wełny na jego marynarce skręcały się od gorąca.

— Dajcie mi szkło! — polecił Gołowni.

Nie wycofując się ani na pół kroku, oświetlony ledwie dającym się znieść bliskim różowym odbłaskiem, wpatrywał się przez niebieską zasłonę, jak stal wypełnia formę. Będąc walco-wnikiem znał się także na rozlewie, tej ostatniej operacji wytopu stali. Wprowadzał porządek, dyscyplinę technologiczną, żądał z uporem, aby podczas rozlewu obserwować bez przerwy stan „skórki”, pilnować, aby przez cały czas opalizowała w odległości jednego-dwóch centymetrów od ścianki. Jeśli zaczyna przylegać, trzeba przyspieszyć bieg strumienia stali, w przeciwnym bowiem razie przyleganie „skórki” skończy się drugim gatunkiem odlewu lub brakiem przy walcowaniu. Pośród innych instrukcji technologicznych wydał nawet specjalny dokument, wyliczający szczegółowo reguły wylewu. A tutaj, w Kurakowce, proszę bardzo, wszystko odbywa się tak, jak gdyby tego nie było.

Onisimow pozostawił majstra przy formie, obrzucił Gołownię druzgocącym spojrzeniem i podszedł do okna opróżnionego już, rzucającego różowawe światło pieca, zamierzając obejrzeć jego trzon. Dostęp do pieca utrudniał stos rozpalonego dolomitu, pociemniałego już z wierzchu i pokrytego popiołem. Onisimow wszedł na ów stos.

— Spalicie się — krzyknął Gołownia.

— Nie jestem panienką jgg odpowiedział opryskliwie narkom.

A przecież pałacy żar przedostał już się przez podeszwy. Onisimow odskoczył gwałtownie i zaraz zerknął na dyrektora, czy się aby nie śmieje.

Po kilku minutach wyszli przez tę samą bramę. Tutaj dopę- dził narkoma inżynier — kierownik zmiany.

— Zostawiliście swoje szkło, towarzyszu narkomie.

— Dajcie na pamiątkę majstrowi. Niech sam pamięta i przypomina innym, że trzeba znać instrukcje. Znać i przestrzegać.

...Onisimow i Gołownia znów idą po asfalcie do wielkich pieców. Zbyt pewny siebie dyrektor został już nieco pouczony. Czy mógł się domyślać, co go czeka w oddziale wielkich pieców? Niemal przez dwa tygodnie przebywała w hucie specjalna brygada narkomatu, którą Onisimow wysłał przodem, jak to miał w zwyczaju. Zaledwie więc przybył do Kurakowki, zameldowano mu, że Gołownia-junior rozpoczął w oddziale wielkich pieców jakieś podejrzone eksperymenty. Zabrał się do tego nie informując narkomatu i nie prosząc o zgodę. Takie obyczaje były jeszcze żywe w metalurgii. „Każdy baron ma własne fantazje” — tym powiedzonkiem nowo mianowany surowy narkom już nieraz charakteryzował porządki w hutach i fabrykach. On, który terminował u Anglików — ojców przemysłu stalowego, potem zaś przebywał w Niemczech, gdzie nauczył się tamtejszej dokładności i punktualności, nie dopuści, aby w zakładach każdy mędrkował, jak mu się zamarzy. Nie będzie tolerował żadnych naruszeń sprawdzonej, pewnej technologii. Zaprowadzi tutaj dyscyplinę. I czy jesteś Gołownią, czy nie Gołownią, czy znany z ciebie człowiek, czy nieznany, to za samowolę zedrze się z ciebie skórę jak z każdego innego.

Obok chodnika stał jeszcze jeden niziutki, niewielki budynek.

— Co tam jest?

— Stołówka wydziału wielkich pieców.

— No, to zajrzemy. Gdzie tylne wejście?

Onisimow wszędzie tak postępował: nie dowierzał temu, co na pokaz, przyjeżdżał bez zapowiedzi, wchodził tylnym wejściem, zaskakiwał swoją obecnością.

Zeszli wydeptanymi kamiennymi schodami do suterenu i znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu przylegającym do kuchni. Kilka kobiet obierało ziemniaki. Przerwały pracę i popatrywały to na młodego dyrektora, to na tego ważnego faceta w kapeluszu, którego żadna z nich nie znała. Onisimow przyjrzał się i powiedział:

. — Dlaczego obieracie tak grubo?

— A jak obierać, kiedy zgniłe — odpowiedziała jedna z kobiet.

Onisimow podszedł bliżej, pochylił się, podniósł jeden ziemniak, drugi.

— Wcale nie zgniłe.

Odrzucił ziemniaki, postął chwilę, odwrócił się i wyszedł. Na dworze wyjął chusteczkę i wytarł ubrudzone palce.

— Grube obierzyny. Zabierają do domu. Trzymają prosiaki — rzekł zgryźliwie do Gołowni.

I nie mówiąc już ani słowa, dając jak gdyby do zrozumienia, żeby sam wyciągnął wnioski, ruszył do wielkiego pieca numer 1, który wznosił się nie opodal. Piotr nadal szedł obok niego.

Po żelaznej drabinie, też czerwonej od rudy, weszli na piec wydający z siebie niski miarowy huk. Onisimow wszedł do budki pirometrycznej (na pulpicie zapalały się i gasły różnokolorowe światełka), usiadł, przysunął do siebie dziennik wytopów, otworzył go. Na pytanie narkoma odpowiadał kierownik wydziału, równie młody jak dyrektor, ubrany w taką samą wypłowiałą niebieską kurtkę. Chwilami zdenerwowanie powodowało, że jąkał się i wtedy na jego twarzy pojawiały się czerwone plamy. Onisimow nie zdradził się jeszcze ani słowem, że wie o samowolnych pomysłach, jakie wprowadzono na wydziale. Jak zwykle chciał najpierw udowodnić swemu rozmówcy, że nie zna się na tym, co robi, a potem obezwładnić go, obsztorcować. Nie odrywając więc oczu od dziennika, zapytał:

— Dlaczego wczoraj na drugim piecu dali pięć pustych wsadów?

Kierownik wydziału był zaskoczony.

— Wczoraj?

— Tak, tak, wczoraj.

Dyrektor huty natychmiast wtrącił się do rozmowy:

— Na dwójce nie było wczoraj pustych wsadów. Mylicie się, towarzyszu narkomie.

Piotr Gołownia mówił zdecydowanie, ale przecież też się denerwował — z twarzy zniknął mu uśmiech, zacisnął szczęki, aż pojawiły się drgające guły na policzkach. Mówiąc obrazowo, Onisimowa swędziły ręce, żeby już teraz wziąć krótko tego szczeniaka, powiedzieć mu: „Jak widać, nie pilnujesz huty, lecz tylko tego wydziału. A na dodatek wyczyniasz tu różne nume

ry." A jednak powstrzymał się od uwag. Wszystko we właściwym czasie. W budce stawią się za chwilę członkowie zespołu narkomackiego, a wśród nich szef grupy wielkopieczowej inżynier Ziemcow. Niech najpierw zamelduje w obecności winnego o samowolach w Kurakowce, o radosnej twórczości dyrektora, a reszta należeć będzie do narkoma. Gołownia dostanie za swoje.

No, i dostał...

39

Wszystko odbyło się w tym samym miejscu — w budce piro- metrycznej pieca numer 1. O wyznaczonej porze zjawili się tam ci, których narkom wydelegował wcześniej do Kurakowki — dyrektor Gławjugu, kościsty Minich o wąskiej twarzy, główny księgowy narkomu Szybajew i szef grupy wielkopieczowej Ziemcow, ostrzyżony na jeża. Człowiek ten zdobył spore doświadczenie jako inżynier-praktyk, a potem uzyskał tytuł profesorski. Dodać należy, że Zimcow cieszył się pewną sławą jako autor ćwiczeń i zadań szachowych. Wyjeżdżając służbowo, zawsze zabierał ze sobą literaturę szachową i godzinami ślęczał samotnie nad deską. Onisimow lubił pograć z nim w wagonie. Dziwne, ale w takich pojedynkach narkom przeważnie wygrywał z tym wykwalifikowanym szachistą. Swoje porażki Ziemcow tłumaczył tym, że siła czy przewaga w grze nie jest wcale równoznaczna ze zdolnościami do układania zadań. Onisimow podejrzewał go w duchu o kręactwo. A jednak te wygrane sprawiały mu przyjemność i wcale nie krył się przed sobą z tą słabością, pozwalał sobie na nią.

Onisimow, przybyły z nim sekretarz, Gołownia i kierownik wydziału zajęli miejsca wokół odrapanego, wysłużonego stołu ze śladami fioletowego atramentu. Na tacy stanęły przyniesione z wydziałowego bufetu szklanki z herbatą i byle jaka salaterka z zielonkawego szkła pełna herbatników. Nikt jednak po poczęstunek nie sięgnął. Onisimow wprowadził w narkomacie żelazną zasadę, że w zakładach nie wolno z niczego korzystać — nie tylko z obiadu czy kolacji u dyrektora, lecz także z darmowej szklanki herbaty. Tych, którzy nie przestrzegali tego obyczaju, chłostał bezlitosnymi słowy na posiedzeniach kolegium. Pod-

czas wyjazdów wizytacyjnych sam dawał przykład pedantycznej powściągliwości.

Od czasu do czasu drzwi do pomieszczenia otwierały się, do środka wpadał na chwilę świst i huk, wchodził czarnobrewy, gładko ogolony majster i wykonywał swoje obowiązki: spoglądał na sygnały świetlne, na papier milimetrowy zasmarowany czarnymi liniami urządzeń samopiszących. Potem wychodził. Wizyty te nie przerywały posiedzenia.

Onisimow zapalił i zwrócił się do Ziemcowa:

IH A teraz posłuchamy ciebie, Mikołaju Fiedotowiczu. Jak mają się sprawy na froncie tutejszych wielkich pieców?

Profesor-szachista powstał z miejsca. Niskim głosem, bez pośpiechu, z przerwami, pociągając dwoma palcami za wystającą dolną wargę (był to charakterystyczny dla niego gest) Ziemcow dokonał gruntownej analizy pracy wydziału wielkich pieców Kurakowki, z góry odpierając możliwe zarzuty. Wszyscy obecni dobrze wiedzieli, że w przemyśle i transporcie trwał jeszcze okres dramatycznej dezorganizacji wywołanej przez areszty w minionych latach. O tym nie wypadało zresztą mówić. Bilans wytopu w 1939 roku był opłakany. Dopiero w połowie 1940 roku, o którym właśnie mowa w naszej opowieści, przemysł stalowy i inne gałęzie gospodarki zaczęły się nieco odradzać. Odbywało się to jednak z wielkim trudem, z cofaniem się do tyłu.

Z tym samym ni to protekcjonalnym, ni to ironicznym uśmiechem Ziemcow opisał nigdzie jeszcze nie spotykany sposób obciążania pieca, a także godne podziwu nowinki konstrukcyjne, wprowadzone przez dyrektora Kurakowki w jednym z pieców.

Rzecz jasna, rezultaty okazały się opłakane — informował Ziemcow. — Zresztą inaczej być nie mogło, naruszone zostały bowiem reguły sztuki hutniczej. Doświadczenie uczy, że trzeba dać absolutną swobodę strumieniowi gazów, a nasz nieposkromiony eksperymentator, pochłonięty własnymi teoriami, o których, niestety, milczy jeszcze światowa literatura techniczna, ścisnął gardło wielkiego pieca. No i naturalnie narobił sobie kłopotów.

W tym okresie Kurakowka miała kłopoty z tego powodu, że spadły dostawy energii elektrycznej, a często w ogóle urywały się bez uprzedzenia. Pogorszyła się też wyraźnie jakość dostarczanych do huty topików, ciągle zresztą było ich brak, bunkry były puste, załadunek pieców odbywał się wprost z wagonów.

Onisimow, który w tym właśnie okresie mianowany został nar- komem stali, dniem i nocą czuwał w Moskwie nad każdym niemal transportem rudy lub wapienia. Chroniczny brak siły roboczej, płynność kadr, zwłaszcza tam, gdzie znowu stosowano ciężką pracę ręczną, także dokuczał Kurakowce.

Ziemcow nie tuszował tych trudności. W takich warunkach, co należy sprawiedliwie podkreślić, wydział wielkich pieców (tu nasz profesor znów przerwał i szarpnął dwoma palcami dolną wargę) osiągnął jednak pewne sukcesy. Krzywa wytopów idzie ciągle w górę. Czy można jednak być z tego zadowolonym? Nie, gdyż planowe zadania nie są wykonywane w ani jednym piecu. Mają miejsce poważne uchybienia, a także — proszę mi wybaczyć szczerłość, Piotrze Afanasjewiczu — wady kierownictwa huty.

— Po zbadaniu sprawy na miejscu — mówił dalej Ziemcow — wyjaśniliśmy, co następuje: ciężka sytuacja, w której po dzień dzisiejszy znajduje się wydział wielkich pieców, wywołana jest nie tylko przyczynami obiektywnymi, lecz także tym, że Piotra Afanasjewicza z racji jego młodego wieku — z uśmiechem, w którym odczytać można lekceważenie, Ziemcow przyglądał pulchną dłońią swego tkniętego już siwizną języka, który zaraz stawał sztorcem — a więc z racji młodego wieku i za- palczywości, którą ja osobiście rozumiem, gdyż kiedyś mnie także zaliczano do wynalazców, zbyt pochłonęły bezpodstawne, nie uzasadnione albo nawet, że pozwolę sobie jako starszy kolega na takie określenie — głupie eksperymenty.

Piotr słuchał w milczeniu i wyglądał na spokojnego. Czasami tylko grały mu żuchwy. Także na opalonym czole z białą ukośną szramą zaznaczyła się pionowa kreska biegnąca do kości nosowej.

— Kto ci pozwolił na takie fantazje? — zapytał ostro Onisimow.

— Mówiłem o tym dyrektorowi zarządu. Nie miał nic przeciwko temu, aby wypróbować mój pomysł.

— Potwierdzasz to? y— zapytał Onisimow Minicha.

— Nie pamiętam takiej rozmowy, Aleksandrze Leontjewiczu.

— Któż ci więc pozwolił? — powtórzył Onisimow. — I gdzie to zostało udokumentowane?

Piotr nie odpowiedział.

— Za kogo ty siebie właściwie uważasz? Za udzielne ksiąźatko? Powierzyli ci hutę, a tobie w to graj, skorzystałeś i zająłeś się własnymi pomysłami na koszt państwa. Czy myślisz, że huta to twoja ojcowizna? Czy tak mam to rozumieć?

— Ja jestem przekonany — powiedział Piotr — że wcześniej czy później moja metoda zatriumfuje w całej metalurgii i przyniesie...

— Ja... ja... — przerwał mu Onisimow. — Trochę mniej tego ja! To zdumiewające w jaki sposób ty, który wychowałeś się w rodzinie robotniczej, nauczyłeś się tego anarchicznego indywidualizmu. Patrzcie go, co za persona! Czy sądzisz, że nie obowiązują cię prawa radzieckie?

.— Nie, tak nie sądzę.

— Dlaczego więc uprawiasz samowolę?

— Przecież moją metodę zrodziło samo życie. Właśnie nasza radziecka metalurgia...

—■ Nasza metalurgia wymaga przede wszystkim surowego porządku. A ty pierwszy ten porządek naruszasz! Nic dziwnego, że także w twoich wydziałach rozluźniła się dyscyplina technologiczna. Nie potrzebujemy cudów, które ty proponujesz, lecz codziennej nieustannej pracy nad zaprowadzeniem porządku. Za takie numery, które tutaj wyczyniasz, należałoby cię dla przykładu zdjąć ze stanowiska, ale na razie ograniczę się do ostrzeżenia. I zechciej natychmiast przerwać tę twoją zabawę, tę samowolę. Natychmiast!

Po załatwieniu sprawy konstruktorskiej samowoli Piotra Gołowni narkom ogłosił dwugodzinną przerwę i opuścił wydział.

40

Analiza potrzeb i braków wydziału wielkich pieców zakończyła się późno w nocy. Zaprojektowano konkretne polecenia, decyzje, które potem miały się złożyć na osobny rozdział w zaleceniu pozostawionym przez narkoma.

Około trzeciej nad ranem Onisimow zwolnił uczestników posiedzenia. Podczas wizytacji zakładów zawsze trzymał się takiego porządku. Pracownicy narkomatu, którzy towarzyszyli mu w podróżach i w przystępie gorzkiej ironii nazywali samych siebie jego konikami, zawsze wracali na nocleg głodni, wykoń

czeniu. A ich szef, jakby odlany z superodpornej stali, był świeżutki, zachowywał ostrość języka i przenikliwość spojrzenia.

Po opuszczeniu wydziału, narkom w towarzystwie dyrektora huty przedostał się przez płataninę szyn, których wypolerowane kołami stalowe nitki połyskiwały mętnie pod lekko purpurowym niebem huty, i wyszedł na asfalt, gdzie czekał już na niego samochód. Drugi samochód, przeznaczony dla jego ludzi, odjechał przed chwilą: nie opodał widać było jeszcze oddalające się czerwone punkty tylnych świateł. Wreszcie samochód zniknął. Hałasy fabrycznej nocy wydawały się przytłumione. Czasami tylko rozlegał się jakiś zgrzyt albo ostry gwizd.

— Chciałem was prosić — odezwał się Piotr — o wyrażenie zgody na próby w jednym piecu.

— Ten znowu swoje — odpowiedział Onisimow. — Chodź, odprowadź mnie trochę.

Ruszyli brzegiem chodnika. Za nimi jechał wolno samochód narkoma. Onisimow obejrzał się ze złością. W Moskwie też nie pozwalał, żeby samochód jeździł tak za nim, podporządkowując się tempu jego kroków. Według niego były to pańskie obyczaje. Podszedł do kierowcy i powiedział:

— Jedź do głównej bramy i tam na mnie poczekaj.

Przez jakiś czas szli bez słowa.

1g j|| Pomyślałem sobie teraz o flokenach — rzekł Onisimow.

Jego głos brzmiał miękko, konfidencko. Wyglądało na to, że Onisimow pozbył się pancerza zwykłej oficjalności.

— O flokenach?

Obaj bardzo dobrze znali ten termin metalurgiczny, który o- oznaczał wadę stalowego odlewu. W tamtych czasach nie mogły go rozpoznać żadne przyrządy. Naukowcy wyjaśnili jedynie, że floken powodują bardzo drobne, niemal mikroskopijne pęcherzyki tlenu, pozostałe w odlewie. Podczas walcowania taki pęcherzyk ulega wydłużeniu, staje się cienki jak włos, zamienia się w pęknięcie, które na razie nie daje o sobie znać. Taka zarazona flokenem stal otrzymuje atestat „dobra”. A o wiele później ta pozornie wytrzymała stal łamie się i pęka podczas pracy. Zdarzały się katastrofy pociągów z powodu pęknięcia szyn, bywało, że ni stąd, ni zowąd urywała się śruba statku, łamały się wiązary i osie. Dopiero wówczas pęknięcie ujawniało rozprze- 168

strzenione w metalu flokeny — srebrnobiałe płatki otoczone ciemnymi plamami zmęczenia materiału.

Od dawien dawna flokeny były ulubionym tematem Onisimowa. W tym miejscu winniśmy przypomnieć, że jeszcze w młodości ten wzorowy student i sekretarz organizacji partyjnej instytutu został nazwany przez kolegów „człowiekiem bez floke- nów”. Dumny był z tego miana.

Dzisiaj podlegający Onisimowowi metalurdcy wiedzieli, że groźnego narkoma można kupić, jeśli skieruje się rozmowę na flokeny. W takich przypadkach Aleksander Leontjewicz ożywiał się, a wnikając w różnorakie szczegóły tego mętnego tematu przytaczał zdumiewające fakty i, co najważniejsze, robił się miłszy. Zresztą określenie „miły” nie przystawało do Onisimowa. Po prostu przez jakiś czas nie trzeba się było obawiać jego opryskliwości, skłonności do wybuchów.

Idąc teraz ramię w ramię z Gołownią i odmierzając krokami pusty w nocy chodnik, rozprawiał chętnie o flokenach. Miało się wrażenie, że jego wetknięta w ramiona duża głowa, osłonięta pilśniowym kapeluszem, nieco się uniosła. Kiedy Onisimow wskakiwał na swego konika, odpoczywał.

Jak już czytelnik zdążył się zorientować, Piotr nie był urodzonym taktykiem. Słuchał, słuchał, aż wreszcie powiedział:

— Nie widzę, towarzyszu narkomie, żadnego związku między moim sposobem a flokenami!

— A ja widzę.

— Na czym on polega?

Uśmiechając się — och, te jego uśmieszki! — Piotr w kilku jasnych zdaniach udowodnił, że jego sposób, z którejkolwiek by na to spojrzeć strony, nie zagraża wcale jakości metalu. A zresztą odkryto już nowe sposoby radykalnego oczyszczenia 6tali z wszelkich gazowych dodatków. Od dawna już proponuje się spust w próżni. Trzeba to sprawdzić, zbadać praktycznie. Onisimow nie spierał się, rzucił tylko:

— Nie, z flokenami lepiej nie mędrkować. — Teraz ton jego głosu był ostry jak zwykle. — Poza tym nie wzięłeś pod uwagę, że o flokenach można także mówić w przenośni. Te wynalazcze cudactwa są twoim osobistym flokenem. Lepiej pozbądź się go, póki czas.

— A ja usiłuję was zrozumieć — rzekł cicho Gołownia.

— Tak, będziesz musiał to zrobić.

— Pewnie, co się tyczy mego sposobu, to prawdopodobnie nie będę mógł wam niczego udowodnić. Kwestię czy mój sposób jest nic nie wart, czy też do czegoś się nadaje, pozostawmy na razie pod znakiem zapytania. A gdyby na górze powiedzieli wam, okażcie mu pomoc...

No, słucham...

— ...albo po prostu, kazali, to otrzymałbym od was wszystko, czego potrzebuję, niezależnie od tego, czy mój pomysł jest dobry, czy zły.

— I co z tego wynika?

To pytanie zabrzmiało niebezpiecznie.

Piotr odpowiedział spokojnie:

— Przemysław, Aleksandrze Leontjewiczu, tak żyć nie może. Myślę, że w ogóle tak żyć się nie da.

No i Onisimow wtedy właśnie mu przyłożył...

...Zresztą, po co sobie teraz przypomina? Przecież myślał o czymś zupełnie innym.

Ale znów wdziera się do głowy ten sam strumień myśli.

...Niestety, właśnie tamten nocny spacer od bramy wydziału wielkich pieców do bramy głównej, spacer początkowo spokojny, który sprzyjał ujawnieniu wolnomyślicielstwa Gołowni, zmusił Onisimowa do podjęcia ostatecznej decyzji: z takim nie da się dojść do porozumienia; trzeba go zdjąć ze stanowiska.

Onisimow spędził w zakładach jeszcze dwa-trzy dni, zdumiewając wszystkich swoją smykałką do prowadzenia dochodzeń, dokładnością, brakiem zmęczenia ^ z dwudziestu czterech godzin, jakie ma doba, szesnaście poświęcał pracy.

W przeddzień odjazdu zabrał głos na zebraniu aktywu produkcyjno-technicznego huty. Kierownicy wydziałów i oddziałów, wybitni inżynierowie, najlepsi majstrowie, przodownicy pracy, sekretarze organizacji partyjnej i związków zawodowych, a także cały zespół towarzyszący narkomowi, liczący około trzydziestu najróżnorodniejszych specjalistów, wypełnili szczelnie ławki w stosunkowo obszernej świetlicy walcowni blach, liczącej czterysta miejsc.

Część polityczna wystąpienia Onisimowa była nader zwięzła. Ciąg dalszy poświęcony był konkretnej analizie pracy huty. W jego przemówieniu brak było zdań łagodzących sytuację, półtonów, czyli tak zwanej sprężynującej waty. Wskazywał na braki kierownictwa, pouczał, chłostał wszystkich winnych zanie-

dbań, nieprzestrzegania dyscypliny technologicznej i elementarnej dyscypliny pracy, wytyczał możliwe do osiągnięcia jasne zadania. Nie oszczędził także dyrektora.

— Niestety, towarzyszu Gołownia, zamiast zajmować się pracą i organizacją produkcji, myśli tylko o własnych wynalazkach. Prawdopodobnie uważa, że huta została mu oddana warendę, więc robi w niej, co chce. Towarzyszu Gołownia jest jednak w błędzie. Dyrektor, jak zresztą każdy z nas, pełni jedynie służbę, służy państwu. I nikomu w Związku Radzieckim nie wolno wykorzystywać swego stanowiska dla własnych fantazji i figli-migli. Ogólny porządek obowiązuje także dyrektora. Powinien zwrócić się z własnym pomysłem, gdzie należy, i czekać na zgodę.

Młody dyrektor, który siedział na podwyższeniu przy stole prezydiálním, wtrącił ponuro: Której wy już odmówiliście.

— Pragnę was poinformować, towarzyszu Gołownia, że nie jestem kupczykiem-sobiepankiem, który według własnego widzimisię może odmawiać albo wyrażać zgodę. Urządzenie, które tutaj samorzutnie uruchomiliście, było dokładnie zbadane przez specjalistów. Ich ocena brzmi: głupie mrzonki. Urządzenie to analizowałem także ja i teraz polecam wam, towarzyszu Gołownia, abyście przerwali waszą działalność artystyczną.

Gołownia raz jeszcze rzucił z miejsca:

— Przyjdzie czas, kiedy wszyscy się dowiedzą, że to wy zabroniliście prób!

Onisimow odwrócił się gwałtownie. No, proszę. To uparte byle co nawet przed czterystu zebranymi metalurgami ośmiela się pyskować, zaprzeczać temu, co mówi narkom. No, ja ci zaraz popyskuję!

— Owszem, zabroniłem! I przyślę do huty kontrolerów, żeby sprawdzić, jak wykonujecie moje polecenie. A jeżeli nie przestaniecie uprawiać tej partyzantki, to zrobię z tego taką aferę, że będziecie się mieli z pyszna. Huta to nie folwark, a wy nie jesteście jego właścicielem! Nie róbcie z siebie wielkiego pana, uprzywilejowanej jednostki. U nas nie ma uprzywilejowanych! I nie będę zwracał uwagi na to, że należycie do słynnej rodziny. Ten fakt wam nie pomoże!

— Wcale tego nie potrzebuję.

— Nie kłóć się ze mną. Jaki ty tu dajesz przykład?

Onisimow odetchnął głęboko i odzyskał zimną krew. Jego masywna głowa pochyliła się nad papierami. Po chwili zielonkawe przenikliwe oczy znów skierowały się na zebranych. Postanowił powiedzieć jeszcze kilka słów o dyrektorze:

Dzisiejsze zachowanie towarzysza Gołowni upewnia mnie raz jeszcze, że nie może on kierować hutą, że należy go zdjąć ze stanowiska.

Słowa były spokojne, miażdżące.

Z takim właśnie postanowieniem wyjechał następnego dnia z Kurakowki.

41

_ I Jednak zdjęcie dyrektora tak wielkich zakładów nie zależało jedynie od Onisimowa. Dyrektorzy największych przedsiębiorstw i wielkich budów zatwierdzani byli przez Komitet Centralny, mówiąc językiem tamtych czasów, wchodzili do nomenklatury. Także Gołowni-juniora nie można było usunąć z fotela bez zgody Komitetu Centralnego.

Onisimow przygotowywał sobie powoli argumentację, którą przedstawi podczas rozmowy na górze, i szkicował w myślach notatkę służbową na ten temat. Podobne dokumenty, adresowane do Komitetu Centralnego, zawsze sporządzał osobiście, ale do tego nie mógł się zabrać. Tekst, który ułożył sobie w myśli, jakoś mu się nie podobał. Mimo to naszkicował brulion pisma, który uznał za mniej więcej odpowiedni. A przecież tylko mniej więcej... Pozostały nadal niejasne, wyczuwane instynktownie wątpliwości, a swemu instynktowi zawsze wierzył. No cóż, nie pali się, zdąży.

Zbliżało się święto — rocznica Października. Tak czy owak, sprawę będzie można przedstawić dopiero po uroczystościach.

Szóstego listopada wieczorem Onisimow opuścił niezwykle wcześnie gabinet, pojechał do domu przebrać się i potem zaraz z żoną udali się do Teatru Wielkiego na tradycyjną uroczystą akademię z okazji rocznicy powstania władzy radzieckiej.

Małżonkowie weszli do teatru przez specjalne wejście przeznaczone dla członków rządu. Aleksander Leontjewicz w nowym czarnym garniturze, w nienagannie wyczyszczonych pantoflach, Helena Antonowna w starym szarym kostiumie o 172

surowym kroju, który podkreślał jeszcze jej dorodną, prostą sylwetką. Kostium był bez żadnych ozdób, jeśli nie liczyć kołnierzyka jedwabnej kremowej bluzki wyłożonego na żakiet. Onisi- mowowie udali się do łoża umieszczonej z boku sceny. W swego rodzaju przedpokoju, oddzielonym od foteli ciężką ciemnozieloną zasłoną (w żargonie teatralnym takie pomieszczenie nazywa się awanlożą), stali Iwan Towadrosowicz Tewosjan i jego żona Olga Aleksandrowna. Przyszli widać przed chwilą.

Narkom przemysłu metalurgicznego powitał radośnie przybyłych. Czarne, namalowane jak gdyby tuszem niewielkie wąsy podkreślały biel odsłoniętych w uśmiechu zębów.

Olga Aleksandrowna też była uśmiechnięta. Lekki różowy woal spowijał jej dość tęgą szyję. Blond włosy nie były ascetycznie uczesane, ale też nie nastroszone. Olga Aleksandrowna poprawiła je przed wiszącym lustrem, nie uważając tego wcale za naganne.

Onisimow porównał mimo woli Olę Aleksandrowną (ona także wybrała w młodości zawód działacza partyjnego) z własną żoną. Obie były działaczkami, lecz w sposobie bycia małżonki Tewosjana nie było nawet cienia oschłości właściwej Helenie Antonownie. Patrząc na tę matkę dwojga dzieci, Onisimow po raz któryś już z rzędu pożałował w duchu, że nie ma własnego dziecka. (Wtedy nie było jeszcze Andriuszki na świecie. Miał się urodzić dwa lata później, już w czasie wojny.)

W chwilę później obie panie zajęły fotele za zasłoną. Do awanloży dobiegał przytłumiony zgiełk z olbrzymiej widowni z wielopiętrowymi balkonami. Dwaj narkomowie przysiedli na kanapce. Tutaj wolno było palić, o czym świadczyła popielniczka na niskim stoliku i niewidoczna niemal kratka wentylacyjna wbudowana w ścianę. Ci zagorzali palacze nie zrezygnowali z okazji zaciągnięcia się paroma haustami dymu.

Onisimow pogratulował Tewosjanowi. Po raz pierwszy od wielu miesięcy kierowany przez Tewosjana narkomat wykonał wreszcie w październiku plan produkcji surówki. A jeszcze przed rokiem praca w fabrykach była tak zdeorganizowana, że metalurgia nie wykonywała nawet osiemdziesięciu procent planu. W konsekwencji spadły zarobki, metalurdzy spuścili nos na kwintę, wielu opadły wprost ręce. Sytuacja wyglądała ponuro. A przecież właśnie Tewosjan zdobył się na odważne posunięcie nie mające dotąd miejsca w radzieckiej metalurgii: oznajmił,

I że od tej pory premie będą wypłacane nawet za wykonanie osiemdziesięciu procent planu wytopu, a każdy dodatkowy procent spowoduje progresywny wzrost premii. Taka propozycja, zatwierdzona przez Radę Komisarzy Ludowych, została także rozciągnięta na przedsiębiorstwa podległe narkomatomu odlewu i walcowni stali. Taka właśnie decyzja (tu Aleksander Leontjewicz bez cienia zawiści, bo do czegoś takiego nigdy by się nie poniżył, chylił głowę przed umiejętnościami organizacyjnymi Tewosjana), taka więc decyzja, która dotyczyła całej armii me-Italurgów, pozwoliła skończyć z nastrojami obojętności, ponuractwa, podziałała w sposób wręcz magiczny.

— Za wcześniej mi gratulujesz — powiedział Tewosjan. — Jeżeli poprawię wykonanie planu całego cyklu produkcyjnego, wówczas co innego. Prawdopodobnie dojdziemy do tego razem — łeb w łeb. Kto wie, może jeszcze wysuniesz się przede mną na pół chrapy.

Onisimow nie zaprzeczył tej prognozie. Rzeczywiście, przedsiębiorstwa, które mu podlegały, w tym także stara Kurakowka, zdecydowanie nabierały tempa, zbliżając się do stuprocentowego wykonania planu produkcji globalnej brutto i planu asortymentowego. Nie było już wątpliwości, że w nadchodzący czterdziesty pierwszy rok (czy ktokolwiek mógł się spodziewać, jak niebezpiecznym stanie się ów rok?!) przemysł stalowy wkroczy dziarskim krokiem.

A w ogóle — mówił dalej Tewosjan (j jeśli dzisiejszym zwyczajem powołać się na Majakowskiego, to połączmy się w sławie. I skończmy z gratulacjami. Powiedz mi lepiej, jakie przywiozłeś wrażenia z podróży).

Aleksander Leontjewicz zaczął chętnie opowiadać. Wierny samemu sobie, tej szkole dobrych pracowników, którym historia powierzyła misję przywoływania do porządku i popędzania innych, ludzi niechętnie chwalcących, ale też czujących wstręt do samochwalstwa (taki sam był zresztą Tewosjan), Aleksander Leontjewicz zaczął mówić o tym, co oburzało go podczas wizytacji. Gwałcenie dyscypliny, anarchia technologiczna. Trzeba nieustannie przykręcać śrubę. Któreś z pytań Tewosjana, a może, po prostu, konstrukcja użytego zdania, doprowadziło Onisimowa do sprawy flokenów. Odległe skutki niechlujstwa lub też samowoli technologicznej dadzą jeszcze o sobie znać. I nie unikniemy chyba mało przyjemnego zajęcia: badań kata- 174

strofy. W tym momencie przypomniał się Onisimowowi Gołownia-junior.

— Nie lubię zmieniać dyrektorów — powiedział, ale postanowiłem się uwolnić od Piotra Gołowni.

Tu poinformował zwięźle swego rozmówcę o grzechach dyrektora Kurakowki: zadufany w sobie, ma hyzja na punkcie wynalazczości, nieposłuszny, zuchwale odpowiada przy ludziach.

Czarne oczy Tewosjana nie wyrażały akceptacji. Jplj Widzisz, mogą ci powiedzieć, że chcesz zrobić coś dziwnego. Dyrektor jest młody. Nieźle haruje. Takiemu trzeba pomagać. Czy ty się czasem nie pośpieszyłeś?

Niejasne wątpliwości, które do tej pory nurtowały Onisimowa, nabrały teraz konkretnego kształtu, uległy krystalizacji. Owszem, prawdopodobnie na górze też usłyszysz coś w tym rodzaju. A jednak nie złożył broni:

Oczywiście, nie ma co się śpieszyć. Z drugiej jednak strony, po co mam zwlekać, kiedy jestem pewien swej decyzji?

. — Naprawdę jesteś pewien?

W tym momencie uchyliła się ciemnozielona zasłona i wyjrzała żona Tewosjana. Zdążyła już zdjąć ten różowy woal.

— Co się z wami dzieje? — w spokojnym, dźwięcznym głosie słychać było lekki wyrzut. — Czy myślicie, że będą na was czekać?

Przez uchyloną portierę słychać było pełną napięcia ciszę panującą już na sali. Obaj narkomowie pospieszyli do łoży.

Przy postawionym na scenie długim stole pokrytym czerwonym aksamitem nikogo jeszcze nie było. W głębi sceny widniały rzędy pustych krzeseł. Tło stanowił olbrzymi medalion: profil twarzy Stalina i nieco z tyłu profil Lenina. Te dwie twarze oświetlone były jasno reflektorami. Jedynie bardzo wprawne oko mogło zauważyć, jak z roku na rok w tym podwójnym wizerunku Lenin robił się coraz mniejszy, a Stalin coraz większy.

Reflektory kroniki filmowej wysyłały już pęki oślepiającego niebieskawego światła, na razie skierowanego na widownię. Jeden lub dwa były zgaszone i wycelowane za kulisy, w miejsce niedostrzegalne z parteru i balkonów, dobrze jednak widoczne z bocznej łoży, którą zajmowali Onisimow i Tewosjan. Tam, za kulisami, pokazali się już ludzie zaproszeni do zajęcia miejsca na scenie; ustawili się ciasno, pozostawiając przejście do stołu.

I Niemal wszyscy z tu obecnych byli ludźmi powszechnie znanymi. Kilku lotników polarnych, obok nich krępy, łysy konstruktor silników lotniczych, dalej sławny czarnobrody akademik; i widać uniesioną głowę Pyżowa; rozróżnić można siwe, gładko uczesane włosy starej bolszewiczki, która jakoś uniknęła niełaski.

Nie odrywając wzroku od kulisy, Tewosjan dotknął leciutko łokcia Onisimowa:

— Popatrz, wywekli tego starego Gołownię.

-r- No cóż, oznacza to, że metalurdzy znów mają honory i należne im miejsce — odpowiedział obojętnie Onisimow.

Hutnik o rudych wąsach wyglądał zza pleców stojących przed nim ludzi. Pewnie od czasu do czasu wspinał się na palce, wysuwając jak najdalej swój orli wielki nos. Zadowolony, czerwony na twarzy Gołownia-ojciec patrzył nieprzerwanie w stronę kulisy.

Upłynęła jeszcze chwila i niespodziewanie, chociaż tego właśnie cały czas oczekiwano, w przejściu pokazał się Stalin. Szedł niezbyt szybkim, ale też wcale nie powolnym, gospodarskim krokiem. Jego ubranie o wojskowym kroju nie ulegało z latami żadnym zmianom: wpuszczone w cholewy butów i lekko nad nimi zwisające spodnie w kolorze ochronnym, taka sama kurtka bez żadnych dystynkcji. Zresztą, nie była to już zwykła kurtka, lecz świetnie uszyty frencz, opinający lekko jego drobną postać. Nawet takie niewidoczne na pierwszy rzut oka zmiany w ubiorze świadczyły, że spod postaci żołnierza wyłonił się ktoś inny.

Gospodarz kroczył wzdłuż klaszczących szeregów nie spoglądając na boki, jak gdyby nikogo nie widział. Nieruchomość jego głowy tchnęła dostojeństwem. Jego niski wzrost nie docierał do świadomości obserwatorów. Tuż za nim, przestrzegając jednak właściwego dystansu, posuwała się grupa jego najbliższych współpracowników. Kulisa zasłaniała jeszcze Stalina przed wzrokiem widowni, ale oklaski, jakie zabrzmiały na scenie, udzieliły się sali.

Raptem Stalin przystanął. Gwałtownym ruchem (właśnie takiego energicznego Stalina pamiętał Onisimow z dawnych lat) podał rękę komuś z obecnych na scenie. Komu? Rudemu hutnikowi. Stojący przed Gołownią rozstąpili się natychmiast. Teraz już nie tylko jego twarz była czerwona — poczerwieniała także zryta zmarszczkami szyja. Elegancki krawat zjechał na bok, ale

stary wcale tego nie zauważył. Obydwoma rękami potrząsnął dłonią Stalina. Ten coś powiedział, poruszyły się gęste jeszcze wąsy.

Zapaliły się reflektory, ale kamera filmowa nie zdążyła utrwalić tego momentu na taśmie. Stalin znów przybrał monumentalną pozę i niosąc nieruchomo głowę, szedł już dalej. Zrobił ręką ruch, jak gdyby opędzał się od lejącego się nań światła. Posłuszne temu milczącemu rozkazowi reflektory zmieniły natychmiast kierunek.

Za Stalinem kroczył Mołotow z kartonową teczką pod pachą. On także zatrzymał się przy Gołowni-seniorze, aby uścisnąć mu dłoń. Potem już każdy z uczestników procesji zdążającej za Stalinem także przystawał przy rudym majstrze i ścisnął jego rękę. Miało się wrażenie, że wszyscy ci ludzie bez zastanowienia wykonywali rozkaz. Majster najpierw się uśmiechał, potem na jego czerwonej twarzy, która ze zdumiewającą bezpośredniością przekazywała to, co działo się we wnętrzu Gołowni, pojawiała się zdziwienie, później zaś, kiedy podawali mu ręce ludzie, których wcale nie znał, sprawiał wrażenie absolutnie oszołomionego.

A tymczasem Gospodarz stanął już za stołem i oszczędnymi ruchami bił brawo, odpowiadając na grzmiącą owację sali.

Onisimow także klaskał gorąco, dając upust swoim uczuciom, oddaniu Stalinowi, wierze w jego geniusz. W pewnej chwili miał ochotę szepnąć Tewosjanowi: „No tak, byłby z tego niewypał.”

Włączyły się jednak hamulce, które zawsze działały bez zarzutu. I nie powiedział ani słowa.

...Oczywiście, że zrezygnował z zamiaru zdjęcia Gołowni-juniora. Jednak, co oczywiste, zachował twarz. Pomógł w tym Onisimowowi jeden z numerów „Prawdy”, który ukazał się niebawem po rocznicy Października.

Aleksander Leontjewicz położył przed sobą gazetę, zatelefonował ze swego gabinetu do dyrektora Kurakowki i wypytawszy go o sprawy zawodowe, rzekł:

- Przeczytaj uważnie dzisiejszą „Prawdę”.
- „Prawdę” zawsze czytam uważnie. A co tam dziś ciekawego?
- Dowiesz się, jak przeczytasz. Skoro jednak chcesz, mogę zaspokoić twoją ciekawość. „Prawda” drukuje dekret Sownar-

komu o samowolnym naruszeniu reżimu technologicznego w przemyśle maszynowym.
W maszynowym?

— Nie bój się. Nas też to nie ominie. No to jak? Przeczytać ci? gpf Proszę. Chętnie posłucham.

— Więc słuchaj. „Wprowadzanie zmian do procesu technologicznego jest dopuszczalne jedynie za zezwoleniem komisarza ludowego.” Kapujesz?

..— To dla mnie nic nowego.

— Jest jednak coś nowego. Posłuchaj: „Niewykonanie niniejszej uchwały traktowane będzie jako przestępstwo kryminalne, a dyrektorzy, główni inżynierowie i główni technologowie, którzy dopuścili się takich pogwałceń, staną przed sądem.” Zrozumiałeś? Myślę, że domyślasz się, kto podpisał uchwałę. ; No cóż, sam jeszcze przeczytam.

— Nie tylko przeczytaj, ale włóż sobie pod szkło na biurku, abyś mógł od czasu do czasu przypominać sobie treść. I pracuj dalej, ale zapomnij o swoich herezjach.

Dlaczego jednak ten Piotr Gołownia ciągle majaczy Onisimowowi, który wypoczywa na poduszkach szpitalnego łóżka? Dlaczego nieustannie przypomina mu się Stalin?

Myślał przecież o czymś zupełnie innym: jak poznać prawdę o swej chorobie?

A przecież nie bez powodu powraca do hardego, bezczelnego dyrektora. Jeśli zostało mu już niewiele życia, to... pośród innych spraw, które jako wierny sługa państwa i partii musi zapiąć na ostatni guzik, ma także obowiązek zdecydować się na coś względem Piotra Gołowni.

Tak czy inaczej, ale ta stronica musi być czysta.

Ale jednak na co on właściwie choruje?

42

Separatka Onisimowa należała do oddziału interny, którego ordynatorem był profesor Władimir Pietrowicz Fomienko.

Tęgi, z dużym brzuchem, zupełnie przeciwieństwo eleganckiego, zgrabnego Sołowjowa, na dodatek brodaty, Władimir Pietrowicz potrafił łączyć zdecydowanie i stanowczość decyzji z u- spokajającym czułym głosem i zazwyczaj zdobywał zaufanie, skłaniał ku sobie chorego.

Władimir Pietrowicz przepracował w tym szpitalu prawie dwadzieścia lat i równie dobrze znał się na swojej dziedzinie lekarza internisty, jak i na specjalnej biurowości medycznej, składającej się z całych tomów zawsze gotowych do przedłożenia kontroli lub śledztwu. Władimir Pietrowicz przyswoił sobie w pełni niepisaną zasadę, która powiada: „Jeśli człowiek ma umrzeć, to niechaj umiera w myśl przepisów.” Omijały go jakoś burze, które w minionych czasach szalały nad lekarzami.

Któregoś szarego październikowego dnia brodaty profesor w białym fartuchu, opinającym ramiona siłacza i olbrzymi brzuch, złożył wizytę Aleksandrowi Leontjewiczowi. Pacjent, ubrany jak do biura — w marynarce, w białej koszuli z nakrochmalonym kołnierzykiem, siedział przy biurku nad przysłanymi mu gazetami z Tiszlandii: po półrocznym pobycie w tym kraju mógł już z pomocą słownika rozumieć tekst.

— Jak to miło widzieć was przy pracy, Aleksandrze Leontjewiczu — powiedział słodko profesor. — Jeżeli macie chęć do pracy, oznacza to, że wszystko zmierza ku lepszemu. My, lekarze, wiemy z doświadczenia, że to najlepszy objaw. Niechże na was popatrzę od strony okna.

Światło padające z okna nie usuwało wcale ziemistego cienia na czole, na kościach policzkowych, na gładko ogolonych policzkach Onisimowa. Miało się wrażenie, że chory dopiero co leżał z twarzą utkniętą w suchej ziemi, która pozostawiła na niej szary pylisty ślad.

Profesor był jednak kontent.

— No tak, wyglądamy o wiele lepiej. I policzki się wypełniły. Jeśli mnie pamięć nie myli, przybieracie na wadze?

Przebiegły profesor wiedział bardzo dobrze, jakim zmianom ulegała w szpitalu waga pacjenta, lecz chciał celowo podkreślić ten fakt.

— Owszem, przybieram — odpowiedział Onisimow.

Hj Znakomicie, znakomicie. A jak śpimy?

— Tutaj sypiam nieźle. Co prawda dzięki pomocy tego waszego środka nasennego, za który wam dziękuję, Władimirze Pietrowiczu.

Onisimow powiedział to z niewzruszoną twarzą, choć na razie nie prosił o żadne środki nasenne ani ich nie otrzymywał. Profesor niczym nie zdradził swojego zdziwienia, jedynie na moment spojrzął w sufit swymi malutkimi oczkami.

—|— Aha, aha — przytaknął. — A więc będziemy podawać lek dalej. A teraz proszę mi powiedzieć, jak z bólami? Czy osłabły?

— Owszem, ataki stały się rzadsze, i kiedy przyjmuję przepisany przez was lek, szybko mijają.

Lekarz rzucił na pacjenta czujne spojrzenie. Uwięziony w separacie dyplomata uśmiechnął się z uznaniem. Czerwone grube wargi, błyszczące oczy brodacza-ordynatora odpowia- ' dały dobrodusznym uśmiechem. Jednak pod tym uśmiechem kryło się zmieszanie. „Przepisany przez was lek.” Ale co on właściwie przepisał? Na razie Onisimow nie otrzymywał jeszcze środków przeciwbólowych, nie były jeszcze potrzebne. Cóż to więc takiego? Czyżby zapomniał? Uciekł się więc znów do wykrzykników:

— Aha, aha...

I zaraz powiedział:

— A teraz proszę się rozebrać do pasa, mój drogi. Posłuchamy waszych płuc, serduszka.

Aleksander Leontjewicz obnażył zapadniętą pierś. Choć ostatnio przybrał nieco na wadze, to jednak choroba pochłonęła wyraźną niegdyś warstwę tkanki tłuszczowej. Na wychudłych plecach wypukła się kręgosłup. Ramiona także się zaostrzyły. Profesor gruntownie i bez pośpiechu osłuchiwał z różnych stron klatkę piersiową chorego.

— No tak, słyhać jeszcze rżenie. I taki stan długo jeszcze potrwa. Ogniskowe zapalenie płuc to najbardziej uparta sztuka. Proszę się ubrać, Aleksandrze Leontjewiczu. Dość już badania, obraz jest jasny. Nie ma już po co trzymać was w szpitalu, mój drogi.

Onisimow natychmiast zrozumiał, co oznaczało to „nie ma już po co”, ale przecież się nie zdradził. Nie prosił brodacza o żadne wyjaśnienia, nie wzbudził w nim czujności.

Profesor mówił dalej:

— Niebawem, jeśli sobie tego oczywiście życzyście, przeniesiemy was do sanatorium. Takie wyjście zaleciło nam także konsylium. Teraz już czas zrobi swoje. My zaś, natrętni uzdrowiciele, nie jesteście wam potrzebni.

Gruchający gruby profesor nie uświadamiał sobie zapewne, jak złowieszczą dwuznaczne było to, co mówił.

— Umieścimy was w „Szczygłach” Aleksandrze Leontjewiczu. Czy już tam kiedyś byliście? Przewspaniała miejscowość. 180

Sama przyroda tam was uzdrowi. Rodzina będzie was mogła stale odwiedzać: zimczikiem (skłonny do zdrobnień i spieszceń wyrazów lekarz nawet samochód marki „Zim” nazywał „zimczikiem”) jedzie się tam tylko dwadzieścia minut. Potrzymamy was tam ze dwa miesiące. A może i trzy. Zresztą także w „Szczygłach” będziecie się znajdować pod naszą kuratelą. Świeże powietrze, spokój — to główne wasze lekarstwo. My będziemy tylko pomagać przyrodzie. Zaordynuję wam, mój drogi, rentgenoterapię.

Posłuszna hamulcom wewnętrznym żółtoszara twarz Onisimowa nie wyrażała żadnych emocji. Wyglądało na to, że słucha ufnie gadatliwego lekarza... Jedyne na ułamek sekundy opuścił powieki, chcąc ukryć bolesne zrozumienie. Rentgenoterapia. Tak jak w Tiszlandii, słowo to aż nadto jasno określało jego chorobę. Zapinając kołnierzyk koszuli, Aleksander Leontjewicz powiedział:

— A te zabiegi to doradzali mi jeszcze w mojej Tiszlandii... W wysokich dawkach, prawda?

Głos i oddech nie zawiodły go, panował nad nimi. Profesor wolał się jednak uchylić od jasnej odpowiedzi:

— Wkraczacie do naszej lekarskiej kuchni, Aleksandrze Leontjewiczu, w której...

Ale chory nie słuchał do końca:

— Zdaje się według metody Dillona?

Brodacz znowu nadstawił ucha, przyjrzał się Onisimowowi, który zwrócony do niego bokiem spoglądał przez okno na jesienne pochmurne moskiewskie niebo i wiązał krawat. Palce znów mu drżały, ale jednak zawiązał bez zarzutu.

— Pozazdrościć wam pamięci, Aleksandrze Leontjewiczu.

-r- Dziękuję. Jeszcze się chyba do czegoś nadaję.

I znowu ubrany jak do biura w ciemną marynarkę w paski, Onisimow usiadł przy biurku i przysunął do siebie machinalnie ostry twardy ołówek. W swoim czasie takim kłującym ostrzem wyłapywał każdą niestosowność, niedokładność, wątpliwą cyfrę w sprawozdaniach, w raportach, nadziewał na nie każdy fałsz.

Teraz uchwycił się mocno stołu, żeby mu palce nie dygotały, i znów się uśmiechnął:

— Pomagają mi bardzo nagrzewania, Władimirze Pietrowiczu. Usuwają ból. Zapisaliście mi je bardzo trafnie.

— Nagrzewania? Ja?

— I— Dlaczego się dziwicie? Gdzieś tutaj leży papierek z waszym zaleceniem.

Onisimow znalazł jeszcze siły, aby pokpić sobie z doktora. Profesor ponownie wbił oczy w sufit. Czyżby naprawdę popełnił taki błąd, czyżby zapisał przeciwwskazane leczenie? Co prawda chodzi tylko o nagrzewania, ale tak czy owak to skandal, kryminał. A co najważniejsze, istnieje stwierdzający to dokument. Władimir Pietrowicz otarł pulchną dłonią czoło, na którym ukazały się delikatne kropelki potu.

— Pamiętam, pamiętam... Mamy jednak do dyspozycji bardziej efektywne środki, mój drogi. Ale-ale, pozwólcie, że zerknę na ten mój papierek...

— Nie wiem, czy go znajduje. Coś mi się wydaje, że zabrała go moja żona. Ona to wszystko przechowuje.

Onisimow nie odwracał już od profesora swych pałających, przenikliwych oczu. Nie wyrzekł żadnego ordynarnego, szydlerczego słowa, ale profesor kurczył się wewnątrz, jak poddawany torturom. Policzki mu poczerwieniały.

— Tak nie można, Aleksandrze Leontjewiczu. Nie wolno stąd wynosić naszej dokumentacji. Teraz jest mi potrzebna i...

— Dlaczego denerwujecie się, profesorze. Na ile znam wasze porządki, taką samą notatkę powinniście znaleźć w historii choroby. Kiedy przyjdziecie do siebie, wówczas przeczytacie. Czyżbym się mylił?

Każde słowo Onisimowa przedłużało egzekucję. Jego rozmówca, który po dziś dzień uważany był za wzorowego lekarza i administratora, patrzył przybity na odsłonięte w uśmiechu zęby pacjenta, na zwiastujące zgubę trwałe cienie, które legły na rękach i twarzy tego człowieka, jeszcze rok temu stawiającego na baczność ministrów. „Wie wszystko. Zna na wylot nasze porządki.” Korciło profesora, żeby uciec stąd jak najszybciej.

— No tak, tak... Teraz będziemy działać efektywniej. I delikatniej. Mam nadzieję, że rozumiecie, o co mi chodzi?

Pewnie Onisimow mógłby jeszcze smagać niewidzialnym batem tego zaniepokojonego grubasa, lecz raptem przygasł. Powiedział tylko:

— Rozumiem.

Spocony, wykończony rozmową profesor pożegnał się wreszcie, opuścił półapartament i sapiąc głośno udał się schodami do

swego gabinetu. Zamknął drzwi na klucz, wyjął z szafy teczkę, która zawierała całą dokumentację chorego Onisimowa, prze- kartkował zawartość, a potem powrócił do pierwszej strony. Jeszcze raz wszystko przeczytał. Do diaska — nie ma tu ani słowa o nagrzewaniach! A więc Onisimow po prostu go nabrał!? No, przepraszam, mój drogi, więcej się u was nie pokażę.

...A Onisimow leżał w ubraniu i krawacie na meblowym, wca-: le nie szpitalnym łóżku. Tym razem wzgardził swoją niezmienną akuratnością. Leżał i gapił się w ścianę.

Przyniesiono obiad. Chory wstał pokornie i zjadł go obojętnie. Potem jednak się przebrał, odwiesił ubranie do szafy i położył się w piżamie. I znowu wbił oczy w ścianę.

Po obiedzie odwiedziła go żona. Biały, zapinany z przodu fartuch lekarski podkreślał surowymi prostymi liniami smukłość jej sylwetki i szyi z mocno siwiejącą, gładko uczesaną głową. Aleksander Leontjewicz wstał i, usiłując nie stracić panowania nad sobą, powiedział:

— Są nowiny. Przenoszą mnie do sanatorium. I zapisano mi rentgenoterapię.

Nagle odczuł dziwne ciepło w kącikach oczu. Dotknął ręką twarzy. Wbrew jego woli po szarych, ziemistych policzkach płynęły łzy.

43

Mniej więcej po godzinie Helena Antonowna dodzwoniła się do gabinetu profesora Sołowjowa.

— Mikołaju Nikołajewiczu, mówi Onisimowa. Przepraszam, że...

Jej dźwięczny, piersiowy głos był teraz nienaturalnie wysoki, w słuchawce dawał się słyszeć przyspieszony oddech. Zdenerwowana Helena Antonowna przestrzegала jednak etykiety.

— ...że was niepokoję. Bardzo proszę przyjechać do Aleksandra Leontjewicza.

Nie skrepowany niczyją obecnością, słynny lekarz zmarszczył twarz. Sprawa jest jasna, pomoc już nie można, po co więc jechać? A przecież powiedział:

— A co się stało?

— Dzisiaj mąż się rozplakał. Po raz pierwszy w życiu widziałam jego łzy.

— Tak, wyobrażam sobie, jak mu jest ciężko.

— Chodzi o to, że profesor Fomienko zaordynował mu rent- genoterapię, a mąż przyparł go pytaniami do muru i... Po prostu, dowiedział się wszystkiego, a kiedy go odwiedziłam, zaczął mi opowiadać i rozplakał się. Przyjedźcie i powiedzcie mu cokolwiek, bardzo proszę. On was chętnie zobaczy, a teraz nikogo innego widzieć nie chce.

i — Nie wiem, co zrobić. W tym wszystkim istnieje pewien szkopuł. Szczerze mówiąc, w tym szpitalu jestem osobą obcą.

Pomimo zdenerwowania, Helena Antonowna przewidziała już widać takie wątpliwości Sołowjowa.

— Profesor Fomienko także was zaprasza. Dzwonię z jego gabinetu.

— Zgoda, proszę trochę poczekać. Przyjadę.

Po skończonej rozmowie Mikołaj Nikołajewicz westchnął. Będzie musiał zmienić plany na dzień dzisiejszy. No cóż, trzeba uspokoić Onisimowa, złagodzić jakoś jego uraz psychiczny. Sołowjow wydał szybko kilka poleceń, robiąc jednocześnie porządek na swoim biurku, a potem wezwał samochód i zwinny, zgrabny, elegancki, przysłoniwszy kapeluszem łysinę pojechał do szpitala, w którym leżał Onisimow. Przyznać trzeba, że znany lekarz niezbyt lubił tę wydzieloną klinikę: jeszcze w czasach stalinowskich pozwolił sobie na wypowiedź, że w tym szpitalu prześwietla się rentgenem nie tyle chorych, ile leczących. Od tamtej pory wiele zmieniło się w kraju i na świecie, ale w medycynie, również we wspomnianym szpitalu, utrzymywały się nadal dawne porządki.

W portierni szpitala czekała już na Mikołaja Nikołajewicza przepustka. Na korytarzu pierwszego piętra powitał słynnego kolegę brodaty ordynator, który uwolnił się już był od chwilowych kłopotów i nabrał znów sympatycznej dobroduszości. Zaraz też zaciągnął Sołowjowa do gabinetu.

— Uf, ile ja się z nim nacierpiałem, Mikołaju Nikołajewiczu. On wszystko wie.

Rozszyfrował całą naszą grę. Ja już więcej do niego nie pójdę. I wam, kolego, też nie radzę.

— Trzeba będzie jednak zajrzeć. Chociażby ze względu na szacunek.

— Jak sobie życycie, kolego. Prosimy bardzo.

Fomienko podsunął gościowi leżącą na biurku teczkę. Na okładce widniał napis: „Historia choroby nr 2277. A.L. Onisi-

now", a wewnątrz spoczywało już kilkadziesiąt zapisanych kartek. Sołowjow przejrzał je pobieżnie. Zawierały nie tylko historię obecnej choroby Onisimowa (anamnesis morbi jak powiadają lekarze), lecz też swego rodzaju historię życia chorego (anamnesis vitae). Informacje zawarte w teczce nie były dla Sołowjowa niczym nowym, lecz teraz widział je w uporządkowanym stanie.

Do 1937 roku zdrowie chorego było dobre. W 1937 — ostry nieżyt żołądka. W 1938 zaczął palić. Dla mądrego lekarza komentarze były zbyteczne: te dwa lata w historii życia Onisimowa cechuje niebywale napięcie nerwowe, okropne napięcie. Widać, jak drogo musiał zapłacić za to, że Stalin go nie ruszył, nie pozbawił zaufania. I zaczęły się choroby. Miażdżycza naczyń... Nadciśnienie... Enderteritis... Zapalenie błony wewnętrznej tętnic... Leczył się od okazji do okazji...

I jeszcze jedna data: 1952. Wtedy zaczęło się drżenie rąk. To też były pamiętne czasy.

Pan Bóg był łaskaw dla Sołowjowa, bo nigdy nie poproszono go, aby leczył Stalina. W ogóle los uchronił go przed osobistą znajomością z Josifem Wissarionowiczem. Onisimow natomiast przekonał się osobiście, jaki był Gospodarz u schyłku życia. Ten fakt bez wątpienia dostarczył mu nowych stresów i wstrząsów rujnujących jego zdrowie.

Pacjent wskazuje na rok 1957 jako początek głównej choroby. W latach poprzednich nie był badany przez lekarza. Stadium ukryte zaczęło się już prawdopodobnie w 1956 roku. Rok pięćdziesiąty szósty — to znamieny okres, ale w tym wypadku zbieżność z chorobą jest chyba przypadkowa. Dość socjologii. Trzeba jeszcze przejrzeć historię choroby.

...Tępe bóle niejasnego pochodzenia w klatce piersiowej. Odczuwanie ciężaru za mostkiem, wrażenie braku powietrza. Niewielki kaszel, który okresowo przybiera na sile. Na owłosionej części głowy i pod pachą zgrubienia wielkości ziarna grochu. Biopsja zgrubienia: obecność komórek nowotworowych. Badanie płwociny: poszczególne komórki tkanki nowotworowej. Zdjęcia rentgenowskie: zgrubienia w obydwu płucach.

Pośród różnych notatek opinia konsylium, podpisana także przez Sołowjowa: „Dwustronny proces nowotworowy w płucach z licznymi przerzutami. Operacja niewskazana.”

Dalej znów codzienne zapisy, aż wreszcie, jak gdyby bez tros

ki o zaoszczędzenie miejsca, wpisane zamaszystym charakterem wnioski końcowe: wskazane przeniesienie pacjenta do sanatorium, gdzie należy przeprowadzić rentgenoterapię. Podane też zostały dawki napromieniowania. Podpis pod wnioskiem jest równie zamaszysty i brzmi: Fomienko. Sprawa jest jasna: rentgen został zaordynowany dla świętego spokoju. A zresztą, czy można zastosować coś innego?

Po przejrzeniu zawartości teczki Mikołaj Nikołajewicz rozmawia jeszcze przez chwilę z ordynatorem. Fomienko, powodowany urażoną miłością własną, opowiada, jak to Onisimow wystrychnął go dzisiaj na dudka.

— Także was, mój drogi, ten człowiek przyprawi o siódme poty. Zapamiętajcie moje słowa.

— Zobaczymy. A może nie przyprawi?

Następnie lekarze ustalają późniejszą taktykę wobec podejrzliwego pacjenta.

Mikołaj Nikołajewicz, który założył już białą czapkę i przywdział biały fartuch (nie zapięty górny guzik pozostawia na widoku czarną muszkę), spotyka Helenę Antonowną. Na jej obwisłych, przypudrowanych policzkach widać czerwone plamy. Uczesanie siwawych włosów nie jest tak gładkie jak zwykle — kilka pasemek buja swobodnie. Mikołaj Nikołajewicz wysłuchuje precyzyjnej mimo zdenerwowania relacji żony Onisimowa.

— Postaram się wlać nieco balsamu w jego serce, Heleno Antonowno. Postaram się, a potem zobaczymy.

Mikołaj Nikołajewicz wspina się po wysłanych chodnikiem schodach i puka do drzwi półapartamentu. Nie słychać odpowiedzi, wchodzi więc zdecydowanym krokiem do środka.

44

Pierwszy pokój, pełniący rolę gabinetu i saloniku, jest pusty. Za oknem zapada zmierzch, zasłony są zaciągnięte, na biurku pali się lampa osłonięta zielonym abazurem. Na suknie koloru borówek, którym wyłożone jest biurko, widać otwartą książkę.

Mikołaj Nikołajewicz rozgląda się. Pozwala sobie także na to, aby wetknąć w leżącą książkę długi, rasowy nos. Ho, ho prze-

cież to jego własne dzieło Leczenie ogólne. Książka otwarta jest na rozdziale traktującym o nowotworach złośliwych. I akurat na tej stronie, gdzie mowa o euforii, o tym, że dla chorych na nowotwory złośliwe charakterystyczna jest wzmożona podatność na sugestię, gotowość do wiary w pomyślnie interpretacje, nawet w jawne lub zamaskowane kłamstwa.

Prawdopodobnie Onisimow przeczytał przed chwilą raz jeszcze tę stronę, która, niewątpliwie, była mu już znana; przeczytał i odszedł nie zamykając tomu, nie chowając książki. To zupełnie do niego niepodobne.

Wzrok lekarza przebiega machinalnie zdania. Taak, a więc Onisimow zna tajemnicę euforii. Ten fakt utrudni, oczywiście, misję, a być może uczyni ją w ogóle niewykonalną. A jednak należy przystąpić do gry.

Sołowjow podnosi głowę, obiema rękami wzbija siwy wianuszek wokół łysiny i woła:

— Halo, Aleksandrze Leontjewiczu!

Z sypialni wychodzi Onisimow. Ubrany jest w pasiastą, za szeroką w ramionach piżamę. Lampa rzuca zielonkawe światło na jego jak gdyby zakurzoną twarz. Zapadnięte oczy są posepne.

— ■ Dzień dobry, Mikołaju Nikołajewiczu. Cieszę się, że wpadliście do mnie. Proszę siadać.

— Dlaczego u was tak ciemno? Chcąc nie chcąc człowiek popada w bezbrzeżny smutek.

Lekarz idzie do kontaktu. Cichy trzask i mocne, ale łagodne górne światło zalęwa pokój.

Doświadczone oko Sołowjowa wyłapuje w tej samej chwili na twarzy Onisimowa nowe zgrubienie w lewym kąciku ust; zgrubienie ma wielkość główki zapalki, jest bardzo ciemne, niemal czarne. Ten mizerny guzek, nie odnotowany jeszcze w historii choroby, oznajmia, że wbrew pozornemu polepszeniu i zwiększeniu wagi ciała chorego, choroba rozwija się nieubłaganie.

Onisimow podchodzi do biurka, rzuca okiem na otwartą książkę, odsuwa ją... Po chwili lekarz i pacjent siadają na kanapie.

— Pozwólcie, Aleksandrze Leontjewiczu, że będę z wami szczery.

— Najwyższy czas... Już od dawna proszę was o to.

— Taak... Nie zamierzam ukrywać, że znów wezwany zostałem do was w charakterze lekarza.

| Onisimow słucha obojętnie. Nie reaguje. Sołowjow nie traci jednak rezonu. Jego kolejne zdanie zostało precyzyjnie obmyślane:

— I mam ku temu swoje powody.

Na jego wrażliwej twarzy artysty pojawia się nieoczekiwany skrępowany uśmiech:

— Proszę nie sądzić, Aleksandrze Leontjewiczu, że jestem o sobie zbyt wysokiego mniemania...

Chory nadal milczy, lecz mimo wszystko mówi:

— Jakie powody?

Jakie? Chodzi o to, że podczas konsylium nasze zdania były odmienne. Szczerze mówiąc, pozostałem sam, a nowe dokładne analizy potwierdziły, że mam rację.

Autor Leczenia ogólnego plecie, jak najęty, albo po prostu kłamie. Coś jednak spowodowało, że obudził tym zainteresowanie Onisimowa...

— Na czym polegają różnice zdań?

— Pozwólcie, że znów będę szczery. Podczas konsylium moje stanowisko sprowadzało się do tego, że nie chorujecie na zapalenie płuc.

— Wiem o tym.

-r- To nie jest zapalenie płuc, ale rzadko występująca i poważna choroba pod nazwą promienica.

— Jak?

— Promienica. Bardzo rzadka choroba. Wywołuje ją mikroskopijny grzybek. Leczy się ją z wielkim trudem. Bardzo uparta sztuka. Bywa, że nie opuszcza chorego przez kilka lat...

Sołowjow odchyła brzeg fartucha, wyjmując z kieszeni notes, elegancki zagraniczny długopis najnowszego typu i pisze wyraźnie: promienica, wrywa kartkę, podnosi się żwawo, kładzie ją na stole i tłumaczy Onisimowowi, jaka to choroba, mówi o jej objawach, patogenezie, przebiegu. W pewnym momencie przerywa w pół słowa i pyta:

— A właściwie, czy nie ma pan tutaj swego Informatora terapeutycznego? Tam to jest świetnie wyłożone.

Zaskoczony domyślnością lekarza, Onisimow nie odpowiada. Korci go, aby powiedzieć „nie mam”, ale przeszkadza mu w tym zaufanie, jakim znów napawa go Sołowjow. Nie chce jednak powiedzieć „tak”, gdyż to zaufanie ledwie zaczyna kiełkować.

— Także w mojej książce znajdziecie kilka słów o tej choro- I bie — mówi dalej Sołowjow.

Miałby teraz ochotę wziąć własną książkę, otworzyć ją tam, gdzie mowa o euforii, odwrócić tę stronę, pokartkować dalej, ale coś go ostrzega: nie wzbudź czasem podejrzliwości Onisimowa. Porzuca więc ten pomysł — nie tyka książki.

— Leczymy tę chorobę rentgenoterapią — informuje. — Wy- I sokimi dawkami napromieniowania. I trzeba być przygotowanym do długiej, może nawet bardzo długiej walki.

—| Dlaczego więc Fomienko nie powiedział mi o tym?

— Tu panują odrębne obyczaje, Aleksandrze Leontjewiczu. Lekarze troszczą się jedynie o to, aby nie niepokoić chorego, nie dostarczać swoim pacjentom niemiłych przeżyć. Owszem, ta zasada ma do pewnego stopnia sens. Mam na myśli przypadki, wobec których medycyna składa broń. My jednak wkraczamy na drogę walki z waszą chorobą. Przystępujemy do wojny, powtarzam, do wojny, wojny długiej i trudnej, podczas której nasze sukcesy przeplatać się będą z nowymi wybuchami choroby. Jesteście dzielnym człowiekiem. Prawda uzbroi was do tej walki. Jestem tego pewny.

Aleksander Leontjewicz słucha uważnie, nie zauważając, jak w trakcie tego słuchania przytępia się jego czujność. Nie próbuje już złapać przeciwnika, nie przypiera go do muru, poddaje się oszustwu. No pewnie, teraz nie jest to już ten Onisimow, nie ten, jakim go znano przez dziesięciolecia.

Dotyka drobnego czarniawego wżgórka w lewym kącie ust:

— A skąd mam te bąbelki?

— To zapalenie gruczołów potowych. Odrębna jednostka chorobowa. W taki sposób obserwujemy u was dwie różne choroby. Niewykluczone jednak, że są one powiązane.

Ogólnie rzecz biorąc, jak się później wyraził Sołowjow opowiadając autorowi o swoich spotkaniach z Onisimowem, on — uczonego i lekarza — plótł brednie mające niewiele wspólnego ze sztuką lekarską. Aleksander Leontjewicz zaś, dotykając palcami guzków na wargach, brał fantazje Sołowjowa poważnie.

— Dlaczego w takim razie badał mnie chirurg? Czyżby operacja nie była wykluczona?

— Owszem, czasami operujemy promienieć. Na razie jednak brak podstaw do operacji. A prócz tego wcale niewykluczone,

że usuniemy te gruczoły potowe. Zresztą, zobaczymy. Spieszyć się nie trzeba.

— Czy będziecie wpadać do mnie do sanatorium?

— Oczywiście. Teraz was nie zostawię samego.

Aleksander Leontjewicz ożywia się niespodziewanie, przesiada się do biurka, pokazuje przysłane z MSZ-u teczki z przeglądami gazet i periodyków tiszlandzkich, opowiada kilka ciekawostek z kroniki tego państwa. Znowu czuje się dyplomatą, który opuścił placówkę tylko na pewien czas z powodu choroby. Lekarz słucha z ciekawością, uśmiecha się. Na jego różowych policzkach ukazują się sympatyczne dołeczki. Dzisiaj wygrał tę partię. Wie jednak dobrze, iż rześkość i upojenie nieraz jeszcze zastąpione zostaną przez trzeźwe zdawanie sobie sprawy z nieuniknionego i bliskiego końca. A potem znowu da o sobie znać euforia.

Wreszcie Sołowjow żegna pacjenta, który odprowadza profesora do drzwi.

Aleksander Leontjewicz powraca do biurka, wyjmując ukryty Informator terapeutyczny, znajduje w indeksie chorobę wymienioną przez Sołowjowa, połyka tekst, a potem, już wolniej, czyta go raz jeszcze. Tak, wszystko się zgadza, prawie się zgadza.

45

Datę kolejnego wydarzenia w naszej kronice możemy dokładnie określić. Drogowskazem w tym wypadku jawi się Wszech- związkowa Konferencja Wielkopieczowicza w Andrianowce, jednym z centrów metalurgicznych Donbasu. 20 października 1957 roku był dniem otwarcia konferencji, uwidocznionym na zaproszeniach.

W przeddzień owej daty w godzinach przedpołudniowych z pociągu pospiesznego idącego do Mineralnych Wód, a na razie przecinającego terytorium Donbasu, na malutkiej, mało komu znanej stacji Grieki, gdzie rozkład jazdy przewidywał tylko jednonominutowy postój, wysiadł mężczyzna, który, prawdopodobnie, udawał się na polowanie. Wysokie, opinające nogi i sięgające ponad kolana gumowe buty, wytarta, spłowiała brązowa niegdyś kurtka, wyświechtana ciemna czapka, siatka na zdobycz, pas z nabojami, na ramieniu fuzja w futerale — tak wy

glądał dobrze dobrany, nie pierwszy raz używany ekwipunek pasażera, który wysiadł z pociągu.

Człowiek ten zeskoczył zwinnie ze stopnia wagonu i równie lekkim krokiem ruszył przed siebie, a przecież wydawał się przyciężki, zwłaszcza z tyłu, od strony przygarbionych szerokich pleców. Mężczyzna odwraca się, odnajduje wzrokiem kogoś w oknie wagonu, macha ręką. Jego jasnoszare oczy, które teraz zrobiły się niemal bławatkowe, świadczą o dobrym humorze. Opaloną twarz z masywną dolną szczęką ozdabia zawadiacki niemal uśmiech.

Mamy nadzieję, że czytelnik rozpoznał Gołownię-juniora. To jego strony rodzinne. Urodził się i wychował w Andrianowce, tam też jako czternastolatek został uczniem — gazownikiem w wydziale wielkich pieców. Ten zagorzały myśliwy jeszcze jako chłopak, a potem młodzieniec przemierzył tutejsze pola, parowy, zagajniki w promieniu czterdziestu kilometrów. Wie dobrze, że stąd, z Grieków, można wyjść prosto na zabudowania fabryczne, a potem dostać się do Niżniej Kołonii — osady nazwanej tak jeszcze w czasach, kiedy zakłady hutnicze w Andrianowce należały do francuskiego Société Général.

Czeka go kilkugodzinny marsz, ale on tego właśnie potrzebuje. Jutro, jak to zostało wydrukowane w porządku dziennym konferencji, wystąpi z referatem, a teraz trzeba wyrzucić z głowy wszystkie wielkie piece. W wagonie rozmawiał tylko o nich. Jakżeby inaczej, jechali tam hutnicy z sąsiednich dwóch zakładów, a także uczeni z katedry surówki Dniepropietrowskiego Instytutu Metalurgicznego. Ma się rozumieć, on, dyrektor Kurakowki, był głównym uczestnikiem rozmowy. Teraz wyszedł z wagonu i nie ma nawet notesu, z którym zazwyczaj nigdy się nie rozstaje. Nie zabrał go specjalnie, bo zawiera on myśli o hucie, zadania dla siebie samego — niektóre z nich trzeba jeszcze dopracować, a do innych zabrać się bez ociągania. Dzisiaj jednak uwolni się od tego wszystkiego. Niech wiatr przewieje mu głowę, oczyści ją, tym bardziej, że teraz dmucha, zdaje się, nieźle.

Nad stacją rozplywa się przeciągły gwizd odjeżdżającego pociągu. Piotr patrzy wciąż jeszcze na wagon, w którym przed chwilą jechał. Przez szyby wyglądają kurakowszczenie — tylko dwóch z nich to ludzie starsi, pozostałych można nazwać młodymi. Machają teraz dyrektorowi-myśliwemu, który pozostawił pod ich opieką swoje rzeczy. Pociąg rusza, nabiera szybkości.

Jeszcze chwila i przestanie być widoczny; dostrzec będzie można jedynie dalekie strzępy parowozowego dymu.

Opuszczając stacyjną osadę, Piotr idzie poboczem asfaltowej szosy, prowadzącej do ukrytej za horyzontem Andrianowki. To z tej, to z przeciwnej strony przemknie z hałasem ciężarówka, czasami przejedzie z szumem samochód osobowy. Dzień jest słoneczny, lecz nieoczekiwanie mroźny, jak na tę porę roku i na dodatek wietrzny. W cieniu jest jakieś trzy—cztery stopnie poniżej zera. Trawę na ocienionych zboczach pokrywa szron.

Piotr idzie szybkim krokiem. Zaraz za mostem skręci w step, w stronę ogołoconych zarośli, które ciemnieją nie opodal. Lecz co to? Czarna, grająca słonecznymi zajęczkami wołga, która wyprzedziła Piotra, hamuje ostro, a potem wstecznym biegiem powraca do niego i staje. Z otwartych drzwi wychyla się akademik Czełyszew. W wycięciu kołnierza szarej jesionki widać wełniany szalik takiego samego koloru. Także puszysta futrzana czapka dobrana jest do koloru płaszcza. Malutkie oczy, którymi patrzy na Piotra, pełne są życzliwości. Piotr kłania się z szacunkiem.

— Jadę ja sobie, patrzę i oczom nie wierzę — mówi Czełyszew. —
Czyżby to był Gołownia! Otóż i on! Jak mam to jednak rozumieć?

Gołownia uśmiecha się;

— Ja też nie wiem, Wasiliju Daniłowiczu, jak mam traktować to spotkanie z wami.

— Ze mną sprawa jest jasna. Przyleciałem samolotem. Teraz wiozą mnie do Andrianowki.

— Nie to mam na myśli. Miłe spotkanie, to dobry znak dla myśliwego.

— Ale w jaki sposób staliście się myśliwym?

— Wsiadłem z pociągu i tyle...

— I pedałujecie do Andrianowki na własnych nogach?

— Przejdę się. Może nawinie mi się coś pod lufy.

— Dajcie spokój. Jaka tu może być dziczyzna? Miejscowi na pewno już latem wszystko wytłukli. Lepiej siadajcie ze mną.

— Dziękuję Wasiliju Daniłowiczu, ale myśliwi to szczególny gatunek ludzi. Nie namówicie mnie.

— Wróćcie z niczym.

— Lepiej życcie mi złamania karku. Nasze spotkanie to dobry omen.

— A żeby was... Ale i tak straciecie niepotrzebnie czas. Mówię jak dobry przyjaciel.

— Jak przyjaciel? — W kącikach niedużych warg Piotra pojawia się lekki uśmiech. — 1 ze szczerego serca?

Wasilij Daniłowicz nagle zakaszał. Malutkie oczy schowały się pod nastroszonymi brwiami. Nie powstrzymuje to jednak Gołowni,

— Pozwólcie, Wasiliju Daniłowiczu, że tak właśnie zanotuję. — Z ciągle tym samym rodzącym się dopiero uśmiechem Gołownia czyni ruch, jak gdyby wyjmował notes i poruszając niewidocznym ołówkiem mówi głośno: „Mówię wam po przyjacielsku, że szczerego serca, że wróćcie"z pustymi rękami." A teraz postawimy dzisiejszą datę.

Teraz Piotr chowa swój wyimaginowany notes. Czełyszew wreszcie się wykaszłał.

— A więc widzę, że ze mną nie pojedziecie? W takim razie do widzenia.

Zatrzasnęły się drzwi. Samochód warczy i odjeżdża do. An- drianowki.

46

Nigdy jeszcze Gołownia-junior nie pozwolił sobie na to, aby przypomnieć Wasilijowi Daniłowiczowi, jak podczas pierwszej wojennej zimy w korytarzu narkomatu ewakuowanego na Ural wyjął notes i zaczął pisać. Dzisiaj po raz pierwszy uczynił aluzję do owego wydarzenia.

Ileż to lat upłynęło od tamtej chwili? Prawie siedemnaście.

Spotkali się 7 listopada 1941 roku wieczorem — w dzień obchodów kolejnej rocznicy powstania państwa radzieckiego. Zresztą, komu tam wtedy było do uroczystości, Narkomat pracował także 7 listopada. Dopiero rankiem w przestronnym, chociaż zastawionym biurkami holu hotelowym, który stał się służbowym przytuliskiem zarządów i wydziałów podległych Onisimowowi, zgromadzili się wszyscy pracownicy, w milczeniu wpatrzeni w głośnik radiofoniczny, z którego nadawano transmisję defilady wojskowej na Placu Czerwonym w Moskwie. Następnie bogaty w intonacje głos spikera, który sam swoim brzmieniem oddawał powagę i ^odświętność tej historycznej chwili, odczytał wczorajsze przemówienie Stalina.

Onisimow także zeszedł z drugiego piętra do holu. Stojąc obok podwładnych wysłuchał transmisji, chociaż mógł skorzystać ze świetnego radioodbiornika, który znajdował się w jego gabinecie. Uczesany jak zawsze starannie — włoski przy włosku, jak zawsze zamknięty w sobie i trzymający każdego na dystans swoją oficjalnością, Aleksander Leontjewicz prawie się nie zmienił w czasach wojennych. Ściemniała mu tylko twarz o regularnych rysach albo raczej pogłębił się jej brunatny odcień. To brzydkie ściemnienie cery pojawiło się tego dnia, kiedy Onisimow, który ciągle nie porzucił swego stanowiska dowodzenia w Moskwie, wprowadzając tam dla swego nielicznego zespołu pracowników koszarowy system pracy, w czym pierwszy dawał wszystkim przykład, otrzymał polecenie natychmiastowego opuszczenia stolicy. Zaraz też odjechał w przepełnionym podmiejskim wagonie na Wschód. Tutaj, na Uralu, stykający się z nim nieprzerwanie Czetyrzew ani razu nie widział go uśmiechniętego.

Po zakończeniu transmisji Onisimow zarządził krótko:

— A teraz, towarzysze, wracamy do pracy! Proszę na miejsca!

Od tego dnia Onisimow chyba jeszcze bardziej zrobił się wymagający. Docinał nawet Czetyrzewowi, jeśli czegoś tam nie dopatrywał.

Wieczorem Wasilij Daniłowicz w swoim malutkim gabinecie, który przedtem był zwykłym pokojem hotelowym, zajmował się żmudną pracą — rozmieszczaniem ewakuowanych wydziałów i przypisywaniem ich do różnych hut na Wschodzie. Dobrze się stało, że w latach trzydziestych, kiedy budowano Nowouralsk, zjeździł i przemierzył na własnych nogach i Magnitkę, i Kombinat Niżnietagilski, a także wiele starych, wtedy już zmodernizowanych fabryk i fabryczek.

Czetyrzew pamięta, że w ów wieczór 7 listopada przeglądał i segregował arkusze planów, na których kolorowymi liniami zaznaczone było rozmieszczenie różnych zakładów na Wschodzie. Arkusze te były już upstrzone jego uwagami.

Wczesne uralskie mrozy upiękły okno lodowymi wzorami i szronem. Słysząc było, jak świszczę, jak wyje zamieć.

W pewnej chwili zadzwonił telefon. Mówił Onisimow:

— Wpadnijcie do mnie, Wasiliju Daniłowiczu.

Gdy Czetyrzew wkroczył do gabinetu narkoma, nie bez zdzi- 194

wienia przekonał się, że Onisimow jest w dobrym humorze. Jak gdyby ktoś lub coś zmyło z jego twarzy nalot ponuractwa. Miało się wrażenie, iż brunatna barwa twarzy stała się jaśniejsza, bardziej żywa, a na policzkach wystąpiło coś w rodzaju rumieńców. Zaskakująco szczery uśmiech także dodawał Onisimowowi urody.

— Siadajcie — powiedział do Czelyszewa, lecz sam nie usiadł.

Onisimow wyraźnie był czymś podniecony. Co się z nim dzieje? Co się wydarzyło? Oczekując z zaciekawieniem wyjaśnień, Wasilij Daniłowicz zajął miejsce. Nie wystawiając na próbę cierpliwości akademika, Onisimow oznajmił bez żadnych wstępów:

— Przed chwilą rozmawiałem z Gospodarzem. — Głos Aleksandra Leontjewicza zmienił się na moment, zabrzmiał młodo, dźwięcznie. — Otrzymaliśmy zadanie: budować nowe fabryki. I z takim wyliczeniem, aby jak najszybciej zaczęły produkować. Trzeba przygotować plan i przedłożyć nasze propozycje. — No, co wy na to, Wasiliju Daniłowiczu? Niemcy stoją pod Moskwą, a Gospodarz wydaje z Moskwy rozkaz: budować nowe fabryki!

Wasilij Daniłowicz milczał. Potrzebował trochę czasu, żeby przemyśleć, przetrwać to, co usłyszał. Pamięta, że zrobiło mu się wtedy lżej na sercu. Podczas tych smutnych tygodni nieraz nawiedzała go myśl: czy wytrzymamy? Czy zniesiemy tę wojnę, najstraszniejszą, najgroźniejszą z tych wszystkich wojen, jakich zaznała Rosja? Takie właśnie pytania dręczyły akademika, żyły ukryte w nim głęboko niezależnie od tego, co miał akurat na głowie. Dokuczały mu te pytania, nękały go nawet we śnie.

Przed wojną Czelyszew miał dostęp do prasy zagranicznej, która uprzedzała, że armie hitlerowskie zostały już skoncentrowane na granicy radzieckiej, że lada chwila nastąpi atak. Potem, kiedy te ostrzeżenia stały się prawdą, niepewnie, mgliście czuł, że tym wojennym niepowodzeniem, tym wszystkim nieszczęściom winien jest Stalin. Bo jakże to: szykował kraj do wojny, a kiedy wybiła godzina, sam nie był do niej gotów?

Nie potrafiąc zrozumieć takich rażących sprzeczności, nie umiając znaleźć do nich klucza, nie myśląc wcale o sformułowaniu, które dopiero po latach zostało zastosowane do Stalina i

brzmiało: błędy kultu jednostki, nie zatrzymywał się przy tych bezpłodnych, jak mu się wydawało, myślach.

Czy jednak teraz najgorsze mamy już za sobą? Poranną audycja z Moskwy napawała wiarą; telefon Stalina do Onisimowa stanowił już bezsprzecznie dobry znak. A przecież stęskniony za dobrymi wiadomościami Wasilij Daniłowicz nie mógł się jeszcze zdecydować na to, aby odetchnąć pełną piersią.

— Jeżeli mamy realizować coś takiego — powiedział — to gdzie w dzisiejszych czasach dostaniemy maszyny i. budowniczych?

— To już zostało przewidziane. Ławrientij Pawłowicz otrzymał polecenie, by zorganizować dla nas ekipy budowlane. W jego systemie nie zabraknie ani ludzi, ani niczego. Pokazali się już od dobrej strony. Będą pracować. Trzeba tylko uważać, aby u nas wszystko było na czas. Musimy przygotować dokładne propozycje. I zabrać się do rysunków roboczych.

Radosny i ożywiony Onisimow dalej przedstawiał zadanie. Obecnie obozy pracy, gdzie nie tak dawno zginął jego brat, obozy, w których za drutami kolczastymi jak w jakimś innym świecie zgromadzono masy więźniów, jawiły mu się jako zespoły pracownicze o wysokiej dyscyplinie, pozwalające się łatwo przerzucać z miejsca na miejsce, zespoły tak potrzebne w warunkach wojennych.

Aleksander Leontjewicz usiadł przy biurku, przysunął do siebie duży notes i zasięgając rady Wasilija Daniłowicza, zaczął natychmiast szkicować plan budowy nowych odlewni stali, zapisując punkt po punkcie swoim twardym ołówkiem i kaligraficznym piórem. Przede wszystkim należało szybko zakończyć i uruchomić pierwszy rzut Południowo-Uralskiej Fabryki Rur. Równocześnie zbudować Zakłady Czelabińskie — teren został wybrany, projekt był gotowy. Potem Fabrykę Bakalską — projekt też już gotowy. Czetyrzew zaproponował, aby przetrzymać na teren budowy Fabryki Bakalskiej nie dokończoną jeszcze Fabrykę Kurską, gdzie przed wojną zaczął się już montaż pierwszych pieców, ale gdy front się przybliżył, roboty przerwano.

— Tak, tak, wykopimy tam wszystko spod ziemi. Wywieziemy wszystko do ostatniej śrubki.

W tym momencie do gabinetu wszedł niemal bezszelestnie szef sekretariatu łysy Sieriebriannikow. Spokojnym, a przecież szybkim krokiem podszedł do narkoma:

— Aleksandrze Leontjewiczu, przyjechał Gołownia-junior. Czeka w sekretariacie. —■ W samą porę. Dawaj go tutaj.

47

Do gabinetu wszedł zziębnięty Gołownia, który widać nie zdążył się jeszcze rozgrzać. Wysmagana zamiecią twarz z garbatym nosem, jasnymi oczami i masywną dolną szczęką, płonęła ogniem. Dłonie też były czerwone, bo nic ich nie chroniło przed zimnem. Brązową skórzaną kurtkę (czy to nie ta późniejsza myśliwska kurtka Piotra?) Gołownia spiął w talii paskiem, aby mu nie podwiewało z dołu. Zanim wszedł do narkoma, zapomniał odpiąć ten pasek, który tak mu się przydawał na wietrze.

r— Witaj —^ powiedział Onisimow. — To w takim byle czym zadajesz szyku?

— Wczoraj wyjechałem z Orska. Tam było ciepło. A tutaj mrozisko, że lepiej nie mówić

■— powiedział zachrypnięty Gołownia.

— Siadaj. Czy przywiozłeś sprawozdanie z ewakuacji huty?

— Z tym właśnie przyjechałem.. Skończyłem dopiero przedwczoraj.

— Całe wyposażenie na miejscu? Niczego nie zgubiłeś?

— To, co zginęło, odszukaliśmy, Aleksandrze Leontjewiczu. Sprawozdanie podpisali także wasi kontrolerzy. Dokumentacja nie chciała się zmieścić w teczce, musiałem wziąć walizeczkę. Przynieść ją?

— Jeszcze zdążymy.

Onisimow zadał zaraz jeszcze kilka pytań dotyczących ulokowania pracowników, zabezpieczenia składowiska i stanu zdemontowanych agregatów wywiezionych z okolic nad Dnieprem, wywiedziały się, które z nich zostały już zmontowane lub są montowane na nowych stanowiskach. Zresztą i bez tego był doskonale informowany, dobrze wiedział, że narzędziownia Kurakowki funkcjonuje już w Złatoustiu, walcuje i wytłacza stal, choć nad wydziałem nie ma jeszcze dachu. Ale przecież zgodnie z niezmienną zasadą sprawdzał teraz posiadane już wiadomości.

Czełyszew pamiętał, jak jeszcze w Moskwie, w tamte gorączkowe dni i noce, kiedy ewakuowano zakłady z Południa, Onisimow zrobił się jeszcze bardziej pedantyczny i dokładny. Czełyszew nieraz był świadkiem, jak od tegoż Gołowni-juniora, który przy wtórze kanonady artyleryjskiej wysyłał z Kurakowki transport za transportem, Onisimow żądał przez telefon, żeby oznaczać każdą dużą i małą skrzynię, żeby nie wypuszczać ani jednego wagonu bez konwojentów. Tam właśnie, do samego piekła, wysyłał Onisimow przygodnymi samolotami pracowników swego aparatu, żeby nadzorowali przebieg ewakuacji. I zrobił temu młodemu Gołowni niezłą burę, kiedy któryś z wysłanych kontrolerów doniósł, że w tamtejszej gorączce otwór spustowy kosza i jakieś części żurawia koparki chwytakowej wywieziono nie oznaczone.

Zasady oznaczania ustalone przez Onisimowa były następujące: każda część demontowanego agregatu oznaczana była jednakową literą, a potem następowała cyfra. Gołownia naraził się zresztą na kolejną awanturę z tego powodu, że nie załadowano koparki, w której pękła gąsienica. Wreszcie odszedł z Kurakowki ostatni transport. Łączność jeszcze działała i Piotr zameldował, że wysyła także ciężarówkę z grupą minerów, którzy wykonali zadanie, i prosi o zezwolenie na opuszczenie huty wraz z nimi. Onisimow na to: „Nie. Teraz zbierz robotników, którzy nie zostali jeszcze ewakuowani, i poprowadź ich pieszą kolumną do Donbasu.”

Zdarzało się, że słuchając takich poleceń wydawanych przez narkoma, Czełyszew mówił sobie z przekonaniem: „Zwyciężymy.”

Gołownia-junior opuścił więc Kurakówkę pieszo i to nie sam.

A potem, już na Uralu, zgodnie z bezwzględnym rozkazem narkoma należało nie tylko skompletować to, co zostało wywiezione, ale także przedstawić szczegółowe udokumentowane sprawozdanie z ewakuacji — wyliczyć się z każdego wydanego państwowego rubla, z każdego mechanizmu, z każdego zwoju kabla należącego do huty.

Niezdadne do ruchu, odczepione po drodze wagony, odszukiwano na bocznicach. Trzeba było odszyfrowywać oznaczenia, porównywać każde z nich z zawartością i dokumentacją. Specjalna komisja, w skład której wchodził kontrolerzy narkomatu, podpisywała wszystkie protokoły, spisy kontrolne, protokoły 198

strat i tak dalej. Po wykonaniu tej okropnej roboty Gołownia mógł się wreszcie stawić ze swoim sprawozdaniem, by złożyć Onisimowowi raport.

Wypytawszy gościa o wszystko, Aleksander Leontjewicz wstał zza biurka. Przespacerował się po gabinecie, wyjął z kieszeni jasnoniebieskie pudełko papierosów „Bielomor” (wojna przerwała produkcję jego ulubionego gatunku) i nieoczekiwanie wyciągnął je w stronę Gołowni.

— Bierz! W tym zamęcie pewnie i ty zacząłeś palić?

Obserwujący tę scenę Wasilij Daniłowicz jeszcze raz uzmysłowił sobie, że Onisimow jest niezwykle podniecony. Częstowanie papierosem podwładnego nie mieściło się w obyczajach surowego narkoma.

— Nie zgadliście, Aleksandrze Leontjewiczu. Nie palę. Dziękuję.

Onisimow pstryknął zapalką, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko dymem. Czetyrzew usłyszał po raz drugi:

— Przed chwilą rozmawiał ze mną Gospodarz.

Teraz słowa te przeznaczone były dla Gołowni-juniora. Nie kryjąc radosnego podniecenia, które nieco tylko hamowane wyrwało się spod jego zwykłego pancerza, Onisimow znów opowiedział, że zapadła decyzja budowania nowych fabryk, szybkiego budowania, aby jak najprędzej mogły spłacić poniesione koszty, rozpocząć produkcję. Prawdopodobnie Onisimow powtarzał dokładnie sformułowania Stalina. Jego wielka głowa na krótkiej szyi zwróciła się do wszechobecnego portretu na ścianie: i

— Czy rozumiesz, jaką on widzi perspektywę?

Narkom usiadł, ale zaraz wstał i zaczął chodzić po gabinecie.

— No i co z tobą robić? Zresztą praca się dla ciebie znajdzie, chociaż przyjechałeś bez teczki.

Narkom zaśmiał się z własnego dowcipu, a ściślej mówiąc wyrwało mu się z gardła kilka urywanych, głuchych dźwięków. Nie był człowiekiem skorym do szczerego śmiechu. Tak czy owak, Czetyrzew zanotował wówczas w swoim brulionie, że do tej pory Aleksander Leontjewicz nigdy jeszcze nie śmiał się w jego obecności.

— A więc towarzyszu eks-dyrektorze, albo dyrektorze bez teki, co z wami począć? A czego sam byś sobie życzył?

— Gotów jestem do każdej pracy tam, gdzie będę potrzebny.

A jeśli nie mianuję cię dyrektorem huty?

— I na to jestem gotów. Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko wielkim piecom, powiedzmy, w Nówouralsku.

— Nie, tam już komplet. A zgodzisz się na hutę w Bakalsku?

— Jaką?

— Bakalską. Szczerze mówiąc, tam jeszcze nic nie ma. Na razie tylko teren — nietknięty brzeźniak. Ale projekt już mamy. Mamy też dyrektora i naczelnego inżyniera Onisimow wymienił nazwiska. — O ile mi wiadomo, geodeci wbili już kołki, wytyczyli główne osie. Teraz zaczniemy przyspieszoną budowę. To ciekawe zadanie. Czy zgadzasz się tam pójść na szefa wydziału wielkich pieców?

— Zgadzam się.

— W takim razie bierz się do roboty. Na początek pojedź, obejrzyj teren, a potem jedź do filii Gipromiezu w Czelabińsku i gruntownie zapoznaj się z projektem.

Precyzując nadal punkt po punkcie zadania dla Gołowni, Onisimow nacisnął jednocześnie guzik dzwonka. Sieriebriannikow pojawił się natychmiast.

— Słuchaj, zdaje się, że mamy w magazynie jakieś zimowe umundurowanie? —

Aleksander Leontjewicz powiedział: „zdaje się”, „jakieś”, choć doskonale wiedział, ile półkożuszków, ile walonek znajdowało się w magazynie narkomatu. —I Czy będziemy mogli ubrać i obuć szefa wydziału wielkich pieców huty w Bakalsku? — i ruchem głowy wskazał Gołownię.

Kształtna twarz sekretarza-wygi nie wyrażała nic prócz skupionej uwagi:

— Potrafimy, Aleksandrze Leontjewiczu.

— W takim razie zajmij się tym.

Sieriebriannikow zniknął, a Onisimow rzekł do Gołowni:

— Idź się przebrać. Pojedziesz na teren budowy huty, do Czelabińska, a potem wracaj do mnie. Sprawozdanie zostaw i oddaj do wydziału. Rozpatrzą je bez ciebie.

48

Nowo mianowany szef wydziału wielkich pieców wcale się jednak nie kwapił do odejścia. Jego twarz nadal płonęła, ale już 200

nie czerwienią. Czerwień ustępowała także z długich palców o szerokich, spłaszczonych poduszeczkach, nad którymi połyskiwały obcięte krótko mocne paznokcie.

— Mam do was prośbę, Aleksandrze Leontjewiczu.

— Mów.

— Pozwólcie w jednym piecu zastosować moje urządzenia.

— Ty znowu swoje... Nie zamierzałem kłócić się z tobą w taki dzień, ale sam tego chcesz. Czytałem twój artykuł w „Stalepła-wilszcziku” i zmyłem głowę redaktorowi za to, że wydrukował te twoje — Onisimow szukał widać delikatnego określenia, ale właściwa mu szorstkość i ostrość wzięły jednak górę — te twoje bzdury!

Gołownia, chcąc mimo wszystko przekonać narkoma, powiedział, że straty będą niewielkie, niemal żadne w skali wielkiej budowy.

— Nie ma mowy! — uciął Onisimow. — Ani sobie, ani mnie nie zawracaj głowy tymi urojeniami. Nie pozwolę na żadne odchylenia od projektu Gipromiezu. To są najlepsze standardy amerykańskie, a nie pomysły nie wiadomo skąd. Wasilij Daniłowicz pilnował tego jak należy.

Czełyszew warknął:

— Gdybyśmy pozwalali na wszystko, to potem nie moglibyśmy się pozbierać.

— No, to sprawa załatwiona — zakończył Onisimow i znów uśmiechnął się miło i szczerze. — Przyodziej się i w drogę! Zarządzenie o nominacji wyślemy za tobą.

...Mniej więcej po godzinie idąc korytarzem Czełyszew znowu ujrzał Gołownię-juniora, ubranego już w nowiutki, pokryty jeszcze białym pyłem półkożuszek i w sztywne jeszcze, szare walonki. Futrzaną uszanke, którą także mu wydano, trzymał w ręce odzianej już w grubą wełnianą rękawicę. Gołownia, który szedł pochylony jak jego ojciec, wyprostował się na widok Czełyszewa i jak gdyby mu salutując, przyłożył wolną dłoń do rudawej czupryny.

Przystanąli obaj. Wasilij Daniłowicz spojrzał dobrotliwie na Gołownię.

— Nie chciałem w obecności Onisimowa mówić o waszym artykule. Przeczytałem go. Czełyszew miał na myśli tę właśnie publikację w periodyku naukowym „Stalepławilszczik”, w której Gołownia opisał do

kładnie swój sposób obciążenia biegu wielkich pieców, opatrując tekst rysunkami i obliczeniami.

rr- Przeczytaliście i...?

— Powiem szczerze jak przyjaciel: nic wam z tego nie wyjdzie, młodzieńcze.

To dziwne, ale Gołownia wcale się nie zmartwił. Ściągnął rękawiczki, wsadził je pod pachę, szybko wyciągnął z wewnętrznej kieszeni półkożuszek notes, ołówek i z uśmiechem, nad którym widać nie panował, oznajmił:

— Jeśli pozwolicie, Wasiliju Daniłowiczu, to zanotuję. „Powiem szczerze jak przyjaciel: nic wam z tego nie wyjdzie, młodzieńcze.” No więc jak, czy nie macie nic przeciwko temu?

— Hm... Proszę, notujcie.

- A teraz stawiam datę: 7 listopada 1941 roku. Kiedyś wam o tym przypomnę, Wasiliju Daniłowiczu.

Gołownia podniósł głowę znad notesu. Czetyrzew znów ujrzał bławatkowe, wcale nie podbite zmęczeniem oczy, hardy u- śmiech i szramę biegnącą przez czoło.

W tej właśnie chwili Wasilij Daniłowicz rozstał się ostatecznie z niepokojem, który trapił go tak długo, i uwierzył w zwycięstwo! Taka była ta decydująca kropla optymizmu, której pragnął. A miało to miejsce jeszcze przed telefonem z Moskwy, o którym poinformował go tamtego wieczoru tak nie do poznania zmieniony Onisimow. *

Teraz działo się to na jawie, na jego oczach... Trzeba było jednak pewnej chwili, aby pierwsze wrażenie przekształciło się w wyraźną myśl. O tak, jeśli ten młody Gołownia, który napatrzył się na różne rzeczy, przeprowadził ewakuację pod ostrzałem, który wyszedł pieszo z opustoszałej Kurakowki, przejechał w wagonie towarowym pół Rosji, jeśli ten chłopak mówi z takim spokojem: „Kiedyś wam o tym przypomnę, Wasiliju Daniłowiczu”, znaczy to... Oznacza to, że widzi przed sobą te odległe czasy, które należą do niego. Do niego i do nas!

Wrażenie było tak silne, że Czetyrzew poczuł ucisk w klatce piersiowej. Wstrzymał oddech, a kiedy zrobił wreszcie głęboki wdech, nie powiedział ani słowa i poszedł do siebie.

...A potem wydarzyło się właśnie to.

W 1945 roku, już po obchodach Dni Zwycięstwa, Czetyrzew na czele grupy metalurgów pojechał, a właściwie poleciał za ocean...

Wśród innych nowinek przywiózł także taką: w kilku wielkich piecach Amerykanie zastosowali metodę, a także rozwiązania konstrukcyjne wprowadzone w Kurakowce przez Gołownię-juniora. Wydajność pieców zwiększyła się znacznie. Wszystko wskazuje na to, że całe amerykańskie hutnictwo przejdzie stopniowo na tę metodę.

— Spudłowałem — przyznał się szczerze Wasilij Daniłowicz.

Onisimow potraktował obojętnie tę wiadomość i wcale nie zamierzał bić się w piersi. A jednak zaczął lepiej traktować Piotra Gołownię, który znów był dyrektorem na starych śmieciach, w odbudowanej Kurakowce. Wydał też polecenie, aby w dwóch-trzech hutach wypróbować jego urządzenie.

Ale Gołownia nadal rozrabiał. Korzystając z każdej okazji wołał, że z jego metody prawie nikt nie korzysta, a jej wdrożenie przebiega bardzo wolno.

Wreszcie w 1952 roku, akurat wtedy, kiedy z powodu pieców Lesnycha Onisimow doświadczył na własnej skórze lodowatego niezadowolenia Stalina, Gołownia-junior zwrócił się ze skargą do KC.

Autor nie zamierza przedstawiać historii konfliktu dyrektora huty z przewodniczącym Komitetu Państwowego, gdyż konstrukcja powieści nie wytrzyma takiego obciążenia. Wszystkie te, czasami zdumiewające perypetie autor zamierza przedstawić w jednym z kolejnych tomów zaplanowanej serii i uczynić to bez skrótów, w powiązaniu z wielkimi problemami tych czasów, zachowując wierność metodzie badawczej i obiektywnemu spojrzeniu. Wtedy pomocą dla autora będzie znów dziennik Czetyłszewa.

Obecnie samochód wiezie drzemiącego Wasilija Daniłowicza do Andrianowki. Do diabła, ale ten Piotr przypiął mu jednak przecież łątkę, wbił mu szpilę, choć przedtem nigdy o tej sprawie nie wspominał. Ma facet charakterek. Ale co on tu ustrzeli? A jeśli? Różnie być może.

49

Wieczorem Wasilij Daniłowicz siedział sobie w ciepłym, dobrze ogrzanym pokoju domu gościnnego. Dawniej, kiedy był w Andrianowce głównym inżynierem

203

huty, mieszkał przez jakiś czas w tym parterowym starym domu zbudowanym z ciosanego kamienia. Zresztą i potem, kiedy przyjeżdżał do Donbasu i wędrował po zakładach, też czasem zatrzymywał się tutaj.

Po dzisiejszym przyjeździe do Andrianowki Wasilij Daniłowicz cały dzień spędził między ludźmi, odwalił dwie odprawy, rozmawiał ze wszystkimi starymi znajomymi, obejrzał pobieżnie hutę, zjadł obiad z dyrektorem i wreszcie mógł się udać na odpoczynek do tego ciepłego, znanego mu pokoju. Zmienił więc garnitur na wygodną piżamę i położył się, ale długo poleżeć nie było mu dane.

Jutro w teatrze miejskim ma otworzyć konferencję wielko- piecowników i wygłosić mowę. Cóż on właściwie powie? Przypomniało mu się niedawne posiedzenie, podczas którego, jako jubilat, odpowiadał na gratulacje. Jakkolwiek by na to patrzeć, rocznica była poważna — siedemdziesiąt pięć lat. Z tej okazji Wasilij Daniłowicz został odznaczony, zresztą już nie po raz pierwszy, Orderem Lenina. Gazety zamieściły jego zdjęcie. Urządzono także uroczyste posiedzenie na jego cześć. Musiał więc, chcąc nie chcąc, stanąć na trybunie przed wypełnioną salą i pod oślepiającym światłem filmowych reflektorów. Także na starość nękaną treścią, która niegdyś jako młodzieńcowi przyczyniała mu tyle udręk, Wasilij Daniłowicz wolałby w ten jubileuszowy dzień przebywać jak najdalej od Moskwy. Niechby sobie inni świętowali jego jubileusz, ale bez niego. A jednak, bądźmy szczerzy, nie tylko treść rodziła chęć ucieczki. Wasilij Daniłowicz obawiał się w głębi serca, że na jubileuszowym posiedzeniu nie będzie młodzieży, on zaś, o hańbo!, dowie się, że młoda kadra metalurgii już się nim nie interesuje, że nie jest jej potrzebny. O, lepiej wyjechać! A jednak nic z tego nie wyszło, nie pozwolono mu. A potem wszystko udało się nad podziw dobrze. Młodzi metalurdzy wypełnili nie tylko balkon i tylne rzędy parteru, lecz także zgromadzili się pod ścianami. Wzruszony tym widokiem Wasilij Daniłowicz rozgadał się, rozkrochmalił w swoim przemówieniu. Pozwolił sobie także na dydaktykę i przydługie gładzenie, czasami, po prostu, plótł trzy po trzy (wszyscy wiedzą, że z Czetyłszewa marny mówca!), a przecież słuchano go i nikt nie kaszłał ani nie chrząkał. Ten wieczór podarował mu ponownie dawny, nie zarejestrowany w tabelach służbowych tytuł głównego wielkopiecownika Związku Radzie- 204

ckiego. Patrząc na ucichłą salę pilnował się, żeby nie wypowiedzieć żadnego fałszywie brzmiącego słowa, chciał powiedzieć bez żadnego koturnu to, co najważniejsze, czego nie mówi się na co dzień.

— Jestem wdzięczny — mówił niezbyt składnie i bojaźliwie — że mogłem uczestniczyć w marszu starej Rosji ku Rosji nowej. Uważam to za największe szczęście mego życia.

Dalej mówił o cudach, które wydarzyły się w czasie jego życia jako metalurga. Okres pierwszych pięciolatek. W zrujnowanym zacofanym kraju wyrastają potężne fabryki, o jakich mówił kiedyś Kurako w swojej „akademii hutniczej” przy starych piecach Juzowki. O nie, taki rozmach nawet mu się nie marzył. To wszystko nazwać można jedynie cudem.

Wstrząsający był także inny cud, kolejne zaskoczenie. Czelyszew opowiedział zebrany, jak w 1943 roku widział w Donbasie i Naddnieprzu fabryki zburzone przez wojska hitlerowskie. Wszystko było zamienione w bezkształtne stopy cegieł i skręconego przez wybuchy żelastwa. Zdawało się, że nie będzie już można tego odbudować. A przecież wystarczyło kilka lat, aby zmiecione z powierzchni ziemi zakłady powstały z prochu powstały jeszcze potężniejsze, piękniejsze niż przedtem. -

Ową wygłoszoną na jubileuszu mowę zamieszczono w prasie, nadając jej kształt artykułu. Redakcja zaskoczyła nieco jubilata, opatrując tekst tytułem Trzecie zaskoczenie. Dodano też kilka słów zawierających nieskromne, zupełnie nie w stylu Czelyszewa pochwały pod adresem różnych obecnych reorganizacji. Owszem, starszy pan zdawał sobie sprawę, że sam się do tego w pewnym sensie przyczynił, mówiąc podczas jubileuszu o różnych nowinkach produkcyjnych, które posypały się nieoczekiwanie, a których on, dyrektor ośrodka naukowo-badawczego metalurgii, czasami nie traktował poważnie, nowościach wolnych od przeszkód, od dotychczasowego „zabrania się”, które powszechnie obowiązywało.

Czytając szpalty przysłane mu do autoryzacji, Czelyszew zgrzytał w duchu zębami, ale swoim zwyczajem sprzeciwu nie zgłosił i podpisał tekst artykułu.

Wczoraj zobaczył ten numer gazety na kanapie u Onisimowa, kiedy odwiedził go w szpitalu. Głupio wyszło. Onisimow złowił spojrzenie Czelyszewa zezującego na gazetę i odwrócił się; udał, że tego nie zauważył.

A niech to... Wczoraj Czelyszew w tym całym zamęciu nie zdołał usiąść nad dziennikiem, nie zanotował wrażeń ze spotkania z Onisimowem. Obowiązek zmusza go, by to uczynił teraz. Trzeba też przelać-na papier dzisiejsze wrażenia.

Wasilij Daniłowicz chrząka, wyciąga brulion, który zawsze mu towarzyszy, siada przy stole i bierze do ręki długopis.

50

I znów posłużymy się notatkami Czelyszewa, który nie zaniedbywał obowiązku, jaki sam sobie narzucił, powierzał dziennikowi własne myśli o epoce, o nowej ziemi, do której należał.

Kiedy Czelyszew wszedł po schodach do znanego nam już pół- apartamentu, zastał Aleksandra Leontjewicza w saloniku-ga- biniecie. W pomieszczeniu tym zawsze panował porządek, tak przecież charakterystyczny dla Onisimowa, lecz teraz zastąpił go nieład cechujący przygotowania do podróży. Na krześle i okrągłym stole leżały dwie otwarte walizki, wypełnione już częściowo odzieżą i teczkami zawierającymi dokumenty, książki. . ^ Pakuję się — powiedział ożywiony Onisimow. — Przenoszę się do „Szczygłów”.

Długiego jak tyka gościa, ubranego, jak tego wymagały przepisy, w biały fartuch, powitał uśmiechem. Czelyszewowi wydało się, że chory przyjrzał mu się przez moment uważnie, jak gdyby usiłował wyczytać coś, odgadnąć w rysach jego twarzy. Może tajemnicę własnej choroby? Zaraz jednak zielonkawe oczy utraciły tę niespokojną dociekliwość; Onisimow znów się uśmiechał. Zresztą wyglądał wcale nieźle, w każdym razie nie tak źle, jak spodziewał się tego Czelyszew. Domieszka szarości w żółtawej cerze nie budziła niepokoju. Jednak nad lewym kącikiem ust wyrósł czarny guzek. Pielęgniarka, która towarzyszyła Wasilijowi Daniłowiczowi do pomieszczenia chorego, uprzedziła go, aby nie okazywał zdziwienia, gdy zobaczy guzki na twarzy pacjenta. Oto jeszcze jeden — na czole, na samej granicy nie tkniętych siwizną włosów.

Czelyszew przede wszystkim zwrócił uwagę na to, że Onisimow wcale nie zdiadział. Lekko wpadnięte policzki były świeżo wygolone. Ubrany był w dobrze wyprasowany garni-
206

tur; nie zapomniał też o ciemnoszarym, gładko zawiązanym krawacie.

— Proszę, proszę — mówił Onisimow. — Mogę wam teraz osobiście złożyć gratulacje.

Czełyszew oczywiście pamiętał, że podczas wieczoru jubileuszowego odczytano także serdeczny telegram Onisimowa.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... Chwalić Boga, to już poza mną.

Korzystając z zapraszającego gestu Aleksandra Leontjewicza, Czełyszew usiadł na kanapie. Na poduszce leżała kupka gazet. Wtedy właśnie Wasilij Daniłowicz zobaczył przypadkiem, że na wierzchu leży ten sam numer „Izwestij”, w którym wydrukowano jego artykuł. Czując się niezręcznie, odwrócił wzrok i ściągnął brwi. Nagle spotkał się ze wzrokiem Onisimowa, ale ten obojętnie spojrział w bok, jak gdyby niczego nie zauważył. Czełyszew odebrał to jako sygnał, że Onisimow nie chce teraz poruszać niektórych spraw, unika pewnych prawd, jak gdyby oszczędzając samego siebie.

— Właśnie dowiedziałem się o waszych przenosinach, Aleksandrze Leontjewiczu. To dobra wiadomość.

— Rozmawialiście z lekarzem? — zapytał prawie niedbale Onisimow.

— Owszem, pytałem o was. — Rzeczywiście, zanim Czełyszew zaszedł do Onisimowa, odszukał brodatego ordynatora, ten zaś ze smutkiem pokiwał głową: „na operację już za późno”. — Pytałem i teraz już jestem spokojny. Wszystko idzie jak po maśle. Będziecie mieli najlepsze lekarstwo na świecie — świeże powietrze i galopem przyjdziecie do siebie.

— Trudno powiedzieć. To choroba chroniczna.

— To nic. Gdyby lekarze mieli wątpliwości, to możecie być pewni, że nie zaryzykowałiby wysłania was do sanatorium. Ci ludzie nie lubią ryzykownych posunięć.

Czełyszew umościł się wygodniej na kanapie i wyciągnął długie nogi. Trzeba powiedzieć, że ta niewymuszona poza działała na Onisimowa lepiej niż wszelkie uspokajające słowa. Uśmiecha się więc znów radośnie, ujmująco, ale ów guzek nad lewym kącikiem ust zniekształca nieco ten uśmiech.

A niech to wszyscy diabli, Czełyszew będzie musiał teraz poruszyć pewien temat, którego... Którego przemilczeć nie można.

— Ja także wybieram się w drogę, Aleksandrze Leontjewiczu. Jutro lecę do Andrianowki na konferencję wielkopieczowników.

— Aha... Musicie mi o tym szczegółowo opowiedzieć po powrocie. Zgodą? A nad czym sami pracujecie, Wasiliju Daniłowiczu?

Gość dziwi się w duchu opanowaniu Onisimowa. Jest tak bardzo chory i tak nad sobą panuje. I siebie, i jego uwolnił od trudnej rozmowy na temat „trzeciego zaskoczenia”.

— Pytacie, jak moja praca? Zebrania. Dwa, a czasami trzy dziennie. Zresztą nie ma co narzekać. Nie zawsze wycieramy fotele po próżnicy. Bywa, że dyskutujemy o sprawach wielkich. Dzisiaj właśnie...

Czując, że opuszcza go dręcząca trema — ryzykowne tematy ma już, zdaje się, za sobą — Wasilij Daniłowicz oznajmia: dzisiaj słuchaliśmy aglomeratorów. Oni też zbierają gratulacje: oddali spust aglomeratu z topikiem. Tę właśnie sprawę referowała dzisiaj grupa autorska. Teraz Czelyszew wdaje się w szczegóły i nagle widzi szarawe, drobne dłonie Onisimowa: jedna dłoń ściska drugą. Czelyszew pamięta, że Onisimow robił kiedyś tak samo, gdy pragnął ukryć mimowolne drżenie palców. Wasilij Daniłowicz uzmysławia sobie, że przesolił. Jak mógł zapomnieć, z jakim trudem torowała sobie drogę ta nowość za czasów Onisimowa?

Aha, już wie, o czym można powiedzieć: o kombinacie metalurgicznym nad Szeksną. To na pewno zainteresuje Onisimowa. Wasilij Daniłowicz zapomina o aglomeratorach i opowiada, że komisja wyznaczona przez Radę Ministrów pozbyła się wreszcie wszelkich wątpliwości co do tego kombinatu. Chory ożywia się. Mniej więcej pół roku temu ukazał się artykuł, którego autor twierdził, że huta nad Szeksną, położona daleko i od węgla, i od rudy, zawsze będzie nierentowna, tak więc jej budowa była błędem. Ten zarzut dręczył Onisimowa. Kiedy na polecenie góry przygotowywał problem rozwoju metalurgii na bliskiej Północy, odbył dziesiątki konferencji, przyczepiał się do każdej cyferki, wszystko sprawdzał, nieraz wyciągał liczydła z biurka, studiował kosztorysy, bilanse, kalkulacje. Doszedł wreszcie do przekonania, że budowa jest ekonomicznie uzasadniona. Niebawem góra powiedziała „zgoda”.

Wypytuje teraz z zaciekawieniem o przebieg posiedzenia komisji, o kształt decyzji. Wasilij Daniłowicz wyjaśnia: spór został w zasadzie rozstrzygnięty przez samych metalurgów Szek-sny. Dowiedli w praktyce, że mogą pracować bez strat. Osiągnęli najlepszy w całej historii metalurgii radzieckiej współczynnik wykorzystania pojemności użytkowej. Doprowadziła do tego wysoka kultura pracy — nie jakiś jeden środek, lecz cały kompleks przodującej technologii.

Onisimow słucha tego z przyjemnością. Kultura pracy. Biegłość technologiczna, precyzja w każdym drobiazgu. Tak właśnie on sam, który znał z bliska zagraniczne huty, „Niemiec”, jak nazywał go żartem Sergo, tak właśnie Onisimow szkolił z uporem, wychowywał latami swoich metalurgów.

A przecież Wasilij Daniłowicz znów gryzie się w język: rozmowa ponownie zbliża się do niebezpiecznej granicy. Nie będzie przecież opowiadał Onisimowowi, że metalurdzy z północnego kombinatu dodali sporo nowego do tego kompleksu przodującej techniki, odważniej od innych zastosowali metodę, o którą z takim uporem walczy Gołownia-junior.

Nieoczekiwanie sam Onisimow wymawia ta nazwisko: Gołownia.

ljjj Niech do mnie wpadnie, gdy będzie w Moskwie.

Ton jego głosu jest znów beztronski. Takie ot, rzucone mimochodem zaproszenie. Jednak dłonie są nadal złączone.

— Przekażę mu, Aleksandrze Leontjewiczu.

Onisimow żwawo powstaje.

— Siedźcie, siedźcie Wasiliju Daniłowiczu — ja będę się pakował, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Czełyszew także wstaje. Gazeta z jego Trzecim zaskoczeniem leży nie tknięta na poduszce kanapy.

— Mnie też jeszcze czeka pakowanie. Pójdę już. A wy wracajcie do zdrowia, Aleksandrze Leontjewiczu.

— Postaram się. Nie zapominajcie o mnie. Oczekuję was w „Szczygłach”.

Akademik ściska swoim kościstym łapskiem drobną dłoń chorego, czuje jej drzenie i z ulgą opuszcza półapartament.

Ubrany w granatową pizamę Wasilij Daniłowicz pisze w sku- [pieniu. Górne, światło jest zgaszone, lampa stojąca na stole oświetla jasno brulion. Akademik, zdanie po zdaniu, zapisuje niezbyt szybko stronę wyraźnym, starczym pismem.

Od pracy odrywa go pukanie do drzwi.

— Proszę...

Kończy zdanie, podnosi głowę i widzi Gołownię-juniora.

Piotr zdążył się już umyć, przebrać, zjadł obiad. Ma teraz na sobie ten sam elegancki garnitur z czerwoną nitką, w którym Wasilij Daniłowicz widział go w ministerstwie. Świeża niebieska koszula, odświeżone wyczyszczone pantofle — we wszystkim widać troskliwą rękę żony. W skąpych świetle lampy stojącej na stole jego włosy po kąpieli wyglądają na ciemne, nie widać niemal ich rudawego odcienia. Piotr chowa jedną rękę za plecami. I wcale nie kryje uśmiechu:

— Pozwólcie, Wasiliju Daniłowiczu, że złożę wam najlepsze życzenia w związku z jubileuszą.

— O, dzisiaj mi już tyle życzone... Czas z tym wreszcie skończyć.

— Ale ja nie przyszedłem do was z pustymi rękami. Piotr wyciąga rękę zza pleców i pokazuje ciężkiego, połyskującego różnokolorowym upierzeniem, dzikiego kaczora. — Proszę go przyjąć, Wasiliju Daniłowiczu.

— Co ja z tym zrobię? A więc jednak polowanie się udało? Nie myślałem. Nigdy bym się nie spodziewał.

— Przyda się, bo jest okazja. Będzie to jeszcze jeden przykład dla waszego Trzeciego zaskoczenia.

— Nie, to już będzie czwarte.

— No właśnie. Zaskoczmy was jeszcze, Wasiliju Daniłowiczu. I pewnie nie raz.

— Czym niby? Mówcie otwarcie, mówcie, skoro już zaczęliście. Co tam jeszcze macie w zanadrzu?

— Wiele. Trzeba to najpierw wypróbować. W tym właśnie celu postanowiliśmy zastąpić w Kurakowce żeliwiaki małymi piecami.

Trzymając nadal w dłoni ciężkiego kaczora, Piotr wyklada entuzjastycznie swoją myśl.

Żeliwiak to przeszłość. Trzeba roztapiać surówkę, znów korzystać z koksu, pozbywać się siarki, a

potem te kłopoty z żużlem. Czy nie lepsze są małe piece? Będziemy wytapiać surówkę dla odlewni, a jednocześnie te małe piece posłużą jako baza dla doświadczeń. Próby i próby — tego właśnie pragną wynalazcy. Prawo do doświadczeń, do prób — musimy to rozpowszechnić. I, jak wymaga marksizm, wesprzeć to środkami materialnymi. Taki jest sens małych pieców. Wykroiliśmy już nawet na to środki, Wasiliju Daniłowiczu.

„Prawdziwy inżynier” — myśli nagle Czetyrzew i dopiero po sekundzie przypomina sobie, że tak samo nazwał kiedyś jego samego — młodego Czetyrzewa — Kurako. No cóż, bardzo proszę, niestraszno już odejść człowiekowi na boczny tor, kiedy ma następców. A zresztą, niby dlaczego jeszcze sobie nie pożyć?

— Ho, ho, coś mi się zdaje, że naprawdę dożyję czwartego zaskoczenia.

ir-r- Oczywiście, że tak.

Piotr podkreśla to gestem ręki. I nagle uśmiecha się, patrząc na swoją zdobycz.

— Pozwólcie, Wasiliju Daniłowiczu, że położę gdzieś tego nie zaplanowanego kaczora.

.-TT- Nie trzeba. Co ja z nim zrobię?

-T- Zabierzecie go sobie do Moskwy. Albo każecie upiec dla nas na kolację.

Piotr rozgląda się, widzi leżącą na kanapie gazetę i kładzie na niej kaczora.

Czetyrzewowi przypomina się mimo woli tamta kanapa i stos gazet w szpitalnej samotni Onisimowa. Mówi więc ze smutkiem, bez żadnego związku z dotychczasową rozmową. jŝt| Onisimow... Może słyszeliście? Stan beznadziejny. Umiera. Wczoraj byłem u niego.

Piotr przyjmuje tę wiadomość w milczeniu. Wasilij Daniłowicz mówi dalej:

— Prosił, żebym wam przekazał... żebyście zajrzeli do niego, kiedy będziecie w Moskwie.

Piotr dalej milczy. Zacisnął wargi. Pod skórą policzków zaczynają mu chodzić nerwowo mięśnie żuchwy. Ciężkie fałdy skóry sprawiają wrażenie jeszcze cięższych.

— Trzeba by do niego wpaść, Piotrze Afanasjewiczu.

Dyrektor Kurakowki ciągle milczy.

— No, to nie będę wam przeszkadzać — mówi wreszcie ponuro.

Pochylony, szeroki w ramionach, opuszcza pokój. —■ Twardziel ||| mamrocze Czelyszew. I
po chwili znów chwyta za pióro.

1960-1964

Opracowanie tekstu do publikacji T. Bek

„WIERZE, ŻE POWIEŚĆ WYJDZIE Z TEGO ZWYCIĘSKO.

Przyczynek do historii powieści Aleksandra Beka Nominacja Fragmenty dziennika pisarza (tekst przygotowała do publikacji Tatiana Bek)

Na całej swojej drodze twórczej, która zaczęła się w 1932 roku od uczestnictwa w wydanej z inicjatywy Gorkiego Historii fabryk i zakładów przemysłowych, Aleksander Alfredowicz Bek (1903-1972) prowadził dziennik, notując w nim pomysły autorskie, kierunki ich rozwinięcia oraz okoliczności towarzyszące redagowaniu i publikowaniu poszczególnych utworów. Część tekstu dziennika pisarz uznał za stosowne opracować, skomentować i wydać jeszcze za życia — tak powstały pamiętnikarsko-autobiograficzne, według określenia autora, mozaikowe tomy Proza pocztowa i W moim życiu. Wiele fragmentów dziennika z lat wojennych i powojennych przygotowano do druku po śmierci Aleksandra Beka (na przykład, tekst Przyczynek do historii powstania „Szosy Wołokołamskiej”).

W archiwum pisarza zachowała się jeszcze jedna opowieść podobnego rodzaju — sam Bek nie bez gorzkiej ironii nazwał ją Powieścią o powieści (inne pomysły tytułu z brudnopisu: Powieść złożona w redakcji, Saga o powieści). Jest to dziennik z lat sześćdziesiątych, opisujący boje pisarza o opublikowanie powieści Nominacja, która ujrzała światło dzienne dopiero w czternaście lat po śmierci pisarza („Znamia” 1986 r., nr 10,11).

Należy przypuszczać, że współczesny czytelnik nie pozostanie obojętny wobec tej dziennikowej opowieści. Przedstawia ona w sposób autentyczny stagnację w życiu kulturalnym tamtych lat, zbiurokratyzowanym i pełnym ograniczeń. Zapiski te rzucają światło na niełatwy los Aleksandra Beka jako pisarza. Stanowią dla nas surową lekcję życia, pokazując, jak bardzo bezpłodne i zgubne jest pozaliterackie wtrącanie się w procesy literatury.

IPowieść o powieści zaczyna się odautorskim wstępem:

Swoim starym zwyczajem do tej pory zapisuję to i owo w dzienniku. Kartki dziennika, a także pewne późniejsze dopiski złożyły się na opowieść, z którą czytelnik zapozna się za chwilę. Przepisując teraz na czysto te robione pospiesznie notatki, pozwoliłem sobie na pewną obróbkę literacką, a niektóre z nich poszerzyłem, zwłaszcza iż wszystkie punkty zwrotne tej, że tak powiem, fabuły były jeszcze żywe w mojej pamięci. Nie ma na tych stronicach nazwisk fikcyjnych. Jedynie w nielicznych wypadkach zamiast nazwisk używam oznaczników literowych.

Teraz, po tym krótkim słowie wstępnym, otwórzmy mój dziennik.

15 października 19 64 r. '

Tak więc powieść została złożona w redakcji.

Właściwie określenie „złożona” nie jest ściśle. Rankiem zadzwonił do mnie Jewgienij Gierasimow, kierownik działu prozy i członek kolegium redakcyjnego miesięcznika „Nowyj Mir”. Powiedział:

— Zaraz przyjadę. Ma pan już całość?

— Tak. Mogę oddać.

Wypowiedziałem to z pewnym smutkiem. Jakoś smutno, kiedy coś, z czym przez wiele, wiele dni, układających się w lata, człowiek żył od rana do wieczora, kształtował rozdział po rozdziale, kiedy to coś, co było twoją własnością, tylko twoją — tym bardziej, jeśli miała to być książka pomyślana przez ciebie jako Najważniejsza, a w każdym razie jako pierwsze ogniwo takiej książki — nagle odchodzi od ciebie, wyrusza w świat, będzie już żyć własnym życiem i samodzielnie się bronić.

Jak ją przyjmą pierwsi recenzenci? Co będzie się o niej mówić w redakcji?

Do Gierasimowa, jego gustu i poglądów mam zaufanie. Nie przypominam sobie, żeby popełnił kiedyś jakąś poważną pomyłkę w ocenie. Nie przypominam sobie, chociaż znamy się chyba ze trzydzieści lat.

Powiedział przez telefon, że spieszy się na pociąg, jak zwykle wyjeżdża na trzy ostatnie dni tygodnia do swego domku za miastem. Z grubą tekturową teczką wyszedłem mu na spotkanie do stacji metra.

— Proszę dać! — Wyciągnął rękę po teczkę. — W pociągu natychmiast zacznę czytać.
I wziął ode mnie moje dzieło.

Pogadaliśmy jeszcze ze dwie-trzy minuty. Spotkanie z Gierasimowem sprawia mi zawsze przyjemność. Jakoby nawet jesteśmy do siebie podobni z wyglądu. Zdarzyło się kiedyś, że jego teściowa (być może wówczas jeszcze przyszła teściowa) pomyliła się i wzięła mnie za Żenię Gierasimowa, chociaż jestem od niego wyższy i tęższy. Cóż, nie mam nic przeciwko temu, że jestem do niego podobny. Jesteśmy równolatkami, obaj dochodzimy już do sześćdziesiątki, ale trzeba przyznać, że tak jak i on ja również mam wydatny nos, mocny podbródek i małe, chytre oczki. Bodajże nawet jestem lepszy: nie dorobiłem się łysiny, którą wyhodował sobie Gierasimow (różowa, na razie niewielka, z tyłu głowy). Obaj nosimy okulary, chociaż Jewgienij bardzo często chodzi bez nich. W ogóle, jeśli już mówić o naszym wieku, to trzymamy się jeszcze całkiem nieźle.

Tak więc schował mój maszynopis do teczki, uścisnął mi rękę i zniknął w korytarzach metra.

Jestem znów w domu. Można uprzątnąć biurko, podrzeć walające się jeszcze na nim brudnopisy, jakieś ostatnie wstawki, które robiłem, przygotowując tekst dla maszynistki.

Znajduję kartkę — spis różnych tytułów powieści. Już dawno ktoś mnie tego nauczył — zapisuj wszystkie tytuły, jakie ci tylko przyjdą do głowy, nawet wyraźnie nieudane (one także mogą nasunąć jakąś myśl), a później wykreślaj jeden po drugim, coś tam zawsze zostanie. Przeglądam ten spis:

Historia choroby nr 2277.

Sprawa, tylko sprawa.

Człowiek bez flokenów (flokeny — mikroskopijne pęknięcia w stali).

Żołnierz Stalina.

Żołnierz.

Wszystkie te tytuły odrzuciłem. Chodził mi po głowie jeszcze jeden: Hutnictwo żelaza i stali. Taki sam, jakiego użył Fadiejew do swojej nieszczęsnej, nie napisanej powieści. Muszę przyznać, że bardzo mnie ten tytuł pociągał, tym bardziej, że w mojej książce została opisana ta sama historia, którą Fadiejew, jak wynika z notatek znalezionych po jego śmierci, obrał za podstawę fabuły swej powieści. Nawet on sam, po prostu jako Pisarz

(dopiero później dałem mu nazwisko Pyżow), pojawia się u mnie w dwóch rozdziałach. Ale i ten tytuł odrzuciłem. Brzmiał zbyt wyzywająco.

Kazakiewicz — ten potrafił znaleźć właściwy tytuł. Chociaż i jemu nie zawsze udawało się to od razu. Kiedyś, u siebie na dacy w Pieriedielkinie — pamiętam jego brodę i policzki pokryte siwym zarostem, gdyż często zajęty pracą zapominał się ogolić — przeczytał mi wstęp do swojej powieści, która, podobnie jak powieść Fadiejewa, także miała stanowić olbrzymią panoramę przemysłu hutniczego i także nie została ukończona. Tego wieczoru Kazakiewicz powiedział mi:

— Chcę dać tytuł: Nowe czasy. Co o tym sądzisz?

— Nowe czasy? Hm... Kojarzy się to z Chaplinem.

Kazakiewicz nic mi nie odpowiedział. Znalazł później wspaniały tytuł: Żelazny wiek.

Znamienne, że obie te powieści o hutnictwie nie miały jakoś szczęścia. Czasem prześladowała mnie myśl: a może i mnie nie uda się doprowadzić rzeczy do końca? A jednak udało się.

Zmagając się z wieloma wątpliwościami, ochrzciłem wreszcie swoje dziecię: Spięcie (w oryg. Sszybka). Słowo przyciężkie, brzmiące nie najlepiej. Pociągało mnie jednak swoją precyzją. To naukowy termin medyczny, wprowadzony przez Iwana Pawłowa. A oprócz tego, w sensie dosłownym, oznacza potyczkę, kolizję, walkę, starcie.

Stawaj więc do walki, moje Spięcie. Szerokiej drogi!

Któż by się tego spodziewał!? Ledwie oddałem maszynopis, a już doszła do mnie zdumiewająca wiadomość: odsunięto, zdjęto Chruszczowa.

Prawdopodobnie przytrzymałbym powieść, gdybym dowiedział się o tym wcześniej. Trudno, niech to wydarzenie będzie dla niej dodatkowym doświadczeniem. Czas i historia nie tak jeszcze będą ją doświadczać.

W każdym razie zanotuję ku pamięci: powieść została złożona w dniu upadku Chruszczowa, a ściślej — w dniu, w którym o upadku Chruszczowa dowiedziała się Moskwa. Nie zapomina się takiego „punktu odniesienia”,

28 października 1964

W „Nowym Mirze” powieść przyjęto dobrze. Gierasimow powiedział mniej więcej tak:

— Nie będę panu prawil komplementów. Obejdzie się. Krótko mówiąc, rzecz się panu udała. Stworzył pan nowego bohatera, a poprzez niego oddał pan charakter naszych czasów. Na tym zakończę pochwały. Pański maszynopis dałem do czytania innym członkom kolegium. Będziemy go szykować do pierwszego numeru, rozpoczniemy rok pańską powieścią.

Słuchałem wzruszony. Długoletnie doświadczenie nauczyło mnie cenić oszczędne słowa, zwięzłe oceny, które wypowiedziano w redakcjach. Nie są to reakcje bliskich znajomych, tych, którzy starają się powiedzieć coś miłego albo chociażby nie zmartwić, lecz oceny konkretne, zdecydowane: przyjmujemy lub nie przyjmujemy, drukujemy lub nie drukujemy.

Zresztą Gierasimow porzucił za chwilę swój zamiar przemilczenia komplementów. Ciągnął dalej:

— Wie pan, mam taką zasadę: siadam w pociągu i czytam zabrany z redakcji maszynopis. Po dwóch godzinach dojeżdżam do swojej stacji, zamykam teczkę, zapominam o wszystkich sprawach moskiewskich i zabieram się do własnej powieści. Do tamtego maszynopisu sięgam dopiero w drodze powrotnej do Moskwy. Tym razem naruszyłem tę zasadę. Czytałem nawet przy obiedzie, cały dzień, dopóki nie skończyłem. Wciągnęło mnie. To chyba najlepsza pana rzecz.

Później przedstawił mi swoje propozycje redaktorskie:

— Mam dwie uwagi. Po pierwsze, usunąłbym fragment, w którym młody Onisimow przyłapuje na kłamstwie młodego Beria. Rozdział ten jest zbyt ubogi. Czuje się brak autentyzmu. W dodatku taki rozdział nie jest wcale w powieści konieczny. Wystarczy wzmianka: kiedyś, dawno temu, Onisimow i Beria zetknęli się już ze sobą. Po drugie, radziłbym wyrzucić opisy dzieciństwa i młodości Piotra Gołowni. W tym miejscu zmniejsza się zainteresowanie czytelnika. Napisane niby niezłe, a nudne.

Gierasimow mówił jasno, z przekonaniem, a jednak spoza okularów, w niedużych szarych oczach, udało mi się ułoić rodzaj prośby. Oznaczało to, jak zrozumiałem: „Powieść wydrukujemy nawet z tymi słabszymi fragmentami, z dłużyznami, jeśli tylko będzie się pan przy tym upierał. Ale błagam, błagam: proszę się ze mną zgodzić!”

No cóż? Muszę się przyznać, że w duchu zgodziłem się od razu. Już wcześniej miałem wątpliwości co do wielu fragmentów powieści, ale były to wątpliwości ledwie wyczuwalne i mo

głyby się one rozwiać natychmiast, gdyby ludzie, do których Imam zaufanie, powiedzieli: to dobre. Kiedy jednak własne wątpliwości zostały wypowiedziane, ubrane w słowa przez kogoś innego, nagle nabrały twardych podstaw, wyraźnie się skryształizowały. Tak, to jest zbyt rozciągnięte, ubogie, nudnawe, złe. I gotów jestem wykreślić wszystkie nieudane strony. Inaczej bywa wtedy, gdy człowiek jest pewny swojego, gdy nie ogarniają go żadne wątpliwości — staje się wtedy zawzięty, udarty, nic nie może go zbić z pantafyku.

Podjąłem decyzję. Rozdział o Berii i Onisimowie można z powodzeniem przenieść do następnej powieści (Młodość Onisimowa)*, gdzie, prawdę mówiąc, będzie bardziej na miejscu. Jeszcze popracuję nad nim. A życiorys Piotra Gołowni rzeczywiście trzeba wyrzucić.

Powstała dziwna sytuacja: przecież głównym bohaterem powieści, zgodnie z moimi zamiarami, powinien być zostać Piotr, jeden z tych zuchwałych inżynierów, o których wielokrotnie i nie bez sukcesu pisałem. Główne jednak miejsce — wbrew wcześniejszym szkicom — zajął Onisimow. Rysując jego postać czułem: każda kreska coś tu znaczy. A Piotr, choćbym nie wiem jak nad nim pracował, mimo wszystko nie wciągał mnie. Być może jest tylko jeden sposób uratowania tej postaci — skracać, ciągle skracać. Tak sobie myślałem, słuchając Gierasimowa. Ale postanowiłem się nie spieszyć. Kto wie, może zbyt surowo oceniam sam siebie? Odpowiedziałem więc:

— Nie decydujemy o tym pośpiesznie. Zastanowię się. Poczekajmy, co jeszcze powiedzą inni.

W dziale prozy moja powieść znalazła się u Asi Berzer. Była to zawsze blada, wyglądająca na słabowitą, malutka kobieta o męskim charakterze, wypowiadająca odważnie swe poglądy. Z jej gustem i ocenami, jak wiem, bardzo się w redakcji liczą. Powiedziała mi:

— Przeczytałam z zainteresowaniem. (To jej „z zainteresowaniem” — było oznaką wielkiego uznania.) Dowiedziałam się wielu nowych rzeczy.

— Jak się pani spodobał bohater?

Ijjj Wykonawca, wręcz niewolnik. Ale pan nie przestaje się nim zachwycać: jaki wspaniały wykonawca! Epoka wspaniałych wykonawców. A na samej górze despotyczny Stalin.

— Jak on mi się udał?

— Przecież powiedziałam: przeczytałam z- zainteresowaniem. (Do diabła, Asia nie jest skłonna do kadzenia.) Tu także widać pana zachwyty. To pana stara skłonność: zachwycać się silną osobowością.

Uśmiechnąłem się w duchu. Przenikliwa Asia rzeczywiście uchwyciła coś charakterystycznego dla mnie. Być może jednak ta charakterystyczna właściwość (to znaczy pewien rodzaj zachwyty) była także konieczna, aby można było tę powieść napisać? Nie wiem, sprawa nie jest prosta. Jakiś umiar jest jednak konieczny. A zatem trudno się w tym samemu zorientować. I nic nie odpowiedziałem Asi.

Potem powędrowałem na pierwsze piętro. Redakcja „Nowego Miru”, przeniósłszy się niedawno do nowego budynku, zajęła w nim dwie kondygnacje. W pokojach na parterze mieściły się różne działy. Piętro należało do redakcji naczelnej. Były tam gabinety redaktora naczelnego, jego dwóch zastępców i sekretarza redakcji.

Zaszedłem do Aleksieja Iwanowicza Kondratowicza, który, jak mnie poinformował Gierasimow, także przeczytał mój maszynopis. Dwa słowa o Kondratowiczu. Chociaż dochodził już do pięćdziesiątki, zachował jednak zadziwiającą młodość. W miarę szczupła twarz o pięknych rysach. Uczestnik wojny, do tej pory smukły jak żołnierz, brzucha się nie dorobił. Nadal jest tym dzielnym, przystojnym oficerem do specjalnych poruczeń, który przyswoił sobie trochę niedbały sposób bycia. Tutaj, w miesięczniku „Nowyj Mir”, zajmuje się, o ile wiem, kontaktami zewnętrznymi, chodzi do cenzorów, odwiedza KC, reprezentuje redakcję na różnego rodzaju posiedzeniach. A także, rzecz jasna, czyta maszynopisy p| te, które kierowane są przez działy do druku.

— Co pan sądzi, Aleksieju Iwanowiczu, o mojej powieści?

Bez najmniejszego ożywienia, wręcz ospale Kondratowicz odrzekł:

— Można drukować.

Oczywiście, spodziewałem się reakcji cieplejszej. Ale cóż począć? „Można drukować” — to także coś! A ta pewna obojętność czy też, zaryzykuję to określenie, zaduma Kondratowicza nie jest niczym innym, jak tylko podświadomym odruchem samoobrony systemu nerwowego. Jego praca, szczególnie kontak

ty z cenzurą, tak szarpie nerwy, że wymaga bariery ochronnej. Gdyby Kondratowicz pozwolił sobie na gwałtowne reakcje, natychmiast by się wykończył.

Zresztą za chwilę Kondratowicz uśmiechnął się i powiedział z pewnym ożywieniem:

H! Rozszyfrowałem wiele pańskich postaci. Onisimow, rzecz jasna, to Tewosjan.

Uśmiechnąłem się.

— Przecież to postać syntetyczna.

— W założeniu jednak Tewosjan. Pański Onisimow nawet z pochodzenia jest w połowie Ormianinem.

Jy Zaledwie w połowie. Jeśli chce pan wiedzieć, właśnie w ten sposób pragnąłem podkreślić w Onisimowie pewne cechy wschodnie. Uważam, że w jakimś sensie jest on w powieści spokrewniony z bohaterem Szosy Wołokołamskiej, który był także synem Wschodu.

— A więc pański Onisimow jest tylko częściowo Tewosjanem.

"-gi Trudno to wyliczyć w procentach — odpowiedziałem ostrożnie.

Dalsza rozmowa dotyczyła także innych postaci. Czasem Kondratowiczowi udawało się trafnie wskazać ich prototypy, to znów wymieniał nazwiska znanych pracowników przemysłu, o których nawet nie myślałem, kreśląc wizerunki postaci występujących w powieści.

Pod koniec powtórzył:

— ■ Można drukować. — I dodał: — Damy jeszcze Diemientiewowi. Jeśli powie „tak”, zaczniemy opracowanie redakcyjne i włączymy do numeru.

— A Twardowski? Przecież do niego należy ostatnie słowo.

— Twardowski wyjechał. Do składu wysyłamy bez niego. Jak przyjedzie, przeczyta tekst już złożony.

Na tym się rozstaliśmy.

Wracałem z redakcji w cudownym nastroju. Taśma z powieścią ruszyła! Tfu, tfu, żeby tylko nie zapeszyć.

2 listopada 1964 roku

Dałem powieść do czytania przyjaciółom i niektórym bliskim znajomym. Reakcje przychylnie. Anatol Rybaków powiedział:

— Wspaniała rzecz!

Rybaków nie bywa stronniczy. To człowiek z charakterem. Nie będzie się krepował oświadczyć otwarcie, co myśli o danym utworze. Najwyżej będzie milczał, nie powie ani słowa, jeśli wie, że nie znosisz krytyki. Nierzadko bywa złośliwy, co być może w jakimś stopniu spowodowane jest chorobą, która go męczy i nadaje żółtawy odcień jego smagłej, wyrazistej twarzy. Podoba mi się jego talent, przenikliwość jego stwierdzeń i uwag krytycznych. W najbliższym numerze miesięcznika „Nowyj Mir” powinno ukazać się jego opowiadanie, o którym wiem od dawna*. Znalazła tam pewne odbicie wielka tragedia wywołana procesami stalinowskimi, zostały obnażone nie zagojone jeszcze rany. Temat ten kołacze się w piersi Rybakowa.** Można przypuszczać, że Rybaków straci oddech, umrze jako pisarz, jeśli nie przeleje tego tematu na papier. Jak mówi Rybaków, ze wspomnianego wyżej opowiadania trzeba było wiele wyrzucić. Nielatwo mu było zgodzić się na to. Opowiadanie nie zostało jeszcze wysłane do cenzury. Trwając w oczekiwaniu Rybaków denerwuje się, jest zły. A jednak uznał moją powieść za wspaniałą. Ucieszyło mnie to.

W tych dniach spędziłem wieczór u jednego z moich przyjaciół — u Mikołaja Korniejewicza Czukowskiego. Oboje z N. (rozszyfruję tę literę, początkową literę imienia Natalia — moja żona) lubimy ten dom. I nas tam lubią. Miło się rozmawia z Mikołajem Korniejewiczem o literaturze, o polityce. Zazwyczaj sadowi się wygodnie na tapczanie lub w głębokim fotelu, puszcza kłęby dymu z grubo nabitego papierosa z ustnikiem i zwróciwszy się ku mnie swym długim, mięsistym nosem, dzieli się nowinkami i ciekawostkami, których ma zawsze pełno, bowiem zajmuje się współczesnością i historią.

Teraz, siedząc w kraciastej bonzurce, surowy, doświadczony znawca literatury, żyjący od dzieciństwa jej sprawami, które wypełniały treścią dom jego ojca Korniej a Iwanowicza, wypowiadał się o moim Spięciu.

— Maszynopis rewelacyjnie dobry! — takie było jego określenie.

Następnie zaczęła się drobiazgowa analiza. Precyzyjna, rzeczowa, mądra. Nie będę się nad nią zatrzymywał. Ale Mikołaj

Korniejewicz również uznał życiorys Piotra Gołowni za nudnawy. Przykro mi. Nie udało się ta postać.

A w ogóle to Spięcie, wyruszywszy w świat, trzyma się na razie — tfu, tfu — nieźle.

20 listopada 1964 roku

Skończyły się spokojne wędrówki maszynopisu.

Oto co się wydarzyło.

Maszynopis wziął Aleksander GrigorieWicz Diemientiew. Ale ciągle nie mógł znaleźć czasu, aby go przeczytać, ponieważ przygotowywał duży artykuł do pierwszego, noworocznego numeru. Numer ten, nawiasem mówiąc, miał być numerem jubileuszowym, na czterdziestolecie istnienia miesięcznika „Nowyj Mir”. Rzecz jasna, odczuwałem dumę, ciesząc się, że to właśnie na jubileuszowych stronicach ukaże się moja powieść.

Pograżony całkowicie w swoim artykule, ukrywając się przed wszystkimi, Diemientiew pojawiał się w redakcji zaledwie na moment, sporadycznie. W jakiś sposób udało mi się jednak do niego dodzwonić:

— Aleksandrze Grigoriewiczu, czy pan o mnie pamięta?

— Przeczytam, przeczytam, mój drogi — odezwał się basem, z nadwołżańskim akcentem na „o”.

Kiedy słyszę to jego nisko dudniące „o”, mam czasami ochotę zwrócić się do niego per „ojcze diakonie”, także z akcentem nadwołżańskim. Oczywiście, nigdy sobie na to nie pozwalałam.

Diemientiew mówi dalej:

— Mam nadzieję, że do niedzieli skończę. W przyszłym tygodniu będę gotów do rozmowy z panem.

— Kiedy można będzie pana złapać?

— We wtorek o czwartej przyjadę do redakcji.

I oto o oznaczonej godzinie czekam na Diemientiewa na piętrze redakcji. Czwarta. Piąta.

Ciągle go nie ma. Powłóczywszy się po pokojach, sadowię się w lekkim, nowoczesnym fotelu. Dwa-trzy takie fotele są ustawione w niezbyt przestronnym korytarzu.

Wreszcie w drzwiach prowadzących z klatki schodowej pojawia się Diemientiew — postawny, ociężały, w palcie, kapeluszu, z wypchaną teczką w olbrzymiej, białej dłoni. Przy spotkaniu ze mną zawsze rzucał jakiś żarcik. Tym razem nie wiadomo dlaczego nawet się nie uśmiechnął. Pośepny cień leży na jego wy- 222

dłużonej fizjonomii z wydatnym, zaokrąglonym nosem. Rumieniec rozlał się aż na kości policzkowe. Myślę sobie: zapewne zwały się na niego jakieś nieprzyjemności, za coś mu się dostało.

— No jak, Aleksandrze Grigoriewiczu, przeczytał pan?

|| Nie.

Nawet nie przeprosił, nie wytłumaczył się.

Więc kiedy?

—| Proszę tu zostać. Proszę zaczekać. Mamy dzisiaj kolegium. Zanim się zacznie, porozmawiam z panem.

Przeszedł do pustego gabinetu Twardowskiego, który ciągle jeszcze był poza Moskwą.

Zaczęli się tam schodzić członkowie kolegium redakcyjnego, będący jednocześnie „końmi pociągowymi” pisma. Niegdyś kolegium miesięcznika „Nowyj Mir”, jak i innych miesięczników i kwartalników, składało się przeważnie z „nazwisk”. Jedni zbierali się na posiedzenia, a inni zajmowali się czarną robotą redakcyjną. Twardowski wprowadził innowację: niech na ostatniej stronie figurują nazwiska tych, którzy dzień w dzień, numer po numerze taszcą pismo na własnych plecach. Najpierw było to nowością, a później weszło w zwyczaj. „Ojciec diakon”, jak się domyślam, odgrywa w piśmie rolę szczególną. Zaprawiony za młodu do pracy w aparacie partyjnym, solidnie wykształcony historyk literatury, autor poważnych prac, jeszcze nie tak dawno jako redaktor naczelny kierował pismem „Wo- prosy Litieratury”. I zgoła nic tam nie przeskrobawszy, wołał jednak przejść do miesięcznika „Nowyj Mir” na stanowisko, jak to się mówi, człowieka numer dwa. W istocie Twardowski i on są właściwie równoprawnymi współredaktorami pisma. Obu ich łączy, jak zdołałem zauważyć, bliska i długotrwała przyjaźń intelektualna. Z pewnością wszystko, czym obecnie odznacza się „Nowyj Mir” zostało wspólnie przez nich wypracowane. Poza tym, moim zdaniem, Diemientiew jest jakby aniołem stróżem Twardowskiego, potrafi ustrzec go przed wszelkiego rodzaju rzeczami niedozwolonymi, obdarzony, jak powiadają mistrzowie szachowi, zmysłem pozwalającym wyczuć niebezpieczeństwo.

Z dołu nadszedł Jewgienij Gierasimow.

— Wie pan — mówię — Diemientiew nie przeczytał jednak

mojego tekstu. I w ogóle zachowuje się dość dziwnie. Czy coś się stało?

— O niczym nie wiem.

— Gdzie on dziś był? Dlaczego jest taki nie w sosie?

— Nie wiem. Pójdę, dowiem się. Gierasimow wkroczył do gabinetu. Po kilku minutach poprosił mnie.

— Niech pan wejdzie.

— I co jest?

Z irytacją machnął ręką: Hg Nie rozumiem go. Jakieś bzdury. Chodźmy. W gabinecie siedziało i stało kilku członków kolegium: jak zwykle spokojny Kondratowicz, którego nic nie potrafiło zdziwić; Łakszyn — z garbatym nosem i ironiczną iskierką w oczach; rozlazfy, dobronosny Mariamow, który powitał mnie jakimś bezradnym uśmiechem. Diemientiew, już bez palta i kapelusza, zajmował główne miejsce za obszernym biurkiem. Wydało mi się, że jeszcze bardziej poczerwieniał. Zaróżowiły mu się nawet zatoki na skroniach, wrzynające się głęboko w ciemną, niedbale zaczesaną fryzurę. Przez jakiś czas wszyscy milczeli.

Diemientiew zwrócił się do mnie.

— Proszę usiąść. — Następnie zapytał: — Co pan nam podrzucił?

Jak to, co? Powieść.

— Kogo pan w niej ukazał?

— Nie rozumiem, co znaczy „kogo”?

— A to, mój drogi kolego — znów zadudniło jego diakonowskie „o” — znaczy, to, co znaczy. Wdowa po Tewosjanie złożyła oficjalną skargę, że opisał gan jej męża.

— Przepraszam, ale po pierwsze, ja jej maszynopisu nie dawałem...

— My tym bardziej nie. Proszę się zastanowić, w jaki sposób ta wdowa... No, jak ona się nazywa?

— Olga Aleksandrowna Chwalebnowa ~ podpowiedziałem.

— Tak, tak, Chwalebnowa... Więc proszę się zastanowić, skąd ona jest tak dobrze zorientowana? Tak czy inaczej — pańską powieść zna. Rozpoznała w niej własnego męża. I jest pełna oburzenia. Oskarża pana o oszczerstwo. Zwróciła się — ruchem głowy wskazała w górę — zwróciła się ze skargą bardzo wysoko.

— Przepraszam, chciałbym spytać...

■rr* Nie, to ja chciałbym spytać! — Diemientiew wyraźnie się rozpałał. — Co to za metody, wciskać do powieści postaci autentyczne? Kto pana tego uczył? Nic to panu dobrego nie przyniesie, poza skandalizującymi konsekwencjami.

— Aleksandrze Grigoriewiczu, przecież mój bohater nie jest wcale Tewosjanem. To śmieszne, żebym ja musiał panu wyjaśniać, co to jest postać literacka.

Jednakże Diemientiew tak się już rozpędził, że prawie mnie nie słuchał. Przeszedł raptownie do powieści Mszyca, niedawno opublikowanej, rzeczywiście skandalicznej, pozbawionej wartości literackich, w której występują nieznacznie zawoalowane dzięki fikcyjnym nazwiskom płaskie kukielki autentycznych uczestników potyczek literackich*.

Wtrącił się Gierasimow, zachowujący do tej pory milczenie:

— Skąd tu nagle Mszyca?

— Skąd?! Występujemy przecież przeciwko Mszycy. A sami, co? Będziemy drukować powieść, opartą na podobnej recepturze?

— Aleksandrze Grigoriewiczu — zaoponowałem — przecież pan nie czytał;

— Nie czytałem. Ale dla zasady odrzucam ten bezceremonialny sposób przekształcania osób prawdziwych w postaci literackie.

Byłem, oczywiście, oszołomiony. I to nie tyle wtrącaniem się wdowy po Tewosjanie (przewidywałem taką możliwość, kiedy napisane na maszynie egzemplarze szły do innych ludzi), ile atakiem Diemientiewa. Po prostu nie poznawałem tego mądrego zazwyczaj człowieka. Ciekawe, co też wytrąciło go do tego stopnia z równowagi? Czy kiedykolwiek dane mi będzie poznać tajemnicę?

Zebrawszy myśli, zacząłem dyskutować. Odwołałem się także do teorii. Skąd mamy brać tematy i bohaterów, jak nie z rzeczywistości? Poznawanie życia. Czy są to jedynie puste słowa? Pisanie bez tego jest dla mnie nie do pomyślenia. A klasycy? Weź, my chociażby Turgieniewa. Znamy przecież prototypy Rudina, Bazarowa i wielu innych Turgieniewowskich bohaterów. A jednocześnie Rudin nie jest przecież Bakuninem. Jeśli pisarzowi

udało się wykreować niepowtarzalną osobowość bohatera, jeśli udało mu się stworzyć dzieło sztuki, wówczas należy uznać, że prototypy, bez względu na to, skąd wzięte, uległy przestoczeniu, przeobrażeniu. Rzecz jasna, Diemientiew mi przerywał, twierdził swoje, ale stopniowo, powoli zaczął mnie słuchać uważniej. Parę razy mignął na jego twarzy właściwy mu, mądry uśmieszek. A ja tak i siak próbowałem zbijać oskarżenia wdowy.

— Powtarzam, Aleksandrze Grigoriewiczu, mój Onisimow to nie Tewosjan.
iNie wiem. Nie czytałem.

— Więc proszę przeczytać. A później pan osądzi.

jjSjif- Nie, mój drogi, proszę zabrać swój maszynopis. Niech się pan zastanowi. Później z pewnością uzna pan za konieczne popracować nad nim. A na razie, proszę, tu jest kartka papieru. Niech pan zapisze punkt po punkcie, co konkretnie wywołało protest wdowy. Diemientiew wyjął notatnik i, zaglądając do niego, podyktował mi osiem punktów, w których wdowa po Tewosjanie (czy, jak się okazało, rodzina Tewosjana) wskazała na oburzające ją cechy mojego bohatera. Wyszła z tego bardzo zwięzła lista:

1. Służbista. Nie interesuje się polityką.
 2. Zła, okrutna bestia. Oddany pies Stalina. Właśnie dlatego nie został aresztowany.
 3. Usprawiedliwia represje lat 1937-1938, chociaż w ich wyniku poniosła śmierć jego siostra.
 4. Zachowuje się podle: zdradził Ordżonikidzego.
 5. Hamował rozwój metalurgii. Odsunięto go i od razu się poprawiło.
 6. Bezwzględnie nie znosi osób, które nie zgadzają się z nim.
 7. Negatywna charakterystyka żony.
 8. Syn nie dostrzega w ojcu swojego ideału. Dyktando skończone. Spytałem Diemientiewa:
— Co mam zrobić z tą księgą żalobną towarzyszki Chwaleb- nowej?
— Proszę zapamiętać: nie uda się panu od niej nigdzie uciec. Nie przejdzie pan, nie prześlizgnie się pan obok niej.
- — Aleksandrze Grigoriewiczu — odezwałem się znów — napisałem utwór literacki. Co ma z tym wspólnego wdowa po Tewosjanie?

— Byłoby dobrze, gdyby napisał pan nam wyjaśnienie — ton Diemientiewa stawał się już przyjazny. — Tak a tak: bohaterem powieści nie jest Tewosjan.

— No... Zastanowię się. ,

Członkowie kolegium, słuchający naszej rozmowy, nie przeszkadzali „ojcu diakonowi” strofować mnie. Myślę, że etyka redakcyjna nie pozwalała im wyrazić w mojej obecności sprzeciwu wobec słów Diemientiewa. Jedynie Gierasimow, jak już wspomniałem, raz jeden nie wytrzymał.

Diemientiew położył na stole moją niebieskawą, koloru nadziei, solidnie wypchaną teczkę. Wszystkie jej tasiemki były akuratnie zawiązane.

— Proszę. Będzie pan miał nad czym myśleć w domu.

— Mam drugi egzemplarz.

— Proszę i ten zabrać.

Gierasimow nie bez ironii dodał:

Jak najdalej od grzechu.

Dość przybity, zegnałem się ze wszystkimi. Podawano mi rękę żartując, chciano mi zapewne dodać otuchy. Ja także zdobyłem się na jakiś dowcip. Żarty, oczywiście, brzmiały nieco sztucznie, nie potrafiły rozwiać mojego przygnębienia. Trzymając teczkę, opuściłem gabinet. Wyszedł za mną Gierasimow. Zatrzymaliśmy się. Był także zdenerwowany, ze złości opadła mu dolna warga. Czyżbym i ja wyglądał podobnie? Gierasimow zamruczał:

—■ Szlag by go trafił z takim gadaniem!

Nie trzeba nam było wielu słów, żeby się zrozumieć nawzajem. Przeszliśmy z Gierasimowem niemal identyczną szkołę literacką, potrafimy zмайstrować porządny reportaż, mamy skłonność do „rzeczowej prozy” (terminu tego, wprowadzonego jeszcze przez Bielińskiego, dość często używa obecnie Twardowski), wiemy, na czym polega poznawanie rzeczywistości, łącznie od człowieka do człowieka, umiejętność prowadzenia rozmowy, słuchania, gromadzenia drobnych szczegółów, z których, jak również z wszystkiego, co się nosi w sobie, powstaje w żmudnym trudzie świat czy chociażby światek utworu. A tu nagle Diemientiew rąbnął na odlew.

— Trzeba by — kontynuował Gierasimow — podsunąć mu artykuł Tomasza Manna Bilse i ja. Pamięta pan?

Oczywiście, pamiętałem i lubiłem tę wypowiedź wspaniałego,

współczesnego pisarza niemieckiego. Tak, do naszego sporu pasowałby w sam raz Tomasz Mann. Szkoda, że w zdenerwowaniu nie przyszło mi do głowy, by go zacytować.

— Tom dziewiąty. Na początku — dodał jeszcze mój sojusznik.

'--"lii Wiem.

— W porządku, sam mu przyniosę. A powieść niech pan przejrzy raz jeszcze; Ech tam, kiedy ją czytałem, nawet nie pomyślałem o żadnym Tewosjanie. Proszę zajść do mnie. Zastanowimy się wspólnie. Być może uda się coś z tym zrobić. Niech pan mi potem przyniesie. Jak przyjedzie Twardowski, dam wprost jemu.

21 listopada 1964 roku Przeczytałem w domu artykuł Tomasza Manna. [...] „... Jako artysta poddajesz się demonowi, który zmusza cię ... do wchłaniania każdego szczegółu, charakterystycznego w sensie literackim, typowego w swej doniosłości, odkrywającego perspektywy, wyrażającego cechy rasowe i społeczne, szczegółu, który ty bezlitośnie zapamiętujesz, jakbyś był pozbawiony ludzkiego stosunku do tego, co zobaczyłeś — wszystko to pojawia się w twoim utworze. Przypuśćmy tera?, że w związku z tym utworem powstaje problem portretu, artystycznego przetworzenia niezbyt od nas oddalonej rzeczywistości, i w tym momencie usłyszemy skargę: «Oto jak nas zobaczył?...» Proszę was, zamilczcie!"

Dalej opowiada Bek w swoich notatkach o wdowie po Tewosjanie — Oldze Aleksandronie Chwalebnowej, która na początku lat czterdziestych pracowała w Związku Pisarzy ZSRR jako sekretarz organizacji partyjnej. Bek wspomina:

Nie należąc do partii, prawie nie stykałem się z tą kobietą, która znów pojawiła się na naszym horyzoncie. Właściwie nie znaliśmy się, chociaż zdarzało mi się ją widywać na różnych zebraniach. Prawdopodobnie miałem okazję słyszeć jakieś jej wystąpienia o zadaniach literatury i tym podobne. Zresztą, nie je-

się, oryginalnego. Gdybym przypuszczał, że po latach dojdzie do takiego konfliktu, przyjrzałbym się bliżej sekretarzowi organizacji partyjnej pisarzy.

W Związku Pisarzy pracowała Olga Aleksandrowna stosunkowo niedługo. Wyjechawszy nagle w październiku 1941 roku, w ramach ewakuacji, już więcej do nas, to znaczy do naszego przybytku literatury, nie wróciła.

A dopiero po upływie prawie dwudziestu lat znów się pojawiła na moim firmamencie — tym razem jako zastępca przewodniczącego towarzystwa „Wiedza”.

Tak, było to, jak sobie teraz przypominam, najprawdopodobniej w 1960 lub 1961 roku. W tym czasie energicznie zbierałem już materiały o historii, która zainteresowała, a ściślej mówiąc, porwała mnie, i która miała szansę stać się — taki był mój zamiar — punktem wyjścia do napisania ciekawej, wielkiej powieści. Impulsem do tej pracy były rozmowy z Ilią Iwanowi- czem Korobowem* — zapalonym hutnikiem, dyrektorem zakładów hutniczych. Jest to mój ulubiony typ, utalentowany pasjonat, inżynier-wynalazca'. Nowa metoda wytopu stała się sprawą jego życia. I wciągnęła go w straszliwie bezwzględną walkę. Przebieg tej walki był niezwykle interesujący, wręcz zdumiewający. Pomału rozsypywałem węzły i węzélki, wyszukiwałem ludzi obeznanych z tą sprawą, wypytywałem ich, wypowiedzi jednych sprawdzałem w rozmowach z innymi, zbierałem, gromadziłem szczegóły, posługiwałem się własną, wypracowaną przez lata metodą, której do tej pory nie potrafię precyzyjnie nazwać. Metoda śledcza? Badawcza?

Wśród zarysowujących się stopniowo prototypów postaci pojawił się również Tewosjan, wówczas już nieżyjący. Powoli człowiek ten, o którego wypytywałem wiele osób, coraz bardziej mnie pociągał, opanowywał moją wyobraźnię. I punkt ciężkości przyszłej powieści zaczął się przesuwac. Nie mogłem już nic poradzić: jakiś demon — spokrewniony z demonem, o którym mówił Tomasz Mann — przywiązał mnie pętami do tej po-

staci działacza państwowego, poprzez nią poznawałem epokę.

I oto pewnego wieczoru — w 1960 czy 1961 roku — zadzwoniłem do Olgi Aleksandrowny:

— Dzień dobry, Olgo Aleksandrowno. Mówi pisarz Aleksander Bek. Wprawdzie się nie znamy, ale możliwe, że moje nazwisko coś pani mówi.

— Tak, słyszałam o panu. Dzień dobry.

— Olgo Aleksandrowno, chciałbym się z panią spotkać. Pochłonięty jestem teraz pracą nad nową powieścią. Powracam w niej do tego, od czego niegdyś zaczynałem: do metalurgii. Dużo mi opowiadano o Iwanie Fiodorowiczu Tewosjanie. Pani mnie słucha?

— Tak.

— Opisuję w powieści, staram się opisać wśród innych bohaterów także kogoś takiego, jak Iwan Fiodorowicz. W przybliżeniu. To znaczy, będzie to postać zmyślona, ale jednak właśnie taki typ człowieka.

Od lat nauczyłem się posługiwać podobnymi sformułowaniami. Nie iks czy igrek, ale taki właśnie typ człowieka. Nie wypływa to z przebiegłości, lecz z głębokiego przekonania. My, pisarze, obdarzeni jesteśmy zdolnością, często instynktowną, tworzenia charakterów, żywych indywidualności ludzkich, które są bardziej prawdziwe, wyraziściej oddają rzeczywistość niż taka czy inna postać istniejąca realnie. Zresztą, nie będę odbiegał od tematu.

Powracam do naszej rozmowy telefonicznej. Mówiłem dalej:

— Odczuwam, że trochę mi brakuje ciepłych barw dla odmalowania tej postaci.

Należałoby je zaczerpnąć z życia. Czy można by, Olgo Aleksandrowno, porozmawiać z panią?

Nastąpiło milczenie. Z pewnością Olga Aleksandrowna zastanawiała się. Następnie odezwała się zdecydowanie:

— Nie, o nim nie będę mogła z panem rozmawiać.

I odłożyła słuchawkę.

Cóż, przyszło mi pisać powieść bez współudziału Olgi Chwalbnowej, nie otrzymawszy od niej żadnych szczegółów. Charakterystyczne drobiazgi, konieczne dla wypełnienia portretu Onisimowa, zdobywałem w inny sposób. No i oczywiście czerpałem je z własnej wyobraźni. A teraz rzecz już jest gotowa. Od Tewosjana bardzo się odda

liłem. Obecnie nie przychodziło mi nawet do głowy zwracać się do wdowy. Ale ona czuwała.

Maszynopis, krążący wśród znajomych Beka, bez jego wiedzy trafił do Chwalebnowej.

Pisarz opowiada:

Kiedy dowiedziałem się o tym, zareagowałem od razu:

— Teraz pojawi się oficjalna skarga, moja bohaterka nie potrafi zachowywać się inaczej.

To był smutny żart. Chociaż prawie nie znałem Chwalebnowej, przeanalizowałem ten typ osobowości we własnej powieści. Tak, to wielka rzecz — postać syntetyczna, typ. Minęło kilka dni i przypuszczenie sprawdziło się: do jakichś wyższych instancji (najpewniej do KC) wpłynęła pisemna skarga — te osiem punktów, które przedwczoraj podyktował mi Diemientiew.

W ostatnich dniach listopada 1964 roku Aleksander Bek pracuje nad maszynopisem, o czym pisze w dzienniku: „Uważnie przeglądam maszynopis. Nanoszę różne poprawki, wykreślam wszystko, co pozwalałoby dopatrzyć się w Onisimowie Tewosjana. Somerset Maugham nie na próżno narzekał: «0 wiele trudniej zmienić wygląd zewnętrzny.® Staram się jednak zmieniać. Wyrzucam każdą najmniejszą aluzję do wschodniego pochodzenia Onisimowa. Jego matkę z Ormianki zmieniam na Ukrainkę. Pomoże mi to zmienić oblicze bohatera, dać mu inną powierzchowność. Przypuszczam, że z Tewosjana nic już nie zostało.” Poza tym Aleksander Bek pisze Oświadczenie dla redakcji, w którym punkt po punkcie dowodzi, że „bohaterem mojego utworu nie jest Tewosjan ani żadna inna, konkretna osoba, lecz zbiorcza, syntetyczna postać, którą nazwałem Onisimowem, za którą kryje się trzydzieści lat moich kontaktów z pracownikami przemysłu”. Kończąc to wyjaśnienie, samo w sobie wystarczająco absurdalne (wybitny prozaik, czołowy przedstawiciel radzieckiej literatury faktu, jak uczeń tłumaczy się i wyjaśnia kompetentnym przeciw ludziom różnicę między pierwowzorem a postacią literacką), Bek pisze w dzienniku: „Och, nie mam ochoty wplątywać się w walkę skarg i oświadczeń. To nie dla mnie. Nie będę już więcej pisał żadnych wyjaśnień.” Pisarz nie podejrzewał nawet, ile oświadczeń, wyjaśnień, notatek, listów i telegramów przyjdzie mu jeszcze ułożyć, bezskutecznie broniąc swej tak dlań drogiej książki.

28 stycznia 1965 roku. Malejewka.

Przedwczoraj znów byłem w Moskwie, odwiedziłem Simono-

wa. Przesiedzieliśmy półtorej godziny w jego domowym gabinecie, porozmawialiśmy. Moja powieść wywarła na nim duże wrażenie. Powiedział: „Bardzo ciekawa rzecz.”

Uważa (niestety słusznie), że książka nie jest ukończona:

— Odnosi się wrażenie, że to zaledwie trzy piąte powieści.

Strony, na których pojawia się Piotr, „rozczarowują w sensie artystycznym”. I znów ma rację. Poradził mi:

— Niech Piotr pozostanie na razie kimś zagadkowym. Tak będzie lepiej.

Spodobał mu się sposób, w jaki został opisany Stalin, postać Onisimowa także uznał za udaną, ważną.

— I akademik jest przekonujący. Łatwo uwierzyć, że był taki.

Zapamiętałem, że w tym momencie, mając na myśli mojego akademika (Czelyszewa), dodał:

■ Można więc było w najsurowszych czasach powiedzieć Stalinowi: nie!

W intonacji czuło się chyba jakąś nutę osobistą. Przecież sam Simonow nie zdobył się na to nigdy. I w rezultacie osądził siebie surowo. Prawdopodobnie do tej pory zмага się sam ze sobą, starając się wypracować swój pogląd na Stalina.

Wystawiając oceny bohaterom powieści, Simonow doszedł także do Pyżowa. Uznał, że zbyt wyraźnie można w nim rozpoznać Fadiejewa. Poza tym wyczuwa się irytację autora (co, według mnie, jest nieprawdą). Należałoby, zdaniem Simonowa, pisać o nim ze współczuciem. A tego współczucia tutaj nie ma.

Wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, powiedziałem wreszcie, że powieść natknęła się na pewne przeszkody.

— W związku z Fadiejewem?

— Nie zgadł pan. Pyżowa w ostateczności można wyrzucić. Rzecz idzie o całą powieść.

Opowiedziałem o liście rodziny Tewosjana.

— Och, któryż już raz się to panu zdarza!

Zaśmiał się nawet.

Prawda, Simonow był redaktorem miesięcznika „Nowyj Mir”, kiedy publikowano tam po wielu perypetiach moją powieść Życie Bieżejkowa (Talent). To właśnie człowiek będący pierwowzorem głównego bohatera domagał się zakazu dnikowania utworu, pisał listy protestacyjne, twierdził, że bohater to 232

hochsztapler, osobnik odpychający itp. Musiałem dokonać zmuśnej, długiej pracy, aby jak najdalej odejść od pierwowzoru.

Roześmiawszy się, Simonow udzielił mi z miejsca wielu sensownych rad. Miał dar improwizacji. Byłem zachwycony, jak szybko potrafił wymyślić szereg trafnych propozycji. Prawie wszystkie przyjąłem. Spróbuję kolejno je wyliczyć:

— Jeszcze bardziej zmienić powierzchowność. Niech to będzie szary człowieczek. .

Zamiast aresztowanej siostry wprowadzić aresztowanego brata przyrodniego (noszącego inne nazwisko).

— W powieści obok Onisimowa pojawia się przelotnie także Tewosjan. Śmielej posłużyć się tym chwytem. Dać więcej Tewosjana pod jego prawdziwym nazwiskiem. Wprowadzić scenę z udziałem Tewosjana. I niech zajmie stanowisko popierające Piotra.

— Wspomnieć także o Małyszewie i Zwieniaginie*.

— Wyrzucić Baku, to znaczy pobyt Onisimowa w Baku. Posłać gp, jako wojskowego, gdzieś na front wschodni. (Wątpię, czy mi się to uda.)

— Niech Pyżow nie pojawia się w powieści jako przyjaciel Onisimowa z lat studenckich, lecz jako uczeń Czetyłszewa.

Było tam jeszcze parę innych uwag. Mam to wszystko zapisane na oddzielnej kartce.

Z całego serca podziękowałem Simonowowi. Nie ukrywałem także zdziwienia:

— Ależ pan szybko wymyśla takie rzeczy!

— E, ileż to się namęczyłem z moim Sierpilinem. Ukazany został przecież dowódca armii, i trzeba było tak zrobić, żeby mi nikt nie wytknął: patrzcie, to jest ten a ten. Podchodziłem, przymierzałem się na różne strony...

Rozmowa z Simonowem od razu skierowała moje myśli [...] ku powieści. Z nową energią zabieram się do pracy. Tak, skorzystam prawie ze wszystkich rad Simonowa. Zresztą, najpierw wszystko to przeanalizuję.

Następnie znajdujemy w dzienniku opis wędrówek powieści. Autor, obrażony na redakcję miesięcznika „Nowyj Mir” za niezbyt zdecydowane popieranie go w walce z przeciwnikami publikacji, zanoszący ma

szynopsis do miesięcznika „Znamia”, a potem znów powraca do „No- Iwego Miru”, gdzie obiecują mu szybki druk i nie tak ostre ingerencje [redakcyjne jak w piśmie „Znamia”]. | Przytoczymy notatki z 4 lipca 1965 roku, w których Bek przedstawia obróbkę redakcyjną powieści w miesięczniku „Nowyj Mir” — czytelnik, znający obecnie walory pełnego tekstu powieści, może się zorientować, jak bardzo proceder ten przypominał sekcję zwłok:

Trzy godziny siedzieliśmy z Zakssem* nad maszynopisem, opracowując tekst przed wysłaniem go do drukarni. Była to robota bardzo dokładna i rzeczową. -Wyrzuciliśmy różne drobne prztyczki pod adresem Gospodarza, po trochu udało nam się jeszcze usunąć to i OWO z „zagrożenia żydowskiego” — teraz mniej się mówi w powieści o aresztach, obozach itp.

Usunęliśmy trzy spore fragmenty: 1. beriowską czystkę (te stronicie wykorzystam w utworze następnym), 2. polowanie i wędrówkę Piotra po Andrianowce (ten fragment był rzeczywiście nijaki), 3. całego Pyżowa.

Postać Pyżowa była już wcześniej dwukrotnie skracana. Po raz pierwszy wówczas, gdy —| dla zamaskowania pierwowzorów fręzrezygnowałem z motywu, że był on przyjacielem Onisimowa w latach młodości. Po raz drugi — gdy zmieniłem Pyżo- wowi zawód i z pisarza przemienił się on w reżysera filmowego. W rezultacie powstał twór nijaki i mało prawdziwy. Dalsze skróty pozbawiły tę postać wszelkiego sensu. Już lepiej było Pyżowa w ogóle wyrzucić, aby w sprzyjających okolicznościach móc włączyć go do powieści w jego wersji początkowej. Na wszelki wypadek polecam tak właśnie zrobić {według egzemplarza oznaczonego literą W, to znaczy — Wzorzec} * *.

6 lipca 1965 roku maszynopis, przeczytany i w całości zaakceptowany przez Twardowskiego, został wysłany do drukarni. 7 lipca Bek notuje:

Zdecydowano zrezygnować z tytułu Spięcie. Rzeczywiście, słowo jest trudne do wymówienia, chociaż bardzo pasuje znaczeniowo. Na razie dano tytuł Onisimow, Potem znów pojawiły

się wątpliwości: czy należy, biorąc pod uwagę wszystkie zaistniałe okoliczności, jeszcze w taki sposób wysuwać na pierwszy plan głównego bohatera? Diemientiew (a może Zaks) zapro-

^H

nował tytuł Nominacja. Jeśli o mnie chodzi, sprawę tytułu pozostawiam całkowicie do uznania redakcji. Ulżyło mi na duszy, poczułem coś w rodzaju satysfakcji. Powieść w drukarni.

Jednakże już 31 lipca 1965 roku pisarz otrzymuje list z redakcji miesięcznika „Nowyj Mir”:
„Drogi Aleksandrze Alfredowiczu!

Druk powieści nastęcza trudności. Z nadrzędnych instancji nadesłano nam drugi list O. Chwalebnowej, w którym protestuje ona też przeciwko nowej wersji powieści (skądś ją zna). W tej sytuacji jesteśmy zmuszeni wstrzymać się z drukiem.

Co do dalszego postępowania porozumiemy się po pańskim powrocie do Moskwy. Z pozdrowieniami. B. Zaks.”

Dalsze stronicie dziennika są wypełnione opisem przeżyć pisarza, wstrząśniętego i urażonego biurokratycznym gwałtem „instancji nadrzędnych” dokonywanym na jego dziele.

Zapominając o składanych sobie obietnicach, pisuje coraz to nowe wyjaśnienia.

9 września 1965 roku. Moskwa.

To były dla mnie burzliwe dni.

Oto co się zdarzyło (jak udało mi się obecnie ustalić). Chwalebnowa zdobyła szcztokę powieści. Jak do tego doszło? „Nowyj Mir” posłał powieść (pierwszą, „brudną” jeszcze szcztokę) do cenzury do wstępnego czytania. [...] Na drugi dzień telefon z cenzury:

— Przyślijcie jeszcze jeden egzemplarz Beka.

A po kilku dniach z KC przysłano już do redakcji list Chwalebnowej, protestującej przeciwko drukowaniu powieści.

Tekst listu był następujący:

„Do Prezesa Rady Ministrów ZSRR A. N. Kosygina.

Wielce szanowny Aleksieju Nikołajewiczu!

W tych dniach okazało się, że powieść A. Beka o hutnikach jest przygotowywana do druku w sierpniowym i wrześniowym numerze miesięcznika „Nowyj Mir”. Powieść nie tylko nie stała się lepsza, ale jest jeszcze gorsza niż była, pełna zdumiewających oszczerstw.

Nie ulega wątpliwości, że redakcja postawiła sobie za cel wywołanie

ogólnospołecznego rezonansu, ukazując negatywny typ działacza państwowego z danego okresu.

Czy nie lepiej zapobiec temu obecnie niż po wydrukowaniu pisma zastanawiać się, jak mogło dojść do ukazania się tak oszczerczego utworu?

Uważam za swój partyjny obowiązek powiadomić Was o tym, ponieważ jest to nie tyle sprawa osobista, co ogólnospołeczna.

Z poważaniem O. Chwalebnowa (Tewosjan).

23 Vn 65 r."

Na liście znalazła się rezolucja napisana ukośnie nie zamaszystym, jak można by się spodziewać, lecz regularnym pismem, skierowana do jednego z sekretarzy KC KPZR: „Proszę rozpatrzyć. A. K. 23 VII 65.”

Następnie przesłano do redakcji jeszcze jeden list Chwalebnowej, adresowany do tegoż sekretarza KC: „[...] Pół roku temu zwróciłam się do A. N. Kosygina w związku z tym, że pisarz A. Bek zamierzał opublikować w miesięczniku «Nowyj Mir» powieść o metalurgach, w której stworzył negatywny, fałszywy obraz I. F. Tewosjana.

W odpowiedzi na ten list oznajmiono mi, że kolegium redakcyjne miesięcznika doszło do wniosku, iż nie można opublikować powieści w takiej formie, zaś argumenty kolegium w gruncie rzeczy zbieżne były z moimi argumentami, które przedstawiłam w liście do Aleksieja Nikołajewicza.

Wczoraj, całkiem nieoczekiwanie, dowiedziałam się, że powieść A. Beka ma być zamieszczona w ósmym i dziewiątym numerze «Nowego Miru». Miałam możliwość zaznajomienia się z nowym wariantem powieści i muszę Wam donieść, że w tym ostatnim wariantcie, przygotowanym już do wydania, A. Bek jeszcze bardziej podkreślił negatywny obraz Tewosjana.

Wszystko świadczy o tym, że ukazał on Tewosjana pod postacią Onisimowa, nazywającego Przewodniczącym Państwowego Komitetu do Spraw Metalurgii i Paliw przy Radzie Ministrów ZSRR. Przy tym, chcąc rzekomo zmienić wymowę powieści, wprowadza w kilku miejscach nazwisko Tewosjana, rozmawiającego z Onisimowem. W rezultacie wychodzi jednak na to, że Tewosjan rozmawia z Tewosjanem.

Aby wzmocnić negatywny obraz głównego bohatera, A. Bek nie żałuje atramentu, w szkalujący sposób przedstawiając jego żonę i całą sytuację rodzinną.

Uważam za swój obowiązek poinformowanie KC KPZR o zamierzonej publikacji powieści, jako że sprawa ma znaczenie nie tyle osobiste, co ogólnospołeczne.

Musi ponadto budzić zdziwienie, dlaczego kolegium redakcyjne zdecydowało się właśnie obecnie publikować taką powieść.

O. Chwalebnowa (Tewosjan).

23 VII 65."

To wystarczyło, aby redakcja wycofała z numeru powieść Beka.

Wkrótce pisarz dowiedział się, że istnieje jeszcze jedno oświadczenie dotyczące jego powieści, podpisane przez grupę metalurgów, pracowników Komitetu do Spraw Przemysłu Metalurgicznego, którzy także stanowczo domagali się, aby nie drukowano powieści Beka. List swój skierowali do Komitetu do Spraw Prasy. Kiedy pisarz przyjechał tam, pozwolono mu przeczytać oświadczenie metalurgów: „Prosimy o umożliwienie nam zapoznania się poprzez odpowiednie instytucje z powieścią pisarza Beka o pracownikach przemysłu metalurgicznego, zanim powieść zostanie opublikowana w prasie.” (8 podpisów)

Do oświadczenia było dołączone obszernie żądanie zakazu drukowania powieści — pozaliterackie oskarżenie w 27 punktach, podpisane już przez 16 osób. Oskarżenie sprowadzało się do tego, że, po pierwsze, „w osobie Onisimowa został przedstawiony Tewosjan”, i po drugie, że „powieść Beka jest oszczerstwem rzuconym na syntetyczną postać działacza-komunisty”. Zauważmy: były to pretensje różnej natury, alogiczne, wzajemnie ze sobą sprzeczne. Jeśli w osobie Onisimowa „został przedstawiony” Tewosjan, to skąd się wzięła „syntetyczna” postać działacza-komunisty?

W tym miejscu warto przytoczyć fragment wywiadu z G. Bakłanowem, który w 1986 roku, po objęciu stanowiska redaktora naczelnego miesięcznika „Znamia”, uznał za swój pierwszy obowiązek opublikowanie powieści Beka Nominacja. „Muszę powiedzieć, że dla literatury nastały obecnie zadziwiające czasy — oświadczył Bakłanow korespondentowi tygodnika «Ogoniok». — Jeśli nie wydrukowalibyśmy powieści Beka, uczyniłyby to inne czasopisma. Kiedy jednak powieść była już w druku, ciągle ta sama grupa osób, postarzałych wprawdzie o dwadzieścia lat, za pomocą dawnych metod próbowała wyrzucić na nas nacisk, żądając, abyśmy pozwolili im na nowo zaznajomić się z tekstem powieści. Osoby te domagały się zakazu publikacji powieści. Musieliśmy tłumaczyć, że żyjemy w państwie konstytucyjnym, gdzie są prawa obowiązujące wszystkich jednakowo, że jest także prawo autorskie. I gdyby nawet kolegium redakcyjne chciało, nie może bez zgody autora udostępnić maszynopisu osobom postronnym. Zresztą owi "emeryci dzwonili także do redakcji «Ogońka», kiedy zamieściliście rozdział z Beka."*

Jednakże w roku 1965 ani ze szpał gazet czy czasopism, ani z innych istniejących wówczas trybun, nie rozbrzmiewały słowa o niezbywal

nych prawach twórcy. Ostatnie lata Aleksandra Beka stały się tragicznym okresem jego życia, prawdziwą „drogą przez mękę”. Co tydzień zjawiał się albo w Wydziale Kultury KC KPZR, albo w redakcjach gazet centralnych, albo w Sekretariacie Związku Pisarzy ZSRR, prosząc o powstrzymanie nagonki na jego powieść. Skarżył się wszem wobec na cenzurę, przestrzegał, że obecnie, gdy szczotka powieści krąży wśród ludzi poza wszelką kontrolą, możliwe jest przedostanie się tekstu za granicę, apelował o zrozumienie, zwracając się, że w takim stanie psychicznym nie może dalej pracować.

Do redakcji miesięcznika „Nowyj Mir” nadchodzi nad wyraz pozytywna opinia o Nominacji, podpisana przez akademika, specjalistę w dziedzinie metalurgii, Bohatera Pracy Socjalistycznej A. I. Celikowa: „Powieść Beka jest utworem unikatowym. Nie ma w niej nic wymyślonego. Zbudowana została na mocnym fundamencie realistycznym. Podobnym realizmem, autentyzmem i prawdą życiową odznaczają się występujące w powieści postaci. Wyczuwa się, że postaci te, ich charaktery nabrały rumieńców dzięki inspiracji realnie istniejącymi osobami. Autor jednak, odchodząc od pierwowzorów, potrafił stworzyć typowe, z rozmachem uogólnione postaci ludzi przemysłu, uformowanych przez rzeczywistość radziecką...”

Na posiedzeniu zarządu zespołu twórczego prozaików Moskwy toczy się dyskusja nad powieścią Beka i jej losami — najwybitniejsi pisarze wyrażają zachwyt dla nowej pracy Beka i głęboki niepokój z powodu wstrzymania jej publikacji. Stenogramy tych wystąpień wysłano do Komitetu do Spraw Prasy oraz do Sekretariatu Związku Pisarzy ZSRR.

Jednakże silniejsze od tych wszystkich, ważkich przecież argumentów okazały się zakulisowe układy osoby prywatnej — Olgi Chwalebnowej.

Wszystkie dalsze perypetie z powieścią Beka miały podobnie monotony charakter — było to mnóstwo odwołań do najwyższych instancji, które odpowiadały pisarzowi używając zdumiewającej formuły, wypowiedzianej przez jednego z czołowych prominentów tego okresu: „Kto wam powiedział, że istnieje zakaz drukowania powieści Beka? Ta powieść nigdy i przez nikogo nie została zakazana. Nie wyrażono jedynie zgody.”

W roku 1966 pisarz próbował ogłosić głodówkę i wysłać telegram do Breżniewa. W organizacji partyjnej pisarzy i w KC KPZR uspokajano Beka, wyrażano współczucie, obiecywano popchnąć sprawę z martwego punktu. Charakterystyczne są notatki z 17 stycznia 1966 roku o „pełnym poparciu Gieorgija Mokiejewicza Markowa”, pierwszego sekretarza zarządu Związku Pisarzy ZSRR.

Jak tylko do niego wszedłem, powiedział:

— W tej sprawie jestem całkowicie po pana stronie.

I dodał:

— A nie jest to bez znaczenia.

[...] Ujęła mnie prostota i otwartość, z jaką powiedział: „całkowicie po pana stronie”. O powieści wyraził się tak:

— Jest w niej nasz heroizm i nasz dramat. Należałoby jak najszybciej wydrukować.

Tymczasem Chwalebnowa szykowała nowe oświadczenia z podpisami wysoko postawionych osobistości. Podejmowane przez „Nowyj Mir” próby opublikowania powieści spełzały ciągle na niczym. Choć na okładce pismo nieraz zapowiadało Nominację.

Na podstawie umowy z APN książka została już przetłumaczona na język włoski (z trudem udało się wstrzymać druk powieści we Włoszech w 1966 roku) i opatrzona znakomitą przedmową Jurija Dombrowskiego. Warto przytoczyć końcowe zdania tej przedmowy:

„...Książka Beka jest nie tylko powieścią historyczną, ale także historyczno-psychologiczną. Na zdziwienie i złośliwe pytania — jak było możliwe to, co wówczas wyrabiano z ludźmi, i w dodatku z takimi ludźmi? — Bek nawet nie próbuje dać wyczerpującej odpowiedzi. Ale stwarza nam możliwość spojrzenia na wszystko własnymi oczami. W tym swoim zamiarze jest precyzyjny i bezkompromisowy. Pisze stosując zasadę Tacyta — bez nienawiści i osądzania. Nie pozwala sobie nawet na ironię. W jego opowieści nie ma także niepotrzebnych skarg i sądów. Stara się jakby powiedzieć czytelnikom: «Tak się właśnie działo w rzeczywistości, czytajcie, zastanawiajcie się i osądzajcie sami.» Beka należy czytać. Czytać, aby zrozumieć historię naszej epoki.”

W latach 1967 i 1968 w dziennikach Beka narasta poczucie pogarszającej się sytuacji i beznadziejności w związku z powieścią. Szczególnie wymownie dla Powieści o powieści zaczął się rok 1969. Otwórzmy dziennik:

16 stycznia 1969 roku

Byłem wczoraj w „Nowym Mirze”, utknął im dwunasty numer. Już dwa tygodnie leży w cenzurze bez żadnej wieści.

To tak, jakby nieustannie zaciskano pętlę na szyi. A redakcja mimo wszystko żyje. Przygotowano jeszcze trzy następne numery. [...] Zrodziła się myśl, żeby dać jakąś nową wersję uzupełnioną wstawkami, włączyć do numeru i znów puścić szcztotkę (nową) w obieg po różnych instancjach. Sądzę jednak, że cała praca pójdzie na marne. Zszarpię sobie tylko nerwy, a i tak nie

osiągniemy niczego. Na razie nie mam zamiaru dotykać tekstu. Poczekam.

Tego samego dnia zwrócono Bekowi szczotkę, którą dał do czytania redaktorowi naczelnemu czasopisma „Moskwa”, Michaiłowi Aleksiejewowi. Dołączony był do niej list. „Jego list (o Stalinie, w obronie Stalina) to ostatnie pociągnięcie pędzla na obrazie — czytamy w dzienniku Beka. — Powiedział otwarcie to, co dotychczas było starannie skrywane. Oto jak obecnie odważają się pisać. Na tym można zakończyć moją Powieść o powieści. Zakończyło ją samo życie.”

W tym miejscu między kłótnie dziennika włożona była kopia listu.

„Szanowny Aleksandrze Alfredowiczu!

Z wielką uwagą przeczytałem Pana powieść Nominacja. Nie ma co mówić, napisana jest ręką wprawną i doświadczoną. Ogólna koncepcja wydaje się jednak nie do przyjęcia.

Sens powieści: każdy, kto pracował ze Stalinem i wierzył w niego, jest w sensie historycznym skazany na zagładę, tacy ludzie są jakby zarażeni nieuleczalną chorobą. Myśl ta została wyrażona poprzez postać Onisimowa.

I, odwrotnie, ci, którzy znajdowali się możliwie najdalej od wodza lub wewnątrz byli pełni wątpliwości w stosunku do niego, stanowią przyszłość kraju (Czelyszew, Gołownia-junior).

Czy można się zgodzić z tego rodzaju filozofią? Czy nie obraża Pan tysięcy i milionów swoich współobywateli, ludzi bezwzględnie uczciwych, którzy pokonali faszyzm, a obecnie zajmują ważne stanowiska w państwie, w partii i w gospodarce narodowej? Przecież w Stalina wierzyli bezgranicznie także ci, którzy obecnie dobiegają czterdziestki, a to właśnie z nich rekrutują się przywódcy wszystkich ogniw naszego życia.

Można sądzić, że skonstruował Pan swoją powieść nie na realiach, lecz na z góry przyjętych schematach.

Jeśli miałby Pan czas i ochotę, chętnie spotkałbym się z Panem, aby porozmawiać o tym bardziej szczegółowo.

Z głębokim szacunkiem wobec pańskiego talentu M. Aleksiejew.

13 stycznia 1969 M

W lutym 1970 roku Aleksander Twardowski został usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego „Nowego Miru”. Bek silnie przeżywa ten ludzki dramat, który jest jednocześnie dramatem literatury. W dzienniku pisze szczegółowo o tym, jak grupa pisarzy związanych z „Nowym Mirem” próbowała zapobiec rozpędzeniu redakcji.

Oto fragment notatek z 12 lutego:

Wiadomo już, że do redakcji przyszedł Trifonycz. Przyjechał Rybaków. Siedzimy jak w domu żałoby. Ma się wrażenie, że gdzieś w sąsiednim pokoju leży zmarły. Wszedłem na pierwsze piętro. Tak, około jedenastej przywieziono jutrzejszy numer „Lit. Gazety” z informacją o zmianach w „Nowym Mirze”. To właśnie wywołało tę pogrzebową atmosferę. Ktoś się do mnie odezwał:

— Chce pan porozmawiać z Twardowskim?

Poszedłem do niego. Siedział poważny, skupiony, dojrzewała w nim jakaś decyzja (później powiedziano mi, że wysłał do Breżniewa telegram z prośbą o wyznaczenie spotkania).

A więc wchodzę.

— Witaj.

— Witaj. Masz coś do mnie? Pewno przyszedłeś pogadać?

— Tak.

Odpowiedział miękko, bez rozdrażnienia. Jg|| Daj spokój. Nie jestem dziś zbyt rozmowny.

— Pozwól, że ci chociaż uścisknę dłoń.

Uściskałem, wyszedłem. Minęły dwie godziny. Słyszę: „Trzeba jeszcze poczekać dwadzieścia minut.”

Wreszcie dopiero o trzeciej staje się jasne. Podgorny będzie u siebie dopiero wieczorem. O spotkaniu z nim nie ma co dzisiaj marzyć. A w ogóle, to o czym można by z nim rozmawiać? Chcieliśmy jakoś powstrzymać ukazanie się informacji w „Literaturnej Gazecie”, teraz jest już na to za późno.

Poczucie całkowitej bezradności, bezsilności.

Kondratowicz drze jakieś papiery w swoim gabinecie, opróżnia szuflady. No cóż, pora rozejść się do domów. [...] I tak skończył się „Nowy Mir”.

W roku 1971 powieść Beka, ciągle nie wydana w ojczyźnie pisarza, ukazała się za granicą. „Oto paradoks — notował pisarz (jeszcze wówczas, gdy chciano jego książkę opublikować we Włoszech) — utwór realizmu socjalistycznego publikuje... burżuazja, wbrew naszym zakazom czy też częściowym zakazom. Co się będzie działo dalej? Wydrukują z pewnością i u nas. Przypuszczam, że nie będzie innego wyjścia.”

Okoliczność, że Nominacja nie dotarła do czytelnika radzieckiego W sposób naturalny, we właściwym czasie, była dla pisarza tragedią, której nie udało mu się przeżyć. A mimo wszystko w jego dzienniku niejednokrotnie pojawia się nuta optymizmu: „Wierzę, że powieść wyjdzie z tego zwycięsko.”

Powieść wyszła zwycięsko. Ukazała się w naszym kraju, darzonym przez Aleksandra Beka żarliwą miłością, wywołała ogromne zainteresowanie szerokich kręgów czytelniczych, ponownie zwróciła uwagę na twórczość pisarza. Pojawiają się coraz to nowe rozprawy poświęcone analizie Nominacji. Badacze jednomyślnie podkreślają historyczne i moralno-psychologiczne walory powieści Beka, a poza tym—jej wyjątkową aktualność i ostrość, która nie uległa stępującemu działaniu czasu. Obok tekstów krytycznoliterackich nadzwyczaj ważny, o dużym rezonansie społecznym, okazał się artykuł dr. G. Popowa Z punktu widzenia ekonomisty (o powieści Aleksandra Beka „Nominacja”), w którym problematyka powieści powiązana została wprost ze skomplikowanymi problemami obecnej „pieriestrojki”.* G. Popow pisze: „Wydarzenia ukazane w powieści, według słów samego pisarza, mają rodowód dokumentalny... Ale jak każde prawdziwe dzieło sztuki powieść urasta do rangi typowej analizy typowych zjawisk. Dlatego stała się także wydarzeniem w dziedzinie nauki o zarządzaniu.”

Powieść zwyciężyła. A jednak... Nie można stłumić w sobie goryczy, odzywającej się przejmująco w niedawno napisanym wierszu Władimira Korniłowa Pamięci Aleksandra Beka:

Chowano Beka; dzień pogrzebu Ponury, mroźna jesień szara. Nie było prawie wcale śniegu,
Podtekstów za to co niemiara...

I Aleksander Alfredowicz

Leżał w pośmiertnej smutnej sławie,

Mówcy sypali wielosłowie,

Lecz żaden z nich nie wspomniał nawet

O książkach, z druku wycofanych — Trucizna to nie byle jaka—

Ze zmarł przez stresy pokonany, Choć lekarz mówił, że na raka.
...Minęła jedna siódma wieku — Całe czternaście lat z okładem — I wreszcie publikują
Beka, I rąbią nakład za nakładem.
Znow gwiazda błyszczy mu wspaniale, Znowu sukcesów moc go czeka: Książki, spektakle i
seriale, Lecz nie ma już żywego Beka.
I nie wie Bek, leżący w urnie, Że mu sukcesów świecą blaski, I pogrążony w myślach
chmurnych, Rozpamiętuje swe porażki.
...Myślałem dziś o jego losie,
o ym, jak przegrał z cienia smugą,
i zrozumiałem: u nas w Rosji Życ się powinno bardzo długo.*
Przełożył Janusz Gazda